

JOSEPH HELLER

TERAZ I WTEDY

**OD CONEY ISLAND DO „PARAGRAFU 22”
(PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ SZULC)**

DLA MOJEJ SIOSTRY SYLVII

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby podziękować
Donaldowi Kapłanowi, Judy Walsh
oraz pracownikom Brooklyńskiej Biblioteki Publicznej,
a także całemu personelowi Biblioteki Publicznej East Hampton

1. Złoty pierścień

Złoty pierścień na karuzelach był zrobiony z mosiądzu. Już jako małe dzieci na Coney Island nie wierzyliśmy, że jest z prawdziwego złota. A kiedy trochę dorośliśmy i jeżdżąc na zewnętrznych koniach wychylaliśmy się na bok, żeby chwycić metalowe pierścienie sunące ku nam podczas tych kilku finałowych obrotów, karuzela nas nie ekscytowała i nie mieliśmy wielkiej chęci, żeby przejechać się jeszcze raz w nagrodę za złapanie ostatniego złotego pierścienia. Mieliśmy wówczas dość drobniaków, żeby fundnąć sobie następną jazdę, gdyby nasza nas ochota, woleliśmy jednak wydać je na atrakcje, które były wyższe i szybsze, bardziej widowiskowe - diabelskie kolejki - oraz dla zgrywy, na elektryczne samochodziki.

Na szczęście uwielbialiśmy precle, ziemniaczane chipsy, pączki z marmoladą i czekoladowe batony. Podobno Mark Twain powiedział kiedyś, że gdy jesteśmy już dość duzi, by sięgnąć po słoik dżemu na wysokiej półce w spiżarni, odkrywamy, że straciliśmy ochotę na dżem. Żaden tego rodzaju ponury los nie przytrafił się mnie, moim przyjaciółom ani nikomu z małej czteroosobowej rodziny, w której byłem najmłodszy, w odniesieniu do artykułów takich, jak chałwa, solone orzeszki, lody, koszerna solona wołowina, hot dogi, a nawet kanapki z salami. Kiedy mieliśmy dość gotówki, by kupić sobie, ile tylko chcemy, tych przysmaków, w dalszym ciągu odczuwaliśmy na nie wilczy apetyt i byliśmy skłonni folgować sobie - i wciąż folgujemy - jedząc tyle, ile zapragnęliśmy, a czasami więcej, o wiele więcej, niż naprawdę chcieliśmy i chcemy.

Ostatnio moim najlepszym ratunkiem przed otyłością jest pozbywanie się z domu wszelkich artykułów spożywczych, którymi rozsądek zakazuje się opychać. Orzeszki pistacjowe na przykład, nieważne, czy w małych słoiczkach, czy w pięcioletowych torbach, mają nikłą szansę przetrwania, gdy znajdą się w zasięgu mojej ręki. Jeśli w zamrażarce są lody, odczuwam silną moralną potrzebę usunięcia ich z domu tak szybko, jak tylko uda mi się wszystkie przełknąć. Odkryłem niedawno, że słone precelki pasują świetnie do każdego deseru, który zamierzam zjeść w domu. Są również dobre bez żadnych dodatków. Jeśli przed pójściem do łóżka przypomnę sobie przypadkiem, że mamy w lodówce plastry indyczej piersi, istnieje duże prawdopodobieństwo, że idąc umyć zęby w łazience uraczę się kilkoma - z krakersami albo połówką płaskiego chlebka pita oraz solą i musztardą.

A jednak to lody wciąż smakują mi najbardziej i wciąż budzą najbogatsze skojarzenia, sięgające niemal samego tworzenia się pamięci, ewokując marki i wyroby, które dawno już odeszły w przeszłość, jak kubeczki Dixie ze zdjęciami kowbojskich gwiazd, umieszczonymi po wewnętrznej stronie pokrywki pod przezroczystym woskowanym papierem. Niczym magdalenka u Prousta, medytacje na temat lodów szybko przenoszą mnie z powrotem na łono rodziny, gdy miałem osiem albo dziewięć lat i mały pojemnik starczał z powodzeniem całej czwórce: matce, siostrze, bratu i mnie. (Ja byłem od nich o wiele młodszy). W lecie lody można

było dostać wszędzie. Ale również jesienią, po zmianie czasu, a nawet zimą, w ciemną noc po kolacji i przed pójściem spać, rzucone przez kogoś z nas hasło „lody” mogło przybrać realny kształt dla naszej małej rodziny zajmującej małe mieszkanie - cztery pokoje wychodzące na Trzydziestą Pierwszą Zachodnią, niedaleko Surf Avenue na Coney Island. Zasiadając z nami przy radiu, po zrobieniu zakupów na kolację, przyrządzeniu kolacji, podaniu kolacji oraz posprzątaniu kuchni po kolacji, matka mówiła z żydowskim zaśpiewem, że chętnie skosztowałyby małego loda. Nie mieliśmy wtedy lodówki ani zamrażarki - nie miała ich żadna mieszkająca tam rodzina - i w domu nie było oczywiście lodów. O tak późnej porze otwarty był tylko drugstore dwie przecznice dalej. To ja wyrażałem wówczas chęć pójścia i jeśli była ładna pogoda, pozwalano mi. Pojemnik kosztował dziesięć centów. Ulubiony przez nas wszystkich smak nazywał się w tamtych czasach „złoty blask”. Trudno dziś uwierzyć, że zawierający zaledwie pół kwarty lodów pojemnik mógł dawać naszej czwórce tyle radości, ale tyle właśnie, z tego co pamiętam, można było dostać za dziesięć centów, a więcej nie byliśmy skłonni wydać. Liczyliśmy się z każdym groszem, ponieważ nie mieliśmy dużo pieniędzy, ale mnie, rodzinnemu „beniaminkowi”, nigdy nie dawano tego odczuć.

Moja siostra Sylvia była ode mnie o siedem lat starsza. Brat Lee, pierwotnie Eli, urodzony w Rosji i przywieziony do tego kraju w wieku sześciu lat, był z kolei o wiele starszy od niej. Właściwie byli tylko moim przyrodnym rodzeństwem; urodzili się ze związku mojego ojca i jego pierwszej żony, która umarła. Moja matka była zatem dla nich macochą. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że byli, praktycznie rzecz biorąc, sierotami, i choć nigdy o tym nie mówili, musieli czuć się trochę jak sieroty. Mnie, najmłodszego, wszyscy traktowali w rezultacie jak jedynaka, którym pod pewnymi względami byłem.

Dopiero w wieku kilkunastu lat dowiedziałem się o naszych rodzinnych koligacjach i niemal mnie zatkało, gdy sprawa wyszła na jaw podczas wesela brata. Matka szła za nim sama przejściem między ławkami, a ja słuchałem oniemiały rabiego, który odprawiał nabożeństwo, wychwalając ją za miłość i troskę, jakie okazywała panu młodemu, nie będącemu jej biologicznym synem, oraz jego siostrze. Czułem się zgorzony i oszukany. Zagniewany na kogoś, przestawałem wówczas i przestaje często do tej pory mówić z osobą, która mnie obraziła. Nie rozmawiałem przez dłuższy czas z siostrą, kiedy zaczęła palić papierosy, i innym razem, gdy ufarbowała włosy. Teraz mogłem przestać się odzywać do całej trójki, tak głęboko i boleśnie urażony, że za nic w świecie nie chciałbym wyjawić powodu (wtedy bowiem musiałbym się odezwać). Mój najstarszy na świecie przyjaciel, Marvin Winkler, którego w wieku niemowlęcym często pakowano razem ze mną do kojca, zdumiał się, gdy przypomniałem mu całkiem niedawno ten incydent i opisałem swoją reakcję. Jego matka poinformowała go o naszych rodzinnych stosunkach, kiedy był jeszcze dzieckiem, i uprzedziła, by nie zranił moich uczuć, podnosząc tę sprawę. Siostra też zdziwiła się, czytając moją relację na ten temat w poświęconym mi biograficznym artykule, do którego również z nią przeprowadzono wywiad. Razem z matką i bratem uważała, jak twierdzi, że zawsze o tym wiedziałem. Nie był

to żaden skandal, nawet nie sekret. Nie mówili na ten temat, ponieważ nie było takiej potrzeby.

Z drugiej strony prawdą jest, że ani brat, ani siostra nie opowiadali mi nigdy o ojcu, a już na pewno o jego wcześniejszym małżeństwie, aż do chwili, gdy jako dorosły zacząłem ich z czystej ciekawości wypytywać. Matka wspomniała o nim tylko raz, informując mnie z własnej woli, że ojciec mógł zjeść cały czekoladowy tort za jednym posiedzeniem - jako kierowca firmy cukierniczej mógł zawsze dostać tort - i że zanim poszedł do szpitala z pękniętym wrzodem żołądka, stolec miał czarny jak węgiel. Powiedziała to, strofując mnie za mój własny nadmierny apetyt, mogłem bowiem zjeść tyle tortu, ile mi dała, i zawsze chciałem więcej. Bardzo wcześnie odkryłem, iż łupane orzechy laskowe z rodzynkami stanowią wspaniałą wieczorną przekąskę przed snem. Podśledzałem raz, jak matka opowiadała, że kiedy byłem niemowlęciem, musiała odrywać mnie od piersi, ponieważ nigdy nie chciałem przestać ssać, i wierzę jej.

Przy wszystkich dzielących nas różnicach i bez względu na to, ile było rzeczy, o których nie chcieliśmy rozmawiać, łączyły nas bardzo bliskie rodzinne związki. Nie zwykliśmy skarżyć się, klócić, domagać czegoś albo plotkować. Pamiętam kilka awantur, które urządziłem jako małolat, wydaje mi się jednak, że dorastając przyjąłem stoicką, pełną rezygnacji i mało wymagającą postawę mojej rodziny i ja również nie skarżyłem się, nie klóciłem i nie plotkowałem. Moja matka, zostawszy po sześciu latach małżeństwa wdową z trójką dzieci, z których dwoje nie należało do niej, wychowała nas, jakby była matką wszystkich, a brat i siostra tak właśnie się do niej odnosili. Dowiedziałem się, że brat uzbierał kiedyś dość pieniędzy, żeby kupić jej lepsze radio. Trafił w dziesiątkę, ponieważ matka uwielbiała melodyjną muzykę, w szczególności arie Pucciniego. A w tamtych czasach radiowej rozrywki wśród słynnych i licznych programów komediowych i rewiowych było wiele cotygodniowych audycji, w których nadawano krótkie fragmenty oper i lekkiej muzyki symfonicznej.

Chociaż trwał właśnie kryzys gospodarczy, wszystkim najwyraźniej udawało się wcześniej czy później znaleźć pracę. Kiedy poszedłem do szkoły, mój brat, starszy ode mnie o czternaście lat, zatrudnił się w biurze maklerskim na Wall Street, w dziale obsługi klienta, wykonując pracę, do której, jak się rychło okazało, niezbyt się nadawał z powodu skromnych manier, nieagresywnej natury oraz poczucia, że stale jest coś komuś winien. Siostra, po ukończeniu szkoły średniej i kilku zaskakująco nieudanych próbach znalezienia zajęcia przez biura pośrednictwa, wylądowała w końcu w domu towarowym R. H. Macy'ego, gdzie przepracowała jakieś czterdzieści lat. A ja w wieku szesnastu lat wkładałem po lekcjach elegancki quasi-wojskowy mundur khaki i jako półetatowy posłaniec Western Union dostarczałem telegramy w dni powszednie do biurowców na Manhattanie, a w weekendy, na rowerze, w dzielnicach mieszkaniowych Brooklynu, traktując na ogół swoje obowiązki jako ciekawą i radosną przygodę. Matka, która przed ślubem była szwaczką i kimś w rodzaju krawcowej, szyła w domu, naprawiając ubrania sąsiadom i wykonując poprawki w nowych sukniach dla swojej kuzynki, Sadie Pacon, która miała sklep

odzieżowy niedaleko nas, przy Gravesend Neck Road w dolnym Flatbush. Znalazła także stałą pracę w pralni i przesywała w domu postrzępione kołnierzyki męskich koszul, tak że z zewnątrz i przynajmniej przy szyi wyglądały całkiem jak nowe. W weekendy, głównie w sobotnie wieczory, mój brat dorabiał sobie czasem w lokalach podczas bankietów; ubierał się elegancko, by pełnić funkcję grzecznego szatniarza bądź też kelnera, który wita gości i kieruje ich na salę. Kręcący się przed kamienicą sąsiedzi, widząc, jak wychodzi z domu w smokingu bądź równie szykownej dwurzędowej sportowej marynarce, mogli dojść do wniosku, że wybiera się na oficjalną randkę. Ale ja wiedziałem, że idzie do pracy.

Matka lubiła czytać. W Europie dorastała w rodzinie introligatorów. Z biblioteki publicznej na Coney Island przynosiłem jej przełożone na jidysz powieści. Podobał jej się Tołstoj, zwłaszcza jego „Anna Karenina”, którą знаła od bardzo dawna. Dostojewskiego uważała za wariata. Brat mamy (mój wuj Sam) został zatrudniony pod koniec życia przy konserwacji książek w bibliotece Uniwersytetu Brandeis. Jego syn, Harry Stein, zawodnik szkolnej drużyny James Madison High School w Brooklynie, a potem City College w Nowym Jorku, był tam jednym z trenerów lekkiej atletyki.

Widząc nadgnięte jabłko, matka czym prędzej robiła pudding z kluskami, żeby je wykorzystać i nie wyrzucać do śmieci. Za pomocą nożyczek i maszyny do szycia zamieniała wytarte narzuty na okienne zasłony. (Kiedy z wiekiem pogorszył jej się wzrok, pomagałem jej często przy szyciu, nawlekając igłę. Dzisiaj nie umiałbym tego zrobić). Kiedy brat i siostra pokłócili się, nie pozwalała im pójść spać, póki nie porozmawiali ze sobą i się nie pogodzili. Źródłem największej radości była dla niej zawsze niespodziewana wizyta kogoś ze starego kraju. Cieszyła się też, gdy na Coney Island odwiedziła ją pani Rosen.

Chodząc do szkoły średniej, siostra ubierała się, jak pamięta, głównie w ubrania starszej kuzynki, która pracowała już w firmie swojego ojca i preferowała w związku z tym stroje ciemnego koloru. Moja matka przerabiała je, żeby pasowały. Siostra pamięta również, że nie najlepiej się w nich czuła, były to bowiem przeważnie sukienki, a nie spódnice i bluzki lub swetry, modne wśród dziewcząt. Dwukrotnie owdowiała, cieszy się szacunkiem pasierbicy z pierwszego małżeństwa oraz trojga dzieci z drugiego, które są teraz wszystkie dorosłe.

Przez krótki okres, grubo przed szesnastym rokiem życia, bardziej z gorliwości niż potrzeby, handlowałem wczesnym wieczorem gazetami, które miały się ukazać następnego ranka, krzycząc „»Merican«, »News« i »Mirror«, poranne wydania!”. „American”, należąca do Hearsta i bardziej reakcyjna od jego „Mirrora”, była grubsza od innych, więcej kosztowała i miała niewielu czytelników w dzielnicy włoskiej i żydowskiej, które przemierzałem w desperackim pośpiechu, by pozostawić w tyle innych gazeciarzy, próbujących mnie rozpaczliwie wyprzedzić. Skreśliłem wkrótce tę cięższą gazetę z mojej listy i wydawany przeze mnie okrzyk zmienił się na „Hej, kupujcie »News« i »Mirror«, poranne wydania!”. Przynosiło to bardzo skromny dochód: miałem szczęście, jeśli zarobiłem dolara. Pamiętam, że kupowałem chyba egzemplarz za półtora centa i sprzedawałem za dwa, z nadzieją,

iż czasami dostanę centa lub dwa napiwku. Ludzie, którzy chcieli dwie gazety, mogli mi dać piąta. Kupowałem gazety z ciężarówek niedaleko stacji metra Stillwell Avenue, zjadając przeważnie frankfurterkę, kiedy na nie czekałem, a potem wracałem do domu deptakiem i zatłoczonymi Surf i Mermaid Avenue, mając nadzieję, że dotarwszy do celu, pozbędę się wszystkich gazet. Jeśli to się nie udało, mógł mi pomóc żartobliwy i beczelny okrzyk skierowany do sąsiadów siedzących przed domami. „Wydanie specjalne! Hitler nie żyje... w zgodzie ze swoją rodziną!”. Gazety, które mi zostały, rozdawałem moim ulubieńcom.

Pewne wydarzenie wryło mi się głęboko w pamięć; taki cud zdarzył się tylko raz. Siedzący samotnie w irlandzkim barze przy deptaku chudy facet machnął na mnie któregoś wieczoru i poprosił o jedną z gazet. Stałem przy nim i czekałem w napięciu, on zaś otworzył ją na ostatniej stronie, studiował przez kilka chwil wyniki gonitw i oddał z powrotem. A potem dał mi dziesięć centów, nie biorąc w ogóle gazety. Wychodząc na dwór byłem wniebowzięty; miałem wrażenie, że frunę w powietrzu. Kochałem świat, który zamieszkują tacy ludzie.

Z osobistego doświadczenia wiem, że niewiele przyjemności tak bardzo podnosi na duchu jak otrzymanie nieoczekiwanej sumy pieniędzy. Niedawno zdziwiłem się, gdy przekazano mi pocztą, bez żadnej uprzedniej zapowiedzi, czek od mojego literackiego agenta, opiewający na osiemnaście tysięcy dolarów i stanowiący skumulowane honorarium za publikację we wschodnich Niemczech jednej z moich powieści. Zdążyłem już dawno zapomnieć, że wydano tam moją książkę, i w ciągu następnej godziny kilkakrotnie złapałem się na tym, że szczerzę zęby i nucę wesołe melodyjki. Ale poważnie wątpię, by poczucie błogości, jakiego doznałem w związku z tym relatywnie obfitym zarobkiem, przewyższyło radość z powodu dziesięciocentowego napiwku, który otrzymałem niegdyś jako gazeciarz. Odnoszę teraz wrażenie, że ta dycha miała dla mnie ogromne znaczenie, i tak zapewne było.

Każda z tych miłych niespodzianek wprawiała mnie w upojenie, którego ktoś, kto urodził się bogaty, najprawdopodobniej nie jest w stanie nigdy doznać. Istnieją przyjemności, których nie kupi się za pieniądze.

Nasze ulice wydawały się bezpieczne, odizolowane i spokojne. Dla dziecka były rodzajem etnicznej twierdzy. Prawie wszyscy nasi rodzice byli imigrantami, w większości ze wschodniej Europy. Nic i nikt nam fizycznie nie zagrażał.

Tak naprawdę nie wiedziałem, kto to jest Hitler. Starsi wiedzieli, lecz wątpię, by nawet oni, czy ktokolwiek inny, domyślali się, jak wiele wyzwoli zła i brutalnej destrukcji. Pamiętam pewien dzień: było późne popołudnie i słyszę do dziś podniesione krzyki gazeciarzy przebiegających ulice ze specjalnymi wydaniem gazet, których wielkie nagłówki donosiły, że Hindenburg zrezygnował ze stanowiska kanclerza Niemiec, aby mógł je objąć Hitler. Wiedzieli, że sprzedadzą tego dnia cały nakład, ale ja nie miałem pojęcia, kto to jest Hindenburg. Jeszcze przez długi czas myślałem, że to zeppelin.

W tej części Coney Island, gdzie mieszkałem i dorastałem, prawie nikt nie obawiał się przemocy. I nie było tam praktycznie przestępczości, chyba że uzna się

za przestępstwo obnośną sprzedaż lodów i napojów chłodzących na plaży - w przeciwieństwie do policji my nie dostrzegaliśmy w tym naruszenia prawa - a potem, w ostatnich latach przed wojną i na szerszą skalę w czasie wojny, posiadanie i palenie marihuany. Również tego nie uważałem za zbrodnię, lecz nigdy nie chciałem zostać kimś, kogo określano mianem „ćpuna”. Nie sądzę, by mój brat albo siostra wiedzieli o coraz szerszym rozpowszechnianiu się tego nałogu, matka zaś nie pochwałała niczego, co uznawała za niewłaściwe. A później, po wojnie, pojawiła się heroina.

W ciągu dziewiętnastu lat, które spędziłem na tej ulicy przed pójściem do wojska - z wyjątkiem dwóch miesięcy, kiedy pracowałem jako pomocnik kowala w stoczni marynarki wojennej na południu, nie mieszkałem w tym czasie nigdzie indziej - ani razu nie słyszałem, żeby w naszej okolicy doszło do jakiegoś gwałtu, napaści lub włamania z bronią w rękę. Pamiętam, że zabito kiedyś bukmachera w sali bilardowej, ale zdarzyło się to na Zachodniej Dwudziestej Piątej, sześć przecznic od nas, na samej granicy między dzielnicą żydowską i włoską, w gruncie rzeczy nie u nas, chociaż w końcu zaczęliśmy spotykać się w tej sali i obstawiać tam rozgrywki baseballu. Prowadził ją niski przysadzisty facet, Sammy Świntuch. Sala bilardowa bliżej mojego domu należała do gościa - i była przez niego prowadzona - którego nazywaliśmy Beksą. Na Coney Island mieliśmy furę przezwisk. Foofsen znaczy w jidysz piętnaście. Starszy ode mnie Sammy Foofsen był już Sammym Piętnastką, kiedy go poznałem. Jakiś czas później na bazie tego przezwiska powstało nowe: wołano na niego Sześć-Sześć-Trzy. Te mutacje zdawały się pojawiać zupełnie spontanicznie, przez samoródtwo; nikt ich nie wymyślał. Faceta nazywanego Chicago przechrzczo na Chi, potem na Cykora. Mursh Kaleka, który w dzieciństwie chorował na polio, miał nogę w niezgrabnym aparacie. W swoim czasie stał się Murshem Pasikonikiem. Też ode mnie starszy, był jednym z pierwszych znanych nam ludzi z Coney Island, którzy mieli własne auto; jego wyposażone było w ręczne sterowanie. Lubił siadać na miejscu pasażera i kierować stamtąd samochodem, wpatrując się z łagodnym uśmiechem prosto przed siebie i pociągając za ukryte pod tablicą rozdzielczą dźwignie, niewidoczne dla innych kierowców i pieszych. Mój przyjaciel Marvin Winkler został z jakiegoś powodu Fasolką, i nawet wołał, żeby go tak nazywano. Murray Rabinowitz był od dzieciennych lat Rupem ze względu na wczesną operację przepukliny, którą nazywano wówczas „rupturą”. Danny Rosoff był Księciem Dannym. Jedna z dziewcząt została Wyżymaczką, druga Francuzką - nie wiem, czym sobie zasłużyły na tak rasowe przydomki. Danny’ego Byka, innego chłopaka w moim wieku, nazwano tak przed wojną z powodu szerokiej piersi i masywnych ramion. Po wojnie uzależnił się od heroiny i wkrótce stał się wątpy i posepny. Jego ojciec, fryzjer o imieniu Max, nadał mu okrutne nowe przydomko, przedstawiając go urągliwie swoim klientom: „mój syn ćpun”.

Jedynym tragicznym wydarzeniem, które wywarło na mnie wpływ i o którym nieświadomie starałem się nie dowiadywać zbyt wiele aż do trzydziestego roku życia, była śmierć ojca w szpitalu - w wyniku wewnętrznego krwotoku po operacji pękniętego wrzodu żołądka, obecnie, jak sądzę, uważanej za prawie rutynowy

zabieg. Pragnę wierzyć, że w naszych czasach, z takimi udogodnieniami jak oddziały intensywnej opieki medycznej i bloki pooperacyjne, pęknięcie szwów zostałoby na czas odkryte i ojciec by przeżył.

Miałem wtedy pięć lat. Wiedziałem, że umarł - nie pamiętam, żeby mi ktoś o tym powiedział, po prostu wiedziałem - choć nie zdawałem sobie sprawy, z jakiego powodu. Przez trzydzieści lat nigdy o to nie zapytałem. Czyżbym nie śmiał? Nie była to żadna tajemnica. Uświadomiłem sobie wreszcie w pewnej chwili - ujrzałem to w nagłym błysku iluminacji - że nie wiem, bo nigdy nie chciałem zapytać; oni zaś nie powiedzieli mi, gdyż z upływem lat doszli chyba po prostu do wniosku, że wiem. Nie był to zbyt wdzięczny temat do rodzinnych dyskusji. Brat i siostra, którzy w tak krótkim czasie stracili oboje rodziców i znaleźli się pod opieką macochy, znanej im zaledwie od sześciu lat, musieli to bardzo głęboko przeżyć. Ale w mojej rodzinie nie tylko nie zwykliśmy się skarżyć - nie zwykliśmy również mówić o tym, co głęboko przeżywaliśmy. I mieliśmy niewielkie wymagania. Tylko raz ktoś z nas uronił w mojej obecności łzę; na pogrzebie swojej małżonki. I na tym się skończyło, na jednej łzie.

Co do ojca, kiedy umarł, przestałem się nim po prostu interesować. Gdy poruszano później ten temat, oczywiście nie w rodzinnym gronie, z czystej próżności podkreślałem impertynencko, że nigdy mi go nie brakowało, i sądzę, że wcale się nie myliłem. Obca mi była owa czuła admiracja dla wielkiej i dobrodusznej istoty, jaką Nabokov wyraża w stosunku do swego ojca. Ja prawie mojego nie znałem. Zgon pana Isaaca Daniela Hellera wprawiał mnie bardziej w zakłopotanie niż cokolwiek innego. Na początku każdego okresu w szkole podstawowej nauczyciel wzywał uczniów po kolei do tablicy, żeby się czegoś o nich dowiedzieć, między innymi jakie jest imię i bodajże zawód ojca. Ktoś, nauczyciel albo siostra, nauczył mnie zwrotu „odszedł z tego świata”. Mówiłem to zawsze niskim szeptem, uginając się pod brzemieniem wstydu i upokorzenia, z nadzieją, że nie usłyszy mnie żaden z kolegów.

Nie czułem, żeby mi go brakowało. W późniejszych latach mogłem nawet pajacować, rzucając lekceważącym tonem, gdy ktoś wspominał o rodzinnych problemach zawinionych przez ojca, że mój na całe szczęście zmarł, zanim zdążył wyrządzić dużo szkód. Ale jako siedmiolatek obgryzałem paznokcie. I z wyjątkiem dwóch pobytów w szpitalu, wiele lat później, kiedy moje obawy skupiły się na kwestiach ostatecznych, obgryzałem je dalej i wciąż to robię. Jako kilkunastolatek i później cierpiałem na bóle głowy, nim zrozumiałem, czym jest ból głowy. Wcześniej, gdy ktoś mówił o bólu głowy, nie wiedziałem, co ma na myśli; kiedy w końcu załapałem, o co chodzi, uświadomiłem sobie, że miałem je przez cały czas, najczęściej w weekendy, rano i po południu. Bóle ustały. Przeglądałem się bardzo długo w lustrze. Wiedziałem, przeważnie z podsłuchanych komentarzy koleżanek siostry, że jestem ładnym dzieckiem, i chciałem sprawdzić, czy nie brzydnę. Krosty wyskakiwały mi częściej, niż było to uważane za normalne, i przez cały rok szkolny cierpiałem na kurczaki: miałem ich siedemnaście na rękach i ramionach, w tym jedną płaską i wielką na łokciu; ta nie zniknęła wraz z innymi i musiał ją wypalić doktor

Abe Levine (który pobrał dwa dolary za wizytę i leczenie). Dręczył mnie szalony lęk, że łysieję, ponieważ linia włosów na moim czole biegła grubo powyżej uszu. Robiłem wszystko, co mi przyszło do głowy, żeby je „ułożyć”, przenosząc przedziałek z jednej strony na drugą, potem na środek i z powrotem na bok, czesząc się bez przedziałka, przyklejając je płasko do głowy usztywniającym tonikiem i eksperymentując z falami. Robiłem również inne rzeczy, o których nie mam zamiaru nikomu mówić. Mierzyłem swój wzrost na poziomie oczu i potem rozpaczałem, że jestem o pół głowy niższy, niż w rzeczywistości byłem - o wiele niższy od chłopców, którzy byli niżsi ode mnie. Wynikało to oczywiście z próżności, ale jestem teraz skłonny wierzyć, że była to bardzo niespokojna próżność, oparta na chwiejnym stanie duszy, który R. D. Laing mógłby nazwać „ontologicznym brakiem poczucia bezpieczeństwa”.

Byłem skłonny do fantazjowania i snów na jawie - i to z pozytywnymi rezultatami; wykorzystałem swoją raczej bujną wyobraźnię do pisania wypracowań i świetnie mi szło. Pamiętam kilka przykładów. W pracy na temat Tomka Sawyera w jednej z wcześniejszych klas wcieliłem się w Tomka piszącego wypracowanie o książce, której jest głównym bohaterem; w siódmej klasie, kiedy miałem jakieś dwanaście lat i kazano nam napisać rzekomą autobiografię jednej z postaci historycznych, stałem się - opowiadając o bohaterze w pierwszej osobie - nie Abrahamem Lincolnem, co byłoby normalne i co uczyniliby inni, lecz metalem użytym do sporządzenia pistoletu, z którego go zabito. Urodziłem się, pamiętam, w kopalni w Chile, na łopacie rudy żelaza. Wypracowania te były czytane na głos jako celujące i takiej właśnie oczekiwałem nagrody. Bardzo silnie pragnąłem górować nad innymi i zwracać na siebie uwagę.

Któregoś razu uszczupliłem nieco swoje oszczędności, aby zaskoczyć brata prezentem na Dzień Ojca. Kupiłem mu karton papierosów Camel, który kosztował wtedy dolara. Do dzisiaj, choć wiem już coś niecoś na temat mechanizmów nieświadomej motywacji, nie potrafię powiedzieć, czy ten gest był postępkem wynikającym ze szczerzej wdzięczności oraz uczucia, czy też wyczynem obliczonym na wywołanie komentarzy i zwrócenie na mnie życzliwej uwagi. A może jednym i drugim. Kiedy indziej, zbliżając się do sześćdziesiątki i eksperymentując z psychoanalizą, która miała się okazać remedium na stresy związane z bolesnym rozwodem, miałem dość spójny sen. Śniło mi się, że mój brat Lee, wówczas jeszcze cieszący się dobrym zdrowiem, nie żył i wrócił zza grobu, aby połączyć się z rodziną w starym mieszkaniu na Coney Island, gdzie moja matka, w owym czasie od dawna nieżyjąca, była żywa i pełna wigoru. Leżąc na kozetce psychoanalityka, dowodziłem przebiegle, iż mój pełniący rolę ojca brat nigdy by mi się prawdopodobnie nie przyśnił, gdybym się nie leczył i nie wiedział, że zobaczymy się tego ranka. A on, chichocząc w swoim wyściełanym fotelu, nie próbował się nawet ze mną spierać i przyznał, że proces psychoanalizy jest w istocie w dużym stopniu „neurogeniczny”. Wcześniej nigdy nie słyszałem tego słowa i nie usłyszałem go potem.

Niedługo po śmierci ojca przeprowadziliśmy się ze starego mieszkania do nowego, identycznej wielkości, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy, i to właśnie

mieszkanie uważam za swój dom, w którym dojrzywałem w dzieciństwie. Miało cztery izby. Wszystkie mieszkania miały wówczas chyba cztery izby, w tym kuchnię i salon, który rutynowo służył jako czyjaś sypialnia. Na wiosnę, u nas i u innych, pojawiała się tabliczka POKÓJ DO WYNAJĘCIA, zawiadamialiśmy sąsiadów i braliśmy lokatora na lato, na ogół jedną osobę dorosłą albo małżeństwo z przyjaciółmi lub krewnymi w pobliżu. Żadne z nas, ani brat, ani siostra, nie pamięta, gdzie gnieździł się, wynajmując ten pokój. Siostra przypomina sobie, że w naszym pierwszym mieszkaniu jeden pokój zajmowali kiedyś rodzice z dzieckiem, a ktoś z nas spał w kuchni. Nie pamięta kto.

To właśnie dzięki jednemu z tych lokatorów po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z muzyką klasyczną. Facet zapytał grzecznie, czy wolno mu, w czasie gdy nie słuchamy radia (słuchałem go przeważnie ja, preferując ku rozpaczy matki swingujące big bandy), nastawić je na WNYC. WNYC było stacją nadającą muzykę klasyczną. Nie musiałem słuchać jego ulubionych kawałków, niemniej musiałem je słyszeć. I z radością odkryłem w tych klasycznych utworach wiele melodii, które znałem jako popularne piosenki z Amerykańskiej Parady Hitów oraz innych programów radiowych: Our Love, I'm Always Chasing Rainbows, You Are [a może This Is My] Song of Love, The Lamp is Low i wiele, wiele innych. (The Isle of May, April Showers, No Star is Lost in My Blue Heaven, ponownie Czajkowski i to, co zdawało się w pierwszej chwili autentycznym murzyńskim spirituals, a okazało w rzeczywistości largiem z symfonii Dwofaka „Nowy Świat”). Słuchałem uważnie, by rozpoznać kolejne utwory, i w tym czasie inne, których dotąd nie znałem, pojawiały się ponownie i stawały znajome.

Kiedy ludzie przeprowadzali się z jednego do drugiego mieszkania na Coney Island, chodziło zazwyczaj o zaoszczędzenie na czynszu; wynajmując nowe, nie płacono się za pierwszy miesiąc albo dwa. Gdy wyprowadzali się z Coney Island do dzielnic o wyższym ekonomicznym statusie, robili to, bo mogli sobie w końcu na coś takiego pozwolić. Najwyrazistszym wspomnieniem, jakie zachowałem z naszego wcześniejszego mieszkania, jest widok mojego brata, który po wyniesieniu wszystkich naszych rzeczy wrócił tam ze mną i ze szczotką, żeby po raz ostatni pozamiatać kąty we wszystkich pokojach. Nie chciał, aby nowi lokatorzy, wyjaśnił, pomyśleli, że ich poprzednicy byli flejtuchami. Do końca życia odznaczał się tą sumiennością, dbałością o poprawne zachowanie.

W nowym mieszkaniu, kładąc się do łóżka, często wyobrażałem sobie ukradkiem (a może miałem taką nadzieję), że przy każdym rogu naszego ciemnego bloku stoi policjant, obserwując bacznie mój dom oraz okno i strzegąc mnie... sam nie wiem przed czym. Z wyjątkiem autentycznego ubóstwa, przed którego świadomością skutecznie mnie chroniono, nic nam nie groziło. Zarówno w domu, jak i na dworze byliśmy bezpieczni. Nie zdarzały się porwania ani włamania i przy ładnej pogodzie na ulicy zawsze była chmara dzieciaków, z którymi można się było bawić, oraz ludzi, którzy mieli na nas oko. Od najwcześniejszych klas byliśmy zachęcani, chłopcy i dziewczynki, do tego, by chodzić bez opieki dorosłych do szkoły położonej w odległości prawie pół mili, przecinając przy tym ulice. W południe

wpadaliśmy do domu na lunch, a potem biegliśmy z powrotem na zajęcia popołudniowe i wracaliśmy pieszo o trzeciej, kiedy kończyły się lekcje, cali, zdrowi i bez lęku. Z wyjątkiem lata ruch uliczny nie stanowił większego zagrożenia; trwał Wielki Kryzys, w naszej okolicy nie zarabiano się zbyt dużo i nie było wiele samochodów. Od dziewiątego, dziesiątego roku życia mogliśmy bawić się wieczorem na ulicy albo włóczyć po deptaku aż do momentu, kiedy padaliśmy z nóg lub ktoś po nas przyszedł.

Dwa mieszkania, o których mówiłem, mieściły się w budynkach przy bocznej uliczce łączącej Surf Avenue - położoną najbliżej deptaka, plaży i brzegu szeroką arterię, nie różniącą się od innych alei w nadmorskich miastach - oraz linię tramwajową poprowadzoną wzdłuż prostego piaskowo-kamiennego wykopu, który nazywaliśmy Railroad Avenue. Kiedy w drodze do szkoły mijałem tory, mógł do mnie dołączyć przyjaciel i kolega od drugiej połowy pierwszej klasy, Albie Covelman, lub parę lat później Seymour Ostrów, który po śmierci ojca przeprowadził się na naszą ulicę z Sea Gate, ogrodzonego prywatnego osiedla leżącego kilka przecznic dalej, po drugiej stronie szkoły. Na Mermaid Avenue dołączaliśmy do gęstniejącego tłumu szkolnych kolegów, którzy mieszkali za moją ulicą. Przed szkołą stało w szeregu, zgodnie z poleceniami, albo baraszkowało na rozległym placu więcej dziewcząt i chłopców, niż można było zliczyć i poznać, od klas przedszkolnych aż do ósmej. Napływali ze wszystkich stron. Muszę zaznaczyć, że nie przypominam sobie, żeby w szkole podstawowej, a potem w średniej, nawet w drużynie koszykówki lub futbolu, był ktoś o czarnym kolorze skóry. Do leżącej kilka mil dalej szkoły średniej chodzili uczniowie z kilku zróżnicowanych etnicznie dzielnic, nie aż tak jednak zróżnicowanych, by w którejkolwiek z nich znalazł się Murzyn. Nie pamiętam żadnych dyskusji na ten temat przed drugą wojną światową.

Linia tramwajowa oraz aleje Surf i Mermaid (przy tej ostatniej było najwięcej sklepów) dzieliły Coney Island na trzy, a czasem na cztery segmenty. Niektóre ulice miały domy mieszkalne między plażą i Surf Avenue, inne nie. Całą działkę pierwszorzędnego terenu między Surf Avenue i deptakiem zajmował otwarty tylko w lecie katolicki sierociniec dla chłopców, którzy przyjeżdżali tam, jak sądzę, wyłącznie na krótko. Z blond włosami i mleczną, upstrzoną piegami cerą sprawiali na nas wrażenie niezbyt zdrowych, kiedy przyglądaliśmy się im przechodząc; my też, z naszymi opalonymi smagłymi twarzami, musieliśmy im się wydawać dziwni i egzotyczni. Aleje bieging równolegle do siebie, poczynając od wysokich ogrodzeń i strzeżonych wjazdów do Sea Gate na krańcu Coney Island aż do końcowej stacji metra BMT w dzielnicy rozrywek. Każdy z leżących między nimi trzech segmentów był gęsto zaludniony i każdy kwartał ulic stanowił zwartą miniaturę rządzącej się własnymi prawami wioski. Największa z alei, Surf Avenue, biegła dalej za stację metra, mijając wesołe miasteczko, karuzele, diabelskie młyny i inne atrakcje; linia tramwajowa, która zaczynała się przy Sea Gate, ostatni przystanek miała daleko za Coney Island, w Sheepshead Bay.

Choć sławna i zamieszкана przez zapobiegliwy solidny ludek, Coney Island nie imponuje zbyt wielkimi rozmiarami i właściwie nie jest wyspą, lecz szerokim na nie

więcej niż pół mili piaszczystym cyplem, z oceanem po jednej i zatoką Gravesend po drugiej stronie. Na niewielkim, z pewnością nie szerszym niż dwieście jardów, odcinku ulicy między Surf Avenue i linią tramwajową Norton's Point, stały cztery dwu - lub trzypiętrowe bloki mieszkalne i kilka mniejszych, jedno - albo dwurodzinnych domków i na dworze było zawsze dość rówieśników, żeby w coś zagrać. Starsi chłopcy potrzebowali często zawodników do skompletowania drużyny i uczyli nas wtedy rzucać i łapać piłkę. Były i dziewczynki. Moja siostra, zbliżająca się teraz do osiemdziesiątki i mieszkająca na Florydzie, wciąż przyjaźni się z kilkoma kobietami, które poznała wtedy na podwórku. I zawsze byli rodzice, przeważnie uśmiechnięte matki, obserwujące nas radośnie z okien, gdy graliśmy w piłkę, bawiliśmy się w berka albo jeździliśmy na wrotkach. Kiedy pozwalały na to domowe obowiązki i pogoda, znosiły na dół krzesła, siadały przed domami po obu stronach ulicy i rozmawiały w jidysz ze sobą i po angielsku lub w mieszance obu języków z nami.

W pogodne popołudnia zjawiała się tam regularnie mieszkająca obok pani Shatzkin, dźwigając w czarnym ceratowym worku duży garnek ze świeżymi i wciąż ciepłymi domowej roboty knedlami - grubymi, okrągłymi pierogami z ziemniaczanym farszem sownie doprawionym pieprzem oraz przypaloną na brązowo cebulką w specjalnym cieście jej wynalazku - które smażyła na oleju roślinnym i za pomocą których wiązała koniec z końcem. Robiła również inne knedle, nadziewane kaszą gryczaną. Oba rodzaje były palce lizać i kosztowały po pięć centów sztuka. Moja matka bardzo je lubiła i często wołała, żebym zjadł kawałek. Niejaka pani Gelber, która mieszkała za rogiem na Surf Avenue, przyrządzała w swojej kuchni i sprzedawała coś, co nazywaliśmy „jabłkami w galaretce”. One również kosztowały piąta. Wkrótce robiła ich dosyć, żeby zaopatrywać stragany w wesołym miasteczku. A pani Shatzkin wynajęła niebawem duży lokal na rogu i zatrudniwszy kilka pań w średnim wieku - prawdopodobnie swoje krewne, gdyż były do niej bardzo podobne - przyrządzała knedle na oczach wszystkich i sprzedawała je klientom na ulicy; potem rozwinęła interes, otwierając bar na bardziej uczęszczanym deptaku i zaopatrując również inne stragany. Co najmniej cztery pokolenia Shatzkinów, wszyscy z takimi samymi rumianymi gębami i dużymi brązowymi piegami, utrzymywały się z knedli produkowanych przez założycielkę kwitnącej dynastii.

Inne kobiety przychodziły często z tackami sezamek i podobnych łakoci, które kosztowały dwa centy za sztukę. Wczesnym wieczorem wiosną, latem lub jesienią na ulicy i podwórkach letnich bungalowów pojawiała się czasami zażywna czarna kobieta śpiewająca w jidysz z całkiem niezłym żydowskim akcentem. Jeśli byliśmy na górze, matka zawijała zawsze kilka centów w strzępek gazety i rzucała je z okna, tak samo jak to czyniła w stosunku do innych ulicznych artystów, umilających nam czas grą na skrzypcach lub akordeonie. Choć pozbawiona mojego wilczego apetytu, była na równi ze mną amatorką dobrego jedzenia. Lubiała zwłaszcza słone wędzone potrawy. Pod koniec życia spróbowała w tajemnicy bekonu i natychmiast uznała jego smak za wyborny. Któż by się z nią nie zgodził? Uwielbiała również wędzoną

białugę.

Tak jak ja. Jestem do niej podobny, ale wyższy. Wysokie płaskie i szerokie czoło, duża twarz o wystających kościach policzkowych, zdecydowane, czasami wydęte wargi. Niedawno mój przyjaciel Marvin, który mieszka ode mnie szmat drogi i z którym nie widziałem się od kilku lat, zdumiał się, jaki jestem do niej podobny. Moja siostra i brat w miarę upływu lat coraz bardziej upodobniają się do siebie. Mają duże jasnoniebieskie oczy. Moje są, tak jak u matki, piwne.

Każdy na Coney Island robił, co tylko mógł i co mieściło się w granicach prawa, żeby zarobić tyle pieniędzy, ile potrzebował, i tak się składa, że tym, których znam, powiodło się całkiem nieźle. Wszyscy nasi ojcowie pracowali, podobnie jak starsi bracia i siostry, gdy pokończyli już szkoły i zrobili maturę. Prawie nikt nie myślał wtedy poważnie o wyższych studiach - brakowało ochoty i nie można było sobie na nie pozwolić. (Mój brat Lee chciał iść do college'u i oddałby wszystko, żeby móc studiować, twierdzi Sylvia). Kilka lat przed skończeniem przeze mnie szkoły Lee zwrócił się o przysłanie katalogów i formularzy do takich uczelni jak MIT, Oberlin, Harvard, Yale i innych o podobnie wysokim poziomie, których chesnego w żaden sposób nie zdołałbym opłacić i na które na pewno nie zostałbym przyjęty. Kiedy po wojnie przyjęto mnie na Uniwersytecie Nowojorskim do Phi Beta Kappa - w równym stopniu dzięki sukcesowi, jakim było ukazanie się w druku moich opowiadań, co osiągnięciom naukowym - nie miałem pojęcia, co to za stowarzyszenie. Ale mój brat wiedział i aż pokraśniał, taki był ze mnie dumny. „Jakieś Phi Beta Kappa”, brzmiał jego radosny komentarz a propos mojej ignorancji. Dla Lee było już jednak za późno na studia i nie wiem, czy to nie spełnione pragnienie stanowiło dla niego kolejne bolesne rozczarowanie, czy też tylko nie zaspokojoną zachciankę. Miał raketę tenisową, którą trzymał w drewnianej prasie w garderobie. Nigdy nie widziałem, żeby jej używał, i nie wiem, skąd się wzięła. Może z któregoś z letnich obozów, gdzie pracował jako wychowawca. Miał również odznakę Czerwonego Krzyża, którą dostał w tym samym czasie za uratowanie komuś życia. Chwilami potrafił być niesamowicie arbitralny, krytyczny i nieprzejednany w bardzo drobnych sprawach - na przykład, jaki chleb jest najlepszy do jakiego rodzaju sandwicza. Ale z natury był uprzejmy i dobrze wychowany, zwłaszcza wobec obcych.

Przez jakiś czas, bardzo zresztą krótki, uległem w wieku osiemnastu lat podszeptom konformizmu i zgodziłem się złożyć podanie o przyjęcie na wieczorowe kursy w Brooklyn College. Moje stopnie ze szkoły średniej były lepsze od przeciętnych i zostałem przyjęty. Zapisując się ospale na zajęcia któregoś wieczoru przed rozpoczęciem semestru, uznałem jednak pod wpływem nagłego impulsu, że o wiele bardziej zależy mi na najbardziej nawet ubogim życiu towarzyskim, i rzuciłem studia, nim jeszcze je zacząłem. Kiedy nadeszła pora, że mogłem się uczyć, naprawdę czułem, że mogę studiować, chciałem to zrobić i zrobiłem. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i poszedłem na studia, podobnie jak milion albo dwa miliony innych weteranów ostatniej amerykańskiej wojny, którym rząd federalny wypłacał niewielkie stypendium i pokrywał prawie wszystkie koszty kształcenia.

Większość naszych ojców pracowała w tak zwanym centrum odzieżowym na Manhattanie, gdzie mieli stałe wynagrodzenie i wykonywali tę lub inną wyspecjalizowaną czynność niezbędną w procesie produkcji odzieży. Żaden nie awansował na sprzedawcę. Ale kilku kolegów w poszerzającym się kręgu ludzi, których poznawałem dorastając, pochodziło z rodzin mających własne interesy tutaj, na Coney Island. Były to przeważnie sklepy; Louie Kessler, Solly Mirror i Lenny Karafoli mieli piekarnie, a rodzina Esther Dessick sklep rybny. Żaden z tych detalicznych sklepików przy Mermaid Avenue nie był wystarczająco duży, by można go nazwać supermarketem. Rodzice Lily Dashevsky mieli sklep z warzywami, ojciec Murraya Singera był rzeźnikiem. Ojciec Louiego Berkmana miał lukratywne złomowisko, a stary Marvin Winkler zbijał kokosy jako bukmacher i mógł w końcu przenieść się wraz z rodziną do bardziej zamożnej dzielnicy Sea Gate. W lokalu pod nami mieszkał rok ode mnie młodszy Irving Kaiser, mój przyjaciel od wczesnego dzieciństwa, jeden z trzech ludzi, z którymi dorastałem i którzy zginęli podczas wojny. Jeszcze niżej, na parterze, mieścił się zakład krawiecki należący do jego ojca. A ojciec Danny'ego Byka był fryzjerem.

Kiedy spoglądałam wstecz, wydaje mi się czymś w rodzaju cudu, że startując z takiego poziomu, wszyscy czworo, oddzielnie i niezależnie od siebie, mieliśmy zazwyczaj w życiu dość pieniędzy, by zaspokoić swoje potrzeby i materialne pragnienia. Nasze oczekiwania, choć w znacznym stopniu się różniły, miały zdyscyplinowany charakter. Nie chcieliśmy rzeczy, których nie mieliśmy nadziei kiedykolwiek zdobyć; świadomość, że inni ludzie mają o wiele więcej, nie budziła w nas goryczy ani zazdrości. Pojawiający się czasami w okolicy komunistyczny agitator nie miał w nas wdzięcznych słuchaczy. Podobnie jak, muszę przyznać, zagorzały ideolog antykomunizmu, ani wówczas, ani później. Pracowaliśmy tam, gdzie udało nam się znaleźć robotę, ponieważ nigdy nie wątpiliśmy, że musimy pracować, i naprawdę uważaliśmy się za szczęśliwych, znajdując zatrudnienie.

W swoim czasie zarówno brat, jak i siostra mogli wygodnie zamieszkać z małżonkami w skromnych apartamentach w West Palm Beach na Florydzie i korzystać z oszczędności i programów emerytalnych zapewnionych przez firmy, w których każde przepracowało wiele lat - Sylvia jako kierowniczka sprzedaży w tym lub innym dziale Macy'ego, Lee jako szef działy pocztowego MCA, znakomicie prosperującej agencji doradztwa personalnego, która nabyła w końcu wytwórnię filmową Universal Pictures. Ludzie, którzy pracowali z moją siostrą, wyrażali się o niej niezmiennie z olbrzymią serdecznością. Mężczyźni pracujący z bratem określali go jako łagodnego, wielkodusznego, uczynnego i miłego szefa. Okazało się, że nie jestem im w stanie niczego dać. Próbowałem raz kupić bratu samochód lepszy od tego, którym jeździł na Florydzie, ale nie pozwolił mi na to.

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale jestem przekonany, że nikt z nas nie okłamał w żadnej sprawie innego członka rodziny i w ogóle nikogo. Jeśli to zrobił, to tylko mówiąc, że czuje się dobrze, kiedy było inaczej, albo że niczego mu nie trzeba, gdy mógł czegoś potrzebować.

Po sukcesie mojej pierwszej powieści, opublikowanej przeze mnie w wieku

trzydziestu ośmiu lat, uzyskałem duży dochód z drugiej „Coś się stało”, i mogłem zrezygnować z etatu na wydziale anglistyki City College’u w Nowym Jorku, gdzie spędziłem poprzednie cztery lata. Oczywiście w dalszym ciągu pisałem, traktowałem jednak to zajęcie - traktuję je tak również w tej chwili! - niejako zarabianie pieniędzy, lecz jako obfitujący w wyzwania, wiecznie i coraz bardziej katorżniczy (oraz popłatny) użytek czyniony z umysłu w wolnym czasie w podobny sposób, w jaki, jak sądzę, zмага się ze swoim wolnym czasem wspinacz lub człowiek chodzący po górach, bądź też walczy z frustracjami i sprzecznościami swej obsesyjnej pasji amatorski brydżysta lub gracz w golfa. Ja utrzymuję się z mojej.

W latach mojego dzieciństwa na świecie i w tym kraju nie działo się najlepiej. Wybuchaly strajki. Linczowano czarnych i na przedstawiających te ohydne zbrodnie fotografiach widać było niezmiennie ludzi w polowych czapkach Legionu Amerykańskiego, zrzeszającego weteranów pierwszej wojny światowej. W wiejskich społecznościach organizatorzy związków zawodowych byli bici i wsadzani do więzień. Olbrzymia armia weteranów zjechała, domagając się obiecanych pieniędzy, do Waszyngtonu, gdzie rozproszyły ją oddziały dowodzone przez oficerów, którzy mieli się wkrótce odznaczyć podczas drugiej wojny światowej. W wyświetlanych w kinach cotygodniowych kronikach filmowych oglądaliśmy rozwścieczonych farmerów, wylewających rzeki mleka, którego nie mogli z zyskiem sprzedać; niezliczonym rzeszom, które chętnie by się go napiły, brakowało pieniędzy, by je kupić. Coraz więcej ludzi nie miało pracy. Wyeksmitowani lokatorzy i inni bezdomni osiedlali się w powstających w całym kraju slumsach, nazywanych Hooverilles ku czci urzędującego prezydenta Herberta Hoovera. Ludzie stali w kolejkach po chleb, rodziny żywiły się w garkuchniach. Upadały banki.

Jakimś cudem na tym miniaturowym odcinku wybrzeża w dolnej części Brooklynu, zamieszkiwanym przez oddzielne, lecz stykające się ze sobą społeczności włoskich i żydowskich imigrantów, udało nam się uniknąć najgorszych konsekwencji krachu na giełdzie i Wielkiego Kryzysu. Podobnie działo się chyba w innych rejonach Brooklynu, który jest jedną z pięciu wielkich dzielnic Nowego Jorku i ze swoją dwumilionową ludnością, liczył wówczas i liczy teraz więcej mieszkańców niż większość amerykańskich miast.

Nie wiem, jak to się stało i dlaczego mieliśmy tyle szczęścia.

Wiem za to, że sympatie naszej społeczności kierowały się odruchowo w stronę strajkujących i uciśnionych. To oznaczało, że nie byliśmy republikanami. Śpiewałem wraz z innymi „Hoover, Hoover, ra, ra, ra/Do śmietnika, ha, ha, ha!” podczas marszu z pochodniami w przeddzień wyborów w roku 1932 i była to moja pierwsza akcja polityczna, przedsięwzięta w wieku dziewięciu lat i sześciu miesięcy.

Całej naszej czwórce generalnie dopisywało zdrowie. Nie pamiętam, żeby któreś z nas zapadło na jakąś poważną chorobę przed pięćdziesiątym rokiem życia. Trudno byłoby zresztą powiedzieć, czy komuś coś dokuczało, ponieważ mówienie o chorobach i stresach, jakie wywołują, nie należało w naszej rodzinie do dobrego tonu. Brat, nawet pod koniec życia, gdy cierpiał na potworną infekcję stopy, która spuchła tak, że zdawało się, iż zaraz pęknie, starał się wytrwale bagatelizować swój

stan; opóźniał wizytę u doktora z powodu takiej błahostki, aż dalsza zwłoka nie była w ludzkiej mocy i po ludzku możliwa - póki symptomy albo ktoś z jego otoczenia nie zmusił go do pójścia.

Mojej matce przytrafił się jednak w podeszłym wieku wypadek, który miał trwałe i drastyczne konsekwencje. Kiedy wyjechałem do szkoły kadetów lotnictwa w Santa Ana w Kalifornii, matka będąc sama w domu i wieszając zasłony w kuchni, spadła ze stołka i złamała biodro. Dowlokła się jakoś do kuchennego okna i widząc Jeannie Goldman, dziewczynę w moim wieku, która mieszkała dokładnie naprzeciwko po drugiej stronie ulicy, poprosiła ją o pomoc. Jeannie wbiegła na górę - w dzień drzwi mieszkań wtedy nie zamykano, nie było takiej potrzeby - i zatelefonowała po pogotowie.

Być może powodem było czołganie się po podłodze; po zabiegu, jakiemu poddano ją w szpitalu Coney Island, miała jedną nogę krótszą i od tego czasu utykała, chodząc o lasce i w specjalnym buciku z wyższym obcasem.

Wykonywała te same prace domowe, co przedtem, robiła zakupy na Mermaid Avenue i wspinała się na drugie piętro do naszego mieszkania, ale laska i widoczne kalectwo upokarzały ją i bolała nad tym do końca życia. Była tak samo próżna jak ja, albo raczej to ja odziedziczyłem jej próżność. Kiedy potrzebowała pomocy w jakiejś nietypowej sprawie lub po prostu chciała z kimś pogadać, stukała laską w podłogę i na górę przychodziła pani Rosę Kaiser, aby spełnić jej życzenie. Kiedy pani Kaiser, wówczas również wdowa, zmarła i piętro niżej wprowadzili się nowi nieznani lokatorzy, matka upadła na duchu i coraz częściej ogarniała ją beznadziejna cicha rezygnacja, którą widzimy nieraz u ludzi w podeszłym wieku. Nigdy jednak o nic nie prosiła ani się nie skarżyła. Kiedy miałem pięćdziesiąt lat, zaprzyjaźniłem się z pisarzem Jamesem Jonesem, którego matka jeszcze żyła i była bardzo schorowana. Pewnego razu, odpowiadając na jego pytanie, oznajmiłem, że oboje moi rodzice dawno już zmarli.

- Masz szczęście - stwierdził ponuro. A ja go ponuro zrozumiałem.

Sięgając jednak pamięcią wcześniej, w lepsze czasy, odnajduję głęboko satysfakcjonujący epizod, który związał nas mocno ze sobą; mimo że byłem o wiele młodszy od siostry i brata, pomagałem Sylvii i Lee nauczyć matkę angielskiego, by opanowała go w wystarczającym stopniu i mogła wziąć udział w wyborach.

Oddała oczywiście głos na Roosevelta, na Franklina Delano Roosevelta, podobnie jak wszyscy w naszej dzielnicy i, jak nam się zdawało, na całym świecie. A w wyborach na urząd gubernatora stanu Nowy Jork, później zaś senatora, głosowała na Herberta Lehmana, który był nie tylko demokratą Nowego Ładu, lecz również Żydem. Ci kandydaci zawsze wygrywali. Ja wziąłem udział w wyborach dopiero w 1944 roku, pełniąc służbę za oceanem. Oddałem wtedy korespondencyjnie głos na Roosevelta, który ponownie wygrał. Na wojnie nie zostałem ranny, nie zginąłem ani nie wzięto mnie do niewoli i działało się to w dobrych starych, minionych, lecz niezapomnianych czasach, gdy faworyzowani przeze mnie kandydaci mieli największe szansę na wygraną. To już się nie zdarza. Nawet dziś, choć wiem, że to złudzenie, nie wierzę, by istniał wtedy taki dziw natury jak żydowscy republikanie i

być może rzeczywiście ich nie było. Mosiężny pierścień świecił się jak złoto.

2. Coney

Coney Island, ze swoimi plażami, kłębiącym się tłumem i kilkoma setkami atrakcji, stanowiła zawsze magiczne miejsce dla dzieci i niczym magnes przyciągała dorosłych. Ludzie walili ze wszystkich stron. Na początku stulecia wpadł tu nawet podróżujący po Stanach Zjednoczonych Zygmunt Freud; wśród zwiedzających był rosyjski pisarz Maksym Górk. W rojącym się w latach trzydziestych tłumie można było spotkać żołnierzy na przepustce i marynarzy ze stojących w porcie amerykańskich i zagranicznych statków handlowych. Całe rodziny, czasami całe rodzinne klany przybywały z Manhattanu, Bronxu i innych części Brooklynu, żeby siedzieć tutaj aż do wieczora. Ci, którzy nie korzystali z szatni i innych łaźniebnych urządzeń, rozkładali się na kocach poniżej promenady; przebrawszy się w kostiumy kąpielowe, konsumowali jedzenie przygotowane w domu przed wyjazdem. Miejsce było bardziej znane, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę my, którzy tam mieszkaliśmy, i zdobyło sławę letniego kurortu i terenu rekreacji o wiele wcześniej, niż sobie wyobrażaliśmy - sławę dość wątpliwej próby, gdy zaraz po wojnie secesyjnej w Norton's Point, na zachodnim krańcu tego, co później miało przybrać nazwę Sea Gate, powstała dzielnica rozrywkowa. Goście przybywali tam promem. Norton's Point do tego stopnia zasłynął z przestępczości - z kieszonkowców, prostytutek, szulerów i chuliganów - że wielu cwanych i pozbawionych skrupułów łobuzów zaczęło przenosić się na wschód w bezpieczniejszy rejon, który jakiś czas później miał stać się właściwą Coney Island.

Zarówno Luna Park, jak i Steeplechase Park George'a C. Ti-lyou założone zostały w ostatnich latach dziewiętnastego stulecia. Kiedy je poznałem, oba parki od dawna już funkcjonowały i chyliły się ku upadkowi. Choć przed przystąpieniem do pisania tej historii nie miałem o tym pojęcia, w okolicy działały trzy popularne tory wyścigów konnych: jeden całkiem niedaleko, w Sheepshead Bay; drugi w okręgu o nazwie Gravesend, do którego należy cała Coney Island; i kolejny jeszcze bliżej, w Brighton Beach.

Słynne dzisiaj wyścigi, takie jak Suburban i Futurity Handicaps były wydarzeniami sezonu i cieszyły się w kraju większą sławą niż Kentucky Derby; przez pierwsze piętnaście lat wyścigi Preakness również odbywały się na Coney Island. A także mecze bokserskie: pierwsza nowojorska walka o tytuł światowego mistrza wagi ciężkiej została stoczona w Coney Island Athletic Club (było to w 1899 roku, walczyli ze sobą Bob Fitzsimmons i James Jeffries. Triumfował Jeffries, choć stawiano w stosunku trzy do jednego na jego przeciwnika). Sezon wyścigów konnych przyciągał do mojego matecznika osobistości o nazwiskach takich, jak: Whitney, Vanderbilt i Belmont, a także wielu innych niżej urodzonych utracjuszy. Goście stojący wysoko w hierarchii społecznej preferowali spokojne otoczenie Manhattan Beach i Oriental Beach na wschodnim skraju tego, co wówczas nazywano The Island. Jednakże trenerzy i dżokeje oraz naganiacze, hazardziści i inni nieokrzesani luzacy, ciągnący za wyścigami i walkami bokserskimi, walili całymi

tłumami i wypełniali gwarem hotele, restauracje i piwiarnie z ogródkami, śpiewającymi kelnerami, artystkami oraz zalotnymi kelnerkami, zachęcającymi klientów, żeby wypili jeszcze jednego, oraz pracującymi na własny rachunek prostytutkami, których liczba, jak się dziś dowiaduję, stale rosła. Wprowadzona w stanie Nowy Jork w roku 1909 ustawa przeciwko hazardowi położyła kres znaczeniu Coney Island jako czołowego ośrodka wyścigów konnych na Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy pojawiłem się na scenie, nie działał już ani jeden z trzech torów i jedyne konie, jakie znaleźmy, należały do dostawcy lodu, mleczarza oraz człowieka, który powoził furgonem pralni Brighton.

Do moich czasów przetrwał przestronny elegancki ogródek piwny Feltmana, popularne miejsce spotkań słynnych hulaków w wesołych latach dziewięćdziesiątych. Kiedy jednak odkryłem ten lokal, jego sława była już mocno zwietrzała. To właśnie pan Feltman we własnej osobie wynalazł podobno frankfurterkę, małą gotowaną parówkę, którą podawał na bułce. W tym samym czasie pokazywano również na Coney Island w charakterze atrakcji wcześniejsi w inkubatorach. Przysięgam na Boga, że to prawda! Dowiaduję się teraz, że pokazy organizował jakiś europejski lekarz o międzynarodowej renomie; zatrudnił pielęgniarki, zakupił nowoczesny sprzęt i dokładał więcej starań, aby ocalić te niemowlęta, aniżeli były to skłonne czynić ówczesne szpitale. Niemniej wydaje się to groteskowe.

Coney Island wychwalana była pod niebiosa w śpiewanych po dziś dzień przebojach: w Manhattan oraz *The Lady Is a Tramp* Rodgersa i Harta i w *You're the Top* Cole'a Portera, gdzie noc na Coney wymienia się jednym tchem obok Koloseum, muzeum w Luwrze, krzywej wieży w Pizie i *Mony Lizy*. Nasza dzielnica występowała również w filmie. Typowe dla lat trzydziestych wydania cotygodniowej kroniki filmowej rok po roku ilustrowały otwarcie sezonu w weekend Święta Poległych, zamieszczając obrazek płaskodennej łodzi pędzącej po wodnej zjeżdźalni Luna Parku, względnie jednego z obrotowych urządzeń Steeplechase Parku lub kobiety w spódnicy zadartej wysoko przez nieoczekiwany podmuch powietrza z ukrytej w podłodze dyszy. W nakręconym w początkach lat trzydziestych filmie *Manhattan Melodrama* bohaterowie grani przez Williama Powella i Myrnę Loy jadą na Coney Island na randkę. W *The Devil and Miss Jones* Robert Cummings i Jean Arthur dołączają wraz ze Spring Byington i Charlesem Coburnem do tłumów spacerujących po Coney Island w dzień wolny od pracy. William Powell, Myrna Loy, Robert Cummings i Jean Arthur mogli równie dobrze pojechać tam w rzeczywistości, gdyż o pojawieniu się popularnych osób stale donosili ci, którzy znali ludzi przysięgających, że je widzieli.

Zdarzało się to najczęściej po Święcie Pracy podczas nocnych parad zwanych *Mardi Gras*, *Ostatkami*, które wymyślono, aby z jednej strony zasygnalizować koniec sezonu, a z drugiej przedłużyć go choć o kilka dni. Co dziwne, tym wieńczącym sezon uroczystościom przyświecał również zbożny cel zbierania funduszy na odbudowę strawionego pożarem schroniska dla zbłąkanych dziewcząt. Jak było do przewidzenia, parady przyciągały pełne nadziei chmary jeszcze bardziej zbłąkanych

dziewcząt.

W latach dwudziestych ustawodawcy zaczęli w końcu wdrażać reformy, które miały gruntownie zmienić charakter Coney Island. Sprzyjały temu rozbudowa elektrycznych linii tramwajowych i przedłużenie sieci metra do samej Coney, do zatłoczonego skrzyżowania przy Surf Avenue. Za skromną opłatą pięciu centów szybki transport miejski dowoził tutaj mnóstwo ludzi spragnionych bezpiecznej i niedrogiej zabawy i w latach trzydziestych, w mojej epoce, niechlubny nimb grzesznego kurortu stał się zupełnie niezasłużony i odszedł w przeszłość.

Podczas organizowanych wówczas parad najbardziej ekscytującą rozrywką dla tych z nas, którym znudziło się oglądanie maszerujących, było rzucanie pełnych garści konfetti w twarze dziewcząt, co miało im pochlebiać. Nie wydaje się to zbyt zabawne. Czytałem, że ostrzy faceci wpychali panienkom konfetti do ust i pod sukienki. To też nie wydaje się zabawne.

W prawie wszystkich poświęconych Coney Island hołdach, które przytaczałem, można zauważyć wyraźnie protekcyjny ton: ludzie z elity odwiedzają dla uciechy dzielnicę nędzy. Wprowadzali modę na coś uprzednio niemodnego, w podobnie beztroskim nastroju, w jakim wytworni i łaknący przygód nowojorczyki podróżowali bezpiecznie przed wojną, moją wojną, do Harlemu, aby posłuchać muzyki, coś przegryźć (głównie pieczone żeberka) i kupić marihuanę - Nie wiem, dokąd uzależnieni od narkotyków mieszkańcy Coney Island, tacy jak Danny Byk, Raymie Glickman, Philly Penner i George Weiss, jeździli po wojnie po heroinę, ponieważ zaraz po zwolnieniu z wojska ożeniłem się i wyprowadziłem z Brooklynu, a nie była to rzecz, której mógłbym się dowiedzieć od mojej matki.

Ani mnie, ani innym, którzy wyemigrowali w szeroki świat, nie zajęło dużo czasu zorientowanie się, iż bardzo popularnym sposobem deprecjacji jakiegoś miejsca był i wciąż jest zarzut, że przypomina Coney Island. I chciałbym zaznaczyć, że nikt, kogo znam z Coney, nie określał nigdy Coney Island tym skrótowym terminem „Coney”.

W roku 1920, zaraz po tym, jak metro BMT przedłużyło swoje cztery linie do Coney Island, zaczęły przybywać do nas tłumy ludzi - najpierw dziesiątki tysięcy w letnie weekendy, potem setki tysięcy, a w końcu milion i więcej. Większość wywodziła się z klas pracujących i nowo powstałej niższej klasy średniej. Wielu było imigrantami, którzy osiedlili się niedawno na Wschodnim Wybrzeżu i pochodzili głównie ze wschodniej (Żydzi) i południowej Europy (Włosi). Irlandczycy już tu byli, podobnie jak Niemcy i Skandynawowie. Świadczyły o tym nazwy założonych wcześniej firm: Hahna, Batha, Scoville'a, Feltmana, Staucha, Shannona oraz Salon Paddy Shea. Facet, który nazywał się Nathan Handwerker (chodziłem z jego siostrzeńcem do szkoły średniej), otworzył z powodzeniem małą budkę z hot dogami na Surf Avenue naprzeciwko skrzyżowania, przy którym wyrosła nowa stacja metra, i sprzedawał swoje smakowite wyroby z grilla tylko za pięć centów, podczas gdy gotowane parówki Feltmana kosztowały dziesięć. Feltman może i wynalazł hot dog, ale to Nathan doprowadził go do perfekcji i wkrótce klienci stali po pięciu w rzędzie, krzycząc, żeby ich obsłużono.

Prawdopodobnie to właśnie w czasie, gdy metro zapewniło dostęp do prawie wszystkich innych części miasta, wzniesiono pierwsze drewniane bungalowy, ceglane domki i kamienice i wprowadziły się do nich rodziny imigrantów. Już w 1921 roku postępowy reformator Bruce Bliven skarżył się na łamach postępowej „New Republic”, że nowa ludność wypiera „rdzennych Amerykanów”. Zauważył, że prawie wszyscy, których widział na plaży Coney Island, „mieli czarne włosy”.

Nawet dziś, po tylu latach, ludzie, których spotykam i którzy pamiętają dobrze wycieczki na Coney Island, dziwią się, gdy mówię, że tam się wychowałem, że mieszkali tam całe rodziny i że dorastały i w dalszym ciągu dorastają dzieci.

W pamięci mają rozciągające się na wszystkie strony, ogrodzone siatką ogromne wesołe miasteczka z mnóstwem atrakcji, karuzel, estrad i budek z jedzeniem, które zamykano na klucz pod koniec każdego sezonu i otwierano dopiero na wiosnę. W rzeczywistości jednak wesołe miasteczka zajmowały pas ziemi długi najwyżej na piętnaście przecznic i szeroki na jedną - między Surf Avenue i promenadą, w nadmorskiej miejscowości, która ma dwie i pół mili długości i pół mili szerokości i która jak na współczesne warunki była całkiem gęsto zaludniona i miała pokaźną liczbę stałych mieszkańców. Już w 1929 roku, kiedy poszedłem do przedszkola, na Coney Island mieszkało dość rodzin z małymi dziećmi, żeby przepełnione były dwie działające tam szkoły podstawowe - choć każda z nich miała cztery piętra i zajmowała całą przecznicę. Jedna znajdowała się w dzielnicy żydowskiej, druga we włoskiej, ale ten podział na Żydów i Włochów nie był czymś absolutnym. Bartolini, Palumbo, Salimeri i Charlie Andersen chodzili do mojej szkoły numer 188. Klineline (Niemiec) i Bannon mieszkali na mojej ulicy, a Mandelowie, Goldbergowie i Kesslerowie chodzili do drugiej podstawówki numer 80, która stała przy Mermaid Avenue obok kościoła katolickiego i zbudowanej z żółtej cegły synagogi, bodaj czy nie największej z kilku synagog na Coney Island. Julia Ravelli chodziła do mojej klasy przez wszystkie lata szkoły podstawowej.

Druga kamienica, w której mieszkaliśmy, należała przez kilka lat po naszym wprowadzeniu się do rodziny Provenzano. Zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze od frontu, naprzeciwko Kaiserów, od których dzielił ich wielki hali, służący czasami jako miejsce zabaw. Tony Provenzano był ode mnie o rok starszy, odpowiednio wyższy i prawdopodobnie silniejszy. Nigdy nie musiałem się o tym przekonywać. Przejawiał irytujący upór w swej niechęci do współpracy, pozwalając mi bez słowa protestu decydować, w jakie gry będziemy się bawili, lub obejmować stanowisko kapitana drużyny, na co mieli ochotę wszyscy nasi rówieśnicy. W mieszkaniu Provenzanów była pianola z mnóstwem wałków. Wzbudzała moją bezgraniczną fascynację; mogłem jej słuchać tak długo, jak mi pozwalano. Tony miał również wielką kolekcję ołowianych żołnierzyków, pierwszych, jakie widziałem, i nimi także się bawiliśmy, choć z ołowianymi żołnierzykami niewiele można zrobić poza tym, że się je ustawi, gapi na nie i próbuje bez większego powodzenia bawić się w wojnę. Po drugiej stronie hallu, w mieszkaniu Irvinga Kaisera mieli wczesny model patefonu - victrolę, jak generalnie nazywano wtedy wszystkie patefony. Nakręcało się go ręczną korbką. Ulubiona płyta, którą wolałem nawet od Enrica

Carusa, miała tytuł „Cohen przy telefonie”. Był to komiczny monolog zdesperowanego mężczyzny z żydowskim akcentem, który próbował się bez skutku gdzieś dodzwonić. Płyty, podobnie jak te, które puszczałyśmy znacznie później w naszych piwnicznych klubach, były zrobione z szelaku; odtwarzało się je za pomocą metalowej igły i łatwo się tłukły. W mieszkaniu Kaisera było kilkutomowe dzieło „Księga wiedzy”, które całymi godzinami przykuwało naszą uwagę. (Przez krótki okres Kaiserowie mieli lokatorkę, która również przykuwała moją uwagę. Była to energiczna młoda panienska z Pensylwanii, przechadzająca się swobodnie w halce i staniku po mieszkaniu. Często schodziłem na dół i przesiadywałem u Irvinga w nadziei, że znowu zobaczę ją w negliżu. Po mniej więcej tygodniu zaczął odwiedzać ją dżentelmen w średnim wieku, właściciel koncesji w wesołym miasteczku. A po dwóch tygodniach usunęła ją policja). W „Księdze wiedzy” zawarte były nie tylko proste informacje o prawie wszystkim, co istnieje na świecie; dostarczała również instrukcji, jak robić i wytwarzać różne rzeczy. Bracia Howie i Henny Ehrenmanowie z kamienicy przy Surf Avenue, zaraz za rogiem, do dziś pamiętają, jak któregoś popołudnia spaliłem najlepszą patelnię ich matki, demonstrując na podstawie instrukcji z „Księgi wiedzy”, jak zrobić doskonale cukierki toffi. Pamiętają, że nic nie wyszło również z moich toffi.

Kiedy Nettie, jedna z dwóch córek Provenzanów (druga nazywała się Rosemarie) brała kościelny ślub, Hellerowie uczestniczyli w nim w komplecie, być może z wyjątkiem mojego brata, który starał się unikać podobnych uroczystości tak samo zawzięcie, jak próbuję ich teraz unikać ja sam. Po raz pierwszy znaleźliśmy się wtedy w jakimkolwiek chrześcijańskim kościele. Nie jestem pewien, czy wszyscy uważaliśmy, że mamy prawo tam przebywać.

Po sprzedaży kamienicy rodzina Provenzano przeprowadziła się do włoskiej części Coney Island, na Surf Avenue, naprzeciwko terenu, który zajmował Steeplechase Park. Co najmniej raz poszedłem odwiedzić ich w nowym mieszkaniu. Gdy ponownie tamtędy przechodziłem, Tony miał budkę z jedzeniem i pomachaliśmy sobie. Kiedy mijałem ten dom po raz ostatni, budka zniknęła. Podobnie zresztą jak cały Steeplechase Park, oprócz nieczynnej wieży spadochronowej, która wciąż wznosi się niczym posępne memento, prawdopodobnie dlatego, że koszty rozbiórki przekraczają kwotę, którą ktoś chciałby wyłożyć, by się jej pozbyć. A Irving Kaiser, jak już wspomniałem, zginął na wojnie we Włoszech. Jeśli, zgodnie z tym, co słyszałem, rzeczywiście trafił go pocisk artyleryjski, być może nie zdawał sobie nawet sprawy, co go zabiło. Pod tym jednym względem, wyłącznie pod tym, można powiedzieć, że miał szczęście.

Dzielnica włoska istnieje do tej pory; najlepiej znane wówczas włoskie restauracje, Gargulio i Carolina, wciąż funkcjonują. Ale prawie całą dzielnicę żydowską aż do szlabanów osiedla Sea Gate, strzeżonego teraz czujniej niż kiedykolwiek przedtem przez prywatnych ochroniarzy, zamieszkują dziś przeważnie Latynosi i Afroamerykanie. Jest mniej sklepów, chyba ani jednego supermarketu, i sądząc z tego, co piszą w gazetach, wskaźnik przestępczości znacznie wzrósł w porównaniu z moimi czasami. Kiedy ostatni raz tam byłem,

sklepy przy Mermaid Avenue jeszcze stały, ale większość witryn była zabita deskami i nic się nie działo w środku. Zastanawiałem się, co robią mieszkańcy, kiedy muszą odwiedzić drugstore, krawca albo szewca. Ludzie z Sea Gate muszą dziś jechać niezły kawałek do centrum handlowego, żeby cokolwiek kupić. Na rogu Surf Avenue i Zachodniej Trzydziestej Pierwszej, gdzie stały kiedyś dwie moje kamienice, wznoszą się dwa wieżowce osiedla mieszkaniowego.

Coney Island znajduje się oczywiście w dolnej, najniższej położonej części Brooklynu. Leży niczym odwrócone kowadło na południowym skraju tej dzielnicy, omywana przez Atlantycką tuż przy wejściu do nowojorskiego portu. Przylega do Brooklynu w okolicach Gravesend i ciągnie się od Norton's Point na zachodnim krańcu wchodzącej w jej skład Sea Gate (im dalej na wschód, tym niższe są numery poprzecznych ulic: przy Ósmej Zachodniej znajduje się teraz miejskie Akwarium) aż do Ocean Parkway. W tym miejscu zaczyna się sąsiednia miejscowość o nazwie Brighton lub Brighton Beach. Za Brighton Beach jest Sheepshead Bay z licznymi niegdyś restauracjami rybnymi i flotyllami wycieczkowo-rybackich łodzi. A po południowej stronie zatoki, przy tym samym biegnącym nieprzerwanie odcinku wybrzeża leży mniejsza miejscowość Manhattan Beach. Manhattan Beach słynęła kiedyś z eleganckich hoteli oraz wytwornych mieszkańców i letników, którzy przyjeżdżali przede wszystkim na wyścigi konne w Sheepshead Bay. W późniejszym okresie powstały tam dwa modne kasyna; nie były to jednak jaskinie hazardu, lecz sale taneczne, w których występowali sławni wówczas piosenkarze i zespoły. Brighton Beach słynęła z zawodników i turniejów piłki ręcznej. Za najbardziej zamożną miejscowość uchodziła Manhattan Beach; następna była Sea Gate, potem Brighton. Coney Island zajmowała najniższe miejsce, jeśli chodzi o poziom dochodów, ale była zdecydowanie najbardziej znana i ekscytująca. Ludzie z innych miejscowości często przyjeżdżali do nas, żeby potańczyć w naszych klubach i pojeździć na karuzeli. My nie wybieraliśmy się do nich zbyt często.

Choć z całą pewnością nie można jej określić mianem slumsów, Coney Island, z wyjątkiem Sea Gate, była w moich czasach zaniedbaną dzielnicą i teraz jest nią w znacznie większym stopniu niż w przeszłości. Dziś wydaje mi się raczej niechlujnym miejscem i musiała wówczas sprawiać takie samo wrażenie na ludziach zamożniejszych od nas, którzy tam nie mieszkali. Z upływem lat moja matka coraz mniej lubiła Coney z powodu panującego tu zgiełku i chuligańskich wybryków, zwłaszcza w lecie, gdy po ulicach czasami aż do późnego wieczoru spacerowały tłumy ludzi. Okna mieszkania często były otwarte w nocy, działo się to bowiem przed upowszechnieniem klimatyzacji. Matka lubiła się kąpać i zanim złamała biodro, chodziła w słoneczne dni na plażę, zabierając ze sobą pustą butelkę po mleku, żeby nalać do niej morskiej wody i po powrocie umyć w niej stopy. Wyprowadzał ją jednak z równowagi i złościł wulgarny hałas i nieustanny ruch, wielkość i aktywność kłębiącego się wszędzie tłumu. Z goryczą określała naszą część świata mianem chozzer mart, świńskiego targu. W jej narzekaniach mogłem usłyszeć skryty wyrzut, lecz tak samo skrycie nie podzielałem jej zdania, sam bowiem współtworzyłem ten rejwach i znalazłszy się w odpowiednim wieku, by zapisać się

do jednego z miejscowych klubów, przyczyniałem się bezmyślnie do eskalacji hałasu i nieporządku na ulicach, uczestnicząc w długich nocnych pogwarkach i imprezach, w trakcie których z wystawionych przez okna klubowych głośników płynęła nieprzerwanie skoczna muzyka.

Byliśmy dziećmi z biednych rodzin, ale nie wiedzieliśmy o tym. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek w życiu uważał się za skrzywdzonego przez los, niesprawiedliwie pozbawionego czegoś, co chciałbym mieć, a czego nie miałem. Chociaż dochody były niskie, wszyscy nasi ojcowie, a potem starsi bracia i siostry najwyraźniej gdzieś pracowali; w końcu my też skończyliśmy szkołę i poszliśmy do roboty. Dobrodziejstwem naszego dzieciństwa było to, że nie wiedzieliśmy o naszym podrzędnym statusie, nie wiedzieliśmy, jak nisko mogą nas oceniać inni. Mieliśmy naszą plażę, naszą promenadę i bezpieczne ulice, było co zjeść i co na siebie włożyć, i nie sądzę, by umiarkowane ubóstwo spędzało sen z powiek również naszym rodzicom. Prawie wszyscy byli imigrantami i żyli na mniej więcej równym poziomie. Takie było życie; nauczyli się tego w Europie. Narzekanie nie należało do dobrego tonu. Nie oczekiwali, że los będzie ich głaskał po głowie, i większość żyła lepiej, niż była w stanie żyć w Starym Świecie. Wątpię, by wielu zetknęło się przed przyjazdem do Ameryki z luksusem bieżącej wody, centralnego ogrzewania i instalacji wodociągowej. Zanim moja matka i brat, który miał wtedy sześć lat, wyruszyli gdzieś z zachodniej Rosji do Nowego Jorku - płynęli osobno różnymi statkami, ponieważ pierwsza żona ojca wciąż żyła, a on nie poznał jeszcze mojej matki - żadne nie widziało na oczy pomarańczy. Mojego brata poczęstowano nią na parowcu wiozącym go przez Atlantyck. Ponieważ było to dla niego coś nieznanego, odmówił. Nazajutrz, usłyszawszy od innych, jak wspaniała ma smak, chciał spróbować, ale zapasy wyczerpały się; nie pozostała ani jedna.

Takie też było życie.

Nasi dorośli ciężko pracowali, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, i rzadko kiedy się kłócili. Sporów nie załatwiano się przez kłótnie. Nie nadużywali alkoholu, na ogół się nie rozwodzili i jeśli nie obrzezano ich umiejętniej, niż było obrzezane moje własne pokolenie, nie sypiali z żonami lub mężami znajomych i sąsiadów.

Słyszałem kiedyś, jak George Mandel, mój dawny przyjaciel z Coney Island i spośród znanych mi ludzi, pierwszy, któremu udało się zostać pisarzem, prezentuje w telewizyjnym wywiadzie opis Coney Island. Miałbym kłopot, chcąc do niego coś dodać. Jeśli ktoś musi już dorastać w slumsach, powiedział, używając tego słowa z komiczną przesadą, trudno sobie wyobrazić lepsze.

W mojej części Coney Island czynszowe kamienice stały prawie przy każdej uliczce i przecinających je alejach. Te większe wzniesione były z cegły i miały trzy albo cztery piętra. Na parterze mogły się mieścić sklepy i warsztaty, takie jak zakład krawiecki pana Kaisera albo narożny sklep spożywczy w moim budynku, który działał dość krótko, a potem urządzono w nim kilka mieszkań. Przy każdej uliczce były też węższe, niższe domy wzniesione przeważnie z matowej żółtej cegły, ze schodkami prowadzącymi na ganek i piwnicami poniżej poziomu ulicy; mogły je zajmować dwie albo nawet trzy rodziny, chociaż wiele było zamieszkaných

wyłącznie przez jedną. Tylko w kilku nowszych budynkach działały windy. Były samoobsługowe i przez jakiś czas budziły nasze wielkie zainteresowanie, stanowiły też miejsce nie wymagające wiele wysiłku, a czasami złośliwej zabawy w deszczowe dni. Jedną ze sztuczek było naciskanie wszystkich przycisków, żeby zwolnić bieg windy. Do dziś mam pod powiekami obraz starszych mężczyzn i kobiet (starszymi mężczyznami i kobietami stali się w końcu nasi rodzice i moja własna matka) wspinających się z trudem po stromych schodach, kobiet na ogół taszczących brązowe torby ze spożywczego albo od rzeźnika. Gdy ktoś z nas wychodził z mieszkania na drugim piętrze, przypominano mu, żeby „wyrzucił śmiecie” do metalowych pojemników z pokrywką, które zawsze czekały w pasażu przy kamienicy. W okolicy były także drewniane domy, niektóre z małymi podwórkami i skromnymi ogródkami z tyłu i od frontu. Miały szalowane ściany i spadziste, kryte gontem dachy, które różniły się od płaskiego dachu naszego budynku, gdzie sterczały anteny radiowe i suszyła się na sznurach bielizna.

W różnych punktach Coney Island, w większości blisko plaży, stały kompleksy bungalów oraz mniejszych i większych drewnianych domków zwanych „willami”, „dworkami” i „esplanadami”. Zbudowano je chyba, zanim się tam pojawiliśmy. Na pewno istniały, kiedy zwróciłem na nie uwagę jako małe dziecko; i później, po wojnie, kiedy się ożeniłem i wyjechałem na studia. Przez dziewięć miesięcy w roku były zamknięte na cztery spusty, a potem nagle roilo się w nich od ludzi, którzy wynajmowali ciasne sypialnie i stróżówki na lato i przyjeżdżali podekscytowani z własną pościelą oraz wózkami dla dzieci - miało się wrażenie, że prawie wszyscy zjawiają się w ciągu kilku dni. Napływali z innych części Brooklynu, takich jak Williamsburg oraz East New York, a także z Manhattanu, Bronxu i New Jersey, aby spędzić następne kilka miesięcy w tłoku, zapewne nie do zniesienia dla ludzi bardziej wyrafinowanych i mniej towarzyskich i najprawdopodobniej nie do zniesienia dla pokolenia, które wychowali. Letnicy byli na ogół zadowoleni z kwater, te same rodziny wracały bowiem rok w rok z własną pościelą i dorastającymi dziećmi do tych samych prymitywnych „willi”, „dworków” i „esplanad”. Niektórzy z chłopaków zostawali naszymi wakacyjnymi przyjaciółmi; czekaliśmy na ich przyjazd i chętnie graliśmy z nimi w karty o jednocentówki i kapsle od butelek po oranżadzie albo pozwalaliśmy zagrać w drużynie punchballu Trzydziestej Pierwszej Zachodniej, zwłaszcza gdy brakowało nam zawodników.

Między naszą kamienicą i drugim mniejszym budynkiem przy rogu Railroad Avenue, stał mały piętrowy bungalow z podwórką w środku. Na parterze tej drugiej kamienicy był sklep, w którym sprzedawał słodczyce pan Moses wraz ze swoją żoną i córką; mieszkali w apartamencie na tyłach. Pan Moses handlował również gazetami, w jidysz oraz po angielsku, a stojąca w jego sklepie publiczna budka telefoniczna była przez dłuższy czas jedynym automatem na całej ulicy. Korzystały z niej wszystkie rodziny, telefonując i przyjmując rozmowy. W tamtych czasach w tak zwanej centrali wciąż dyżurowała niewidzialna telefonistka, mówiąca: „Proszę podać numer”. Każdy, kto biegł, żeby sprowadzić do sklepu osobę, do której telefonowano, mógł oczekiwać napiwku w zwyczajowej wysokości dwóch centów.

Moja siostra przypomina sobie teraz, że wszyscy chłopcy, którzy zapraszali ją na randkę, musieli smalić do niej cholewki przez telefon, który odbierała w sklepie pana Mosesa.

Po drugiej stronie ulicy był duży ośrodek wczasowy o nazwie West End Villa, w którym stały szeregowo jednorodzinne bungalowy. Poza sezonem bawiliśmy się tam w berka, biegnąc po gankach i przeskakując przez balustrady. W głębi ośrodka, na dwóch kondygnacjach podobnych do tych, które widuje się w dzisiejszych motelach, mieściły się letnie apartamenty i prawdopodobnie dzięki ich istnieniu mój brat poznał dziewczynę, swoją przyszłą żonę. Być może nie spotkał jej akurat tam, lecz jej rodzina wynajmowała ten apartament każdego sezonu i znałem jej brata Bena oraz rodziców, zanim jeszcze zostali teściami Lee, a on ich zięciem.

Kiedy się spotkaliśmy, jej imię brzmiało Perle; potem z jakiegoś powodu na rok albo dwa zmieniła je na Lynn. Wśród młodych kobiet - wtedy nazywaliśmy je dziewczętami - zmiana imienia w tym czasie była bardzo modna. Pamiętam pewną Gertrudę, z którą uczyłem się cały czas w podstawówce i którą przedstawiono mi nagle jako Gail, gdy pojawiła się w roli potencjalnej dziewczyny jednego z „seniorów” klubu, gdzie byłem dopiero „juniozem”. Chodziliśmy razem na francuski w szkole średniej. Klub mieścił się na tyłach sklepu przy bocznej uliczce, dwie przecznice od mojego domu i nazywał się Alteo. Jego nietypowość polegała na tym, że należało do niego już drugie pokolenie; wielu członków, wówczas dwudziestoletnich, było młodszymi braćmi założycieli, którzy wyrosli z tego, co oferowały liczne kluby towarzyskie i sportowe kwitujące zawsze na Coney Island i w Brighton Beach. Należałem do grupy kilkunastoletnich chłopaków z sąsiedztwa, z których stworzono grupę „juniorów Alteo”. Wolno nam było wykorzystywać pomieszczenie klubowe na cotygodniowe spotkania, a także przesiadywać tam do wczesnego wieczoru, uczyć się tańczyć lindy hop i słuchać muzyki oraz niewiarygodnych historii opowiadanych przez starszych kolegów. Nauczyliśmy się także odróżniać bardzo dobrą muzykę zespołów Jimmy’ego Lunceforda, Duke’a Ellingtona i Counta Basiego od popularniejszych, „komercyjnych” kawałków Glenna Millera i Tommy’ego Dorsey’a. Benny Goodman był lepszy od tych ostatnich, ale nawet w połowie nie tak porywający jak ci najlepsi, którzy byli bez wyjątku czarni. Wieczorem, kiedy zaczynały się ich własne imprezy, nasi starsi koledzy pokazywali nam drzwi, przy których przystawaliśmy często na kilka chwil, żeby się pogapić.

Gertrudę, vel Gail, przyprowadziła do klubu jej starsza ładna siostra. Gail używała szminki i mascary i nikt z nas nie widział jeszcze dziewczyny umalowanej w ten sposób. Niebawem została sympatią dwudziestodwu - lub dwudziestotrzyletniego Murraya Beckermana. Panowała zgodna opinia, że Murray jest najlepszym tancerzem lindy hop w całym klubie i razem z niejaką Curly Klein, która nie należała do Alteo, może śmiało wystąpić na parkiecie sali balowej Savoy w Harlemie. Dla nas, nastolatków, nie wyróżniał się poza tym niczym szczególnym w porównaniu, na przykład, z George’em Mandelem, Royem Roycemanem i Dannym Rosoffem, którzy także byli członkami klubu; George i Roy mogli równie dobrze rozmawiać o Beethovenie, jak o Basiem; z ust Księcia Danny’ego po raz pierwszy

usłyszałem nazwiska Hemingwaya, Fitzgeralda, Faulknera i Dos Passosa, wszystkie wymieniane bez imion, tak jakby od dawna byli jego dobrymi kumplami. Wspomniał mi o nich, ponieważ wiedział, że piszę opowiadania (które były wyjątkowo niedojrzałe i nieporadne). Przyznaję, że już wówczas dręczyły mnie pewne wątpliwości, czy Danny rzeczywiście czytał tych autorów, czy też jedynie przejrzał coś na ich temat. Mam je do dziś.

Po krótkiej wymianie spojrzeń w klubie ani Gertrudę, ani ja nie czuliśmy się swobodnie w swojej obecności. Tu nazywała się Gail, na francuskim Gertrudę. Ale ona, z dojrzałym biustem, którego kształty odważnie podkreślał obcisły sweterek i modny wówczas podniesiony stanik, wiedziała o zainteresowaniu, jakie budziła w starszych facetach powyżej dwudziestki; podczas gdy my, piętnastoletnie nieboraki, nie znaleźliśmy żadnych dziewcząt w naszym wieku, które by się nami interesowały. Młodzi ludzie dojrzewali wówczas chyba wolniej, niż wydają się dojrzewać w dniu dzisiejszym; tak to przynajmniej wyglądało w przypadku wielu nastolatków z Coney Island.

Po krótkim czasie moja szwagierka, żona Lee, powróciła, ku zdumieniu mojej matki, do oryginalnego imienia Perle. (Nie wiem, jakie imię przybrała ostatecznie Gertrude/Gail). Kiedy się ożeniłem, co uczyniłem w wieku dwudziestu dwu lat, w październiku 1945, moją wybranką była młoda kobieta o imieniu Shirley. Starzejąc się, matka nie zawsze potrafiła odróżnić Perlie od Shirley. Z coraz większą częstotliwością, a także irytacją, ponieważ zawsze zdawała sobie sprawę z przejęzyczenia, gdy już je popełniła, używała imienia jednej, kiedy zwracała się do drugiej albo o niej mówiła, w bardzo podobny sposób, w jaki ja popełniam teraz czasem gafę, zwracając się do drugiej żony imieniem pierwszej. Nie jest to rzecz, która uszłaby mężowi na sucho.

Niemal tak samo liczne jak bungalowy wynajmowane przez letników były domy kąpielowe przeznaczone dla ludzi, którzy przyjeżdżali tylko na jeden dzień. Stały wzdłuż całej Coney Island, prawie wszystkie między Surf Avenue i promenadą. W większości były to dość proste obiekty, mieszczące tylko szatnie i natryski, tak jak Hahn's Baths oddalony o przecnicę od domu, w którym mieszkaliśmy, oraz Ward Baths po drugiej stronie ulicy. Ich największym walorem było to, że zapewniały bezpośredni dostęp do plaży i morza. Moja siostra pamięta, że któregoś lata zatrudniła się, u Hahna jako szatniarka w damskiej szatni; jeszcze będąc uczennicą pracowała także latem w jednej z wielu budek z miękkimi lodami - nazywaliśmy je „mrożonym custardem” - a czasami jako „naganiaczka” przy grach zręcznościowych i hazardowych, udając, że jest normalną płacącą klientką, żeby inni zachęteni jej sukcesami też wzięli udział w zabawie. W żadnym z tych skromnych domów kąpielowych nie prowadzono kuchni. Liczne, stojące przy promenadzie i niżej, stragany zjedzeniem zaspokajały niemal wszystkie kulinarne potrzeby.

Przy promenadzie znajdowało się też kilka ośrodków sportów wodnych z odkrytymi basenami, trampolinami i zjeżdżalnią, a także prostym sprzętem sportowym, takim jak stoły do ping-ponga, shuffleboard, kosze do koszykówki oraz gruszki bokserskie, wysoko cenione przez tych, którzy wiedzieli, jak się nimi

posługiwać. Największym z tych ośrodków był chyba Raven Hali (nazwany tak, jak się dowiaduję, na cześć jednego z pionierów developingu, Ravenhalla), który znajdował się w dzielnicy rozrywkowej i funkcjonował na długo przed moim urodzeniem. Steeple-chase Park wzbogacił później swoją bogatą ofertę, otwierając basen, który mógł konkurować rozmiarami z Raven Hali. Washington Baths miały chyba najwierniejszą klientelę; ludzie, z którymi spotykałem się przez wiele lat, twierdzili, że kupują tam rok w rok abonamenty. Goście McLaughlin Baths, niedaleko nas, rekrutowali się spośród Skandynawów, głównie Norwegów, oraz Irlandczyków zamieszkujących Bay Ridge, okolicę znaną z częstych burd i, co łatwo zgadnąć, antysemityzmu, wówczas dość powszechnego w Ameryce w nieżydowskich społecznościach. Młodszy i bardziej zadziorni goście McLaughlina zabawiali się czasem na plaży, przedrzeźniając głośno Żydów, przez których czuli się osaczeni, i raz czy dwa w ciągu lata dochodziło do bójek. Z tego, co wiem, nie miały one jednak poważniejszych konsekwencji. Wojna położyła chyba kres tym lokalnym animozjom.

Baseny w większości tych obiektów zlokalizowane były tuż przy promenadzie i wiele spacerujących nią osób przystawało, by przez szpary w ogrodzeniu przyjrzeć się kąpiącym. Były to w końcu jedyne baseny, jakie widzieliśmy na własne oczy, nie na ekranach kin, i dobrze było przekonać się, że istnieją naprawdę. Najbardziej lubiliśmy oglądać skok w pozycji łabędzia i szybki scyzoryk z niższej i środkowej deski; niewykluczone, że były również najłatwiejsze i ci, którzy potrafili je wykonać, często to robili. Podobnie jak ludzie obeznani z rytmem i odchyleniami gruszki treningowej, popisujący się przed widzami, którzy podziwiali ich, stojąc na chodniku. Plażowi sportowcy balansowali na głowach, oparci o podbrzusze i kolana swych szczupłych towarzyszek, ale było ich tylu, że prawie nie zwracało się na to uwagi. Do zanikającego gatunku plażowych gimnastyków należał osobnik, który stawał na rękach i przechodził na nich kilka nieporadnych kroków. Od lat już nie widziałem żadnego figlarza, który wykonywałby tę sztuczkę i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę. Znacznie ciekawsze widowisko stanowiły partie bezika, rozgrywane przez gestykulujących energicznie i dyskutujących namiętnie starszych Żydów; staraliśmy się poznać subtelności gry i dociec, o czym tak rozprawiają i z czego się cieszą ci jegomoście ze Starego Świata. Pojawiły się pierwsze przenośne radia, z potężnymi bateriami w wielkich obudowach, ważące chyba po pięćdziesiąt funtów. Pełno było ludzi grających na ukulele i banjo. Właśnie na plaży Coney Island usłyszałem po raz pierwszy westernowe ballady w rodzaju Clementine i RedRiver Yalley.

Na początku lat trzydziestych jacyś cwani spekulanci postanowili wybudować luksusowy hotel Half Moon przy samej promenadzie, na rogu Zachodniej Dwudziestej Dziewiątej, i wkrótce zaczęła ich trapić zmora niewypłacalności. Half Moon ohrzczoney tak na cześć statku Henry'ego Hudsona pozostaje najbardziej majestatycznym budynkiem na Coney Island i pamiętam, że obserwowałem, jak rósł, z okna mojego mieszkania. Nie wiedziałem wówczas nic o Henrym Hudsonie i jego tragicznej podróży, lecz ktoś dysponujący większą wiedzą mógłby moim zdaniem

zapropozować nazwę, która otwierałaby przed tym przedsięwzięciem bardziej świetlane perspektywy aniżeli koniec, jaki spotkał tego morskiego podróżnika.

Patrzac wstecz, trudno się domyślić, cóż takiego skłoniło tych spryciarzy do przekonania, że w chwili gdy Coney Island traciła swoją charyzmę wśród wielkich tego świata, ludzie dysponujący wystarczającą gotówką, żeby pojechać dokądkolwiek, zapragną, zechcą przyjechać akurat tutaj. Hotel Half Moon stał się na krótki czas sławny około roku 1940 z powodu śmierci jednej z niewielu osób cieszących się względną popularnością w związku z Coney Island, faceta o nazwisku Abe Reles, który nigdy u nas nie mieszkał; jego rewirem była Brownsville, bardziej niespokojna dzielnica Brooklynu, wsławiona gangsterskimi porachunkami i tym, że pochodził stamtąd zawodowy bokser Bummy Davis. Zakwaterowany w tajemnicy w hotelu, Reles czekał jako świadek oskarżenia na proces ludzi związanych z gangiem o nazwie Murder, Incorporated. Opinia publiczna dowiedziała się o nim, gdy jeszcze przed złożeniem zeznań wypadł, wyskoczył bądź też został wypchnięty z okna swego hotelowego pokoju. W tym momencie bardzo niewiele osób spoza policji wiedziało, że tam przebywa, i chociaż nigdy tego nie udowodniono, mówiło się i mówi, że przez okno pomógł mu wyskoczyć ten sam policjant, który miał mu zapewnić opiekę. Po wojnie, kiedy z hotelu korzystała straż przybrzeżna czy też marynarka wojenna, w Half Moon urządzono ostatecznie hebrajski dom starców i ta metamorfoza, choć nieco przygnębiająca, stanowi trafny symbol podupadającej i starzejącej się Coney Island, która z całą pewnością ma już za sobą lepsze czasy. Moja matka spędziła tam jakiś okres przed śmiercią, po operacji uwięźniętej przepukliny, po której nigdy nie odzyskała sił. W szpitalu odkryto, że choruje na cukrzycę. Bez wątplenia wolałaby zamieszkać u któregoś z nas, pod warunkiem że jej obecność byłaby mile widziana i nie stanowiła źródła konfliktów; będąc cyniczną realistką, zdawała sobie świetnie sprawę, że to niemożliwe, nie oczekiwała tego i o ile wiem, nawet nie poprosiła. Ulegając współczesnemu konwenansowi, nikt z naszej trójki (wszyscy byliśmy już wówczas po ślubie i mieszkaliśmy w przestronnych mieszkaniach) nie doszedł do wniosku, że może ją przyjąć. Temat nie został nigdy podjęty, domyślałam się jednak, że każdego z nas gnębiły przynajmniej w głębi duszy pewne wyrzuty sumienia. W naszej rodzinie nieczęsto mówiliśmy o smutnych rzeczach.

Jeszcze przed drugą wojną światową dzielnicy rozrywkowej Coney Island zaczęło brakować werwy i przedsiębiorczości. Tereny rekreacyjne stale się kurczyły. A od końca wojny w 1945 roku nie zbudowano tu (z tego, co wiem) ani jednego większego osiedla mieszkaniowego, z wyjątkiem finansowanych przez państwo. Wesole miasteczka, niegdyś należące do najnowocześniejszych na świecie i cieszące się reputacją bodaj czy nie najlepszych, nie zaoferowały żadnych nowych spektakularnych atrakcji od czasu nowojorskiej wystawy światowej na przełomie roku 1939 i 1940, kiedy w Steeplechase Park postawiono wieżę spadochronową.

Coney Island w dalszym ciągu ma deptak, który wydawał się wówczas, i prawdopodobnie jest, najdłuższą, najszerszą i najwspanialszą promenadą na całym świecie. Ma szeroką plażę z fantastycznym piaskiem, która ciągnie się daleko za

Coney w stronę Brighton i Manhattan Beach. Człowiek musi sobie dopiero poharatać stopy w Nicei i angielskim Brighton - stwierdzając z oburzeniem, że te nabrzeża również nazywają się plażami - aby docenić w pełni rozległe plaże Coney i uznać je za naprawdę bezcenne bogactwo narodowe.

Poza tym Coney Island miała swoje długie, kryte asfaltem ulice, po których samochody jeździły w zasadzie tylko latem i które stanowiły place zabaw lepsze od wszystkiego, co zaprojektował jakikolwiek projektant terenów rekreacyjnych.

Naszą ulubioną zabawą wiosną i latem był punchball, odmiana konwencjonalnego baseballu, w który graliśmy sprężystą skórzaną piłką - najlepsza była marki Spaldeen, ale kosztowała więcej od innych. Piłkę wybijało się z bazy raczej pięścią niż kijem od szczotki czy w ogóle jakimkolwiek kijem, stąd nazwa punchball. Jesienią graliśmy w hokeja na wrotkach, a także w przypominającą futbol grę o nazwie asocjacja, w której wolno było podawać i kiwać, natomiast zabronione było chwywanie lub blokowanie przeciwnika. Przodowałem w niej jako przechwytyjący. A potem, kiedy nauczyliśmy się reguł, graliśmy w prawdziwy futbol na piasku na plaży. Za pierwszym razem, gdy zagraliśmy na twardym gruncie, a było to w Sea Gate, zaskoczyło mnie, jak twarda może być ziemia, gdy człowiek przewraca się na nią i pada. Nie nosiliśmy ochraniaczy ani kasków. Wcześniej, jeszcze jako dzieci, bawiliśmy się w chowanego, berka, a także w „naśladowanie pierwszego”, na plaży i na podwórkach pustych letnich bungalowów. Ja byłem zawsze pierwszy. W letnie wieczory na deptaku wymyśliłem odmianę „naśladowanie pierwszego” opartą w większym stopniu na pomysłowości i zgrywie aniżeli fizycznej zręczności. Przepraszałem z uprzedzającą grzecznością ludzi pograżonych w rozmowie, po czym przechodziłem między nimi i oddalałem się. Następny w kolejce zobowiązany był zrobić to samo. Pojawienie się trzeciego budziło podejrzenia, przy czwartym lub piątym ofiary przerywały rozmowę, przyglądały się nam badawczo i załapywały, o co chodzi, na ogół z wesołym zaskoczeniem. Im dłuższa była kolejka, tym większy śmiech. W barach kelnerzy i barmani nie tolerowali nas z taką pogodą ducha. Ja, ten pierwszy (w „naśladowanie pierwszego” prawie nigdy nie traciło się tej pozycji; jeśli wywróciłem się, przeskakując z jednego ganku na drugi, upierałem się, że inni muszą zrobić to samo), wkraczałem niewinnie do środka, obchodziłem cały lokal, jakbym się za kimś rozglądał, po czym opuszczałem go innymi drzwiami, podczas gdy drugi chłopak wchodził już do baru, jak gdyby mnie szukał, a po nim trzeci, niewinnie podążając naszym śladem. Czwartego albo piątego obsztorcowywano i wyrzucano na ulicę. A następny bał się wejść po nich do środka i spadał niestety na koniec kolejki, podczas gdy mnie oczywiście nigdy nie powinęła się noga.

W sobotnie poranki wiosną i latem graliśmy na ogół w punchball z drużyną z innego bloku - częściej wygrywając, niż przegrywając - a potem wracaliśmy triumfalnie do domu na dobrze zasłużoną szklanek zimnego mleka i czekaliśmy z utęsknieniem na lunch. Wczesnym sobotnim popołudniem wybieraliśmy się na ogół do kina (bilet kosztował dychę, cukierki piątkę) na podwójny seans - najnowszy odcinek serialu kowbojskiego albo filmu o Tarzanie, kronikę filmowe i na dokładkę

kreskówkę z Myszka Mickey lub Betty Boop albo film przyrodniczy. Później wracaliśmy do domu, dyskutując zawzięcie, co zrobić z resztą dnia. Niedziele były na ogół łatwiejsze; większą część poranka spędzaliśmy przy śniadaniu, przeglądając kolorowe komiksy i reklamy zabawek, które kiedyś chcielibyśmy mieć, oraz podróży, w które kiedyś pragnęlibyśmy się wybrać. Odkąd sięgam pamięcią, mieliśmy dwa wielkie kina, do których mogliśmy chodzić: RKO Tilyou i Loew's Coney Island. Po jakimś czasie na pustej działce przy Surf Avenue, jedną przecnicę ode mnie, zbudowano nowe, Surf Theater, i mieliśmy trzy. Otwarcie Surf Theater było wydarzeniem, które zapamiętałem. Wyświetlano film One Night of Love, z operową gwiazdą Grace Moore, która parę lat później zginęła w katastrofie lotniczej. Znaczna część muzyki, w tym piosenka tytułowa, oparta była na melodiach Pucciniego i matka także poszła na ten film.

Dzielnica rozrywkowa Coney Island - obszar, na którym znajdowały się karuzele, diabelskie młyny, budki z jedzeniem oraz automaty do gry - interesowała nas najbardziej w chłodniejsze dni wiosny i późnego lata, względnie dla odmiany nawet w cieplejsze dni, gdy któryś z nas zdobył darmowe karty wstępu do Luna albo Steeplechase Parku. Były to jedyne działające wówczas wesołe miasteczka z prawdziwego zdarzenia. W każdym pobierano opłatę za wstęp i zapewniano atrakcje, które przynajmniej z nazwy spotkać można było tylko w tym jednym miejscu; powolna przejażdżka łodzią w jednym z parków nosiła miano Tunelu Miłości, w drugim (tak mi się zdaje) Czerwonego Młyna. Wszystkie atrakcje wymagały specjalnego biletu albo osobnej opłaty; w Steeplechase każdy musiał płacić dodatkowo za skok z wieży spadochronowej. Kryta arena Stauché'a, gdzie na początku stulecia mieściła się jedna z wielkich restauracji, wciąż działała, ale teraz organizowano tutaj mecze bokserskie i cieszące się przez pewien czas powodzeniem maratony taneczne. Na długości pół mili, między Surf Avenue i deptakiem, biegł ciąg pieszy o nazwie Bowery, zapożyczony naturalnie od istniejącego wcześniej, znanego z bajecznych ekscesów bulwaru na dolnym Manhattanie. Prawie każdy jego cal zajmowały najróżniejsze atrakcje i nawet w bocznych uliczkach pełno było estrad, automatów, karuzel i budek z jedzeniem. Naganiacze i bileterzy wydzielali się na całe gardło, motory warczały, a z różnych gabinetów strachu dobiegał bezustannie maniackalny jazgot wzmocnionego mechanicznie śmiechu. Czynny był także słynny Feltman, wciąż wielki i wspaniały, aczkolwiek nieubłagane tracący popularność, teraz gdy zabrakło już Brylantowego Jima Brady'ego i inne grubych ryb z wesołych lat dziewięćdziesiątych.

W którymś momencie na promenadzie wyrosła nagle budka z lodami Howarda Johnsona, z mnóstwem jaskrawych lampek i dwudziestoma sześcioma różnymi smakami. Przewyciężywszy pierwszą niechęć, przyglądaliśmy się ze zdumieniem temu kuriozum, czytając nazwy smaków i zastanawiając się, po co komu tyle innych, skoro istnieją: waniliowy, czekoladowy oraz standardowy truskawkowy, a także palonych migdałów, orzechowy i pistacjowy, ceniony bardziej z racji nowego koloru niż jakichś szczególnych walorów smakowych. I kim, do diabła, był ten Howard Johnson, o którym nigdy nie słyszeliśmy? Zamiast

prawdziwych lodów, które normalnie jedliśmy w domu lub na ulicy, na promenadzie woleliśmy nasze miękkie lody, nasz „mrożony custard”, i Howard Johnson wkrótce zrezygnował. Dwa razy podjęto na deptaku śmiałą próbę uruchomienia kręgielni na świeżym powietrzu. Ta gra też była czymś egzotycznym. Kręgle wciąż stanowiły wówczas rozrywkę dla gojów i dwie kręgielnie również nie działały zbyt długo.

Przekonaliśmy się wcześniej, że gotowana frankfurterka nie smakuje nigdzie tak dobrze jak ta, którą upieczono na grillu, aż popękała jej skórka - wystarczyło spróbować tej gotowanej na stadionie futbolowym, żeby poczuć na języku tylko gorącą wodę i musztardę; że diabelski młyn Cudowne Koło ze swoimi kręcącymi się, kołyszącymi gondolami, który jest jedną z dwóch nadal działających mechanicznych atrakcji, pamiętających nasze czasy, zdecydowanie przewyższa diabelski młyn George'a C. Tilyou w Steeplechase Park, ale oba nadają się co najwyżej dla podziwiających krajobrazy ciołków względnie dorosłych z małymi dziećmi, które też były ciołkami i nie wolno ich było narażać na coś więcej niż lęk wysokości; że Cyklon, drugi wciąż funkcjonujący zabytek z lat naszej młodości, jest bezsprzecznie i nieodwołalnie najlepszą ze wszystkim diabelskich kolejek; i że próżno szukać na całym wszechświecie ziemniaczanych knedli lepszych od tych, które sprzedawała pani Shatzkin, kiedy wciąż jeszcze ugniatały je ręcznie starsze panie, jej przyjaciółki i krewne. (Chociaż wciąż spotykam upartych palantów, zachwalających grubsze żółte knedle Gabilli, oraz osobników, którzy dorastali w sąsiedniej Brighton Beach i wciąż ślinią się na wzmiankę o pani Stahl, królowej tamtejszych knedli).

Wszystko to składało się na praktyczną przyziemną wiedzę, dzięki której staraliśmy się zawsze płacić uczciwą cenę za to, co kupowaliśmy. We wczesnym wieku poznaliśmy również dobrze kapitalistyczną rzeczywistość oraz konstytuującą ją antytetyczną zasadę głoszącą, iż generalnie nie ma takiej rzeczy jak uczciwa cena. Różnica, zarówno według Arystotelesa, jak i Karola Marksa, znana jest pod nazwą zysku. Dowiedzieliśmy się tego w pierwszym rzędzie od naciągaczy z Coney Island, którzy zapewniali, że zgadną, ile ważymy, ile mamy lat, jak się nazywamy, czym się zajmujemy, z jakiego kraju pochodzimy i jakiego dnia się urodziliśmy, zgadną o nas w ogóle wszystko, łącznie z kolorem naszych gatek, za dychę, ćwiartkę, pół dolara i dolara. Nagroda, którą klient dostawał za pomyłkę, rosła wraz z wysokością postawionych pieniędzy. Dowcip polegał na tym, że naciągacz nigdy nie mógł przegrać. Nie znał się lepiej od nas na arkanach tej gry, ale zawsze wychodził na swoje, ponieważ bez względu na to, czy zgadł, czy nie, klient nigdy nie wygrał. Ujmując to bardziej elegancko, klient mógł co prawda odejść z nagrodą, ale naciągacz nie był stratny, kosztowała go ona bowiem zawsze mniej, znacznie mniej niż klient wyłożył, żeby wygrać. Ten ostatni odnosił oczywiście moralną satysfakcję, bo zdawało mu się, że przechytrył eksperta, gdy tymczasem naganiacz cieszył się wiedząc, że właśnie udało mu się zgarnąć parę groszy w charakterze zysku.

Ale, jak Boga kocham, dzieciak mógł za jednego centa wygrać na automatach cały orzech kokosowy i kiedy poznał know-how, zrobić za pomocą młotka i gwoźdźcia dziurę w miękkim miejscu skorupy, wypić mleko, następnie zaś rozbić

cały orzech na kawałki i rozdać je wszystkim dookoła. Sztuczka, dzięki której wygrywało się orzech kokosowy, polegała na tym, żeby nie rzucać jednocentówek bezpośrednio na metalowe przyciski, ogłaszające głośnym dzwonkiem zwyciężcę, lecz celować nimi w stosy leżących już w automacie monet i spychać kilka z nich po pochyłości, tak żeby trafiły na przycisk.

Najśmieszniejsze było to, że tak naprawdę nikt nie lubił kokosowego orzecha ani kokosowego mleka. Ale wszyscy musieliśmy udawać, że lubimy, by nacieszyć się zwycięstwem.

Rywalizacja między Luna Parkiem i Steeplechase trwała od założenia obu wesołych miasteczek na przełomie stuleci. Wypadły mi z głowy nazwiska dwóch mężczyzn, którzy przyczynili się do spektakularnego otwarcia Luna Parku kilka lat po Steeplechase, ale Wesołe Miasteczko Steeplechase było dziełem wyłącznie jednego osobnika, niejakiego George'a C. Tilyou. Tilyou był urodzonym przedsiębiorcą. Jako chłopak zaczął akumulować kapitał, sprzedając zachwyconym letnikom fiolki z piaskiem Coney Island oraz buteleczki z tutejszą morską wodą. Nawet ludzie, którzy mieli u siebie własne plaże, wracali do domu z drogocennym piaskiem i morską wodą z Coney Island. Na pomysł ustawienia pierwszego na Coney diabelskiego młynu wpadł, gdy zobaczył podobny obiekt na Wystawie w Chicago w roku 1893, gdzie spędzał miodowy miesiąc. Kazał wznieść o połowę mniejszą kopię i od samego początku budowy reklamował ją jako największą na świecie. Kiedy jego pierwsze wesołe miasteczko spaliło się doszczętnie w jednym z pożarów nawiedzających co jakiś czas Coney Island, zaczął błyskawicznie odrabiać straty, wpuszczając ludzi za opłatą dziesięciu centów, aby mogli obejrzeć dymiące zgliszcza. „Jeśli Paryż jest Francją - stwierdził podobno - w takim razie Coney Island między czerwcem i wrześniem jest całym światem”. Trochę przesadził. Tilyou zmarł w roku 1914, dziewięć lat przed moim narodzeniem. Pochowano go na cmentarzu Greenwood w Brooklynie i wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że jego nazwisko nosi Steeplechase Park oraz jedno z naszych przestronnych kin i że przy Surf Avenue naprzeciwko wesołego miasteczka stoi bądź też stał kiedyś jego rodzinny dom. Był to cofnięty od ulicy, kilkupiętrowy drewniany budynek, z rodzowym nazwiskiem TILYOU wrytym na pionowej ścianie najniższego z kamiennych stopni prowadzących na ganek. Litery zapadły się już prawie do połowy w ziemię przy skraju chodnika. Musieliśmy oglądać ten dom i ten napis w drodze do kina. Nie przyszło nam do głowy, że facet nie żyje. Nie przyszło nam do głowy, że kiedykolwiek żył. Nie myśleliśmy o nim nigdy jako o człowieku z krwi i kości. Nazwisko Tilyou nie przystawało po prostu do jakiegokolwiek osoby, podobnie jak równie nierzeczywiste nazwisko Loew.

Z dwóch wesołych miasteczek Luna Park jednogłośnie uważano za lepszy i skłonni byliśmy lekceważyć każdego, na ogół pochodzącego skądinąd, kto zachwycał się Steeplechase. Mogliśmy co najwyżej zgodzić się, że jest „w porządku” - nieuczciwością byłoby twierdzić, że jest „do dupy”. Wchodząc do Luna Parku, mieliśmy wrażenie, że jest tu o wiele więcej wolnej przestrzeni i ciekawych rzeczy do obejrzenia. Architektura była fantastycznym, niemal koszmarnym pomieszaniem

stylu mauretańskiego i bizantyjskiego w cyrkowo-klaunowych kolorach kredowej bieli i wiśniowej czerwieni, z czarnymi i jaskrawozielonymi ornamentami na minaretach, wieżyczkach i cebulastych kopułach. Co kilka godzin w niewielkim namiocie odbywał się pokaz cyrkowy, który mogli obejrzeć wszyscy znajdujący się akurat w Luna Parku. Zaczynał się od krótkiej parady kilku apacycznych słoni i innych wykonawców, przy akompaniamencie bębnów i muzyki na trąbce i puzonie. Pamiętam wykonywany na dworze z dużej wysokości skok do wody, daję słowo, że pamiętam; ktoś skakał z wysokiego pomostu do tyiego baseniku i przysięgam również, że widziałem mężczyzn i kobiety wystrzeliwanych na pokaźną odległość z armaty i lądujących w sieci cztery albo pięć razy w ciągu dnia.

Luna Park zaczynał się od wodnej zjeżdźalni o nazwie Szus w Dół, którą przyjemnie było obejrzeć, a także zaliczyć. Płaskodenna łódź zsuwała się po śliskiej od wody pochyłości, po czym wpadała z wielkim pluskiem do wielkiego basenu na dole i przybijała do brzegu. Najzabawniejsze było niestety czekanie na własną kolejkę. Obok znajdowała się Podniebna Mila, najwyższa diabelska kolejka na Coney Island. Boże, ale była wysoka! Niesamowity był widok długiego sznuru wagoników, które wjeżdżały na szczyt przed pierwszym zjazdem. Ogarnięty podziwem i grozą, długo zbierałem odwagę, żeby zaliczyć ją po raz pierwszy w wieku jedenastu lub dwunastu lat. Było czymś oczywistym, że każdy chłopak, który chciał się uważać za dorosłego, musi wcześniej czy później przejechać się Podniebną Milą, tak jak zrobili to przed nim starsi; był to kolejny stopień inicjacji. Analizowałem czekające mnie wyzwanie z pragmatycznym i stoickim spokojem, który pomógł mi zachować zimną krew w przytrafiających się potem innych niebezpiecznych sytuacjach i z którym dawno temu postanowiłem potraktować nieunikniony proces umierania; jeśli inni umarli i nic im się nie stało, ja też chyba to potrafię.

Jak się okazało, Podniebna Mila nie była wcale taka straszna - po pierwszym razie. Choć wysoka, była całkiem łagodna, nawet w przybliżeniu nie tak szybka, kręta i telepiąca jak Tornado, Piorun lub, najwspanialszy z nich wszystkich, Cyklon, który wszyscy zostawiali sobie na sam koniec, jako ostateczne spełnienie snu o roller coasterze. Szykowałem się do pierwszej jazdy na Cyklonie przez rok albo dwa, przyzwyczajając się do mniejszych kolejek i coraz bardziej je lekceważąc. Najłatwiejszą z nich był dziecinny obiekt w Steeplechase. Niezbyt ciekawy, nie powinien się raczej znaleźć w tym porządnym skądinąd wesołym miasteczku; z wyjątkiem kilku wybojów na samym końcu - wybojów, nie podskoków - nie oferował żadnych niespodzianek. W Luna Parku mieli o wiele lepszą niedużą kolejkę o nazwie Smocza Gardziel, która, co było czymś nowym, przebiegała na pewnym odcinku pod dachem i częściowo w ciemności. Nie jestem pewien, jak szybko zaliczyłem potem Tornado i Pioruna; były to raczej prędkie i turkoczące odmiany tego samego pierwowzoru, z kobietami krzyczącymi w autentycznym i udawanym strachu i mężczyznami, którzy rozdziawiali gęby, udając, że się śmieją. Ale najpierw nadszedł dzień, kiedy zadebiutowałem na Podniebnej Mili, wspierany, jak to było w zwyczaju, przez kilku kolegów, którzy już ją zaliczyli i zapewniali, że to małe piwo.

Nie tylko nie była taka straszna, ale wkrótce stała się nudna. Przez jakiś czas

eksperymentowałem, jeżdżąc w pierwszym, ostatnim i środkowym wagoniku, i niebawem potrafiłem z zamkniętymi oczyma przewidzieć dokładnie każdy szus i zakręt Podniebnej Mili - lepiej niż po latach udawało mi się kiedykolwiek z otwartymi oczyma czytać mapę lotniczą podczas służby w siłach powietrznych i udaje mi się do dziś czytać mapę samochodową. W gruncie rzeczy często zaliczaliśmy tę i inne kolejki z zamkniętymi oczyma, starając się zazwyczaj na próżno poczuć dreszcz emocji. Wkrótce jedyną przyjemnością, jakiej doznawaliśmy w trakcie przejażdżki, była możliwość pokazania podziwiającym nas widzom, jak dzielnie poczynamy sobie w obliczu oczywistego niebezpieczeństwa.

Żadnego z nas, ani wtedy, ani później, nie było nigdy stać na taką nonszalancję w stosunku do Cyklonu. Zwolniono mnie z wojska w maju 1945 roku - wojna przeciwko Japonii wciąż trwała, kiedy nasz rząd rozpoczął demobilizację - i znalazłem się z powrotem w domu, nie mając większego pojęcia, czym zająć się w ciągu dnia. Pogoda była piękna. Wszystkie piwniczne kluby umarły śmiercią naturalną. Wolny jak ptak, ruszyłem Surf Avenue w cywilnych spodniach i wojskowej polowej kurtce, szukając jakiegokolwiek starego znajomego, z którym mógłbym się razem zabawić.

W wyniku szczególnego połączenia pecha i fartu znalazłem się wśród pierwszych zwolnionych do cywila na mocy świeżo wprowadzonego systemu punktowego. Pech polegał na tym, że straciłem większość kieszonkowego, grając w kości lub w karty w bazie w San Angelo w Teksasie i w związku z tym byłem pod ręką w weekend, kiedy przysłano rozkaz zwolnienia pewnej liczby oficerów. To ostatnie było uśmiechem losu. Kiedy dotarłem do domu, wszyscy, których znałem w sąsiedztwie, najwyraźniej jeszcze nie wrócili. Idąc Surf Avenue, spostrzegłem nagle Daveya Goldsmitha, którego nie widziałem od trzech lat. Przyjechał do domu na urlop i przyświecał mu ten sam cel co mnie, to znaczy szukał kogoś, z kim mógłby zaszaleć. Uściskaliśmy się serdecznie, po czym ruszyliśmy szybko, prawie biegiem do wesołego miasteczka w poszukiwaniu dawnych czasów i naszego oddalającego się dzieciństwa. W szkole radziłem sobie lepiej od Daveya, ale wszędzie poza tym był ode mnie sprytniejszy i bardziej pewny siebie. (Kiedy się z nim ostatnim razem widziałem, był właścicielem fabryczki produkującej wstążki do kapeluszy, w której pracował od ukończenia szkoły średniej). U słynnego Nathana przełknęliśmy kilka hot dogów oraz dwie torebki jego niezrównanych frytek i poczuliśmy się rzeczywiście jak w dawnych czasach. Nawet lepiej, ponieważ mieliśmy teraz dość forsy, żeby fundnąć sobie wszystko, na co mieliśmy ochotę. (Jako oficer sił powietrznych, pełniący służbę bojową za oceanem, wysyłałem do domu masę szmalu). Kiedy poszliśmy na wieżę spadochronową, ponownie byłem spięty i zemocjonowany przez kilka sekund, które poprzedzały całkiem zwyczajny skok wewnątrz ochronnej siatki. Spadając zastanawiałem się, dlaczego ktoś chciałby skoczyć stąd jeszcze raz. Wrażenie, jakie wywierał Cyklon, nie osłabło z upływem lat - o które postarzał się zarówno Cyklon, jak ja. Przejechaliśmy się nim raz. Nie wiem, co robił Davey, ale ja trzymałem się z całej siły poręczy w trakcie dzikich szusów i wiraży i wylazłem z wagonika z łomotem w głowie i zdrętwiałą szyją. I natychmiast,

nie potrzebując ubierać tego w słowa, zdałem sobie sprawę, że ta część mojego życia jest już bezpowrotnie skończona. Po sześćdziesięciu misjach bojowych stałem się selektywny w wyborze przygód i nie miałem wątpliwości, że nigdy nie nabiorę ochoty na przejażdżkę tą ani jakąkolwiek inną diabelską kolejką. Davey Goldsmith może i o tym marzył, ale Joey Heller nie. Skończyłem dwadzieścia dwa lata, wkrótce miałem wstąpić w związek małżeński i byłem za stary. Niczym ktoś o wiele starszy, doznałem już bowiem przedtem podobnego poczucia straty, uświadomiłem sobie ze smutkiem, że rozstaję się na zawsze z czymś drogocennym, i jednocześnie rozstawałem się z tym czymś z olbrzymią ulgą. Satysfakcję sprawia często pożegnanie również z dobrymi rzeczami i jedną z nich jest dzieciństwo. Kolejną jest młodość.

Po Cyklonie Davey pojechał ze mną trolejbusem do fantastycznej rybnej restauracji Lundy'ego w Sheepshead Bay, żeby nauczyć mnie jeść surowe małże z połówki muszli. Nigdy przedtem nie spojrziałem małży prosto w oko. Nie sądziłem, że można to zrobić. Davey udowodnił mi, że owszem, można, i od tego czasu zajadam się nimi bez przerwy.

Wesołe Miasteczko Steeplechase było zawsze trochę gorszym miasteczkiem, ale miało przecież swoje plusy. Większość atrakcji mieściła się pod dachem, w przestronnym pawilonie chroniącym przed promieniami słońca i deszczem. Za dziesięć albo piętnaście centów kupowało się kartę wstępu, bez prawa do korzystania z poszczególnych obiektów, i wiele osób poprzestawało tylko na tym. W środku były budki ze szklaną wata, parówkami i lodami, gry zręcznościowe i hazardowe, wśród nich automat na monety, w którym wygrywało się kokosa. Byli ludzie, na których można się było pogapić, a także (tych ceniliśmy najbardziej) którzy kupowali bilety na wszystkie atrakcje i korzystali tylko z niewielu; kiedy się ich poprosiło, mogli wychodząc oddać pozostałą część biletu. Była sala widowiskowa z wygodnymi miejscami na prawie trzysta osób, do której wpuszczano za darmo. Na jej scenie nie podejrzewający niczego ludzie, którzy właśnie zaliczyli Steeplechase i zmierzali do wyjścia, stawali nagle w światłach jupiterów niczym artyści przed publicznością. Żeby uciec, musieli przejść przez całą scenę, obsypywani docinkami przez dwóch albo trzech czekających na nich błaznów. Pierwszy z nich, karzeł, przebrany był za klauna, drugi za farmera, a raczej tak, jak nowojorczyk wyobraża sobie farmera z zapadłej wsi, trzeci za kowboja. Na scenie stało kilka rozchybotanych kolumn skleconych z połączonych linami malowanych beczek, które mogły się nagle zacząć chwiać, podobnie jak całe fragmenty podłogi. Kolejnymi niespodziankami były słabe wyładowania elektryczne oraz podmuchy powietrza, które podnosiły w górę spódnice kobiet i zrywały z głów kapelusze mężczyzn. Było to w czasach, kiedy mężczyźni wciąż nosili kapelusze, nawet latem w wesołym miasteczku - kapelusze słomkowe i panamy. Jeden z przebranych wesołków dzierżył w ręku długi drewniany kij, którym usiłował klepać ludzi po tyłkach, drugi wymachiwał metalowym prętem podłączonym do gniazdka, bez ogródek strasząc, że porazi biedaków prądem. Ludzie natykający się na nich bez ostrzeżenia, widząc wpatrującą się w nich publiczność, mogli przynajmniej na

sekundę wpaść w panikę i uznać, że trafili jakimś cudem do izby łagodnych tortur w pierwszym kręgu piekła.

Za dwadzieścia pięć centów można było w Steeplechase kupić okrągły różowy bilet z numerkami od 1 do 25, który uprawniał do skorzystania z dwudziestu pięciu atrakcji. Zawieszony był na luźnym białym sznurku, który zakładało się na szyję, żeby go nie zgubić. Za pięćdziesiąt centów kupowało się niebieski bilet, który uprawniał do trzydziestu jeden atrakcji - tych sześć dodatkowych miało opinię najlepszych w całym miasteczku. Nasza metoda polegała na tym, żeby dostać się w jakikolwiek sposób do środka, po czym zapytać grzecznie zmierzającą ku wyjściu wytwornie ubraną panią lub pana, czy już wychodzi, a jeśli tak, to czy mogłaby lub mógłby nam oddać pozostałą część biletu. Nie widzieli powodu, żeby nam odmawiać. Wiele starszych osób prawie nie korzystało ze swoich biletów; decydowali się tylko czasami na przejażdżkę elegancką karuzelą, skonstruowaną pierwotnie dla jakiegoś niemieckiego króla przez budowniczego mostów z Lipska. Mogli się na niej pokręcić przez kilka minut, siedząc na ławce w bogato zdobionej gondoli. A nam udawało się zebrać dość biletów, by zaliczyć każdą atrakcję dowolną ilość razy, w związku z czym wkrótce nie mieliśmy ochoty na żadną.

Luna Park, jak już wspomniałem, wydawał się nam zdecydowanie lepszy. A jednak to właśnie Luna Park zamknięto w pierwszej kolejności, parę lat po zakończeniu wojny, po kilku pożarach, a także desperackich i daremnych próbach przyciągnięcia większej liczby gości. Na jego miejscu stoi teraz zbudowane przez prywatnych inwestorów, wyszukane architektonicznie osiedle mieszkaniowe dla ludzi o średnich dochodach.

Steeplechase trzymał się dzielnie i dopiero w latach sześćdziesiątych dał za wygraną i zamknął podwoje.

Kilka lat wcześniej wraz z moimi przyjaciółmi, George'em Mandelem i Mariem Puzo wybrałem się tam pewnego popołudnia z wizytą, która okazała się ostatnia. Mario wydał już dwie powieści, „Ciemną arenę” i „Mamę Lucie”, ale nie ukazał się jeszcze „Ojciec chrzestny”. George opublikował *Flee the Angry Strangers* oraz *The Wax Boom*. Mój „Paragraf 22” wyszedł całkiem niedawno, w 1961 roku. Maria poznałem kilka lat wcześniej przez George'a. Był leniwy senny dzień i wszyscy pojechaliliśmy tam z dziećmi, ja z moim dwojgiem, George ze swoim dwojgiem i Mario z jednym albo dwojgiem z pięciorga.

Te same cechy, które zniechęcały nas w przeszłości, czyniły teraz Steeplechase idealnym miejscem dla nieruchawych czterdziestoletnich tatusiów ze swoimi pociechami. Było czysto, panował porządek, było bezpiecznie. Podczas gdy dzieciaki ganiały po terenie i przejechały się najpierw kolejką, która krążyła powoli dookoła, a potem drugą, która robiła dokładnie to samo, my trzej mogliśmy usiąść spokojnie na ławce i pogadać o takich sprawach, jak wydawcy, promocja książek, zaliczki i honoraria, a także ten parszywy Klub Książki Miesiąca, który nie zwracał uwagi na żadnego z nas. Dzieci nie chciały na szczęście zaliczać zbyt wielu atrakcji, które wymagałyby naszego uczestnictwa. Sami nie mieliśmy ochoty na żadną. Na początku Mario, który nie pochodził z Coney Island i był raczej tęgi, zdecydował się

na Magiczną Beczkę. Osunął się powoli na wirującą podłogę i nie mogąc w ogóle wstać, prezentował zabawny widok, zanosząc się śmiechem i turlając bezradnie przez kilka minut z nie zapalonym długim, bardzo długim cygarem w dłoni, aż w końcu pracownik w czerwonej kurtce i zielonej dżokejskiej czapce wszedł do środka i pomógł mu podnieść się na nogi. Potem nie miał już ochoty na nic więcej. Wesołe miasteczko było spokojne i raczej puste tego słonecznego popołudnia. Po kilku mile spędzonych godzinach zaczęliśmy się szykować do wyjścia i kiedy szliśmy do bramy, przyszło mi do głowy, że minęło oto całe pokolenie; gdyby podszedł do nas teraz jakiś dzieciak i poprosił o bilety, dostałby trzy niebieskie, które były prawie nienaruszone z wyjątkiem pierwszego numerka przedziurkowanego przez Maria. Kiedy następnym razem odwiedziłem Coney Island, Steeplechase już tam nie było i tylko czerwony szkielet wieży spadochronowej znaczył jego miejsce niczym cmentarny obelisk.

Co roku po Święcie Pracy, które tradycyjnie kończy sezon w większości amerykańskich kurortów, na Surf Avenue przez cały tydzień trwały parady, mylnie ochrzczone mianem Ostatków przez promotorów, którzy nie wiedzieli bądź nie przejmowali się tym, że nazwa ta związana jest z wiosną i postem. Jeśli nienawidzicie parad tak samo jak ja nienawidziłem wtedy i wciąż nienawidzę, z radością znienawidzilibyście odbywające się na Coney Island Ostatki, zawierały bowiem w sobie wszystko, co jest wstrętne, krzykliwe i sztuczne w paradach. Były długie i były męczące. Miały przyciągnąć na Coney Island tłumy oraz przedłużyć o kilka dni sezon i spełniały to zadanie. W Ostatki pojawiało się tu najwięcej znanych osobistości i nowojorskie gazety, których wtedy było mniej więcej siedem, zamieszczały często uśmiechniętą buźkę kogoś z branży filmowej, kogo sfotografowano dzień wcześniej i kto sprawiał wrażenie świetnie się bawiącego.

Mimo tych negatywnych odczuć pędziliśmy na Ostatki prawie codziennie, bardziej z powodu towarzyszących im atrakcji i jedzenia niż samych parad. Zabawne było już samo wmieszanie się w tłum. Co noc odbywała się w zasadzie ta sama parada. Raz nazywano ją „Wieczorem Strażaka”, raz „Wieczorem Policjanta” lub jeszcze inaczej, ale sunące środkiem ulicy platformy były prawie identyczne, przygrywały te same orkiestry dęte i w prawie każdej uczestniczącej w paradzie grupie było kilka funkcjonariuszek kobiecych służb pomocniczych. (Wszystko, co maszerowało, miało kobiecą służbę pomocniczą, a ja do tej pory nie wiem, co to takiego). I zawsze mieliśmy pięć centów na przynajmniej jednego hot doga. Walące chodnikami tłumy ludzi, nie zwracających na ogół większej uwagi na maszerujących, były potencjalnie bardziej interesujące od parady. W sobotnie popołudnie maszerował trochę inny pochód o nazwie „Parada dzieci”, skrajnie groteskowy konkurs, do którego matki przygotowywały swoje bezbronne pociechy na kilka tygodni naprzód, a potem wiozły w wózkach przed jurorami w gorącej nadziei uzyskania wyróżnienia lub nagrody za swój trud. Wątpię, żeby pierwszą nagrodę stanowiło stypendium w West Point.

Którejś nocy zobaczyłem podczas parady jadącego w samochodzie burmistrza La Guardię. Miał na głowie brązową fedorę z zawiniętym jak u kowboja rondem.

Przyznaję, że byłem bardzo przejęty. Byłem młody i przejęty i cieszę się z tego, ponieważ nic nie podważyło dotąd naszego wyobrażenia o Fiorellu H. La Guardi jako wyjątkowo uczciwym polityku. Oprócz Franklina Delano Roosevelta nie przychodzi mi po nim na myśl wielu, którzy byliby godni wzmianki.

Dawno temu, kiedy stali i sezonowi mieszkańcy naszej dzielnicy mieli prawie wyłącznie biały kolor skóry, kandydaci ubiegający się o lokalne i ogólnokrajowe stanowiska zwyczajowo odwiedzali w czasie kampanii wyborczej Coney Island. Zarówno wtedy, jak i teraz ich celem nie było bynajmniej bratanie się z plebsem, lecz sfotografowanie się w trakcie przechadzki po deptaku z parówką w ręku oraz obowiązkowym uśmiechem, z którym pozdrawiali ludzi podnieconych faktem, że zobaczą swoje zdjęcie w gazecie. Zanim jeszcze zacząłem traktować z niepoprawnym cynizmem wszystkich Amerykanów startujących w wyborach, drażniła mnie ta bezczelna protekcyjność, demonstrowana w niezamożnej dzielnicy, w której widać już było gołym okiem oznaki zbliżającego się nieodwracalnego upadku. Jednym z najbardziej irytujących obrazków, jakie przechowuję w pamięci, jest zamieszczone w gazecie zdjęcie Nelsona Rockefellera, który promując w kampanii wyborczej siebie albo jakiegoś innego republikanina, zatapia dobrodusznie zęby w parówce z Coney Island. A jedno z zabawniejszych wspomnień wiąże się z postacią Henry'ego Cabota Lodge'a, potomka patrycjuszowskiego rodu nowoangielskich Lodge'ów, który poddał się temu samemu upokarzającemu rytuałowi - upokarzającemu dla niego i upokarzającemu dla miejscowego elektoratu, któremu chciał się podliznąć. Facet odznaczał się wrodzonym nieskazitelnym smakiem i wciąż można czerpać (ja w każdym razie czerpię) sadystyczną przyjemność, wyobrażając sobie straszliwy wstręt, jaki bez wątpienia odczuwał, i modląc się z wytrwałą złośliwością, aby trochę musztardy skapnęło mu z hot doga na koszulę. Pamiętam, że stwierdziłem wówczas, iż wystarczająco przykre jest to, że mamy takich ludzi na publicznych urządach, byśmy musieli z nimi jeszcze wchodzić w komitwę, oraz że żaden z nich nie spacerowałby, szczerząc zęby, po Coney Island, gdyby musiał tam mieszkać.

Lata mojego dzieciństwa były latami Wielkiego Kryzysu, nie mieliśmy jednak wtedy jasnego wyobrażenia, co właściwie oznacza ten termin. Na naszych cudownych ulicach mogliśmy się do woli bawić. Wspaniałe było również to, że ulica znajdowała się zaraz za drzwiami i oknami naszych domów. Widzieliśmy, którzy z kolegów już wyszli i w co mają zamiar się bawić. Jeśli mieliśmy w tej mierze jakieś wątpliwości, mogliśmy zawsze wyjść i zapytać. Naszym najcenniejszym bogactwem były prawdopodobnie inne dzieciaki. Prawie zawsze było w pobliżu dość starszych i młodszych małolatów z sąsiedztwa, żeby zorganizować jakieś zajęcie i stworzyć jakąś drużynę.

Tym właśnie był blok - leżącym między dwiema przecznicami odcinkiem ulicy, gdzie roiło się od dziewcząt i chłopców i gdzie zawieraliśmy wszystkie znajomości, jakie nam, młodym, były potrzebne do szczęścia. Na początku nasze zainteresowania skupiały się prawie wyłącznie na własnym bloku, nie na całej ulicy. Nasi najbliżsi szkolni koledzy mogli być z innych bloków i innych ulic, ale poza

szkołą nie spędzaliśmy z nimi dużo czasu, chyba że graliśmy akurat z ich blokiem w punchball albo hokeja. Kiedy rodzina przeprowadzała się na inną ulicę, dzieci prawie zawsze próbowały podtrzymać związki ze starym blokiem i nie chciały asymilować się w nowym. Co jakiś czas dwa bloki decydowały, że będą ze sobą walczyć; kiedy do tego dochodziło, grupowaliśmy się w bezpiecznej odległości, przez kilka minut rzucaliśmy w siebie kamieniami, a potem wracaliśmy do zwykłych zajęć bez wrogich uczuć, których prawdopodobnie w ogóle do siebie nie żywiliśmy.

Plaża, podobnie jak ulica, wywierała silny wpływ na nasze codzienne życie. W lecie chodziliśmy tam każdego ciepłego dnia. Jakie można było sobie wymarzyć lepsze miejsce? Jesienią graliśmy tam w futbol, wskutek czego byliśmy przyzwyczajeni do miękkiego piasku i dawaliśmy plamę, kiedy trzeba było zagrać na zwykłym boisku. Przyznaję z pewną negatywną dumą, że żadna z osób, z którymi dorastałem, nigdy nie zrobiła ani nawet nie próbowała zrobić kariery w sporcie.

Nasze zajęcia odznaczały się pewnym rytmem, który wynikał po części z kolejności pór roku, po części z intuicji. Któregoś ciepłego dnia wczesną wiosną pokazywało się słońce i nagle dzieciaki na każdej ulicy podawały sobie piłkę na środku jezdni i zaczynał się sezon gry w punchball. Dziewczynki skakały przez skakanki na chodnikach i grały w klasy na wymalowanych białą kredą prostokątach. Jakiś czas po Świącie Pracy nadchodził moment, gdy wszyscy chłopcy dochodzili do wniosku, że lato nieodwołalnie się skończyło i pora zacząć grać w futbol. To samo dotyczyło hokeja - wcześniej czy później wszyscy zaczynali jeździć na wrotkach; na całej Coney Island prawie tego samego dnia przestawały fruwać w powietrzu piłki futbolowe i po mieście niósł się zgrzyt zaopatrzonych w stalowe kółka wrotek. W lecie oczywiście pływaliśmy, bawiliśmy się w wodnego berka, podnosiliśmy z dna różne rzeczy i opalaliśmy się na końcu obrosniętego mchem kamiennego falochronu na którym trenowaliśmy też sprint, pokonując z przykuwającą oko zwinnością nieregularne stromizny potężnych kamiennych bloków. Wieczorami, gdy ulice były zbyt zatłoczone, żeby się bawić, przenosiliśmy się na deptak, włączając się po nim godzinami i obserwując z zazdrością barwny i zmienny jak w kalejdoskopie świat dorosłych. Wreszcie posyłano starszych braci i siostry, którzy odnajdywali nas w tłumie i sprowadzali na noc do domu.

Zważywszy na to, jak słabo byliśmy strzeżeni, jak późno wracaliśmy do domu i ilu obcych kręciło się każdego lata po Coney Island, dziwne, że nikomu z nas nie stało się nic złego. Jak już zaznaczyłem, w mojej dzielnicy nie było praktycznie przestępczości i rzadko kiedy zdarzał się jakiś poważny wypadek. Nie pamiętam na przykład, bym przed pójściem do wojska słyszał o jakimś morderstwie na Coney Island (z wyjątkiem tego, które zdarzyło się o wiele wcześniej przy sali bilardowej). Nie było mi wiadomo o żadnym przypadku molestowania dzieci lub przemocy domowej. Pewnego razu jakiś dziwny mężczyzna usiłował zwabić do swojego samochodu Normę Goldman, mieszkającą ze swoją rodziną po drugiej stronie ulicy, w mieszkaniu, które poprzednio zajmowaliśmy; na ulicy wszyscy trąbili o tym przez dzień albo dwa. Jedyłą konsekwencją były powtarzane nam wszystkim, chłopcom i

dziewczętom, ostrzeżenia, żebyśmy nie chodzili nigdzie z obcymi. Na początku szkoły podstawowej Jackie Keshner, kolega z klasy, który mieszkał w mojej kamienicy, wpadł pod samochód na rogu. Przez jakiś czas miał nogę w gipsie i nie chodził do szkoły; większą część popołudnia spędzałem, przerabiając z nim materiał, zwłaszcza geografie, która okazała się najłatwiejszym i najbardziej wdzięcznym przedmiotem do przekazania. Na geografii, pamiętam, nauczyciel powtarzał nam solennie, że chleb jest „pokarmem życia”. Nie wyjaśnił, co to ma znaczyć, i wciąż tego nie wiem. (Niestety, mam wrażenie, że na początkowym etapie nauczania chyba wszędzie lekceważy się geografie. Z całą pewnością to potrzebny przedmiot; kiedy latem 1966 roku planowaliśmy podróż do Włoch, jedno z dwojga moich dzieci, liczące sobie kilkanaście lat, należące do klasy średniej i uczące się w drogiej prywatnej szkole na Manhattanie, chciało wiedzieć, dlaczego zamiast płynąć parowcem nie możemy wybrać się tam samochodem). Rozbój? Słyszałem tylko o jednym: przy Rubel Ice Company, dość daleko od miejsca, w którym mieszkaliśmy, opancerzony samochód został zatrzymany przez uzbrojonych rabusiów, którym udało się następnie zwiać motorówką przez zatokę Gravesend. Wyglądało to jednak, i nadal wygląda, na przestępstwo gospodarcze i, podobnie jak inne podpadające pod tę kategorię incydenty, nie miało z nami nic wspólnego. Interesującym, choć może dość luźnym przyczynkiem do naszej kroniki niech będzie fakt, że to właśnie skarga przeciwko narzucaniu norm federalnych, złożona przez zakład drobiarski Schechtera (również oddalony od nas o kawałek drogi i dostarczający świeże kurczaki, którym pod względem smaku i urody nie dorównuje żaden produkt zamrożony bądź też schłodzony w celach transportu), posłużyła za podstawę decyzji Sądu Najwyższego USA, który uznał powołaną w ramach Nowego Ładu Narodową Agencję Odbudowy za organ niekonstytucyjny. Gangster Abe Reles, Rubel Ice Company i kurczaki Schechtera - oto historyczne kamienie milowe, dzięki którym nasza kraina pojawiała się czasami na pierwszych stronach gazet.

Pewnego lata, kiedy miałem niewiele ponad dziesięć lat, utonął młodszy ode mnie chłopak z naszej kamienicy. Nie umiał, jak stwierdzono, pływać i trzymając się liny wyznaczającej kąpielisko zapuścił się za daleko na głęboką wodę, gdzie porwała go niespodziewanie wielka fala. Znałem jego siostrę, która chodziła do szkoły dwie klasy wyżej ode mnie; nim skończyło się lato, prawie zupełnie o nim zapomniałem. Miał również o wiele starszą, dorosłą drugą siostrę. Była drobną czarnowłosą dziewczyną z dołeczkami i pamiętam jej twarz wyraźniej niż innych, choć nie sądzę, byśmy kiedykolwiek wymienili między sobą coś więcej niż zdawkowy ukłon. Miała chłopaka i z powodu tego chłopaka wstydzilem się jej spojrzeć w oczy. Nazywał się Jack i leżąc na kocu na plaży zawsze oplatali się ramionami, drzemiąc, rozmawiając i całując się, na ogół pod promenadą, odizolowani od reszty rodziny, co także nie było w zwyczaju. Spacerując w tę i z powrotem, stale trzymali się za ręce albo szli objęci ramionami. W klubie Alteo był chłopak o imieniu Herbie, który miał dziewczynę Teddy, i tych dwoje stale widziało się na kanapie na zapleczu albo w głównym pomieszczeniu klubowym. A niejaki Arnie, członek klubu Amo Pharmacy, sąsiadującego z moim własnym klubem Highlight, miał dziewczynę o imieniu Bobby

i tych dwoje także zawsze tańczyło zmysłowo, policzek przy policzku, albo leżało na widoku w miłosnych objęciach na jednej z sof. Nie mam pojęcia, co się stało z którąkolwiek z tych namiętnych par. Czy ich nie znający skrępowania miłosny zapal nie wygasł? Czy pobrali się i pozostali sobie wierni? Jeśli żyją, są starsi ode mnie i nie należą do ludzi, z którymi miałbym ochotę się spotkać. Potrafię ich sobie wyobrazić wyłącznie jako młodych, wciąż oddających się miłosnym pieścizom i bez większych oporów ulegam pokusie przytoczenia w tym miejscu kilku strof A. E. Housmana:

Bolesnie serce pamięta Przyjaciół, jak złoto drogich: Różanouste dziewczęta, Chłopaków skrzydłatonogich.

Nad strugami nie do przeskoczenia Śmigłonodzy chłopcy dziś drzemią; Śpią różanouste stworzenia Pod usłaną płatkami róż ziemią.

Rymowane wersy o śmierci bądź nieubłaganym upływie czasu stanowią ostateczną granicę, do której dotarłem w moich usiłowaniach polubienia poezji, i dawno temu porzuciłem dalsze próby. Poza tym z trzech par, o których wspomniałem, tylko jedna z pańienek, Bobbie, miała złote włosy. Włosy drugiej były miodowobrazowe. Nie mogę też przysiąc, czy chłopcy byli śmigłonodzy. Niezbyt często widziałem ich w pozycji wyprostowanej.

Choć w tym czasie nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, co mi grozi, co najmniej trzy razy przed opuszczeniem domu o mały włos nie zginąłem w wypadku: raz z powodu latawca, drugi raz, wypływając zbyt daleko w morze, i trzeci raz pod kołami samochodu, kiedy uciekałem któregoś wieczoru przed bratem, nie usłuchawszy matki, która wołała mnie przez okno na górę. Umykałem przed nim dla zgrywy, nie ze strachu, i wciąż chichotałem jak półgłówek, gdy nagle, w ostatniej chwili, jak to mówią, zatrzymał się przy mnie z piskiem opon samochód i stanąłem w świetle jego reflektorów, oparty o kratę chłodnicy. Z ucieczki przed Lee uczyniłem zabawę; to samo zrobiłem kilka lat wcześniej w dniu pogrzebu ojca. Starsi chłopcy z bloku, którzy dobrze wiedzieli, jaka uroczystość odbywa się tego dnia (podczas gdy mnie udało się przekonać samego siebie, że nie mam pojęcia), musieli ganiać za mną po okolicznych werandach, zapędzić w ślepy zaułek i trzymając za rękę zaprowadzić do samochodu jadącego do kaplicy, której wcale nie pamiętam i do której, ponieważ skończyłem wtedy dopiero pięć lat, być może wcale mnie nie wpuszczono, następnie zaś na cmentarz, który pamiętam bardzo słabo. W wojsku o mały włos nie zginąłem młodo niezliczoną ilość razy, ale tego również sobie nie uświadamiałem do chwili, gdy zobaczyłem krew lejącą się z człowieka, który został ranny w samolocie. Sądzę, że moje wojenne doświadczenia w tym względzie nie różnią się wiele od tych, które miał każdy żołnierz piechoty, marynarz i spadochroniarz, słowem każdy, kto pojawia się raz pierwszy na współczesnym polu walki. Ja, na szczęście, uprzytomniłem to sobie dopiero, gdy upłynął już dłuższy okres mojej służby, w trakcie trzydziestej siódmej misji. Potem jednak znajdowałem się w stanie bliskim paniki podczas startu do każdego z lotów bojowych, które mi pozostały.

Co się tyczy latawca: dysponujący nieograniczonymi funduszami starsi młodzieńcy puszczali czasami na plaży całe grupy latawców powiązanych ze sobą

sznurkami, wskutek czego zarówno główna jak i boczne linki były w końcu bardzo mocno napięte. Obserwując ich któregoś razu, zauważyłem, że pojedynczy sznur latawców oderwał się i dryfuje w stronę lądu. Ruszyłem za nimi ulicą i zobaczyłem, że opadają nad moją kamienicą. Pobiegłem po schodach na dach. Tam odkryłem, że koniec sznurka, do którego były przywiązane, zaczepił się o drut anteny radiowej kilka stóp pod niskim ochronnym parapetem okalającym dach kamienicy. Najbliższy latawiec wisiał tam zaczepiony ogonem, ale nie był dość blisko; znajdował się poza moim zasięgiem. Z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy. Położyłem się na niskim kamiennym murku i zacząłem ostrożnie pełznąć, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do skraju dachu (podczas gdy moja matka siedziała na dole, rozmawiając z sąsiadkami przed domem; cóż za upiorna niespodzianka mogła ją spotkać!). W dalszym ciągu nie mogłem jednak złapać sznurka ani ogona latawca. A potem zerknąłem w dół wzdłuż bocznej ściany budynku i zobaczyłem, że sterczą bardzo wysoko nad naszą aleją i pojemnikami na śmieci. Nie czułem strachu. Wychylałem się coraz bardziej, zupełnie jakbym nie zdawał sobie sprawy, że narażam się na poważne niebezpieczeństwo. Chwila refleksji uświadomiłaby mi być może, że gdybym poprosił matkę, siostrę lub brata o pięć albo dziesięć centów na własny latawiec, prawdopodobnie bym je dostał; gdyby mi odmówili, mogłem zawsze zwędzić kolejną monetę z odkrytej przeze mnie skrytki siostry. Ale ja chciałem mieć ten latawiec. Pragnienie jego posiadania przeobraziło się w żądzę. Pełzłem więc i wychylałem się, wychylałem się i pełzłem. A potem z jakiegoś niejasnego powodu zatrzymałem się; i w jednej sekundzie postanowiłem dać za wygraną. Obleciał mnie, jak to mówią, strach i, dzięki Bogu, po prostu się wycofałem. Wyprostowałem się i odpełzłem od krawędzi dachu tak samo ostrożnie, jak do niej dopelzłem, bardziej bojąc się, że powinie mi się noga teraz, niż wtedy gdy narażałem się na niebezpieczeństwo, zaledwie kilka sekund wcześniej.

Uważam dziś, że ryzykowałem kalectwo, mogłem zostać sparaliżowany albo nawet zginać, kiedy bawiliśmy się w berka w pustej łaźni i przeskakiwałem z jednego rzędu pustych szafek na drugi. I wiem dziś na pewno, że ocierałem się o śmierć za każdym razem, gdy płynąłem do boi dzwoniącej, chociaż robiąc to, nie odczuwałem większych obaw.

Lato zaczynało się dla nas oficjalnie chyba pod koniec czerwca, w dniu zakończenia roku szkolnego, gdy bieглиśmy uszczęśliwieni do domu, wymachując świadectwami - ja z piątką z przedmiotów szkolnych i czwórką z plusem ze sprawowania - i wykrzykując do wszystkich mijanych osób, że zdaliśmy do następnej klasy. „Niech żyje Szkocja/jutro promocja”, brzmiał refren, który śpiewaliśmy. Inny brzmiał następująco: „Koniec z lekcjami/koniec z książkami/koniec z belferskimi/świńskimi oczkami”. Pływaliśmy w oceanie i paradowaliśmy w kąpielówkach od maja i w tym czasie byliśmy już dość opaleni, by zazdrościli nam wszyscy chodzący do pracy dorośli oraz letnicy. Plaża Coney Island była wtedy, podobnie jak i teraz, nieludzko zatłoczona w soboty i niedziele, ale nam to nie przeszkadzało, ponieważ prawie nigdy nie szukaliśmy miejsca, żeby gdzieś przysiąść. Zamiast tego bez przerwy włączaliśmy do wody i wyłaziliśmy z niej,

skakaliśmy z drewnianego pomostu prowadzącego na usypany z głazów falochron albo biegliśmy na jego kraniec, żeby odpocząć lub popatrzeć na dziwacznych osobników, którzy siedzieli tam godzinami, ze spławikami, wędziskami i kołowrotkami, i nigdy nie złapali niczego poza cholernymi pomarańczowymi krabami. My mogliśmy ich złowić, ile tylko chcieliśmy, rozbijając muszlę oderwanego od skały małża i zanurzając go w wodzie na sznurku przewleczonym przez jeden z otworów. Nie mieliśmy jednak pojęcia, co z nimi potem zrobić. Dopiero kiedy do kamienicy po drugiej stronie ulicy wprowadziła się włoska rodzina, odkryłem ze zdumieniem i chwilowymi mdłościami, że małże i kraby można jeść.

- Dokąd z tym idziesz? - zapytałem któregoś dnia Dolly Partini, kiedy wracała z plaży z wiadrem czarnych małży.

Dopiero wiele, wiele lat później odważyłem się ich spróbować i dziś zanoszę się optymistycznym chichotem za każdym razem, gdy widzę je w menu nowej restauracji, podawane w normandzkim białym rosole lub z czerwonym sosem marinara.

Nauczyliśmy się pływać w płytkiej wodzie w wieku siedmiu, ośmiu lat. Fale na Coney Island rzadko kiedy są wysokie i nawet gdy morze jest wzburzone, nigdy nie jest tak wzburzone jak na innych atlantyckich plażach. Brzeg jest osłonięty z jednej strony przez wyrastający z New Jersey cypel Sandy Hook, z drugiej przez stanowiącą część Queens plażę Rockaway i nie wychodzi na otwarte morze. Kiedy odważyliśmy się już unosić na wodzie „jak trup” i odkryliśmy, że możemy tak pozostawać dłużej niż przez jeden lub dwa wymachy ramion, zaczęliśmy się szykować do dopłynięcia do „trzeciego pala”. W rzeczywistości nie był to pał, lecz lina łącząca dwa pale wbite w dno w najdalszym punkcie strzeżonego kąpieliska. Grube pale stały w równoległych rzędach i odległość od tego najbliższego, przy brzegu, do najdalszego, trzeciego, wynosiła najwyżej czterdzieści, pięćdziesiąt jardów. Podczas odpływu mogliśmy przejść więcej niż połowę drogi i kiedy zebraliśmy się już na odwagę, pokonać drugą połowę, trzymając się liny. Przy drugim i trzecim palu graba konopna lina była przymocowana powyżej poziomu wody, w związku z czym musieliśmy ją puścić, opłynąć pał i złapać w miejscu, gdzie ponownie się obniżała. Dzień, kiedy udało nam się dotrzeć - nieważne jak - do trzeciego pala, był dniem naszego triumfu i chwały. Ten, kto potrafił bez lęku pływać regularnie tam i z powrotem, zdobywał określony status w młodej męskiej społeczności. Jedynym morskim wyzwaniem, któremu musiał jeszcze wtedy sprostać, była boja dzwoniąca, unosząca się na wodzie w odległości pół mili od brzegu, ćwierć mili, a może pięćset jardów za liną trzeciego pala.

Boja była jasnoczerwona i dzwoniła tak niestrudzenie, że wkrótce ogłuchliśmy na jej dźwięk, podobnie zresztą jak na hałas elektrycznych tramwajów jeżdżących tuż obok Surf i troszeczkę dalej Railroad Avenue. Nocujący u nas po raz pierwszy krewni byli wstrząśnięci intensywnością i różnorodnością hałasów, które musieli znosić i na które nasza rodzina zdążyła się już dawno selektywnie uodpornić. W naszej niewinności i ignorancji nazywaliśmy wtedy tę boję bellboy. Dopiero po

skończeniu anglistyki na Uniwersytecie Nowojorskim, zrobieniu magisterium na Columbii, kolejnym roku anglistyki na stypendium Fulbrighta w Oksfordzie oraz dwuletnim nauczaniu angielskiego na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, w trakcie rozmowy z moim znajomym, Marvinem Greenem, który od dziecka uwielbiał żeglować i sprzedawał diapozytywy, w czasie gdy ja zamawiałem je, pracując w dziale promocji magazynu „Time”, otworzyły mi się oczy: wyrazu buoy, boja, nie wymawia się „boj” jak w buoyant, lecz bardziej poprawnie „bu-ej”, jak w żadnym innym angielskim wyrazie, który znam. Słyszając po raz pierwszy jego wymowę, zaśmiałem się szyderczo, i myślałem, że zwariował. Oczywiście zaraz pobiegłem to sprawdzić w słowniku. Moja wersja wciąż bardziej mi się podoba.

Dopłynięcie do boi dzwoniącej nie było zbyt niebezpieczne, jeśli, po pierwsze, umiało się pływać, po drugie, wiedziało, jak do niej dotrzeć. Nie sposób było naprawdę przygotować się wcześniej do tego zadania. Nadchodził po prostu dzień, kiedy ten z nas, kto tam jeszcze nie był, dochodził do wniosku, że potrafi tego dokonać, i dołączał cały spięty do grupy innych chłopców, którzy dopłynęli do boi dzwoniącej i udało im się jakoś przeżyć. Bez względu na to, jak odważni i młodzi, byliśmy jednak zbyt ostrożni i rozsądni, żeby próbować samemu.

Stojące daleko w wodzie, przechylające się w lewo lub w prawo czarne portowe pale mówiły nam, jaki jest kierunek prądu, i w zależności od tego szliśmy kilka przecznic w górę lub w dół plaży. Chodziło o to, by prąd nie oddalił nas, lecz raczej poniósł w stronę unoszącej się na wodzie małej boi z okrągłą platformą dookoła, która była naszym celem. Tam dalej był na ogół dość silny i gdybyśmy pomylili się w obliczeniach i minęli boję, obawiam się, że wyczerpani poszlibyśmy na dno. Byliśmy zbyt młodzi i na pewno nie dość zahartowani, żeby pokonać odległość tam i z powrotem bez odpoczynku.

Na początku płynęliśmy całą grupą prosto do liny przy trzecim palu. Tam zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby złapać oddech, podbudować morale i uzupełnić zużyte zapasy energii. Potem, za ogólną zgodą, ruszaliśmy nie w stronę boi, lecz prosto przed siebie, licząc na to, że prąd poniesie nas ku unoszącemu się na wodzie obiektowi. Płynęliśmy niespiesznie, na zmianę pieskiem i wygodną odmianą stylu bocznego. Posuwając się naprzód, prowadziliśmy urywaną rozmowę, której wyłącznym celem, choć nie mówiliśmy tego głośno, było wzajemne dodanie sobie odwagi. Im dalej znajdowaliśmy się od brzegu, tym bardziej staraliśmy się trzymać razem. Stopniowo zbliżaliśmy się do boi dzwoniącej. Nie był to jakiś nadzwyczajny wyczyn, naprawdę; wymagał bardziej cierpliwości niż hartu ducha - chłodnej cierpliwości. Pracowało się po prostu spokojnie nogami i rękoma i spokojnie rozmawiało; po jakimś czasie można było rozróżnić znaki na czerwonej farbie i było się prawie u celu. Niepokój mógł pojawić się tylko, kiedy człowiek obejrzał się, zobaczył kurczący się, miniaturowy brzeg i uświadomił sobie - jeśli miał tak niespokojną wyobraźnię jak ja - jak daleko jest ewentualna pomoc. Nagle wszystko, co normalnie było duże, stawało się takie małe! (Dzisiaj samo przypomnienie tego lilipuciego obrazu wystarczy, żeby przeszedł mnie dreszcz). Oczywiście na jakąś pomoc można było zawsze liczyć ze strony płynących obok kolegów. A prąd przez

cały czas niósł nas coraz bliżej. Kiedy znajdowaliśmy się jakieś piętnaście albo dwadzieścia jardów od boi, zmienialiśmy styl na dynamiczny, jak go wtedy nazywaliśmy, australijski kraul, i młócąc wściekle wodę, pokonywaliśmy błyskawicznie pozostałą część dystansu. Dotarwszy do celu, wdrapywaliśmy się na platformę i huśtając się parami po obu stronach, uruchamialiśmy z triumfem dzwon, żeby zwrócić na siebie uwagę całej plaży. Rewelacyjny był widok spienionych fal, które rozbijały się o podstawę boi.

Droga powrotna nigdy nie miała w sobie tego dramatyzmu, który ekscytuje młodego chłopca podejmującego męskie wyzwanie, głównie dlatego, że, jak sądzę, z każdą minutą nie oddalaliśmy się, lecz wracaliśmy w bezpieczne miejsce. I tym razem naszym celem była długa na kilka mil plaża, której nie sposób było ominąć. Ale kiedyś pewien chłopiec w czteroosobowej grupie bardzo się zmęczył i oznajmił, że nie da rady wrócić. Bez większego pośpiechu, nawet bez poczucia jakiegoś realnego niebezpieczeństwa, każdy z nas złapał go po prostu za jakąś część ciała i wspólnie doholowaliśmy go wystarczająco blisko trzeciego pala, żeby zdołał przepłynąć samodzielnie kilka ostatnich jardów. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Nie sądzę, byśmy zdawali sobie sprawę, że właśnie uratowaliśmy mu życie; tak naprawdę nie wierzyliśmy, że mógł utonąć.

Nie przypominam sobie jednak, bym popłynął kiedyś po tym wydarzeniu do boi. Wątpię również, żeby on to zrobił. Nazywał się Irving Kaiser, ten sam Irving Kaiser, który mieszkał piętro niżej - o rok młodszy i chudszy ode mnie, a ja byłem dosyć chudy - ten sam, którego sześć lat później zabił we Włoszech pocisk artyleryjski. Jego śmierć zasmuca mnie bardziej teraz, kiedy o tym piszę, niż, jak sądzę, pozwoiliem, by zasmucała mnie, gdy się o tym dowiedziałem i nawet potem, gdy wróciłem na Coney Island i widywałem się często z jego matką. Myślę, że nauczyłem się już wówczas tłumić bolesne emocje. Jestem żywym dowodem przynajmniej częściowej słuszności freudowskich teorii represji i nieświadomości, a pisząc w ten sposób tutaj i w innych książkach, które wydałem, być może również teorii zaprzeczenia i sublimacji.

Dzisiaj nie popłynąłbym tam za milion dolarów wolnych od podatku, chociaż nie wątpię, że bez trudu pokonałbym dystans tam i z powrotem. Powodem jest moja wciąż nie okiełznana wyobraźnia.

Mój brat nie przypominał sobie w ogóle epizodu z samochodem, kiedy kilka lat temu poruszyłem ten temat podczas jednego z rzadkich seansów niemrawych rodzinnych reminiscencji. Dzięki łagodnym korektom, jakich dokonał w jego percepcji czas, w wielkodusznej pamięci Lee byłem zawsze „grzecznym chłopcem” i choć skończyłem dawno sześćdziesiąt lat, dla niego nadal nim pozostałem. Był dumny ze mnie i ze swojego syna Paula, który zrobił karierę jako agent doradztwa personalnego, a później producent telewizyjny. Razem zrealizowaliśmy sen o sukcesie, który bez wątplenia wyśnił dla samego siebie.

Ja jednak pamiętam wyraźnie. Była ciemna noc i kiedy zobaczyłem Lee, który wyszedł z domu, by mnie złapać i zaprowadzić na górę do łóżka albo do wanny, błyskawicznie i beztrudnie przeobraziłem swoje nieposłuszeństwo w uliczną zabawę

w pościg. Był ode mnie starszy i szybszy, ale ja byłem zwinny i miałem na nogach tenisówki. Uskakując i robiąc zwody w lewo i w prawo, zmuszałem go do irytującej pogoni z jednej na drugą stronę ulicy, zanosząc się niepohamowanym śmiechem za każdym razem, gdy udało mi się umknąć. I nagle oślepiły mnie reflektory, rozległ się potworny zgrzyt hamulców i moja wesołość skończyła się, gdy obaj znaleźliśmy się na zderzaku samochodu, który zatrzymał się w miejscu o ułamek sekundy wcześniej.

Wspomnę tu o jeszcze jednym incydencie, gdy, mówiąc górnolotnie, o mało nie wyprawilem na tamten świat siebie i jeszcze jednego członka naszej rodziny. Był to figiel, którego żadne z nas nie zapomniało, ale nawet dzisiaj robi na mnie mniejsze wrażenie niż na innych.

Przy naszym budynku stał tuż przy krawężniku słup telefoniczny z wbitymi po obu stronach hacelami, które miały ułatwić monterowi wspięcie się na siodełko przy skrzynce naprawczej zawieszanej na wysokości mniej więcej drugiego piętra. Nietrudno było się po nich wdrapać, jeśli dotarło się do punktu startowego, solidnego drewnianego kloca przybitego do słupa jako pierwsze oparcie dla nogi, mniej więcej trzy stopy nad ziemią. Odkryłem, że jest to całkiem łatwe, pewnego dnia, gdy kolega podsadził mnie na pierwszy stopień, i zacząłem się wspinać, łapiąc się kolejnych haceli i opierając na nich stopy. Zasiadłszy na górze na siodełku, zorientowałem się z radosnym zdumieniem, że zaglądam przez otwarte okno prosto do naszej kuchni. Zobaczyłem tam matkę, która krzątała się przy piekarniku zaledwie kilka stóp ode mnie.

- Czy mogę dostać szklankę mleka? - zapytałem swoim najbardziej niewinnym głosem.

Wyraz kompletnego osłupienia, następnie zaś czystej grozy, który ukazał się na jej twarzy, gdy się odwróciła i zobaczyła mnie zawieszanego w powietrzu tuż za oknem, wywarł na mnie tak silne wrażenie, że ja również o mało nie skończyłem ze strachu. Może to właśnie wówczas matka po raz pierwszy wygłosiła pogląd na temat mojego poczucia humoru, pogląd, który powtarzała później wielokrotnie z matczynym zdziwieniem i podziwem, potrząsając przy tym często z przerażeniem głową.

- Masz (on ma) pokręcony umysł.

Wyraz jeszcze większego oburzenia i osłupienia zobaczyłem na jej twarzy, kiedy innym razem, patrząc jej prosto w oczy podczas jednego z moich dziecinnych ataków złości, nazwałem ją bękartem.

Uważałem błędnie, że skoro nie zna zbyt dobrze angielskiego, nie usłyszała nigdy przedtem tego brzydkiego ulicznego słowa i nie będzie miała pojęcia, co oznacza, w nie większym przynajmniej stopniu, niż wiedziałem to ja sam. Przekonałem się natychmiast z przerażeniem, że jestem w błędzie. Zabrakło jej powietrza i dała chwiejny krok do tyłu. A ja zdałem sobie natychmiast sprawę, że już nigdy nie chcę zobaczyć na jej twarzy tak głębokiej urazy. Modliłem się, żeby nigdy nikomu nie powiedziała.

Było jeszcze jedno wydarzenie, które chciałem zachować w tajemnicy. Kręcąc się samemu po kuchni i jak zwykle czując, że ssie mnie w żołądku, znalazłem w

kredensie główkę czosnku z kilkoma oderwanymi ząbkami. Pomyślałem, że jeśli zjem jeden albo dwa, na pewno nikt się nie dowie. Wkrótce się dowiedzieli. Wszyscy. W ciągu najbliższych kilku dni dowiedzieli się nawet ci, którzy mieszkali po drugiej stronie ulicy.

3. Sea Gate

Sea Gate, leżąca na zachodnim krańcu nadmorskiej brooklyńskiej drzazgi, przeoranej i wyplutej przez ustępujący lodowiec pod koniec ostatniego glacjału, pojawi się na kartach tych annałów z racji dwóch późniejszych i bardziej dramatycznych wydarzeń - pożaru oraz uczucia - a także domniemanych związków, jakie łączą ją z dygnitarzem Alfredem E. Smithem, którego obecność odnotowano tu latem w trzeciej dekadzie tego stulecia. Innym słynnym mieszkańcem Sea Gate był wcześniej John Y. McKane, polityczny watażka i samozwańczy szef policji Coney Island, pilnujący, by wszystkie tutejsze sprawy załatwiane były w preferowany przezeń pokojowy sposób, aż do momentu gdy sam został prześwietlony przez wyższe władze, następnie zaś oskarżony, osądzony i osadzony.

Plotki o finansowym zaangażowaniu Alfreda E. Smitha w rozwój Sea Gate mogą być bezpodstawne, on sam jednak istniał naprawdę. Al Smith, wcześniej bardzo popularny demokratyczny gubernator stanu Nowy Jork, był pierwszym katolickim kandydatem - niestety przegrał - na prezydenta. Rzadki okaz, z powodu, jak czytałem, niechęci do wykorzystania swego stanowiska w celu nabicia sobie kabzy, został w późniejszym czasie wyzyskany, z racji posiadanych kontaktów i prestiżu, przez bardziej dalekowzrocznych ludzi, zainteresowanych zyskownymi inwestycjami w nieruchomościach. Jedną z nich był Empire State Building. Innym przedsięwzięciem, które przypisuje mu lokalna tradycja, jest założenie Stowarzyszenia Sea Gate w celu nabycia oraz konsolidacji działek na zachodnim skraju Coney Island i przekształcenia tego pierwszorzędnego terenu w luksusowe nadmorskie osiedle, zagładające skromnie do wejścia nowojorskiego portu, z Atlantykiem po jednej i spokojnymi wodami zatoki po drugiej stronie. Była to miejscowość, gdzie prym dzierżyli właściciele domów, zamknięta dla obcych, z własnymi siłami policyjnymi, strzegącymi bram przy obu wjazdach, i wysokim ogrodzeniem z siatki, które wzniesiono na granicy prywatnych posiadłości i pozostałej części Coney Island.

Sea Gate zaczyna się tam, gdzie kończą się promenada i aleje Coney Island. Ogrodzenie z siatki biegnie daleko, sięgając skraju wody zarówno podczas odpływu, jak i przyprływu, i tworząc barykadę, która manifestacyjnie dzieli tych w środku od tych na zewnątrz. Jej istnienie bez wątpienia narusza prawo federalne, na mocy którego morskie plaże stanowią zazwyczaj teren ogólnie dostępny. Latem, w odległości mniej więcej półtorej mili, na przeciwnym krańcu Coney Island biło serce sławetnej dzielnicy rozrywek, z miliardami elektrycznych żarówek Luna Parku, Steeplechase i setkami innych atrakcji. Nowa społeczność Sea Gate odseparowała się tak skutecznie, jak to było możliwe bez odpłynięcia na pełne morze, od zgiełku tłumów, a także ich sezonowych rozrywek i ewoluujących obok imigranckich subkultur.

Podobnie jak w innych znanych mi miejscach, powołanie „stowarzyszenia” oznacza jego dyktat wobec wcześniejszych mieszkańców w celu ograniczenia kręgu

posiadaczy i ustalenia warunków najmu zgodnych z wymaganiami aktualnie urzędującego zarządu. Z początku prawdopodobnie nie akceptowano tam Żydów ani Włochów. Siatka przecinająca plażę i aleje oraz policjanci przy wjeździe byli oczywiście nie po to, by zatrzymać mieszkańców w środku, lecz aby nie wpuszczać wścibskich wędrowców z zewnątrz. Stanowili również element stałej i niezbyt subtelnej semiotyki podziału klasowego. Zakaz zakładania wszelkiego rodzaju sklepów prócz względów estetycznych wynikał z dość chłodnej determinacji wczesnych osadników, pragnących zdystansować się od niemal wszystkiego, co istniało na Coney Island, i całkowicie uniezależnić od usług, które można było znaleźć na zewnątrz. W Sea Gate nie było ani jednego sklepu, gdy niczym Kolumb w Indiach Zachodnich albo krępy Cortez u szczytu swojej sławy w Darien, „odkryłem” ten nowy świat; niewygody, jakie musiały cierpieć rodziny, które tam poznałem, były liczne i dokuczliwe. Bóg jeden wie, co robili ci wcześnie osadnicy, kiedy bolała ich głowa albo chcieli przyciąć włosy. Aspirynę można od biedy przynieść w kieszeni, ale nie schowa się przecież do kieszeni fryzjera, a mieszkańcy Sea Gate z całą pewnością nie wybraliby się na Coney Island, aby skorzystać z usług Maxa, ojca Danny’ego Byka. Dojeżdżając tam, na lato lub jako stali mieszkańcy, musieli zabrać ze sobą dużo rzeczy niezbędnych do życia, a nie jeździli przecież metrem ani tramwajem. Przed zbudowaniem autostrad i tunelu Brooklyn-Battery podróż samochodem z Manhattanu i jeszcze dalszych miejsc nie była szybka.

Ich awersję do spoufalania się z tymi po drugiej stronie płotu łatwo wyjaśnić ustaloną i zasłużoną reputacją Coney Island jako „miejsca zabaw biedoty”. Biedaków mają w pogardzie nawet ich rodzeni bracia, naucza w więcej niż jednym miejscu Biblia, a pośrednie potwierdzenie tej prawdy można dostrzec w przejawianej niemal przez nas wszystkich tendencji do wyniesienia się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie zawędrowaliśmy jednak zbyt daleko. I wracaliśmy tu częściej niż do innych miejsc, żeby się rozerwać, a nasze życie towarzyskie opierało się na przyjaźniach z ludźmi, którzy tu mieszkali, i funkcjonujących jeszcze klubach z patefonami, sofami, kanciapami i karcianymi stolikami.

Pożar, który widziałem w Sea Gate, był moim pierwszym pożarem, jeśli nie liczyć małych kontrolowanych ogni, wzniecanych z połamanymi skrzynek po owocach i jarzących się w każdy letni wtorek na plaży Coney Island niczym sygnały wysyłane w odpowiedzi na fajerwerki odpalane z łodzi zakotwiczonej przy końcu mola Steeplechase.

Siedząc przy tych naszych ogniskach zajadaliśmy upieczone w płomieniach, zapiaszczone i zwęglone ziemniaki, które nie nadawały się do jedzenia, oraz skwierczące i spalone cukierki ślazowe, który parzyły język. Nazywaliśmy ziemniaki mickeys, choć sami nie wiedzieliśmy dlaczego. Po zgaszeniu ognisk sprzątaliśmy resztki i zostawialiśmy plażę czystą. Byliśmy grzecznymi chłopcami, kiedy byliśmy grzeczni. Baliśmy się naszych nauczycieli, chociaż ich lubiliśmy, drżeliśmy, że im pod-padniemy, i paraliżowała nas sama myśl, że będziemy mieli kłopoty w szkole.

Pożar w Sea Gate wybuchł w jasny dzień i to był prawdziwy pożar.

Wielki pożar.

Razem z kolegami z bloku stałem na rogu Surf Avenue, gapiąc się z przejęciem na szeroką łunę pomarańczowego ognia i kłęby gęstego dymu, najpierw czarnego, potem białego, które zasłoniły niski horyzont mniej więcej pół mili od nas. Co takiego się paliło? Jachtklub, powtarzali ludzie, którzy byli starsi i mądrzejsi od nas. Nie słyszałem wcześniej tego słowa. Był to, jak udało mi się ustalić później, Atlantic Yacht Club, do którego przyłgnęła etykieta „szpanerskiego”. Ludzie bardziej ode mnie kompetentni potrafią z pewnością uściślić, co dokładnie może oznaczać to określenie w odniesieniu do jachtklubu. Ja nie wiedziałem wtedy nawet, co to jest jachtklub.

Teraz, gdy mam o tym jakieś takie pojęcie, powracam pamięcią do tego pożaru i samego istnienia jachtklubu z przyjemnym rozbawieniem, które z upływem czasu wcale nie maleje.

Jakim cudem jachtklub znalazł się w tamtym czasie na Coney Island, pozostaje słodką tajemnicą, której nie zamierzam odkrywać na drodze żmudnych badań. Bardziej intrygujące są moje domysły. Z pewnością Coney Island była co najmniej tak samo odpowiednim miejscem na jachtklub jak budynek między Madison i Fifth Avenue, przy Wschodniej Czterdziestej Siódmej na Manhattanie, gdzie obecnie mieści się siedziba New York Yacht Club. Przede wszystkim bliżej tu było do wody. Na tyłach Coney rozciąga się zatoka Gravesend, która, choć wąska, jest przecież akwenem wodnym. W podstawówce byli nawet tacy, którzy przechwalali się, że przeszli suchą nogą zatokę w ciągu tych kilku dni, kiedy była ścięta lodem w zimie. Za zatoką znajduje się zachodni brzeg właściwego Brooklynu, tworzący jedno z obramowań olbrzymiego, wspaniałego i obecnie w dużej mierze nieczynnego nowojorskiego portu. A jeszcze dalej w pogodne dni można z łatwością dostrzec szare bryły kilku manhattańskich drapaczy chmur.

W związku z tym liczona w milach czy też węzłach odległość z miasta do Sea Gate jest mniejsza, gdy podróżuje się morzem, a nie lądem, wiadomo zaś, że szajbusom, którzy uwielbiają żagle i motorówki, na ogół nigdzie się nie śpieszy i w zasadzie nie mają co robić z czasem.

Istniejące w tamtych czasach towarzystwo okrętowe, Iron Steamboat Company, utrzymywało regularne połączenie promowe między Bartery na dolnym Manhattanie i mołem Steeple-chase, dowożąc gości bezpośrednio do wesołego miasteczka. Towarzystwo najwyraźniej prosperowało, promy kursowały bowiem do czasu, gdy z nadejściem wojny Coney Island zaczęła się zmieniać i jej powab, mistyka nowości oraz splendor nieodwołalnie odeszły w przeszłość. Z punktów obserwacyjnych na naszej promenadzie i plaży mogliśmy przypatrywać się przybijającym i odpływającym białym parowcom z bocznymi kołami łopatkowymi, a także sunącym przed nami powoli frachtowcom i olbrzymim oceanicznym liniowcom, które próbowaliśmy zidentyfikować na podstawie liczby kominów. Luksusowy transatlantyk „Morro Castle” stanął któregoś dnia w płomieniach niedaleko od brzegu; mógł to być mój drugi pożar na Coney Island, ale kiedy wybuchł, byłem gdzie indziej. Chodziłem jednak kilka razy, żeby obejrzyć zniszczony kadłub, kiedy odholowano go na wody zatoki Gravesend (jak mogło się

w pierwszej chwili wydawać, całkiem odpowiednie miejsce spoczynku, nazwa Gravesend składa się bowiem z dwu posępnych angielskich wyrazów, z których brzemienne przesłania nie zdawałem sobie sprawy, póki nie zacząłem o tym pisać; z drugiej strony wiem dzisiaj, że nazwa powstała całkiem niewinnie z holenderskich słów oznaczających ni mniej, ni więcej tylko „pańską plażę”). Podróż drogą wodną do Sea Gate nie była ani niebezpieczna, ani długa i łatwo wyobrazić sobie żeglarzy z przystani na Hudson i East River, a nawet w Westchesterze, w stanie Connecticut, oraz u wybrzeży Long Island, podnoszących kotwicę, by wziąć kurs na Coney Island i Atlantic Yacht Club w Sea Gate.

Musieli zabierać za sobą wałówkę albo jeść w restauracji jachtklubu, jeśli taka była, ponieważ w Sea Gate brakowało nie tylko sklepów, ale i restauracji. W tamtym okresie Żydów nie przyjmowano prawdopodobnie do klubu. Ale Żydzi nie byli również żeglarzami, w każdym razie nie moi brooklyńscy Żydzi, w związku z czym mogła ucierpieć co najwyżej ich duma. W tych poprzedzających asymilację czasach nie grali także w golfa ani w tenisa i nie jeździli na nartach. I rzadko kiedy się rozwodzili; jeśli któryś miał na to ochotę, musiał zasięgnąć języka, jak to się robi.

Kiedy byłem już dość duży, by dzięki uprzejmości tego czy innego mieszkającego w Sea Gate kolegi wałęsać się po tym osiedlu, nie pozostał tam ślad po szpanerskim jachtklubie, który się spalił, ani zresztą po żadnym innym. Był i zniknął. Modnym punktem stał się teraz Park Lindbergha, wciąż pamiętny z powodu pilota, którego nazwisko nosił, a dla mnie z powodu pierwszego uczucia, które tam przeżyłem. Park był w zasadzie niewielkim skwerkiem - cała Sea Gate nie zajmuje dużej powierzchni - służącym niedojrzałym nastolatkom płci obojga jako jedno z kilku miejsc, gdzie w upalne noce odbywały się wesołe zabawy. Kilku chłopców z mojej drużyny skautów twierdziło, że dwie dziewczyny, które znałem z podstawówki, dają się złapać za pierś, jeśli poczeka się grzecznie razem z innymi w kolejce. Jedna z dziewcząt była drobna i ładna. Druga większa i wesoła. Zaczekałem na swoją kolej i trafiłem na tę przy kości. Plotka okazała się prawdziwa. Poczułem w dłoni kobiecy biust i czegoś się nauczyłem - i to dość szybko. Nauczyłem się, że kiedy trzyma się w ręku pierś, nie można z nią wiele zrobić. Dopiero w dniach mojej inicjacji w piwnicznych klubach, co nastąpiło niedługo później, zacząłem pojmować, że to przekroczenie etapu pocałunku było swego rodzaju paszportem, który mógł, ale nie musiał stanowić preludium do wyższego stadium bardziej wyuzdanych pieszczot.

W tym czasie ojcowie założyciele Sea Gate zostali wraz z jachtklubem usunięci ze sceny przez nieubłagane zmiany ekonomiczne i społeczne i ich miejsce zajął inny gatunek właścicieli o mniej wymagającym etosie. Na pustych działkach między typowo nadmorskimi, przestronnymi drewnianymi dworkami wyrosły przeznaczone do wynajęcia bliźniaki z czerwonej cegły. Parę lat temu, ku przerażeniu i smutkowi tego nowego pokolenia mieszkańców, miasto zakwaterowało w kilku dworkach ludzi na zasiłku społecznym i niewykluczone, że nadal się to praktykuje.

W wyniku zmian ludnościowych w dużej mierze zanikły różnice rasowe,

wyznaniowe i etniczne, dzielące tych, którzy żyli po obu stronach ogrodzenia. Istniały domniemane nierówności finansowe, ale takie rzeczy w dzieciństwie raczej do nas nie docierały. Dziewczeta i chłopcy z Sea Gate uczęszczali do tej samej publicznej szkoły co my i mieli na ogół do pokonania dłuższą drogę; nie było wtedy mowy o czymś takim jak szkoła prywatna. Chodzili na te same przyjęcia na zakończenie roku i do tych samych kin w sobotnie popołudnia, jeździli do tej samej szkoły średniej tymi samymi tramwajami albo szkolnymi autobusami. Młodzieńcy, którzy zapisywali się później do klubów, robili to u nas. Dziewczeta, które pamiętam - Hannah Tansman i Gladys Simon - przychodziły chyba w zimie do podstawówki w futrach, ale pamięć podpowiada mi, że ich rodzice pracowali branży futrzarskiej. Dziewięć - albo dziesięcioletnia blond ślicznotka June Owitz zawsze nosiła jasny sweter, możliwe że z kaszmiru. Jeśli nawet ktoś zadzierał nosa, ja tego nie zauważyłem i nikt, kogo znałem, z Sea Gate i skądindziej, nigdy o tym nie mówił. Ale rodzice są tylko rodzicami i osiągnąwszy wiek dojrzały, mam wrażenie, że gdybym mieszkał z córką w Sea Gate, mógłbym nie zaakceptować kogoś takiego jak ja.

Kiedy poszedłem do szkoły średniej, Abraham Lincoln High School, nastynniejsi zawodnicy naszej drużyny futbolowej, Eddie Mann, Phil Metling i Len Finkleman, pochodzili z Sea Gate. Gdy odchodziłem z niej, tworzyli ją ludzie z podobnych do mojej ulic Coney Island: Herb Poplinger, Red Goldstein, Richie Wertheim i inni. W trakcie pierwszej jazdy szkolnym autobusem do Lincoln High pokazano mi skrzydłowego Lena Finklemana i niczym bańka mydlana przysły wszelkie moje marzenia o dostaniu się do drużyny. Chodził dwie klasy wyżej ode mnie i ważył chyba dwieście funtów więcej, jeśli chodzi o rozwój układu kostnego i muskulatury. W rezultacie zacząłem uczęszczać na lekcje szermierki i nawet zakwalifikowałem się do drużyny, ale przestałem się nią interesować jeszcze przed pierwszym międzyszkolnym meczem.

Przyznaję, że kochałem szkołę, kochałem zarówno podstawówkę, jak i liceum. Kochałem wakacje i koniec wakacji. W podstawówce nie przyszło mi nawet do głowy, żeby pójść na wagary - lubiłem lekcje i nie wyobrażałem sobie fajniejszego sposobu spędzania czasu. W dni, kiedy byłem nieobecny z powodu gorączki, zerkałem na zegar czekając, aż Irving Kaiser z mieszkania piętro niżej i Ira Łopata z kamienicy naprzeciwko wrócą do domu i będę z nimi mógł pogadać przez okno. W szkole średniej wagarowałem dwa razy, ale później zdałem sobie z pewnym żalem sprawę, że ani w nowojorskim kinie Paramount, ani w klubie bilardowym Beksy nie bawiłem się tak dobrze, jak bawiłbym się na lekcjach i w kafeterii Lincoln High. Nieposłuszeństwo dla samego nieposłuszeństwa nie sprawiało mi i w dalszym ciągu nie sprawia przyjemności.

Lubiłem szkołę, ponieważ dobrze mi w niej szło. Chętnie czytałem, pisałem i liczyłem. Lubiłem nawet odrabiać pracę domową. Mobilizowała mnie chęć sprostania wysokim wymaganiom. Bardzo lubiłem mieć coś do roboty. Wciąż czuję się gorzej, mając do dyspozycji nieograniczoną ilość wolnego czasu, niż kiedy doskwiera mi organizujące poczucie, że muszę coś zrobić, na przykład dokończyć tę

książkę albo nawet ten akapit.

Rok szkolny i klasy w podstawówce były wówczas podzielone na połówki, na sekcje A i B. W mojej pierwszej klasie, 1A, panna Wolfe pokazała nam któregoś dnia kartę z napisem KING. Było to nasze pierwsze spotkanie ze słowem zakończonym na-ing. Po krótkim zastanowieniu podniosłem rękę - byłem pierwszym i jedynym dzieckiem, które to zrobiło - i kiedy udzieliła mi głosu, powiedziałem King. Nie pytajcie mnie, skąd wiedziałem. Dzień albo dwa później „przeskoczyłem” pół roku do przodu, przeniesiony z klasy 1A1 do szybkiej 1B1 panny Leiberman. Znalazłem się tam wśród uczniów, z którymi miałem pozostać przez całą szkołę podstawową, a potem również średnią. My z jedyńki byliśmy zawsze klasą „bystrzaków” i chodziliśmy do niej prawie w niezmienionym składzie; jedyne zmiany wynikały z tego, że jakaś nowa rodzina wprowadziła się, a jakaś inna wyprowadziła z naszej dzielnicy. Dwójka (2) była klasą wolną, a 3, 4 i 5 pośrednimi. Ja byłem bystrzakiem, podobnie jak Rum Gerstein, Hannah Tansman, Gladys Simon, Albie Covelman, Eugene Dolgin, Seymour Ostrów, Phyllis Ritterman i być może jeszcze kilkanaście innych osób, które mógłbym wymienić, gdybym natężył pamięć. Już w czwartej lub piątej klasie Phyllis Ritterman oznajmiła, że kiedy dorosnie, zostanie pisarką - reszta klasy nie wiedziała jeszcze wtedy, co to takiego. Napisała to i opatrzyła swoim podpisem w moim pamiątkowym albumie z okazji ukończenia szkoły. Prawie pięćdziesiąt lat po ukończeniu podstawówki zaproszono mnie, żebym powiedział parę słów na jakiejś uczelni w Arizonie lub Teksasie - zapomniałem dokładnie gdzie. Kiedy publiczność wychodziła z sali po spotkaniu, siedząca w pierwszym rzędzie kobieta zapytała bez ogródek, patrząc mi prosto w twarz: „Nie poznajesz mnie, prawda?”. Udzielenie odpowiedzi zajęło mi nie więcej niż sekundę. „Jasne, że poznaję. Jesteś Phyllis Ritterman”. To spotkanie pozwoliło mi sformułować teorię, która się na ogół sprawdza: czas może odcisnąć się na fizjonomii, nigdy jednak nie zmienia jej nie do rozpoznania. (Gdyby to kogoś interesowało, dodam, że psychoterapia też w dużym stopniu nie zmienia charakteru, osobowości, uczuć, a nawet na dłuższą metę wzorców zachowania. Mówię to zarówno na podstawie obserwacji, jak i osobistego doświadczenia).

W początkowych klasach bardzo lubiłem konkursy szybkiego liczenia; trudno się dziwić, skoro najważniejsze były w nich dokładność i szybkość, a ja należałem do kilku uczniów, którzy zawsze byli najlepsi, i cieszyłem się, że mogę się popisać. W algebrze i prostej geometrii dzięki kilku wskazówkom, których udzielił mi Lee, byłem kimś w rodzaju cudownego dziecka, ale tylko w początkowym stadium. Później, co przyjąłem z pewną rezygnacją, nie radziłem sobie już tak dobrze. Mój brat miał nałóg rozwiązywania zagadek. Ja też lubiłem to robić. W wyobraźni Lee Hellera symbol x nie był zwykłą niewiadomą: był podejrzanym osobnikiem, którego należało wytropić i przygwoździć na podstawie dowodów rzeczowych zawartych w załączonych danych. Na egzaminie z algebry w klasie 7A lub 7B znalazło się któregoś razu wyjątkowo perfidne zadanie odznaczające się szczególnym stopniem komplikacji.

- Poradziła sobie z nim tylko jedna osoba - oznajmił matematyk, pan T. D.

Bartells, spoglądając w moją stronę. - I to musiałeś być ty - dodał, rzucając we mnie kawałkiem kredy.

Rzucanie kredą było niesforną metodą utrzymania w ryzach jego niesfornych uczniów, do których bez przerwy należałem, mądrząc się, gadając, przerywając mu i wymyślając różne figle, w moim złośliwym mniemaniu niewinne, których ofiarą padał jeden z moich kolegów; kiedy na przykład prawidłowa odpowiedź brzmiała „dwa”, a on jej nie znał, podpowiadałem mu, szepcząc „cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt dziewięć”. Pan Bartells wiedział oczywiście, czyja to sprawka. Nigdy nie miałem dosyć.

Zbliżając się z każdym rokiem do klasy, w której nauczał, nabijaliśmy się z pana T. D. Bartellsa, przekręcając w tajemnicy jego nazwisko na „Titty Bottles”. Nie zdziwiłbym się, gdyby też o tym wiedział.

W szkole nigdy nie miałem prawdziwych kłopotów. Kiedy kilka razy wzywano rodziców, poszła moja siostra. Matka bałaby się, a ja wstydziłbym się jej łamanej angielszczyzny. Siostra pamięta, że interweniowała tylko raz i było to w sprawie incydentu, o którym zupełnie zapomniałem. Moim przewinieniem nie było złe zachowanie, lecz nuda. Dumiałem nad jakimiś sprawami, nie zwracając pozornie uwagi na to, co się działo w klasie, ale za każdym razem, gdy nauczycielka chciała zaskoczyć mnie nagłym pytaniem, wpędzałem ją we frustrację, udzielając prawidłowej odpowiedzi. Wyglądałem przez okno, gapiałem się w ścianę, przyglądałem się swoim dłoniom albo stopom; czasami poruszałem ustami, jakbym mówił sam do siebie. Robiąc to, szukałem prawdopodobnie odpowiednio dowcipnego zakończenia nowelki, którą zamierzałem już wtedy któregoś dnia napisać, względnie zdania, którym mógłbym zacząć albo zakończyć następane wypracowanie.

Od najmłodszych lat przejawiałem, jak sądzę, pragmatyczną skłonność do wykorzystywania własnych fantazji i wcielania w życie marzeń. Należał do nich wczesny zamiar zostania pisarzem.

Na ogół nieźle radziłem sobie z logiką i o wiele gorzej z teorią. (W kwestiach, których nie rozumiałem, brałem po prostu za pewnik prawdę, którą mi podawano, i próbowałem iść dalej). Na lekcji biologii na początku szkoły średniej - kolejny triumf - nauczyciel zapytał, po czym możemy poznać, że proces pasteryzacji nie wyeliminował wszystkich bakterii w butelce mleka. Odpowiedź wydawała mi się tak oczywista, że w pierwszej chwili nie podniosłem nawet ręki. Kiedy nikt inny w klasie nie potrafił udzielić odpowiedzi, zrobiłem to.

Brakowało mi jednak wrodzonych zdolności, kiedy w grę wchodziła abstrakcja. Mój umysł był bezradny w obliczu kwadratowych równań, liczb ujemnych, mnożenia ułamków, trygonometrii i rachunku różniczkowego. W chemii, która powinna być łatwa, miałem trudności, kiedy pojawiały się wzory skomplikowanych reakcji. W tym samym mniej więcej czasie część moich bliskich przyjaciół (wśród nich Marvin Winkler), mając powyżej dziurek w nosie tych bezużytecznych dyrdymałów, dała za wygraną i przeniosła się z Lincoln High do szkół zawodowych. Ja przetrwałem, ponieważ miałem dobrą pamięć i potrafiłem

powielać na ślepo procedury, które trzeba było stosować. Logarytm pozostał jednak dla mnie czymś niewyobrażalnym i w dalszym ciągu nie rozwiązałem odwiecznej tajemnicy liczby pi (ani nawet nie zrozumiałem, na czym polega ta tajemnica).

Lekcje angielskiego były natomiast proste jak drut. Gramatyka sprawiała mi mniej trudności, kiedy się jej uczyłem, niż teraz, kiedy zawodowo piszę i mam za sobą doświadczenia nauczyciela akademickiego. Poprawianie prac studentów pierwszego roku, z przerażającą świadomością, że nie wolno mi ani razu się pomylić, w znacznym stopniu podkopało moją pewność w kwestiach dotyczących składni i ortografii. Bezustanne sprawdzanie w celu uzyskania absolutnej pewności zrodziło w końcu długotrwałe wątpliwości, których do dziś się nie pozbyłem.

Czytanie było ekscytujące i absorbujące i oddawałem mu się często z własnej inicjatywy. Starszy brat i siostra pracowali już na Manhattanie - podróż tam nie była krótka - i przywozili do domu najróżniejsze czasopisma, które poszerzały moją wiedzę w popularnych dziedzinach. Były także książki wypożyczane w komercyjnych, niepublicznych bibliotekach: najnowsze powieści, kryminały, łatwe w lekturze bestsellery, do których z wielu względów niedobrze było się przyzwyczajać. Dużo czasu zajęło mi później cierpliwe zaznajamianie się z utworami, których istotnymi składnikami były nie tylko szybka akcja i dużo dialogów. Publikujące popularną literaturę czasopisma w rodzaju „Collier's” i „Liberty” zamieszczały w każdym numerze „krótkie opowiadanie”, zwieńczone dowcipnym zakończeniem i składające się z tysiąca albo mniejszej liczby słów. Perspektywa, że będę pisał coś takiego, już we wczesnym wieku skutecznie pobudzała moją wyobraźnię i ambicje.

Kiedy miałem dziewięć albo dziesięć lat, kuzyn ze strony ojca, Nat Siegel, który skończył już wtedy kurs na księgowego, przyjechał do nas z wizytą i dał mi w prezencie dziecinną wersję „Iliady”. Była to pierwsza przeczytana przeze mnie książka, która naprawdę rozpałała we mnie wielkie emocje. Nie mogłem się prawie oderwać od lektury, a potem powstrzymać od przeczytania jej na nowo. Nie potrafiłem jej zapomnieć i nie zapomniałem. Wersja była nie tylko uproszczona, lecz doprowadzała akcję do punktu daleko wykraczającego poza treść oryginału. Dopiero pod sam koniec szkoły średniej dowiedziałem się, że „Iliada” nie jest fascynującą książką dla dzieci, lecz wielkim epickim poematem. I dopiero przeczytawszy ją w pewnym momencie na studiach, uświadomiłem sobie, że tematem utworu jest gniew Achillesa, a nie wyczerpująca wojna przeciwko Troi. Niełatwo było mi przezwyciężyć zawód i rozczarowanie. Pierwsze spotkanie z tym małym tomikiem wywarło na mnie tak silne wrażenie, że wciąż trudno mi przyjąć do wiadomości, iż w wersji Homera nie ma konia trojańskiego, nie ma śmierci Achillesa, nie ma ostatecznego zwycięstwa i zdobycia miasta. Pewne pojęcie o rodzaju mojej umysłowości może dać fakt, że Hektora wolę od Achillesa, współczuję Priamowi bardziej niż któremukolwiek z bohaterskich Greków, a u Szekspira lubiłem i wciąż lubię bardziej Hotspura niż księcia - bardziej nawet niż Falstaffa - i chciałbym sądzić, że każdy rozsądnie myślący człowiek ma podobne odczucia.

Następne wypracowanie na temat przeczytanej książki napisałem, ku zadowoleniu swoim i nauczyciela, o „Iliadzie”. Ozdobiłem je rysunkami

przekalkowanymi z małego tomiku. A miesiąc później napisałem kolejne, zupełnie inne wypracowanie o tej samej książce, ozdabiając je innymi ilustracjami. Nauczyciel wziął mnie najuprzejmiej, jak to możliwe, na stronę i wyjaśnił coś, co do mnie nie dotarło: że te wypracowania mają rozwijać raczej nawyk czytania, nie pisania i nie jest w zwyczaju pisać więcej niż jedną pracę na temat jednej książki. Być może wtedy właśnie przerzuciłem się na Tomka Sawyera, o którym pisanie nie sprawiło mi żadnej satysfakcji.

Skłonność do niezdawania sobie sprawy z rzeczy, które powinny być oczywiste, towarzyszyła mi i później. Robiąc po wojnie magisterium z literatury amerykańskiej na Uniwersytecie Columbia, pisałem przez ponad rok pracę dyplomową na temat sztuk, które otrzymały nagrodę Pulitzera. Był to trywialny, niewdzięczny temat i dziwię się teraz, że zaaprobowano go, nie pytając w ogóle, co zamierzam udowodnić. Dopiero zapytany niedługo potem w rozmowie, jaka była teza mojej pracy, uświadomiłem sobie, że nie miałem żadnej. Mimo to została przyjęta. Jakiś czas później w trakcie pisania końcowych fragmentów „Paragrafu 22” starałem się o posadę kierownika działu ogłoszeń i promocji „McCall’s”, wydawanego podówczas kobiecego czasopisma o dużym nakładzie, i poddano mnie badaniom psychologicznym, w tym testowi Rorschacha. Rozwodziłem się niemal bez końca na temat każdej z plam na każdej karcie, mniej potoczyście na temat kolorowych, nie zwracając w ogóle uwagi na szczegóły. Prawie ich nie zauważałem. Jeśli Bóg tkwi w szczegółach, jak utrzymuje wiele współczesnych autorytetów, to wydaje mi się, że nie zwróciłem na Niego uwagi w żadnych dziełach poza własnymi. I było chyba z mojej strony przejawem intuicyjnego zdrowego rozsądku, że zabierając się wreszcie na serio do pisania, zignorowałem wymóg przedstawienia przekonywującego detalu, bez którego nie może się obyć gatunek zwany realizmem.

Odniosłem w szkole jeszcze jeden sukces, którym chciałbym się pochwalić. Nie pamiętam już, czy w podstawówce, czy w szkole średniej przeczytaliśmy „Wyspę skarbów” i mieliśmy zaznaczyć miejsce zakopania skarbu na wymyślonej przez każdego z nas mapie. Na mojej mapie - dosyć, muszę przyznać, odkrywczo - oznaczyłem różne miejsca nazwiskami znanych wówczas osobistości. Umieściłem tam Rudy’ego Valleya, W. C. Hilla (słynny radiowy komentator), park o nazwie W. C. Fields oraz las o nazwie Lefty Grove (baseballista z bostońskich Red Sox). Umieściłbym Veronicę Lake, gdyby działo się to trochę później. Z całą pewnością miałem Grace albo Victora Moore i inne obiekty geograficzne, które opatrzyłem nazwiskami tego rodzaju. Jednym z nich był tor przeszkód o nazwie Steeplechase. Mój skarb zakopany był na błoniach o nazwie Luna Park, za lasem, który nazywał się Helen Twelvetrees (dawna aktorka filmowa). Wszystko to znajdowało się w krainie Trzustki na Wyspie Langerhansa, czyli na jednym z tych występujących w trzustce tworów, których nazwę znalazłem przypadkowo w kryminale, przyniesionym krótko przedtem do domu przez siostrę albo brata. Wchodziło się tam przez jakieś „wargi” - mógłbym użyć słowa „gardziel”, ale wątpię, czy byłem taki mądry - i płynęło w dół przewodem pokarmowym. Nauczycielka - nazywała się, pamiętam, panna Perks i przysłała do nas na zastępstwo na jeden dzień, żeby zostać na cały

okres - była pod wielkim wrażeniem. I o to właśnie mi chodziło.

Szkoła średnia i okres dojrzewania wpłynęły w znacznym stopniu na zmianę naszych postaw, reakcji i zachowań społecznych - podobnie jak (co łatwo zgadnąć) Hitler, Mussolini i druga wojna światowa. Wchodziliśmy w wiek młodzieńczy w różnym tempie i z różnym bagażem biologicznych doświadczeń, dziewczęta naturalnie rozwijając się szybciej i zdradzając tego wyraźniejsze oznaki. Niejaka Sonia miała duży biust już w siódmej albo ósmej klasie, podczas gdy dziewczyna z Sea Gate o imieniu Ruth, w której się durzyłem, szczupła, ciemna i trochę wyższa, nie miała go prawie wcale. Ale wszyscy z nas, którzy poszli do Abraham Lincoln High School, a nie do Brooklyn Tech lub zawodówki, zaczęli średnią edukację tego samego dnia.

Szkoła znajdowała się dość daleko i po raz pierwszy w naszym krótkim życiu znaleźliśmy się w tej samej klasie z mieszkańcami innych części świata, jeśli nawet te inne części świata były tylko dzielnicami Brooklynu, sąsiadującymi z naszą. Spotkaliśmy tam chłopców i dziewczęta z włoskiej części Coney Island; a oprócz nich uczniów z pogranicznych terytoriów, które były dla nas z początku tak samo obce jak Alaska. Uczniowie z pobliskiego Brighton, również Żydzi, specjalnie się od nas nie różnili - dziewczęta były może trochę lepiej ułożone, ale chłopcy tak samo rozwydrzeni i źle wychowani jak my, za to lepsi w sportach, bo mieli lepszych trenerów. Pływanie nago raz w tygodniu w szkolnym basenie było udręką, której nic nie usprawiedliwia. Jedynymi, którym to najwyraźniej nie przeszkadzało, byli faceci z wielkimi fiutami. Do szkoły mieliśmy z domu ponad trzy mile, za daleko, żeby iść piechotą, jeśli nie mieliśmy na to ochoty, a z wyjątkiem kilku ożywczych popołudni na wiosnę, raczej jej nie mieliśmy. Jechaliśmy naszym tramwajem Surf Avenue do dzielnicy rozrywkowej, skręcaliśmy w Neptun Avenue i wysiadaliśmy na rogu, prawie przy samej szkole. Mieszkańcy Sea Gate mieli dłuższą drogę, bo najpierw musieli pieszo albo wewnętrznym autobusem wydostać się ze swojej enklawy. Za kilka miedziaków tygodniowo więcej mogliśmy jeździć w tę i z powrotem autobusem, który odchodził każdego ranka z przystanku na Mermaid Avenue i każdego popołudnia wracał w to samo miejsce. Autobusy były prywatne; szkoła, chociaż położona daleko, nie brała żadnej odpowiedzialności za dostarczenie nas na miejsce. Kiedy tam ostatnio zajrzałem, znajomy z pobliskiego klubu, niejaki Novack, zarabiał nieźle na życie jako właściciel jednego, a może większej liczby szkolnych autobusów.

Szkoła, mimo że duża i względnie nowa, była już przepiętna i w pierwszej klasie musieliśmy się wszyscy uczyć w filii poza terenem Lincoln High. Zajmowała dwa najwyższe piętra w typowej publicznej podstawówce z czerwonej cegły, z białymi kamiennymi obramowaniami okien. Roilo się tam od chłopców i dziewcząt, młodych mężczyzn i kobiet, reprezentujących dziwną i czasami wybuchową mieszaną grup etnicznych i zawodowych, z którymi się wcześniej nie zetknęliśmy. Tworzyliśmy razem nader różnorodną zbieraninę. Pamiętam, że wszyscy byliśmy biali. Szkoła znajdowała się w nie znanej nam bliżej włoskiej dzielnicy i w jej pobliżu poruszaliśmy się dość ostrożnie.

Na szczęście nie musieliśmy nigdzie daleko chodzić: włoski sklep spożywczy, w którym kupowaliśmy za pięć centów nasze pierwsze wielkie sandwicze z włoskim salami, kielbasą albo szynką na włoskim chlebie, stał po drugiej stronie ulicy, a zaledwie kilka przecznic dalej jeździły nowoczesne tramawaje, do których przesiadaliśmy się z naszych.

W filii Lincoln High, a potem w głównym budynku szkoły, chodziliśmy do jednej klasy z uczniami, których, z kilkoma wyjątkami, nie znaleźliśmy wcześniej i którzy nie znali się dobrze wzajemnie. Związujące się liczne nowe znajomości oraz fakt, że wybieraliśmy różne zajęcia fakultatywne, przyczyniły się do osłabienia naszych układów towarzyskich z Coney Island. Jako język obcy większość wybrała początkowo hiszpański wierząc, że okaże się łatwiejszy od francuskiego lub niemieckiego; dwie osoby zdecydowały się na łacinę (w tym syn miejscowego aptekarza, w nadziei, że kiedyś zostanie lekarzem, co mu się zresztą udało). Chłopcy, poza kilkoma, szli na kierunek akademicki; miał ich przygotować do studiów wyższych, na które prawie nikt się wtedy nie wybierał; dziewczęta, choć nie tak gremialnie, wybierały, podobnie jak moja siostra Sylvia, kierunek ekonomiczny, który nieuchronnie kierował je ku tradycyjnym zawodom sekretarki albo księgowej. Ja zarezerwowałem sobie czas na kurs maszynopisania. Mimo że najbliższa maszyna do pisania znajdowała się w mieszkaniu Irvinga Kaisera piętro niżej, czułem w głębi duszy, że jeśli kiedykolwiek odniosę sukces jako zahartowany w boju reporter, dramaturg lub powieściopisarz, mogę odnieść go szybciej, umiając pisać na maszynie. Byłem jednym z nielicznych chłopców na sali pełnej dziewcząt, których nigdy przedtem nie spotkałem. Miałem ochotę na te nioch, które ubierały się w obcisłe spódniczki i sweterki (obawiam się, że mi to pozostało; dzisiaj mam ochotę na dziewczyny, które pokazują się w reklamach w obcisłych sukienkach), i nie zakochałem się w żadnej.

Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, dziwi mnie mój kompletny brak zainteresowania pracą w szkolnej gazetce „Lincoln Log”, czy publikowaniem tekstów w ichnim pisemku literackim, „Cargoes”. Seymourowi Ostrowowi, który również zamierzał zostać twardym dziennikarskim wygą i który później, po wojnie, został kryminalnym prawnikiem o miękkim sercu, udało się wkręcić w charakterze reportera do „Lincoln Log”; ja nawet nie próbowałem. Kilku ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem i którzy udzielali się intensywnie w „Cargoes”, rozprawiało ze sobą swobodnie o pisarzach, takich jak: Chaucer, Keats i Yeats; nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej słyżał te nazwiska. Mimo to byłem stale zaabsorbowany, chociaż nie owocowało to szczególną produktywnością ani też biegłością literacką, pisaniem opowiadań oraz sarkastycznych i dowcipnych (moim zdaniem) esejów. Nie chciałem, żeby wiedział o nich ktokolwiek związany z naszym piemem literackim. Pan Grumet zachęcał do tego rodzaju twórczych prób na swoim zaawansowanym kursie angielskiego, zadając do opracowania różne tematy, i z jego pomocą dawałem sobie jakoś radę. Moim ulubionym autorem nie był wówczas Chaucer, Keats ani Yeats, lecz Damon Runyon, o którym wielu ludzi - jeśli w ogóle wiedzą, kto to taki - nie ma zbyt wysokiego mniemania. Ulubionymi humorystami (rekomendowanymi

przez Księcia Danny'ego jako Benchley i Wodehouse, tak jakby każdy człowiek pod słońcem znał ich imiona) stali się później Robert Benchley i P. G. Wodehouse; ich lektura stanowiła źródło prawie niewyczerpanych rozkoszy. A miejscem, w którym szukałem najlepszych utworów współczesnej literatury amerykańskiej, był magazyn „Collier's” - do chwili gdy przyjaciółka mojej siostry, dowiedziawszy się od Sylvii, że dużo czytam i interesuję się pisarstwem, dała mi w prezencie wybór opowiadań Irvina Shawa w twardej okładce pod tytułem „Marynarz z Bremen zszedł na ląd”. Moje ambicje stały się wtedy poważniejsze, a nadzieje na natychmiastową i olbrzymią sławę bardziej umiarkowane. To chyba właśnie wtedy, po poznaniu Irvina Shawa, zaczęły się moje nie kończące się boje z redakcją „New Yorkera”, który publikował często jego utwory.

Niezależnie od obaw przed odrzuceniem moich tekstów przez magazyn literacki i manifestowanej na zewnątrz obojętnej niechęci, w roku 1939, kiedy miałem szesnaście lat i wciąż chodziłem do szkoły, a Rosja napadła na Finlandię, napisałem krótkie opowiadanie o wojnie i młodym bohaterskim fińskim żołnierzu, który broni swego posterunku przed przeważającymi siłami czerwonych, mając się sprytnych, nie pamiętam już jakich, forteli. Nie pokazywałem tego tekstu nikomu. Po wielu godzinach żmudnej pracy i licznych poprawkach, które wynikały ze stałego wzbogacania się mego słownictwa, przepisałem opowiadanie na białym papierze na starej maszynie do pisania w mieszkaniu Irvinga Kaisera. Moim zdaniem było wspaniałe. Nie tylko je napisałem, lecz zaproponowałem - wysyłając pocztą - magazynom „Collier's”, „Liberty”, a także nowojorskiej „Daily News”, naszej lokalnej gazecie o sporym nakładzie, która w tamtym czasie również publikowała krótkie formy literackie.

Nie zostało przyjęte.

Były to moje pierwsze odmowy.

Nie, nie przechowuję ich do tej pory.

Podobnie jak nie przechowuję pierwszych dwóch listów, w których zawiadamiano mnie o przyjęciu tekstów do publikacji. Pierwszy z nich przyszedł sześć lat później i dotyczył opowiadania napisanego w moim namiocie na Korsyce i również wystukanego na pożyczonej maszynie, tym razem należącej do świeżo przybyłego do jednostki pilota, który poleciał w misji bojowej, podczas gdy ja po „zaliczeniu” wszystkich misji siedziałem bezpiecznie na tyłku i pisałem opowiadania na jego maszynie. Następny dotyczył pracy, którą napisałem na pierwszym roku Uniwersytetu Kalifornii Południowej - ale z tym możemy poczekać przynajmniej do momentu, kiedy skończę szkołę średnią.

Mogę dzisiaj zdradzić, że w trakcie nauki w obu szkołach, podstawowej i średniej, nie było prawie roku, żebym przynajmniej przez jakiś czas nie kochał się potajemnie i nie na żarty w tej czy innej dziewczynie: June, Ruth, Hannah, Gladys, Mi-mi, Naomi, a potem w kolejnej Ruth - któż je wszystkie spamięta? Każda miała twarz, która, gdy ją wyidealizowałem, odznaczała się nieodpartym pięknem. W swoim zaślepieniu nie mogłem się nadziwić, dlaczego wszyscy chłopcy nie kochają się w tej, w której akurat byłem zadurzony. Zakochiwałem się na ogół w dziewczynie

siedzącej w ławce obok, między mną i nauczycielem, abym mógł, radując serce, wpatrywać się z rozmarzeniem w jej profil. W dniu, kiedy moja ukochana spóźniała się albo była nieobecna, czułem się odrzucony i rozczarowany. Uczucia, które do nich żywiłem, były romantyczne, niecielesne i, z tego, co wiem, na całe szczęście nie odwzajemnione. W przeciwnym razie mógłbym przeżyć wczesne krótkie małżeństwo i szybki wczesny rozwód - zamiast długiego trwającego trzydzieści pięć lat małżeństwa, które mile wspominam, oraz drugiego, bolesnego i gorzkiego rozwodu, którego przeprowadzenie zajęło ponad trzy lata. Na szczęście moje szkolne miłości skończyły się, kiedy poszedłem na studia; w tym czasie byłem już żonaty i uodporniony na sercowe uderki.

W piątki, co przyznaję teraz z pewną dumą i wstydem, z nietaktowną dumą zmieszaną ze wstydem, którą spotyka się zbyt często na kartach podobnych do tej konfesyjnych autobiografii, chodziłem przez jakiś czas do szkoły w moim oficjalnym mundurku skautowskim. W piątkowe wieczory odbywały się w różnych miejscach zebrania drużyny i dziewczęta, które należały do skautów, również przychodziły wtedy do szkoły w zielonych mundurkach. Moja przynależność do skautów była czymś dziwnym; przedtem unikałem na ogół jak ognia wszelkich organizacji oraz uczestnictwa w zorganizowanej działalności i w dalszym ciągu tego unikam. W podstawówce ani razu nie uczestniczyłem w imprezach przygotowanych przez organizacją uczniowską, której zadaniem było wspieranie naszej aktywności i perwersyjnie odmawiałem wzięcia udziału w dobrowolnych wycieczkach do zoo i ogrodu botanicznego; w szkole średniej nie pojechałem z klasą na Wystawę Światową 1939-1940, a kiedy moja drużyna zdobyła mistrzostwo w turnieju softballu po dość spektakularnym złapaniu przeze mnie piłki w finale, nie zająłem nawet do biura organizacyjnego, żeby odebrać odznakę szkolnej ligi baseballu. Wiedziałem, że i tak nie będę jej nosił. Nie mam pojęcia, co się stało z moim kluczem Phi Beta Kappa, oraz, jeśli już o to idzie, z moim Medalem Lotnika i skrzydełkami bombardiera. Nigdy nie głosowałem w szkolnych wyborach. Teraz też nie głosuję. Nie brałem ani razu udziału w zjazdach absolwentów ani weteranów sił powietrznych i nie poszedłem na ceremonię wręczania dyplomu. Przez kilka bezowocnych lat byłem zapisany jako wyborca do Partii Demokratycznej, sądząc naiwnie, że wpływam w ten sposób na skład kandydatów - amerykańskie złudzenie, któremu ulegają miliony.

To były chyba moje dwa jedyne odstępstwa od reguły. Ale skauting miał dla nas znaczenie bardziej towarzyskie aniżeli duchowe i wkrótce brałem z przyjemnością udział w ćwiczeniach jako dowódca patrolu. W szkole średniej do drużyny należała Włoszka o skróconym imieniu Mimi. Różniła się od innych dziewcząt z mojej galerii małomównych wyniosłych piękności. Wygadana, sprytna i pełna tupetu, miała jasną cerę i była raczej sympatyczna niż piękna. Stale ze sobą żartowaliśmy i potrafiliśmy się wzajemnie rozśmieszyć. Któregoś piątku, kiedy byliśmy oboje w mundurkach, zaproponowała, że wybierzemy się na nocną wycieczkę tylko z jej przyjaciółką i innym chłopakiem. Ponieważ nie wiedziałem dobrze, o co chodzi, odmówiłem, używając jakichś niezbyt przekonujących

wykrętów. Gdybym wiedział, odmówiłbym na pewno bardziej zdecydowanie. W tej dziedzinie byłem zacofany, ona nie. Jej sympatia do mnie chyba osłabła. Wiedziała więcej ode mnie, a ja byłem zbyt niewinny, żeby się od niej uczyć.

Prawie tego nie dostrzegając, dorastaliśmy. I Wynikało z tego wiele rozległych i subtelnych metamorfoz.

Wcześniej, w podstawówce, dzieląca nas różnica jednego albo pół roku oznaczała jedynie, że chodzimy o klasę wyżej lub niżej, i nie liczyła się w ogóle w hierarchii w bloku i na ulicy; teraz różnica wieku oznaczała inne szkoły - innych kolegów i znajomych, inne zobowiązania, innych nauczycieli, inną pracę domową, inną miarę entuzjazmu. W miarę zawiązywania się nowych przyjaźni słabły stare znajomości. Ci, którzy zostawali z tyłu, musieli czuć się w znacznym stopniu wyłączeni z tego, co się działo. Nasi znajomi zaczęli się przyjaźnić z ludźmi z innych części Coney Island, którzy stawali się również naszymi znajomymi. Chłopcy z różnych ulic spotykali się, żeby stworzyć nowe i lepsze drużyny futbolu i punchballu, i w tym samym stopniu co sportem zaczęli się interesować dziewczętami. Coraz więcej czasu spędzaliśmy z facetami, którzy przyjaźnili się ze znanymi nam dziewczętami; dziewczęta również bardziej interesowały się sobą jako dziewczętami, a także chłopcami. Jeannie Goldman, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, wstąpiła do klubu, w którym prym wiodły dziewczęta chodzące do publicznej szkoły we włoskiej dzielnicy w dolnej części Coney Island. Nigdy nie spotkaliśmy się na gruncie towarzyskim, nad czym bardzo bolała jej matka, która lubiła mnie, kiedy byłem mały, a także moja, która zawsze lubiła Jeannie, a po tym jak złamała biodro, darzyła ją jeszcze większą estymą. Geraldine Scharf, z sąsiedniego bloku, także wstąpiła do żeńskiego klubu i nigdy już nie spotkaliśmy się na żadnym przyjęciu.

Chłopcy, których wybierały sobie te dziewczęta, byli na ogół starsi. Nasze dziewczyny były na ogół o rok młodsze. Nie pamiętam, żebym utrzymywał zażyłe stosunki z Irvingiem Kaiserem po tym, jak rok przed nim poszedłem do szkoły średniej, chociaż dalej korzystałem z jego maszyny do pisania i nie zerwaliśmy ze sobą kontaktu do chwili, gdy każdy z nas idąc własną drogą, wstąpił do wojska.

Kiedy, wciąż ucząc się w szkole średniej, zebraliśmy się razem i zrobiliśmy zrzutkę na czynsz, meble i patefon naszego własnego klubu - mój pierwszy klub Highlight mieścił się w piwnicy bliźniaka - prawie wszyscy członkowie chodzili do tej samej klasy i byli w tym samym wieku. Niemal połowę stanowili ludzie z dolnej części Island, których nie znałem w podstawówce. Dziewczęta też nie musiały pochodzić koniecznie z naszej okolicy. W sobotnie i niedzielne wieczory przyjeżdżały z Brighton, Flatbush, East New York i innych miejsc i pochlebiało im, kiedy zapraszaliśmy je do naszego klubu na tańce i karesy. W lecie przyjeżdżały do nas ze wszystkich stron. Jestem prawie na sto procent pewien, że przed pójściem do wojska nigdy nie wybrałem się z dziewczyną na randkę i nie zdążyło tego zrobić również wielu moich kolegów. Wciąż jest dla mnie zagadką biologii, w jaki sposób seksualnie rozwinięci osobnicy płci obojga potrafią się od najwcześniejszych lat wyczuć, rozpoznać wzajemną gotowość do działań prokreacyjnych i intuicyjnie zbliżyć ku obopólnej satysfakcji.

Powstawały kliki, których jedynym celem były seksualne podboje; zawiązywały się na ogół między dwoma albo trzema chłopakami, którzy upatrzyli sobie dziewczynę, gotową oddać im się wszystkim po kolei przy tej samej okazji, i którzy nawet będąc razem z nami, trzymali się z boku, jakby coś knuli, i szeptali ze sobą ukradkiem nie tylko o tym, co chcą z nią zrobić, ale o wszystkim. Zagorzali palacze marihuany też trzymali się razem, podobnie jak potem uzależnieni od heroiny. Ku rozczarowaniu tych, którzy wciąż byli zbyt młodzi albo z jakiegoś innego powodu wykluczeni z tej czy innej koterii, stare przyjaźnie 7 bloku i ulicy powoli rdzewiały.

I nagle okazało się, że są chłopcy i dziewczęta, których znaleźmy od zawsze i którzy nie należą do żadnej grupy: chłopak bez osobowości, dziewczyna, która nie jest atrakcyjna i nie potrafi się z tym pogodzić, odbiegający od normy, nieśmiali, nerwowi, a nawet ci pilni, upośledzeni, którzy nie potrafili grać w piłkę ani tańczyć lindy hop. Mursh Pasikonik. Jąkała. Ludzie pozbawieni przyjaciół, ludzie, którzy nigdzie nie pasowali i automatycznie wyrzucani byli poza nawias, bez żalu i bez zastanowienia. Niewiele się od tego czasu zmieniło.

Tymczasem sprawy przybierały obrót, którego nie mogliśmy dłużej ignorować. W 1939 roku Niemcy napadły na Polskę z zachodu, a Rosja ze wschodu i zaczęła się wielka wojna. W 1940 weszła w życie ustawa o przymusowym poborze i młodzi ludzie z sąsiedztwa zaczęli nagle znikać z pola widzenia, a następnie pojawiać się na przepustkach w wojskowych mundurach. George Mandel, senior z klubu Alteo, w którym ja byłem juniorem, powołany został dość wcześnie i razem z nim zniknęła jego wspaniała „gablota”. Jako ilustrator, pomysłodawca oraz autor tekstów w rozwijającej się żywiołowo dziedzinie komiksów, zarabiał w młodym wieku pokaźne pieniądze i jeździł najnowszym modelem kabrioleta z niebieską karoserią, automatycznym dachem i hydrauliczną przekładnią, pierwszym tego rodzaju samochodem, jaki w życiu widzieliśmy, najpiękniejszym, jaki wolno nam było pieścić opuszkami palców. Henny Ehrenman, bardziej zbliżony do mnie wiekiem, ale też starszy, wyjechał do bazy powietrznej w Kolorado, w której później przez pewien czas i ja stacjonowałem. Wróciwszy do domu na przepustkę, opisywał wyłącznie przyjemne chwile, jakie spędził w barach w Denver, z kobietami pozwalającymi na więcej niż wszystkie, które do tej pory znał. Żaden z tych, którzy zostali powołani albo sami wstąpili do wojska, nie miał nic przeciwko temu. W wieku siedemnastu lat nie sądziłem, że będę kiedykolwiek musiał służyć w armii. Część zdatnych do poboru, w oczekiwaniu na wezwanie, znajdowała pracę w przemyśle obronnym, robiąc jakieś rzeczy z metalowym stopem o nazwie monel; niedługo potem, czekając na powołanie, sam też znalazłem sobie pracę w tej branży. Inni pracowali w fabryce produkującej tkaninę zwaną kordonek. Ale mój kuzyn, tylko trochę ode mnie starszy, zginął w wypadku samochodowym w wojskowej bazie lotniczej. A po Pearl Harbor zaczęli wysyłać ludzi za granicę. Po Pearl Harbor wraz z kilkoma milionami innych naiwnych przyjąłem głupio za pewnik, że skoro już się zaangażowaliśmy, to wojna wkrótce się skończy, skończy się, zanim jeszcze zdążą mnie powołać. „Tym Japońcom odebrało rozum - powiedziałem, pamiętam,

znajomym, z którymi byłem w dzień ataku na Pearl Harbor. - Zetrzemy ich z powierzchni ziemi”.

Nim wysłano mnie do Europy, wiadomo było, że Abie Ehrenreich, strzelec pokładowy mniej więcej w moim wieku, który musiał chyba od razu wstąpić do wojska, skoro znalazł się tak szybko w akcji, leciał samolotem, który strącono nad północną Afryką, i został wzięty do niewoli. George Mandel pojechał do Europy z wojskami piechoty, pragnąc za wszelką cenę wziąć udział w boju, mimo że mógł pozostać w Stanach w charakterze instruktora. Chyba nie zaprzeczy, kiedy powiem, że powinien mieć więcej oleju w głowie. W Holandii postrzelono go w nogę w zasadzce. Dochodząc do zdrowia, usłyszał o kontrofensywie w Ardenach, wypisał się ze szpitala, zdążył dołączyć do swojej jednostki i wkrótce potem oberwał w głowę kulą od snajpera. Powikłania, które wystąpiły w związku z tą raną, nigdy nie przestały dawać się we znaki. Generał George C. Patton byłby z niego dumny. Mój George nie byłby zadowolony, gdyby to słyszał.

Wchodziliśmy w prawdziwe życie, poważne życie i dla kilku z nas okazało się ono poważne i twarde także pod innymi względami. Pewien chłopak, z którym chodziliśmy do podstawówki, zmarł na chorobę serca, która już wcześniej zmusiła go do wycofania się ze wszystkich zajęć wychowania fizycznego; pamiętam, że inny z seniorów klubu Alteo zmarł wcześniej na chorobę Hodgkina, o której po raz pierwszy wtedy usłyszeliśmy (mój bliższy przyjaciel Lou Berkman miał pięćdziesiąt dwa lata kiedy go w końcu dopadła). Znajomy z drużyny skautów przekreślił się na białaczkę. Niektórzy młodzieńcy z sąsiedztwa wyrastali nie wiadomo dlaczego na złośliwych drani i kumali się z łobuzami z innych dzielnic. Izzy Nish potrafił być wredny. Dymek Bleeker miał złote serce, ale mógł okazać się niebezpieczny. Zdecydowanie z daleka trzeba było się trzymać od Louiego Schwartza, zawsze skorego do bójki młodego boksera. Wieść gminna głosi, że kiedy Louie awansował do walki z „szalonym bykiem” Jake’em LaMottą, nawet jego matka poszła do synagogi i wraz z setkami innymi mieszkańców Coney Island modliła się, żeby LaMottą nie znokautował go szybko, lecz trzymał na dystans i obił, jak się patrzy. Samotne dziewczyny zachodziły, ku zaskoczeniu wszystkich, w ciążę (w epoce kiedy ściągało to na nie powszechne odium) i zmuszały kilka lat starszych od siebie chłopców do nie chcianych, krótkich małżeństw, żeby zalegalizować swój stan. Rok ode mnie młodsza dziewczyna, o zmysłowej uderzającej urodzie, była w tak zaawansowanej ciąży przed zakończeniem ostatniej klasy szkoły średniej, że dyrekcja zastanawiała się, czy pozwolić jej na udział w uroczystościach. Chłopak z Brighton, którego przezywaliśmy „lala”, rzeczywiście okazał się homoseksualistą - zanim jeszcze rozumieliśmy, co to znaczy. Wielu z nas poszło po skończeniu szkoły średniej do pracy, którą tylko trochę lubiło - ja byłem wyjątkiem i uwielbiałem swoją. Inni rzucali szkołę, kiedy tylko pozwalało na to prawo, w wieku szesnastu lat, i szli do pracy, której w ogóle nie lubili. Mogliśmy teraz wracać do domu późno, nawet nad ranem i latem włóczyliśmy się po wesołym miasteczku dość długo, żeby, kiedy przeredziły się tłumy, zobaczyć wysypujące się z pojemników śmieci, sterty skórek od melona, ogryzione kaczany kukurydzy oraz resztki bułek po hot dogach, i

uświadomić sobie, że Coney Island nie jest zbyt czystym miejscem po zamknięciu kas biletowych i zgaśnięciu świateł.

Aromatyczne potrawy z grilla zaczynały śmierdzieć tłuszczem. We wczesnych godzinach porannych ulica przesycona była wonią rozkładu. Nawet podmuchy świeżej bryzy od morza, podmuchy, które przedtem pobudzały apetyt i inne zmysły, nie były w stanie usunąć odrażającego odoru odpadków. Wcześniej już zdaliśmy sobie sprawę" że dla kogoś, kto wyrósł z odrabiania pracy domowej, jazdy na wrotkach i zabawy w berka, Coney Island jest w zimie wyludnioną i ciemną dziurą, po której hulają wiatry. Znani mi dobrze palacze marihuany siedzieli często w zimie, żeby się ogrzać i pobyć razem, na klatce schodowej mojej kamienicy, która nie miała oczywiście odźwiernego i była otwarta dla każdego, kto chciał wejść. Znałem ten zapach. Znałem ich nazwiska. Nikt ich nie przeganiał.

4 Praca

Z różnych prac, które wykonywałem przed pójściem do wojska, tylko jedna, umundurowanego posłańca Western Union, była jak na warunki Coney Island czymś egzotycznym. Zatrudnienie się w charakterze pomocnika kowala było bardziej zaskakujące, ale zanim to zrobiłem, przynajmniej kilkunastu innych moich ziomków wyjechało już wcześniej na południe, aby pracować w stoczni marynarki wojennej Norfolk w Portsmouth w Wirginii. Póki tam nie trafiłem, nikt z nas nie podejrzewał, że w dalszym ciągu zatrudnia się kogoś takiego jak kowal, i to nie na torach wyścigów konnych, lecz w supernowoczesnej wielkiej amerykańskiej stoczni. Zatrudnieni tam inni mieszkańcy Coney Island pracowali w zawodach równie niezwykłych jak nieprzewidzianych - pomocników instalatorów, maszynistów i blacharzy - w fabrycznych hangarach, które zajmowały prawie cały płaski teren stoczni, z wyjątkiem suchych doków, gdzie przy kadłubach statków harowali bez przerwy malarze i takielarze. Nad główną bramą stoczni powiewał sztandar z napisem W jak WYDAJNOŚĆ, zdobyty jeszcze przed moim przyjazdem.

Zakwaterowano nas w pojedynczych pokojach w rozległym labiryncie jednopiętrowych drewnianych baraków, które czasami zdawały się ciągnąć bez końca. Trochę starszy od nas facet z Coney Island, który miał już papiery hydraulika, przyjechał tam swoim autem. Lepiej od nas opłacany i bardziej doświadczony w sprawach męsko-damskich, szybko przygruchał sobie panienkę, wesołą pulchną młodą blondynką pracującą w jednej z kawiarenek w mieście. Któregoś wieczoru przywiózł ją na krótko do swojego pokoju w naszym baraku i nazajutrz kazano mu się wynosić. Chłopak z innej części Brooklynu, z którym się zaprzyjaźniłem, też wpadł w jakieś kłopoty z powodu dziewczyny. Pewnego popołudnia, gdy skończyliśmy pracę, przyjechała policja i zabrała go na przesłuchanie; następnego dnia zniknęły jego rzeczy oraz on sam i tak oto bez słowa pożegnania znalazł się z powrotem w domu. Połączyło nas głównie upodobanie do muzyki klasycznej. W spokojne wirginijskie noce łapaliśmy na małych radiach muzykę nawet z nowojorskiej stacji WQXR. Będąc niezbyt wytrawnymi melomanami, spieraliśmy się z oburzeniem z bardziej doświadczonymi krytykami, przedkładającymi Bacha i Mozarta nad melodyjne romantyczne kompozycje Czajkowskiego i Cesara Francka, wówczas przez nas preferowane. Domyślałem się, że od tego czasu jego smak również się wyrobił.

Muszę zaznaczyć, że to nie chęć wykręcenia się przed wojskiem zawiodła nas na południe do należącej do przemysłu obronnego stoczni w Wirginii, która nie dawała wcale odroczeń zwykłym pomocnikom. Po Pearl Harbor nie znałem prawie nikogo, kto chciałby uciec przed służbą. Nawet pulchny Marvin Winkler zapisał się do piechoty morskiej, kiedy tylko osiągnął odpowiedni wiek. (Ożenił się za to, zanim osiągnął odpowiedni wiek, przypomniał mi ostatnio; ponieważ nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, jego matka musiała towarzyszyć państwu młodym w urzędzie stanu cywilnego i swoim podpisem potwierdzić zgodę na zawarcie aktu. Tego

rodzaju rodzicielskiej autoryzacji nie wymagano od panny młodej). Nie wynikało to również z patriotyzmu. Ani w wojsku, ani poza nim nie przypominam sobie żadnych patriotycznych apeli prócz tych, które wystosowywała nasza oficjalna propaganda; te ostatnie podejmowane były w ramach lekcji „wychowania obywatelskiego”. Do pracy w przemyśle obronnym skłaniała nas raczej szansa kolosalnej podwyżki w stosunku do zarobków, które mogliśmy uzyskać gdzie indziej: w stoczni dostawaliśmy dolara za godzinę, pracując osiem godzin dziennie i czterdzieści tygodniowo. Ponadto można było zarobić o pięćdziesiąt procent więcej za nadgodziny w weekend: dwanaście doliczając dziennie, jeśli chcieliśmy tyrać w sobotę i niedzielę, co dawało razem sześćdziesiąt cztery dolary za siedmiodniowy tydzień pracy! W Nowym Jorku mieliśmy szczęście, jeśli udało nam się zarobić dwadzieścia dolarów tygodniowo; mało który z nas wyciągał więcej. Trzydzieści było fortuną, i to fortuną, trafiającą się nielicznym szczęściarzom, którzy mieli wujów, starszych braci i szwagrów, prowadzących intratny interes i mogących ich zatrudnić.

W Wirginii już na samym początku postanowiliśmy naturalnie zasuwać w weekendy, w ten sposób można było bowiem najwięcej zarobić. Pracowaliśmy fizycznie i to było coś nowego. Po kilku tych siedmiodniowych tygodniach pracy wysłałem do domu swoją fotografię, na której wyglądam (dla wygłupu starałem się spotęgować to wrażenie) dość żałośnie. Otrzymałszy ją, cała rodzina stwierdziła, że powinienem dać sobie spokój i zwiać z Norfolk jeszcze szybciej, niż to ostatecznie zrobiłem. Na zdjęciu wróciłem właśnie z roboty w stoczni i jestem chudszy niż wtedy, gdy wyjeżdżałem z Coney Island. Ubrany w nie uprasowane, za duże robocze spodnie i koszulę oraz metalowy fabryczny kask, rzeczy, które wybrał z przesadną troskliwością mój brat Lee - obaj kompletnie nie znaleźliśmy się na tego rodzaju odzieży - mam zboląłą trupa minę i podkrążone oczy. Łypiąc chytrze w bok okiem, udaję, że jestem skrajnie wyczerpany i ledwie trzymam się na nogach. Ta poza nie była całkiem fałszywa. W kuźni naprawdę dostawaliśmy w kość. Temperatura była wysoka, praca fizyczna na ogół ciężka, a smugi potu plamiące koszulę i żłobiące twarz jak najbardziej prawdziwe.

Moja siostra przypomniała sobie niedawno inną, o wiele wcześniejszą historię związaną z moimi ubraniami, która zupełnie wyleciała mi z głowy. Rzecz dotyczy elegancko zapakowanej walizki i dwutygodniowego wakacyjnego obozu, na który, ku mojemu zdumieniu, zostałem wysłany. Zorganizowano go w ramach charytatywnej akcji dla ubogich miejskich dzieci. Prawdopodobnie dowiedział się o niej Lee, wysłał podanie w moim imieniu i zostałem zakwalifikowany. Obóz pamiętam dość dobrze, nie przypominam sobie jednak w żadnym kontekście walizki. Moją rodzinę zdumiało i ubawiło, że po powrocie zapakowana była dokładnie tak samo porządnie jak przed wyjazdem. Nie przyszło mi po prostu do głowy, żeby ją rozpakować. Wyjąłem leżącą na górze szczoteczkę do zębów, grzebień i sportowy strój na pierwszy dzień i łącznie z tym, co miałem na sobie podczas podróży, udało mi się jakoś przetrwać całe dwa tygodnie. W końcu nikt nie kazał mi się rozpakowywać, wyjaśniałem.

I bez wątpienia lepiej było w ogóle nie ruszać walizki. Całe moje życie wyglądało tak samo - o wiele łatwiej było pozwolić, by inni ludzie zadbali za mnie o te sprawy. W książce „Ostatni rozdział” piszę o jednym z bohaterów, Yossarianie, że nie potrafił posłać łóżka i prędzej umarłby z głodu, niż coś ugotował. To czysta autobiografia.

Letni obóz, który miał być frajdą, stanowił dla mnie niezrozumiałą i doznawaną w samotności udrękę, której towarzyszyły nieustanne fizyczne uciążliwości: prycza nie była moim własnym łóżkiem; musiałem ją sam słać; rozpoczynaliśmy codziennie zajęcia wcześniej, niż miałem na to ochotę; bałem się pszczoł; jezioro było zimne i mniej pławne niż ocean, do którego przywykłem, i miało śliskie dno; wszędzie roiło się od owadów, których nie znałem. Ekologia lasu była tajemnicza i mało pociągająca. Jak ja się cieszyłem z powrotu!

Dowiedziałem się znacznie później, że Mario Puzo miał podobne doświadczenia w mniej więcej tym samym wieku, ale jego reakcja była diametralnie różna od mojej. Obóz, na który go wysłano, sponsorowała inna organizacja charytatywna, Fundacja Świeżego Powietrza „New York Herald Tribune”. Puzo wspomina swój pobyt w lesie jako być może najpiękniejszy okres w całym życiu - do momentu, przypuszczam, kiedy bezsporny sukces odniósł „Ojciec chrzestny” (notabene, jego trzecia powieść). Ale Mario uciekł na letni obóz z dusznego tygła i roztopiających się w upale kocich łbów Hell’s Kitchen na Manhattanie.

Ja mieszkałem na Coney Island.

Ciekawe, czy jest jakiś związek między tym wyjazdem na obóz - moim pierwszym pobytem poza domem - i czarną rozpaczą, jaka ogarnia mnie za każdym razem, kiedy wybieram się w dorosłym wieku w jakąś podróż. Te przejawy desperacji nie mają żadnego konkretnego powodu. Ale nienawidzę pakowania, samej o nim myśli; nie znoszę się rozpakowywać. Już na kilka tygodni przed wyjazdem zadrezczam się, dumając, jaki zabrać garnitur, jakie buty będą pasować do jakich spodni, jaki krawat jest dobry do tej czy innej koszuli oraz marynarki i jakie zabrać koszule. Jestem zdecydowany nie zabierać zbyt dużo bagaży i zawsze zabieram ich zbyt dużo. Przed wyjściem z domu niepokoję się, że samochód odwożący mnie na lotnisko albo dworzec kolejowy w ogóle nie przyjedzie albo zepsuje się po drodze, że wsadzę w złe miejsce albo zgubię swój bilet lub paszport. W rezultacie pojawiając się na ogół na lotnisku godzinę wcześniej, niż ktokolwiek, łącznie ze mną, chciałby mnie tam widzieć. Przychodząc na różne spotkania, jestem zwykle bardziej punktualny niż zegar. Kiedy już znajdę się na pokładzie samolotu i zajmę bezpiecznie zarezerwowane dla mnie miejsce, wszystkie obawy ulatniają się i ogarnia mnie uczucie triumfu: sprawa, w związku z którą wyruszyłem w podróż, jest już uwieńczona sukcesem. Nie boję się samego lotu, lecz ulegając przesądowi, który odrzuciłem w dzieciństwie i do którego z rozmysłem wróciłem w czasie wojny, nigdy nie zapominam skrzyżować cichaczem palców obu rąk podczas startu i lądowania. Nabrałem tego zwyczaju w eskadrze, kiedy zbliżała się do końca liczba moich misji, i robiłem to śmiertelnie serio podczas ostatniego lotu do Neapolu, skąd miał mnie zabrać do domu parowiec. (Nikt nie wie, że krzyżuje, palce, i prędzej

zgodzę się na piekielne tortury, niż uchylę komukolwiek rąbka tajemnicy).

Nie mam żadnych tego rodzaju złych przeczuc, kiedy wracam do domu, chyba że łądujemy akurat podczas burzy z piorunami - wtedy powtarzam swój środek zaradczy. Ale nienawidzę się rozpakowywać, oddzielać rzeczy, które idą do zwykłej pralni, od tych, które idą do pralni chemicznej, lekarstwa od kosmetyków, czasopisma od prawdziwej poczty, prawdziwą pocztę od pocztowych śmieci. Robię to bardzo niechętnie i małymi etapami, tak że zajmuje mi to co najmniej kilka dni. I często żałuję, że nie mam matki albo starszej siostry lub brata, żeby mnie w tym wyręczyli.

Mieszkańcy Coney Island, którzy mieli pracę na Manhattanie, musieli jechać szmat drogi, żeby tam się dostać. Nie tak daleko jak do Norfolku w Wirginii, lecz dalej niż wy i ja mielibyśmy ochotę jechać dzisiaj, gdybyśmy nie musieli. Wtedy musieliśmy.

Najpierw przez jakieś piętnaście albo dwadzieścia minut jechało się linią tramwajową Norton's Point do stacji metra przy Stillwell Avenue. W porannych i popołudniowych godzinach szczytu tramwaj zatrzymywał się na każdym rogu. Mieszkańcy Sea Gate musieli poświęcić kolejne piętnaście lub dwadzieścia minut, żeby dojść do przystanku. Znalezienie wolnych miejsc w metrze nie było dla nas problemem; rano wyruszaliśmy z ostatniej stacji, po południu wsiadaliśmy na pierwszej. Ludzie, którzy wracali do domu z Times Square, gdzie kończyły się i zaczynały trzy ekspresowe linie łączące śródmieście z Coney Island, korzystali z tego samego przywileju u schyłku dnia roboczego, ale pasażerów było prawdziwie mrowie i trzeba było żwawo się ruszać, by znaleźć się wśród pierwszych, którzy wpadli do najbliższego pustego wagonu, i zająć najlepsze miejsce, przy oknie, przodem do kierunku jazdy. Już na następnej stacji za Times Square, przy Trzydziestej Czwartej Ulicy i Herald Square, gdzie przez blisko czterdzieści lat swojej pracy u Macy'ego wsiadała i wysiadała Sylvia, trzeba było mieć szczęście, żeby znaleźć jakiegokolwiek wolne miejsce. Kiedy zamykały się drzwi, wszystkie były zajęte, a pociąg podążał w stronę trzeciej śródmiejskiej stacji przy Czternastej Ulicy i Union Square. Ci, którzy nie zdołali usiąść, gdy metro wyjeżdżało ze stacji przy Czternastej Ulicy, musieli tłoczyć się w koszmarnym ścisku - koszmarnym zwłaszcza dla kobiet - póki pociąg nie przetoczył się przez most łączący Manhattan z Brooklynem i nie dotarł do dzielnic mieszkaniowych obsługiwanych przez oddzielne linie. Ludzie, którzy mieli miejsca siedzące, zwalniali je wtedy, żeby wysiąść. W godzinach szczytu podróż metrem z Times Square na Coney Island zajmowała prawie godzinę - linia Sea Beach była najkrótsza i jazda nią trwała kilka minut krócej, ale i tak mieliśmy zwyczaj wsiadać do pierwszego pociągu, który podjechał - i rzadko kiedy stanowiła najprzyjemniejszą część dnia roboczego. Wydawało mi się to wówczas nieustającą tragedią i oburzającym ekonomicznym skandalem; konieczność tak długiego dojeżdżania i w gruncie rzeczy sam przymus chodzenia do pracy - nie ja pierwszy wpadłem na tę myśl i wiedziałem o tym - była według mnie niesprawiedliwością i draństwem, które musi znosić oświecona ludzkość.

W połowie lat pięćdziesiątych, gdy pracowałem w magazynie „Time”, pewne

zdumienie, lecz nie współczucie, wzbudziła we mnie informacja, iż wielu moich nawet bardzo zamożnych kolegów pokonuje dość znaczną odległość, udając się do pracy. Skończyłem już trzydziestkę, ale byłem wciąż żółtodziobem, kiedy zacząłem pracować w dziale promocji, pisząc teksty reklamowe, zamawiając do nich oprawę plastyczną i asystując w sprzedaży stron ogłoszeniowych. Wkrótce zawarłem znajomość z członkiem rodziny jednego z założycieli magazynu „Time”, firmy, która rozrosła się do rozmiarów powszechnie szanowanego wydawniczego megalopolis i w której byliśmy obaj zatrudnieni. Mężczyzna nazwiskiem Britten Hadden, który zmarł w młodym wieku na zakażenie paciorkowcem, stworzył „Time’a” wraz z Henrym R. Luce’em. Z niejakim zaskoczeniem odkryłem, że mój współczesny Hadden, Peter, nie mieszka w śródmieściu, lecz poza miastem, na Long Island, w miejscowości o nazwie Locust Valley, skąd codziennie dojeżdża do pracy przy prezentacji reklam, zasuwając najpierw samochodem na stację kolejową, następnie pociągiem na Manhattan i taksówką z Pennsylvania Station do Time-Life Building (z którego widać było wtedy ślizgawkę w Rockefeller Center), z własnej nieprzymuszonej woli tracąc na to wszystko prawdopodobnie tyle samo czasu, ile zajmowała podróż z Coney Island na Times Square. W naszym archiwum, które w znacznym stopniu opierało się na danych dostarczanych przez państwowy urząd statystyczny i związane z nim agendy, dowiedziałem się również, że w stosowanej przez nich taksonomii istnieje specjalna pierwsza kategoria przedmieścia i że Locust Valley na pewno do niej należy. Ja wraz z żoną i dziećmi (córką Ericą i synem Tedom) znaleźliśmy już sobie wygodne lokum na Manhattanie i mogliśmy z łatwością dojechać do pracy metrem albo dojść na piechotę - zajmowało to odpowiednio dziesięć lub dwadzieścia minut. W końcu pogodziłem się z tym, że wiele osiągających bardzo wysokie dochody osób na kierowniczych stanowiskach, zarówno w mojej, jak i w innych firmach, woli tracić codziennie określoną liczbę godzin na podróż do pracy i z powrotem, aniżeli mieszkać w mieście. Należał do nich ówczesny wydawca „Time’a”, James Linen, podobnie jak prawie każda osoba piastująca wysokie stanowisko, która przychodzi mi teraz do głowy. Wydawało mi się dziwne, że ludzie dysponujący takimi środkami, mieszkali tam, gdzie mieszkali, podczas gdy stać ich było na to, żeby mieszkać tam, gdzie ja, w apartamencie na Upper West Side na Manhattanie, i docierać do biura tak samo szybko jak ja. Nie żałowałem ich, tak jak kiedyś żałowałem robotników z Coney Island i samego siebie. W gruncie rzeczy uważałem ich za czubków.

Wkrótce odkryłem kolejną rzecz, która świadczyła według mnie o tym, że nie mają po kolei w głowie - ich obsesyjną i niemal nałogową miłość do golfa. Oddanie się w niewolę tej grze szerzyło się niczym epidemia w działach handlowych, na szczęście jednak ominęło wszystkich copywriterów i artystów w Dziale Promocji (może dlatego, że nie było nas na nią stać; krążyła plotka, chyba nawet prawdziwa, że firma pokrywa prezentatorom reklam koszty członkostwa w klubie oraz wszystkie związane z tym wydatki). Uderzyło mnie to wówczas jako przejaw jakiegoś psychicznego zaburzenia. Dzisiaj oczywiście wszyscy wiedzą, że mężczyźni, których pociąga golf, są nieszczęśliwi w domu i mają kłopoty z kobietami.

Pete Hadden zapadł mi najsilniej w pamięć nie w związku z pracą w reklamie, lecz z pewnym niezwykłym meczem baseballu, wygranym w pojedynkę przez miotacza Jankesów, niejakiego Dona Larsena - ani jednego uderzenia, ani jednego błędu, żadnego obiegania baz, dwudziestu siedmiu pałkarzy wyznaczonych i dwudziestu siedmiu pałkarzy odesłanych na ławkę. Coś takiego nie miało precedensu w rozgrywkach World Series, nigdy się nie powtórzyło i szalenie rzadko zdarzało się gdzie indziej. Jesienią w wielu pomieszczeniach koncernu „Time” instalowano na czas rozgrywek odbiorniki radiowe, żeby umożliwić ludziom śledzenie każdego meczu, gdy nie mogli już dłużej słuchać radia przy lunchu w pobliskich barach. Mniej więcej pół godziny po zakończeniu tego niezwykłego meczu zobaczyłem, jak Pete, dla którego wykonywałem właśnie jakiś projekt, wchodzi niczym nawiedzony do otwartej sali, gdzie mieścił się dział prezentacji reklam.

- Zobaczyliśmy dzisiaj - stwierdził półgłosem, podchodząc do mnie z nabożnym zachwytem na twarzy - tworzącą się na naszych oczach historię.

Mam takie sentymentalne wrażenie, że w magazynie „Time” w tej złotej epoce lat pięćdziesiątych, a także w „Life” i chyba również w jałowym gospodarczym piśmie „Fortune”, bożonarodzeniowe przyjęcia w pracy zaczynały się zaraz po zakończeniu jesiennych rozgrywek World Series. A może to były jednak obchody Święta Dziękczynienia. Nieważne. Żadne święto nie było potrzebne, żeby podtrzymać joie de vivre, która panowała w godzinach pracy w tamtych czasach. Zawsze mieliśmy dość urodzin, rocznic, pożegnań, przeniesień oraz innych wydarzeń, stanowiących świetny powód do wydania przyjęcia gdzieś na naszym piętrze. Łał się alkohol, nie wiadomo skąd pojawiały się kanapki, a po godzinach pracy imprezowicze przenosili się małymi grupkami do pobliskich barów. Nic dziwnego, że często nie śpieszyło nam się do domów. Pracujące u nas kobiety były wesołe, wykształcone i inteligentne; jedyne smutne gęby, jakie się wtedy widywało, należały do skacowanych, którzy wypili za dużo poprzedniego wieczoru lub tego samego dnia podczas lunchu, bądź też do faceta, który w nastroju nieubłaganej autodemaskacji zaczynał sobie z przerażeniem uświadamiać, że ma naprawdę poważny problem z alkoholem i jest nałogowym pijakiem. Krążyły wtedy plotki, być może pozbawione podstaw, że firma zawarła umowę z kliniką Payne’a Whitneya w New York Hospital w sprawie dyskretnego przyjmowania i leczenia ważnych pracowników, którzy cierpieli na tę przypadłość oraz na różne inne typy poważnej depresji. Według innej pogłoski, kiedy firma wprowadziła swój wyjątkowo liberalny program opieki medycznej, w którego wstępnej fazie pokrywano wydatki na leczenie psychiatryczne, okazało się, że ponad dziesięć procent łącznej liczby naszych beztrioskich wesołych kompanów zatrudnionych przez „Time’a” na całym świecie korzysta z tej czy innej formy psychoterapii. „Time” był cudowną i pobłażliwą firmą, której pracownicy często dostawali załamania nerwowe (jednym z ludzi, którzy huścili się na samej krawędzi, był Bob Slocum, bohater tej znakomitej powieści „Coś się stało”).

Stary przyjaciel z „Time’a”, Gerald Broidy, przypomniał mi niedawno temu

pewną imprezę, w którą był peryferyjnie zaangażowany - organizując roboczy obiad, na którym kilka osób z najwyższego kierownictwa Time, Inc. spotkało się z równymi im pozycją oficjelnymi z „New York Timesa”. Przyjęcie odbywało się w nowojorskim apartamencie jednego z najważniejszych facetów w redakcji „Time’a”, którego żona należała do rodziny właścicieli „New York Timesa”. Broidy nie brał w nim udziału. Oczywiście zaraz na wstępie podano drinki. Nazajutrz wczesnym rankiem dowiedział się przez telefon od zdenerwowanego kolegi z gazety, że jeden z nachlanych notabli „Time’a” stracił przytomność już przy pierwszych zakąskach i pozostałą część imprezy spędził, chrapiąc głośno z głową opartą o stół, ku zdumieniu i konsternacji wyłącznie, jak się domyślam, dygnitarzy z „New York Timesa”.

- Kto to mógł być? - pytał z oburzeniem facet z gazety.

- Każdy z nich! - odparł Broidy, wybuchając swoim tubalnym śmiechem, po którym można go łatwo poznać.

Przypuszczam, że to właśnie Pete Hadden zamówił u mnie wstęp do prezentacji, w którym pomysłowo wykorzystałem swoje świeżo zdobyte wykształcenie literackie i którym wkrótce chcieli posłużyć się inni sprzedawcy reklam. Pamięta się go po dziś dzień jako coś w rodzaju klasyki. Zapomniałem już, jaki to produkt i jaka firma miała zostać odbiorcą nowej bądź też rozwiniętej reklamy, ale na pierwszym posiedzeniu komisji zaprezentowałem powiększoną ilustrację Tenniela do „Drugiej strony lustra”, na której Czerwona Królowa unosi się nad ziemią, wlokąc za sobą Alicję. „Tu, jak widzisz, trzeba biec tak szybko, jak się potrafi, żeby zostać w tym samym miejscu”, brzmiał podpis na dole.

Inni sprzedawcy wkrótce prosili o tę samą ilustrację do własnych prezentacji. Ode mnie osobiście pochodziły nowe pisemne prezentacje. W jednej z nich po powyższym wprowadzeniu namawiałem wytwórnicy materaców Simmons, żeby zapomniała na jakiś czas o wydawnictwach konsumenckich i posłużyła się naszym czasopismem, by sprzedawać materace prenumerującym masowo „Time’a” właścicielom hoteli i moteli. W innej przekonywałem kontrahentów z firmy H. J. Heinza, aby zamieścili w magazynie „Time” reklamę miniaturowych porcji keczupu, skierowaną do właścicieli restauracji, kawiarni i hoteli.

Dzięki tego rodzaju natchnionym ideom przez dwa lata pod rząd otrzymywałem na koniec roku tysiąc dolarów podwyżki, wspinając się (jeśli nie zawodzi mnie pamięć) z początkowego poziomu dziewięciu tysięcy do jedenastu tysięcy dolarów rocznie. Po przepracowaniu trzeciego roku zamiast podwyżki otrzymałem wyjaśnienie: w wyniku uruchomienia nowego magazynu „Sports Illustrated” i związanych z tym kosztów w całej firmie wstrzymano wszelkie podwyżki. Postąpiłem wtedy tak samo, jak dwa razy wcześniej po powrocie do Nowego Jorku z Pennsylvania State College, gdzie pracowałem jako młodszy asystent. Nabyłem nowy kapelusz - szarą fedorę z ciemną wstążką - kupiłem nową białą koszulę z francuskimi mankietami, wygrzebałem moje spinki i wyruszyłem potajemnie w poszukiwaniu lepiej płatnej roboty. Wkrótce ją znalazłem i zacząłem wykonywać to samo w magazynie „Look” za trzysta tysięcy dolarów rocznie.

Znajomy z „Time’a”, Arky Gonzales, który zwabiony większą forszą przeszedł wcześniej do „Reader’s Digest”, ostrzegł mnie, że reguły panujące w świecie biznesu różnią się od tego, co poznałem w magazynie „Time”, i że wkrótce mogę żałować, że odszedłem.

Do dzisiaj tego żałuję.

Na jednej z dorocznych konwencji handlowych, na którą zabrano mnie, abym pomagał przy prezentacji różnych slajdów, widziałem na własne oczy Henry’ego Luce’a, który oznajmił srogim głosem, że według niego zadaniem korporacji Time-Life jest przede wszystkim wydawanie prasy i że nie zamierza zamknąć „Sports Illustrated” po to tylko, by usmierzyć wątpliwości inwestorów z Wall Street lub uspokoić wewnętrzne obawy dotyczące podwyżek płac i kontynuacji planu emerytalnego dla pracowników.

Na konferencjach koncernu Time w luksusowych kurortach na Florydzie, w Nassau i na Bermudach, w których brałem udział, tuż przy wejściu do sali, gdzie jedliśmy śniadanie, czekały na porannych gości wielkie szklane wazy z Krwawą Mary i Brandy Alexander; po południu na polu golfowym, w bezpośredniej bliskości miejsca, skąd wybija się piłkę, stały, jak mi powiedziano, duże pojemniki ze schłodzonym butelkowanym piwem, aby spragnieni sportowcy Time, Inc. mieli czym się wzmocnić, zbierając siły przed następnym rzutem. Młody sprzedawca reklam, którego nazwisko mogło się śmiało znaleźć na kartach książek Johna Cheevera lub F. Scotta Fitzgeralda, niejaki Seth Bidwell, został, jak słyszałem, szefem dużego prowincjonalnego biura głównie dlatego, że na osiemnastu dołkach miał tylko trzy handicapy i robił wrażenie świetnego zawodnika na klientach, z którymi grywał. Innym sprzedawcą o wielkim nazwisku był Royal Peterson II; szczupły, wysoki i uprzejmy, odziany zawsze w znakomicie dobrane i świetnie uszyte garnitury, idealnie pasował do swego nazwiska. Jeszcze inny akwizytor wyrzygał się do basenu w trakcie konwencji, w której nie brałem udziału. W tak paternalistycznej firmie chyba nie został wylany; bardziej prawdopodobne jest, że incydent zatuszowano bądź też przesunięto go na inne stanowisko, uniemożliwiające jego pojawienie się na następnych konferencjach. Niezależnie od powyższego, w ciągu trzech lat, które tam spędziłem, firma stale się rozwijała - „Time” ogłosił z dumą osiągnięcie dwumilionowego nakładu - i rosła przez czterdzieści następnych lat, chociaż z niej odszedłem. W końcu połączyła się wbrew moim pragnieniom z Warner Communications, wcześniej Warner Brothers, filmowym gigantem powalającym psychicznie na kolana swoimi rozmiarami i reputacją.

A jednak czasami nic tak nie psuje jak sukces. Korporacja pomnożyła swą wartość rynkową i obniżyła jakość. Z programów telewizyjnych i działalności ubocznej napływało więcej pieniędzy niż z publikacji. Wydawane dziś czasopisma nie cieszą się specjalną estymą nawet na tle innych i podejrzewam, że niezbyt przyjemnie pracuje się dla biznesmenów ogarniętych manią fuzji, których ciernista etyka pracy, bez wątpienia ceniona wysoko przez instytucjonalnych inwestorów, da się wiarygodnie sprowadzić do automatycznie powtarzanego agresywne-go hasła: „Oni nie są tutaj, żeby się dobrze bawić, ale pracować”.

Jeśli w kierownictwie pozostały jakieś barwne osobowości, to są one barwne niewidocznie.

Niedawno temu w haniebnie krótkim okresie, może w ciągu tygodnia, a może na tym samym oddechu, wrażliwi na politykę' informacyjną kontrolerzy firmy, do której należy żyjący z informacji magazyn „Time”, ogłosili na forum publicznym wypłacenie jakichś siedemdziesięciu milionów dolarów pojedynczemu dyrektorowi, zatrudnionemu w wyniku fuzji, oraz zwolnienie, z przyczyn wyłącznie ekonomicznych, około dwustu pracowników. Tak wyglądają wspaniałe wolności, uzyskane dzięki amerykańskiej wolnej inicjatywie. I taka jest natura wolnej inicjatywy.

Dojeżdżając z Brooklynu do mojej pierwszej pracy w mieście (w Western Union), miałem o tyle dobrze, że mogłem tam wyruszyć bezpośrednio z Abraham Lincoln High School. Po ostatniej lekcji wsiałem do metra linii Brighton na stacji Ocean Parkway i ponieważ nie musiałem już jechać tramwajem z Coney Island i miałem do pokonania dwie stacje mniej, podróż do miasta skracała się o jakieś trzydzieści minut. Poza tym wczesnym popołudniem, kiedy wychodziłem ze szkoły, pociągi nie były zatłoczone i mogłem znaleźć miejsce siedzące.

Pracując w pierwszym biurze, do którego mnie skierowano, trzymałem mundur w szafce w centralnej szatni, obsługującej kilka naszych filii w biurowych rejonach dolnego Manhattanu, rozchodzących się promieniście od Union Square oraz Flatiron Building przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, tam, gdzie Broadway przecina Piątą Aleję. Kiedy przeniesiono mnie na północ, mundur wisiał w małej szafce w niewielkim biurze w budynku, który nosił wówczas nazwę General Motors Building, na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Broadwayu. Na koniec, kiedy dostałem transfer do biura w Brooklynie, niedaleko mnie we Flatbush i pracowałem tylko w weekendy, mundur trzymałem w domu. Nareszcie mogłem paradować po Coney Island w eleganckim uniformie posłańca Western Union, pedałując z domu do biura i z powrotem i mając nadzieję, że doręczę telegram komuś w sąsiedztwie. To ostatnie nigdy się nie zdarzyło, ale stała trwogą napełniała mnie zrodzona w wyobraźni obawa, że prędzej lub później będę musiał dostarczyć jakiejś znanej mi rodzinie ostemplowaną dwiema czerwonymi gwiazdami żółtą kopertę. W epoce telegrafu, zanim faks i wszechobecny telefon wyeliminowały prawie całkowicie tego rodzaju szybką łączność, koperta z dwiema gwiazdami oznaczała tragiczną wiadomość.

W krótkim czasie nauczyłem się jeździć rowerem bez trzymania i robiłem to nawet na zakrętach, gdy ulica była wystarczająco szeroka, żebym mógł zatoczyć szeroki łuk. Rower dostałem od cioci Esther, kiedy tylko dowiedziała się, że jest mi potrzebny w pracy posłańca. Pochodził z należącego do niej i wuja Juliusa sklepu z zabawkami w Williamsburgu, który leżał kawał drogi od nas. Pojechałem tam pociągiem. Nie pamiętam, na czym pożyczonym rowerze nauczyłem się jeździć i z czyjego roweru korzystałem z początku w nowym miejscu pracy, ale kiedy odezwała się ciocia Esther, potrafiłem sobie świetnie radzić i nikt nie wątpił, że zdrowszy i cały dotrę z powrotem na Coney Island. Ciocia Esther, grająca, jak się zdaje, pierwsze skrzypce w swojej rodzinie, narysowała mapkę, radząc, abym pojechał Kings

Highway, która okazała się arterią bardziej zatłoczoną i sięgającą dalej, niż sądził ktokolwiek poza nią i wujem Julusem. Mieli własny samochód, którym przyjeżdżali do nas z wizytą. Ich córka Janet studiowała medycynę, wówczas niezwykła rzecz jak na kobietę, a syn Philip został wkrótce adwokatem, a potem sędzią. Byli z nami spokrewnieni od strony ojca, ale zachowywali bliskie stosunki również po jego śmierci. Wszyscy kuzyni ze strony ojca i matki byli znacznie starsi ode mnie, ale nie od mojego brata i siostry. Być może dlatego nie byłem z nimi blisko związany. Mój brat nie utrzymywał z nimi zażyłych stosunków, bo taką miał naturą; mój kuzyn Nat Siegel, także z rodziny ojca, pracował już jako księgowy, kiedy dał mi w prezencie „Iliadę”. Jego starszy brat Morris był lekarzem i może dlatego Lee trzymał się na dystans. Sylvia natomiast była zawsze ciepła i serdeczna do tego stopnia, że spotykała się z nimi w klubie kuzynów, kiedy jeszcze mieszkało ich dosyć w pobliżu. Lee czuł się chyba lepiej w towarzystwie ludzi, których znał słabo, niż tych, których znał dobrze. Niezwykłe skromny człowiek, w wieku dziewiętnastu albo dwudziestu lat wyjechał któregoś dnia bez uprzedzenia z domu i w ciągu jednych wakacji dotarł do Kalifornii i z powrotem. Epizod ten nie wydawał mu się wystarczająco ważny, żeby w ogóle wspominać o nim swemu synowi Paulowi, i chyba autentycznie się zdziwił, widząc, że obaj jesteśmy pod wrażeniem, kiedy o tym w końcu wspomniałem (Paul zdążył tymczasem dorosnąć i się ożenić). Moja matka wyznała mi z pewną goryczą, że w przeszłości Lee wprawiał ją w straszliwe zakłopotanie, zamykając się w swoim pokoju podczas rodzinnych wizyt. Przychodząc do nas, ciotki i wujowie rozmawiali z matką w jidysz. Dopiero teraz zrozumiałem, że mówiąc o „Itchym”, co robili dość często, mieli na myśli mojego ojca: Itchy było zdrobnieniem imienia Isaak, w jidysz Yitzak.

Tego samego dnia, kiedy dostałem rower, Lou Gehrig kończył swoją karierę baseballisty. Pamiętam, że jedząc w domu ciotki Esther lunch, który dla mnie przygotowała, słuchałem w radiu jego łzawego pożegnania. Pedalując w nastroju radosnego uniesienia na nowym rowerze, zacząłem długą podróż powrotną przez tajemnicze miejskie rejony, w których nigdy przedtem nie byłem. Brooklyn jest rozległą dzielnicą i podróż była nie kończąca się przygodą; mijalem nie znane okolice, wówczas uważane za bezpieczne, sycąc się każdym kolejnym widokiem. W końcu, po trwającej pół godziny albo dłużej jeździe, rozpoznałem przed sobą z dreszczem ulgi zarysy stacji kolejowej przy znajomym odcinku Kings Highway, biegnącym przez zatłoczone centrum handlowe z wszelkiego rodzaju sklepami i kafełnią Dubrowa, otwartą od świtu i podającą wspaniałe jedzenie aż do wczesnych godzin następnego dnia. Wkrótce później dotarłem do Ocean Parkway. Po dziesięciu minutach mijalem swoją szkołę średnią. Przez ostatnie pół godziny, nareszcie w znajomej okolicy, pedałowałem szerokim bulwarem w stronę Coney Island i dotarłem triumfalnie do domu.

Wspomniałem już o mojej wrodzonej ślepotce na detale; dopiero ostatnio dotarło do mnie, że Kings Highway jest w rzeczywistości Drogą Królewską, a sąsiednia dzielnica Queens - Dzielnicą Królowej. Nie wiem, jakiego brytyjskiego króla i królową upamiętniają, i nie kusi mnie, żeby to sprawdzać (możecie poszukać

sami, jeśli zależy wam na tym więcej ode mnie). Postawiłbym na Wilhelma i Marię, ponieważ oni jedyni z królewskich par tej monarchii wydają się do siebie pasować (Albert Wiktorii był tylko księciem małżonkiem). I prawdopodobnie bym przegrał.

Pamiętam, że oprócz roweru ciocia Esther podarowała mi dolara i jak zwykle kazała przekazać matce, żeby dawała mi więcej czerwonego mięsa. Albo wydawałem jej się anemiczny, albo w ogóle bała się anemii i była przekonana, że dieta bogata w wołowinę może przed nią uchronić. Ciocia Esther nigdy nie omieszkała dać mi dolara, kiedy się widzieliśmy. Dała mi go na cmentarzu, kiedy chowaliśmy mojego ojca. Pamiętam to i niewiele więcej. Był to pierwszy dolar, jakiego w życiu miałem, i nie wiem, co z nim zrobiłem. (W wieku pięciu lat nie mogłem wiele zrobić z czymkolwiek). Inni ludzie, jak twierdzi Freud, czy tego chcą, czy nie, kojarzą często nieświadomie walutę ze złotem, a złoto z ekskrementami i vice versa. Ja kojarzę pieniądze z życiem, a ich brak ze śmiercią. Nie mogę na to nic poradzić. Ja też zgaduję, jaka jest tego przyczyna, lecz mimo to nie mogę na to nic poradzić.

5. I tak dalej

Ukończywszy szesnaście lat, znalazłem się w odpowiednim wieku, żeby otrzymać „książeczkę pracy” i móc poszukać legalnego zatrudnienia.

Wprowadzone niedługo przedtem federalne przepisy zakazywały oficjalnego zatrudniania kogoś młodszego w niemal jakimkolwiek formalnym charakterze. (Shirley Tempie, jak przypuszczam, stanowiła uśmiechnięty i rozczulający wyjątek).

Po ukończeniu szesnastu lat wolno było również odejść ze szkoły, ale ja nigdy o czymś takim nie myślałem, podobnie zresztą jak żaden z moich kolegów. Porzucenie szkoły okryłoby hańbą rodzinę, byłoby skandalem na całą okolicę. Tak się złożyło, że dopiero w wieku dwudziestu ośmiu lat, postawiony przed niemiłym wymogiem zrobienia doktoratu, jeśli chciałbym kontynuować nauczanie, zrezygnowałem nieśmiało z dalszej instytucjonalnej edukacji i poczyniłem pewne kroki, aby spróbować swoich sił w realnym świecie. Doktorat z literatury to nie taka prosta sprawa. Byłem wówczas od sześciu lat żonaty, miałem małe dziecko i przepracowałem za nędzne grosze dwa raczej męczące lata jako młodszy asystent na wydziale kompozycji języka angielskiego Pennsylvania State College - dwadzieścia godzin tygodniowo kursu ekspozycji literackiej dla studentów pierwszego roku. Poza kilkoma wyjątkami, byli tak samo mało zainteresowani opanowaniem sztuki ekspozycji, jak ja jej nauczaniem. Poważnie podbudowany publikacją w ogólnokrajowych czasopismach kilku moich opowiadań, które zostały napisane i ukazały się, kiedy jeszcze studiowałem na Uniwersytecie Nowojorskim, bardziej chciałem pisać literaturę, niż ją dalej studiować. (Muszę tutaj zaznaczyć z nieprzekonywającą fałszywą skromnością, że w roku 1948, gdy ukazała się większa część tych opowiadań, Norman Mailer wydał już „Nagich i martwych”; Gore Vidal, młodszy od nas obu, miał za sobą publikację wojennej powieści Williwaw oraz „Nie oglądaj się w stronę Sodomy”, a Truman Capote, także młodszy, zwrócił na siebie powszechną uwagę „Innymi głosami, innymi ścianami”).

Wtedy jednak, w maju 1939, chodząc jeszcze do szkoły średniej (i wystukując prawdopodobnie z zapalem na maszynie w mieszkaniu Irvinga Kaisera piętro niżej moje niedorzeczne opowiadanie o młodym fińskim żołnierzu sprytnie i heroicznie odpierającym inwazję zalewających jego kraj oddziałów sowieckich) zapomniałem na chwilę o swoich twórczych ambicjach i ukończywszy szesnaście lat, pobiegłem z entuzjazmem złożyć podanie o książeczkę pracy.

Albo Sylvia, albo Lee miał znajomego, który prowadził biuro Western Union w Bensonhurst, niedaleko Coney Island. W tamtej epoce prawie każda dzielnica mieszkaniowa miała placówkę Western Union. Za pośrednictwem tego znajomego umówiłem się na rozmowę kwalifikacyjną z panem Shotterem w dziale kadr głównej siedziby Western Union przy Hudson Street 60 na Manhattanie i zostałem zatrudniony w niepełnym wymiarze godzin jako posłaniec - po południu w dni powszednie oraz, gdyby zaszła taka potrzeba, przez połowę dnia w soboty. Ponieważ nie obowiązywał wtedy pięciodniowy tydzień pracy, prawie w każdą

sobotę potrzebny byłem do obsługi otwartych w tym dniu firm. W dziale zaopatrzeniowym Western Union, odpowiedniku służby kwatermistrzowskiej, z którą miałem się później spotkać w wojsku, pobrałem swój elegancki mundur. Czas zatarł nieco wspomnienie, ale wydaje mi się, że składał się również z brązowych skórzanych sztylpów, które znaleźmy ze zdjęć oficerów kawalerii z pierwszej wojny światowej i wojny amerykańsko-hiszpańskiej. (Jestem niemal pewien, że w jakimś okresie życia nosiłem skórzane sztylpy, i wiem, że nie było to podczas drugiej wojny światowej ani w drużynie skautów). Obowiązywała już wtedy ustawa o płacy minimalnej i chyba się nie mylę sądząc, że minimum, od którego zacząłem, wynosiło dwadzieścia pięć centów, po czym jeszcze zanim odszedłem z Western Union wzrosło szybko do czterdziestu. Pracując przeciętnie trzy, cztery godziny po południu oraz cztery w sobotę, z wyjątkiem świąt państwowych, zarabiałem od pięciu do sześciu dolarów na tydzień. Kiedy po przeszło roku zostałem zwolniony, posłuchałem rady kilku starszych kolegów i ruszyłem wydeptanym przez nich szlakiem do biura ubezpieczeń społecznych. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu okazało się, że mogę się ubiegać o zasiłek. Ku jeszcze większemu zdumieniu dostałem niebagatelną sumę sześciu dolarów tygodniowo, minimalny wymagany przez prawo zasiłek, który wypłacano przez trzynaście tygodni. Było to tyle samo albo więcej, niż zarabiałem pracując, bez nieuniknionego wydatku dwudziestu centów dziennie na tramwaj i metro.

Ach, jaki cudowny jest świat, w którym istnieją takie dobrodziejstwa, miałem ochotę zaśpiewać na głos za każdym razem, kiedy listonosz przynosił mi czek na sześć dolarów - ale tylko przez trzynaście tygodni.

Na mocy domowego porozumienia wszystko, co zarobiłem, mogłem wydać na drobne wydatki. Lee i Sylvia skończyli już oboje szkołę średnią i pracowali w mieście. A w tamtym okresie moje sześć dolarów netto to było mnóstwo forsy.

Kiedy wyłoniła się możliwość zatrudnienia, wszyscy w rodzinie sądziliśmy, że będę pracował w biurze w Bensonhurst, i wtedy właśnie zacząłem intensywnie trenować jazdę na pożyczonych rowerach. Tymczasem przydzielono mnie do biura w śródmieściu, przy Wschodniej Siedemnastej Ulicy, na zachód od Czwartej Alei, kilka przecznic od Union Square, gdzie nigdy w życiu nie byłem, i kilka przecznic od Flatiron Building, niegdyś architektonicznej wizytówki miasta, o której nigdy nie słyszałem. Manhattan był w tym okresie zupełnie inny (tak jak ja) i to samo można powiedzieć o terenie, który rozciągał się wokół Union Square. Tamtejsze centrum handlowe z rojnymi domami towarowymi S. Kleina, Ohrbacha i Maya ustępowało tylko Macy'emu i Gimbelowi dwadzieścia ulic na północ, a te z kolei ustępowały tylko (jeśli do przyjęcia są dwa takie „ustępstwa”) eleganckim sklepom na Piątej Alei w latach pięćdziesiątych. Dzisiaj wszystkie te domy towarowe przy Czternastej Ulicy zamknęły podwoje i nic nie pojawiło się na ich miejscu. Bez nich i bez organizowanych w przeszłości burzliwych demonstracji związkowych Union Square jest już zupełnie nie ten sam. Ale Macy też się zmienił, kiedy zabrakło domu towarowego Gimbela po drugiej stronie ulicy. Piąta Aleja również jest dzisiaj inna, inne są Champs Elysees i inna, co stwierdziłem z dotkliwym rozczarowaniem

podczas ostatniej wakacyjnej podróży, jest poczciwa stara Via Veneto w Rzymie, gdzie spędziłem tyle szczęśliwych i wesołych chwil podczas mojej służby za oceanem. W atmosferze tego miasta wciąż nieomylnie wyczuwa się upodobanie do ziemskich rozkoszy, w których nurzałem się tam podczas wojny i kilka razy później, ale przeniosły się one z Via Veneto w inne rejony, a ja nie miałem czasu, żeby się dowiedzieć gdzie.

Na parterze samego Flatiron Building usytuowane było, jak mi się zdaje, duże centralne biuro Western Union z szatnią dla czterdziestu albo pięćdziesięciu pracowników, którzy przebierali się tam w różnych godzinach, w zależności od tego, jaki mieli rozkład pracy. Tam paliłem moje pierwsze papierosy - spudy, a potem koole. Przed rozpoczęciem pracy nie wyobrażałem sobie, że w dzielnicach biurowych istnieją takie rzeczy jak urzędy telegraficzne, i że całe watahy posłańców biegają w tę i z powrotem, roznosząc telegramy. Na filmach zawsze jeździli na rowerach. Pierwszego dnia pracy ruszyłem przeciwną wcześniej trasą ze szkoły na stację metra, zameldowałem się i przebrałem w jednym biurze, zgłosiłem do pracy w drugim i tak zaczęło się moje dojrzewanie w mieście.

Nietutejszym powinienem chyba wyjaśnić, że mówiąc o mieście, nowojorczyki mają często po wielkopańsku na myśli wyłącznie Manhattan.

Bardzo szybko nauczyłem się wielu rzeczy. Po pierwsze, jak już wspomniałem, że telegramy dostarcza się pieszo, po drugie, że te dostarczane do biur nie wymagają podpisu ani potwierdzenia odbioru i że nie tylko przynosimy telegramy, lecz równie często wzywani jesteśmy sygnałem elektrycznym i kodem do konkretnych pomieszczeń recepcyjnych w biurach, aby odebrać wystukane na żółtych blankietach teksty depesz, które powinny zostać wysłane dalekopisem pod inne adresy. Tym, którzy nie wiedzą, a których to interesuje, wyjaśnię, że słowa telegramu wychodziły z dalekopisu na pasku papieru mniej więcej półcalowej szerokości, operatorzy zaś nalepiali te paski na żółte blankiety, wkładali do kopert i wręczali pracującym przy stołach ludziom, a oni grupowali je według miejsca przeznaczenia i przekazywali temu z nas, który czekał pierwszy w kolejce. Dość szybko odkryłem, że w wyniku wprowadzenia gwarantowanej minimalnej stawki godzinowej nie trzeba było specjalnie się śpieszyć - inaczej niż w minionej epoce, znanej z opowiadań weteranów, którym płacono w zależności od liczby dostarczonych depesz: posłańcy pracowali, jeśli można tak powiedzieć, na akord i mogli zarobić mniej albo więcej, w zależności od tego, czy mieli szczęście.

Nauczyłem się, choć z pewnym trudem, przewycięzać nieuniknioną u nowicjusza odrazę przy zaciąganiu się papierosowym dymem i wpadłem w nałóg. (Szesnaście lat później, po trzydziestce, zerwałem z nim, kiedy cena paczki wzrosła do dwudziestu sześciu centów i w tym samym tygodniu opublikowano pierwsze raporty na temat raka płuc). Dowiedziałem się, że Piąta Aleja dzieli elegancko Manhattan na East i West Side - przydatna informacja, której raz usłyszawszy, już się nie zapomina - oraz że ulice i aleje są porządnie ponumerowane i ich liczba zmniejsza się aż do zera, w którym to miejscu ulice zaczynają nosić nazwy i trzeba wysilić pamięć. Po latach trafiłem na wyjątek od tej metodycznej numeracji -

zdumiewające skrzyżowanie w Greenwich Village, gdzie wskutek skomplikowanego splotu czynników, które natychmiast po zrozumieniu wypadają z pamięci, Dziesiąta Zachodnia spotyka się z Czwartą Zachodnią. Nigdy się nie dowiedziałem, co takiego wytwarza większa część odwiedzanych przeze mnie regularnie firm, żeby uzasadnić koszty swojego funkcjonowania. Fabryka dywanów była fabryką dywanów, ale w wielu innych miejscach nie było to takie jasne. Najdłużej intrygował mnie American Woolen Building, największy chyba i najludniejszy w naszym sektorze gmach, nie sposób było bowiem uwierzyć, że wszystkie firmy, które tam odwiedzałem, były w jakiś sposób związane z przemysłem wełnianym.

Pewnego razu, oddelegowany do innego biura, odkryłem Washington Market, o którym nigdy nie słyszałem, położony wtedy w Lower West Side targ, gdzie przeładowywano większość owoców i warzyw dostarczanych do miasta. To tam uświadomiłem sobie po raz pierwszy, jak wiele transakcji odbywa się między odległymi polami, na których hodowano owoce i warzywa, a warzywniakiem Lily Dashevsky przy Mermaid Avenue na Coney Island, gdzie moja matka mogła kupić i przynieść do domu to, co było jej potrzebne. Kiedy indziej zapuściłem się trochę dalej na północ w dzielnicy położonej przy Hudson River, a tam, możecie mi wierzyć lub nie, znajdowały się zakłady, w których zarzynało się świny. Ja nie potrafiłem w to uwierzyć nawet wówczas, gdy się w nich znalazłem. Byłem zaskoczony tak samo, jak wszyscy, którym o tym opowiedziałem, ale wiem, że to prawda. Odór był silny i odrażający, a pracownicy ponurzy niczym strażnicy w więzieniu. Szybko zrozumiałem, czym są dobiegające z wnętrza zabudowań piskliwe odgłosy, i byłem wdzięczny, że nie muszę tam dłużej doręczać telegramów.

W pierwszym biurze Western Union zaprzyjaźniłem się z niskim i trochę starszym chłopakiem pracującym na pół etatu. Dojeżdżał z Bay Ridge w Brooklynie, gdzie nie mieszkali Żydzi i gdzie nie mieszkałoby im się zbyt przyjemnie, gdyby musieli.

Któregoś skwarne popołudnia po pracy przekonałem się, jak bezczelny i otrzaskany chłopak w jego wieku może wejść pewnym krokiem do baru i wynieść stamtąd zimny, okryty rosą srebrny dzbanek piwa oraz kilka kufla. Tego dnia dowiedziałem się także, że niewiele rzeczy potrafi tak bajecznie odświeżyć jak lodowate piwo wypite w skwarne popołudnie, po pięciu godzinach harówki w Western Union.

Wracając z nim do Brooklynu linią metra West End, jedyną, którą podróżowali ludzie jadący do Bay Ridge, byłem często świadkiem masowego kulturowego fenomenu. Podważał on słuszność wygodnego dogmatu, każącego nam błędnie wierzyć, iż ludzie dochodzą do swoich przekonań w racjonalny i niezależny sposób. Na dużej stacji przesiadkowej wszyscy pasażerowie podróżujący do Bay Ridge i pobliskich przedmieść wysiadali z pociągu i wraz z nimi „wysiadały” wszystkie egzemplarze popołudniowych republikańskich gazet, przeważnie „World-Telegram” i „Journal-American”; podczas gdy liberalne demokratyczne gazety, takie jak „New York Post”, a potem nowość zatytułowana „PM” jechały dalej ze swoimi czytelnikami do żydowskich dzielnic Borough Park, Bensonhurst i Coney Island.

W pracy doręczyciela telegramów rzadko kiedy zdarzały się jakieś ekscytujące albo zaskakujące momenty. Często zabawiałem się, pokonując swoją trasę w niezmiennym tempie, bez zatrzymywania się na czerwonym świetle i zmyślnie zmieniając kolejność doręczenia depeesz, gdy widziałem, że musiałbym zaczekać. Byłem w tym całkiem dobry. Pewnego szczęśliwego popołudnia przy Players Club w Gramercy Park South, w pobliżu którego miałem doręczyć jakąś depeeszę, przeżyłem radosny dreszcz, widząc i natychmiast rozpoznając postać schodzącą po schodkach i wzywającą taksówkę; był to Charles Coburn, aktor charakterystyczny, występujący w filmach w rodzaju *The Devil and Miss Jones*. Nie sposób było pomylić go z kim innym. W biurze zawrzało, gdy o tym opowiedziałem, a potem nie mogłem się doczekać, kiedy skończy się dzień pracy i podróż powrotna na Coney Island i będę mógł oznajmić całej rodzinie oraz wszystkim znajomym z bloku, że widziałem na własne oczy Charlesa Coburna. Modliłem się, żeby mi uwierzyli.

Innego dnia pracujący na pełnym etacie starszy posłaniec - starszy oznacza, że skończył szkołę średnią, miał dwadzieścia lub dwadzieścia jeden lat i po wprowadzeniu w roku 1940 ustawy o przymusowym poborze zaczynał się już martwić, czy nie zostanie powołany - wrócił do biura z apartamentu położonego niedaleko Gramercy Park z pieprzną historyjką o tym, jak został przyjęty przez mężczyznę i kobietę i poproszony przez mężczyznę o odbycie stosunku z kobietą. Nie zdradził nam nic więcej z wyjątkiem tego, że kobieta była oczywiście atrakcyjna. To, czy mówił prawdę, nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia; rozpalona młoda wyobraźnia wskazała mi kolejną wspianą nagrodę, czekającą na mnie w drodze ku dojrzałości.

Wciąż na nią czekam.

O sześć lat dojrzałszy, studiując jako dwudziestotrzylatek na drugim roku Uniwersytetu Nowojorskiego, wykorzystałem ten incydent na ćwiczeniach z pisarstwa, pisząc opowiadanie zatytułowane *World Full of Great Cities*, które nie zostało opublikowane w żadnym periodyku, lecz ukazało się w kilku antologiach. Ostatnim razem, pamiętam, opublikował je po angielsku japoński wydawca dla japońskich uczniów studiujących amerykańską literaturę i styl życia. Obrany w tym opowiadaniu punkt widzenia okazał się bardzo trafiony. W tym czasie znałem już *Want to Know Why Sherwooda Andersena* i „*Mojego starego*” Ernesta Hemingwaya i świadomie naśladowałem ich pomysł: młody człowiek odkrywa w świecie dorosłych jakieś draństwo, którego się nie spodziewał. Była jednak pewna różnica; w tamtych utworach czytelnik wiedział to, o czym niezdemoralizowany i niedoświadczony młody narrator nie miał pojęcia. W moim opowiadaniu czytelnik zna motywacje postaci w tym samym ułamkowym zakresie, w jakim ja, narrator wcielony w postać posłańca z Western Union, znałem je, słysząc o tym incydencie, znałem, pisząc to opowiadanie i znam po dziś dzień.

Biuro w górnej części Manhattanu, gdzie mnie w końcu przeniesiono, mieściło się na parterze General Motors Building, zajmującego całą przecnicę Broadwayu między ulicami Zachodnią Pięćdziesiątą Siódmą i Pięćdziesiątą Ósmą, niedaleko ruchliwego ronda Columbus Circle. Cała nasza trójka mogła oglądać przez okno

budowę wysokiego bloku mieszkalnego, wznoszonego w czasach, gdy robotnicy wciąż używali rozpalonych do czerwoności nitów, wyjmowanych szczypcami z podnoszonych w odpowiednim momencie na rusztowania małych palenisk, i rzucanych innym, którzy łapali je w metalowe różki i wbijali w złącza belek okrytych pomarańczową rdzą. Dom wznoszono pod numerem 240 Central Park South i znam ludzi, którzy tam dzisiaj wygodnie mieszkają. Podróż z Brooklynu do tego nowego miejsca pracy trwała trochę dłużej: dwa lokalne przystanki metra za stacją linii ekspresowej przy Times Square. Ale wracając do domu, mogłem być pewny, że zawsze znajdę miejsce siedzące.

Nowe biuro zajmowało nieduże pojedyncze pomieszczenie i obsługiwało wyłącznie firmy usytuowane w tym samym budynku, co, według mojej obecnej oceny, wynikało głównie z olbrzymiej ilości spraw, które załatwiano na kilku najwyższych piętrach zajętych w całości przez różne wydziały General Motors Corporation. Tutaj także pracowałem na pół etatu, przebierając się po szkole w swój mundurek w męskiej toalecie na korytarzu. Nie pamiętam, czy pracowałem również w soboty.

Nasza trójka świetnie radziła sobie z robotą. Kierowniczką biura była panna McCormack, ładna nieduża blondynka, mająca stałe kłopoty ze swoim przyjacielem, na temat którego Tom Fitzgerald, przez jakiś czas pracujący z nią na pełnym etacie, żartował z przyjazną i łagodną ironią. Panna McCormack była jedyną operatorką dalekopisu, który przetwarzał przychodzące i wychodzące depesze. Tak naprawdę nie była potrzebna przy stole; Tom i ja mogliśmy z łatwością zająć się na zmianę sortowaniem telegramów, przyjmowaniem elektrycznych wezwań i roznoszeniem depech po różnych piętrach budynku. Tom Fitzgerald był wysokim, zrównoważonym małomównym młodzieńcem o wyprostowanej sylwetce. Poruszał się bezszelestnie i był mądry, bardzo mądry jak na swoje dwadzieścia jeden lat. Pewne wydarzenia, które działy się poza naszym biurem i za które nie ponosił żadnej odpowiedzialności, sprawiły, że zaczął się wkrótce martwić, czy nie zostanie powołany. Ustawa o przymusowej służbie z roku 1940 przewidywała powołanie do czynnej służby wszystkich mężczyzn między dwudziestym pierwszym i dwudziestym szóstym rokiem życia. A przed atakiem na Pearl Harbor ludzie martwili się, że zostaną powołani. Jeśli martwili się tym po Pearl Harbor, nie dawali tego po sobie poznać, a odpowiadający wymaganiom ustawy, lecz pozostający w cywilu młodzi mężczyźni wymyślali różne usprawiedliwienia i czuli się zobligowani ich udzielać.

Jestem pewien, że pracowałem tam latem 1940 roku, pamiętam bowiem dobrze lawinę zaadresowanych w różne miejsca depech, które płynęły z dyrektorskich pięter General Motors Corporation do delegatów na ogólnokrajową konwencję Partii Republikańskiej, wzywając do wyboru Wendela Willkiego jako rywala Franklina Delano Roosevelta w wyścigu o fotel prezydenta. Pochodzący z Indiany Willkie, podobnie jak Roosevelt, popierał Wielką Brytanię i potępiał Hitlera; akceptował poza tym wiele programów Nowego Ładu i w związku z tym nie mógł wytoczyć przeciw swemu oponentowi zbyt wielu argumentów prócz datującej się od

George'a Waszyngtona zasady dwukadencyjności. W czasie tej kampanii pracownicy domów towarowych Woolwortha zostali zmuszeni przez pracodawców do noszenia znaczków z napisem WILLKIE NA PREZYDENTA. Mimo to przegrał i wcale mnie to nie zdziwiło. Zagorzały czytelnik liberalnych gazet, nie rozumiałem, dlaczego ktoś może nie chcieć wybrać Roosevelta na trzecią, a nawet czwartą kadencję. Nie wierzyłem wtedy, bo w tamtym okresie nigdy się z nimi nie zetknąłem, że istnieją ludzie dobrej woli, którzy są republikanami, i wciąż trudno mi w to uwierzyć. Dzisiaj mam podobne wątpliwości co do demokratów.

W miarę zwiększania się naszego zaangażowania w wojnę przedział wieku, w którym można było zostać powołanym do służby wojskowej, rozszerzał się progresywnie w obu kierunkach, w górę i w dół, i kiedy w roku 1942 rząd ogłosił obniżenie wieku poborowego do dziewiętnastu lat, a ja skończyłem już osiemnaście, razem z grupką przyjaciół z Coney Island doszliśmy do wniosku, że nadszedł czas, żeby się zaciągnąć. Znaczącą zachętą była obietnica, że będziemy mogli wybrać preferowany przez nas rodzaj wojsk i służby. Dotrzymano jej w stosunku do tych, którzy wybrali siły powietrzne; żaden ze znanych mi osobiście ludzi, którzy to zrobili, nie doznał takiego szoku jak w późniejszym okresie Kurt Vonnegut i Mel Brooks. Obu nie pozwolono służyć dalej w specjalnościach, w których się szkolili, po czym wysłano w ramach uzupełnień za morze i bez żadnego przygotowania wcielono do piechoty.

Praca w nowym biurze z panną McCormack i Tomem Fitzgeraldem była dla mnie bardziej interesująca, ponieważ było jej o wiele mniej. Miałem czas na odrobienie pracy domowej, na długie rozmowy (które do tej pory pozostają moją ulubioną rozrywką) oraz, w czym naśladowałem Toma, na ćwiczenia w kaligrafii, którą się nagle zainteresowałem. Niczym dawny rękodzielnik, Tom projektował dla siebie wyszukany charakter pisma. Siedząc obok niego, gdy się zastanawiał, czekałem, aż postanowi coś w sprawie każdej dużej i małej litery naszego alfabetu, i trudziłem się, duplikując z przejęciem jej kształt, kiedy podjął ostateczną decyzję. Zanim na wiosnę następnego roku przeniesiono mnie do biura w Brooklynie, jego charakter pisma stał się moim. Po jakimś czasie uznałem, że mogę się z nim rozstać, zakłopotany ozdobną kursywą, wymagającą znacznego wysiłku i zdradzającą pewną afektację, i z nowego charakteru pisma Toma Fitzgeralda z roku 1940 zachowałem dzisiaj jedynie drugi zawijas pod J w moim podpisie oraz jego zmodyfikowane ślady pod y, g, j, a także w dużym H.

Nie wiem, jakie były dalsze losy Toma i jego charakteru pisma w wojsku i w cywilu. Miał żydowską dziewczynę, o której czasami napomykał. Przyjaźnił się z młodym rudowłosym irlandzkim windziarzem o łagodnych manierach, który mieszkał obok niego w Bronksie i z którym ja też się przyjaźniłem. Utrzymywałem dobre stosunki ze wszystkimi windziarzami - widzieli we mnie towarzysza pracy. Aby zaskarbić sobie ich względy, czego nauczyłem się bardzo szybko po pierwszej burkliwej reprimendzie, trzeba było zawsze schodzić pieszo z pierwszego piętra na parter i bez wzywania windy pokonywać schodami dystans jednego piętra. Dzisiaj, z perspektywy zajmowanej przeze mnie i zapewne przez was pozycji społecznej, fakt,

że młodzi dobrze wychowani biali Amerykanie zadowalali się pracą w zawodach takich jak windziarz lub posłaniec, wydaje się bajką o żelaznym wilku; ale tak to wtedy wyglądało, a społeczny ład, jaki znamy, stanowi tylko jeden z aspektów realnego świata, jedno z jego obliczy. Inne oblicza są kolejną rzeczywistością, od której staramy się z naszymi przywilejami bezpiecznie odgradzić i o której z całą pewnością nie chcemy nic wiedzieć.

Okolice drugiego biura podobały mi się bardziej od pierwszego. Przy biegnącej tuż obok naszego budynku Ósmej Alei znajdował się przestronny bar szybkiej obsługi Horn & Hardart. Bary szybkiej obsługi były miejscami, w których najchętniej odżywiałem się wówczas i jeszcze w większym stopniu rok później, gdy przez czysty zbieg okoliczności otrzymałem lepszą pracę w tym samym budynku. Moim ulubionym daniem był soczysty siekany befsztyk z polędwicy z dodatkiem dwóch warzyw, bułki i masła, wszystko za dwadzieścia pięć centów. Wyjątkowo pyszna była też u nich pieczona fasola, co mogą potwierdzić wszyscy, którzy jeszcze żyją i jej próbowali, oraz tłuczone kartofle (chciałbym dziś wrębać ten befsztyk z warzywami). Lubilem również ich mrożone ciastka pomarańczowe i cytrynowe za pięć centów. Nieopodal stał kiosk Nedicka, gdzie można było kupić hot doga i napój pomarańczowy, a na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej skrzący się czystością Chock Fuli O'Nuts, gdzie za piąta można było dostać sandwicza z kremem serowo-orzechowym na kromce chlebka z rodzynekami. Nie był szczególnie sycący, ale pozwalał jakoś dotrzeć do obiadu i z tego względu był lepszy od hot doga, którego smakowite soki i konsystencja zawsze sprawiały, że miałem i mam ochotę na dokładkę.

Wewnątrz General Motors Building znajdowała się firma prowadzona przez dwóch młodych ludzi opracowujących receptury lodów i bardzo często, gdy doręczałem im telegramy, prosili, abym wydał opinię na temat nowej odmiany smaku bananowego lub czekoladowego, które starali się udoskonalić. Odwiedzając przy innej okazji to piętro, często wpadałem do nich, żeby zaoferować swoją pomoc. Inne małe biuro, funkcjonujące w dużej mierze przy wykorzystywaniu dalekopisu, zajmował ekspert od wyścigów konnych, o nienaganych manierach i nieskazitelnym ubiorze. Kilka razy w tygodniu wysyłał kilkuset subskrybentom te same depeze, w których rekomendował te same konie. Moim zdaniem szło mu bardzo dobrze, ponieważ nie zwijał interesu, ale ja byłem za młody na bukmachera i moje dwadzieścia pięć lub czterdzieści centów za godzinę nie pozostawiało zbyt dużego marginesu na błąd.

Kolejną firmą, która utkwiała mi w pamięci, było zajmujące prawie całe piętro Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Komunikacyjnych Manhattan. Pracująca tam bardzo piękna, ciemna, hoża, zamężna, dojrzała kobieta o nazwisku Peck lub Beck, pozdrawiała mnie z uśmiechem i dziękowała za każdym razem, gdy przynosiłem jakiś telegram. Nie mogłem się doczekać, żeby tam zajść po to tylko, by usłyszeć to powitanie i jej emanujący autentycznym kobiecym ciepłem głos.

Kiedy mniej więcej rok później, dzięki ślepemu trafowi, który statystycznie równał się wygraniu głównej nagrody na loterii, zgłosiłem się do Towarzystwa

Manhattan z biura pośrednictwa, aby pracować tam na pełnym etacie na bardziej prominentnym stanowisku archiwisty, nie poznała mnie i nie przypominała sobie, byśmy się kiedykolwiek widzieli.

To, że mnie przedtem zauważała, zawdzięczałem chyba wrażeniu, jakie wywierałem w moim mundurku posłańca.

Szata zdobi człowieka.

6. I tak dalej, i tak dalej

Uliczne światła na Ocean Parkway były zsynchronizowane i po raz pierwszy spotkaliśmy się z tym sprytnym fortem pozwalającym samochodom jechać równo do przodu przy zachowaniu ograniczonej prędkości. Sześć albo osiem pasów ruchu przedzielonych było dwiema atrakcyjnymi wysepkami dla pieszych. Co mniej więcej dwadzieścia jardów stały w skąym cieniu drzew ławki. Te drzewa, ławki oraz starannie utrzymane chodniki dla pieszych biegły od samego początku arterii w Brighton aż po jej najdalej wysunięty punkt przy imponującej bramie do Prospect Parku. Bukoliczny charakter Ocean Parkway, nadany jej, nim po raz pierwszy przejechałem się tamtędy rowerem, stanowił zapewne hojną dywidendę jednego z programów robót publicznych Nowego Ładu Franklina Delano Roosevelta. Ocean Parkway była chyba najładniejszą arterią w całej dzielnicy, a może w całym mieście i prawdopodobnie wciąż nią jest. Wzdłuż chodnika biegła od początku do końca alejka dla rowerzystów i w mojej pracy doręczyciela zacząłem z niej wkrótce korzystać. Światła zainstalowano wyłącznie tam, gdzie arteria krzyżowała się z alejami, co zdarzało się na ogół rzadko. Żeby zwalczyć łatwą do przewidzenia nudę, która okazała się nieodłączną towarzyszką zadufania wynikającego z sukcesów, jakie odnosiłem w większości swoich miejsc pracy - prawie we wszystkich, pobudzany przez obawy, jak sobie poradzę w nowym miejscu, najlepiej radziłem sobie na samym początku - postawiłem przed sobą ambitne zadanie pokonania, bez jednego przystanku na czerwonym świetle, całego odcinka Ocean Parkway między domem i biurem. Rzecz okazała się łatwa; udawało mi się to zdecydowanie częściej od pędzących stadami samochodów, których niecierpliwych kierowców korciło, aby jechać szybciej, niż wymuszały to zsynchronizowane światła. Kiedy i ta sztuczka wkrótce mi się znudziła, wprowadziłem śmiałą innowację polegającą na tym, że tę samą nieprzerwaną podróż odbywałem bez trzymania dłońmi kierownicy. Często musiałem uciekać się do kontrowersyjnego zwalniania przed światłami, aby pozwolić im się zmienić, zanim tam dotrę i będę mógł bezpiecznie przejechać. Reguły dopuszczały taką możliwość; to ja ustalałem reguły. Wkrótce okazałem się mistrzem również w tej konkurencji i wyprawiając różne sztuczki, mijałem siedzące na ławkach kobiety - matki i babcie z dziećmi w spacerówkach - które wodziły za mną zachwyconym wzrokiem, gdy balansowałem rozpostartymi po bokach rękoma albo, co jeszcze niezawodniej miało zwrócić ich uwagę, klaskałem w dłonie nad denkiem mojej czapki pośłańca Western Union.

- Zobacz, mamó, bez trzymania! - wykrzykiwałem w duchu, pędząc do przodu i wieńcząc skroń laurami.

Nawet po tym całym okresie Brooklyn pozostaje dla mnie rozległym niezbadanym terytorium, obecnie bardziej skomplikowanym kulturowo niż niegdyś, gdy weźmie się pod uwagę nierównomierny i potężny napływ Azjatów, Rosjan, Arabów i Afroamerykanów, a także brązowej i czarnej ludności Ameryki Łacińskiej i Karaibów. Wciąż zatrważają mnie pojawiające się w gazetach relacje o aktach

przemocy w okolicach, o których słyszałem przez całe życie i których nie jestem w stanie pokazać na mapie: Red Hook, Bath Beach, Gowanus, Greenpoint, Sunset Park, East New York, a nawet Midwood. Kiedy uczyłem się w szkole średniej i pracowałem w Western Union przy Kings Highway, Midwood był tuż za rogiem - ale gdzie? Dostarczałem tam telegramy, święcie przekonany, że jestem w dolnym Flatbush, i z tego, co dzisiaj wiem, mogłem mieć rację.

Kiedy Lee się ożenił, on i Perle zamieszkali najpierw w dzielnicy, która nazywała się Crown Heights. Odwiedziłem ich tam kilka razy z matką i siostrą, ale mam tylko mgliste pojęcie, gdzie to jest. Wiem z gazet, że Crown Heights zamieszkuje obecnie duża społeczność czarnych oraz duża społeczność chasydzkich Żydów, które raczej nie przyjaźnią się ze sobą. Z pewnością nie martwię się o obie te grupy w równym stopniu, ale wobec obu czułbym się tak samo onieśmielony i cieszę się, że mieszkam teraz tutaj, a nie tam. Weźmy Bushwick. Gdybym miał koniecznie odnaleźć, gdzie leży ten rejon Brooklynu, nie wątpię, że by mi się udało. Nie wątpię również, że szybko bym zapomniał.

Nie wiem, co robiliśmy w moim nowym biurze Western Union przy Kings Highway, kiedy padało - mam wrażenie, że firma wydawała nam ceratowe płaszcze przeciwdeszczowe, ale nie dałbym za to głowy swojej ani waszej - i nie przypominam sobie, żebym jeździł rowerem w zimie. Nie mam żadnych złych wspomnień z tego ostatniego krótkiego okresu pracy w Western Union. Nie przypominam sobie w ogóle pracujących tam ludzi.

Pedałowałem stamtąd raźnie w znajome okolice, czasami nawet obok własnego domu, a także w rejony sąsiadujące z biurem i szkołą średnią, które były mi zupełnie obce, miejsca o nazwach takich, jak Flatlands i Canarsie. Drobne odkrycia wciąż mnie ekscytują. Wiedziałem, że Bedford Avenue biegnie za ogrodzeniem stadionu Ebbets Field, należącego do brooklyńskich Dodgersów i że tam właśnie spadają prawdopodobnie piłki wybite na homeruny. Mimo to z prawdziwym zaskoczeniem odkryłem, że Bedford Avenue ciągnie się aż do willowej dzielnicy Flatbush, i to pod własną nazwą, a nie, jak mogłoby się wydawać, Wschodniej Dwudziestej Piątej Ulicy. Coney Island Avenue, nazwana tak, choć prowadzi na wschodni kraniec Brighton i w żadnym miejscu nie przebiega blisko Coney Island, była Wschodnią Jedenastą, a Ocean Parkway udało mi się w końcu zlokalizować jako Wschodnią Szóstą. Do tego momentu znałem na Coney Island tylko ulice „Zachodnie”, których numeracja zmniejszała się w miarę oddalania się od mojego miejsca zamieszkania.

Najdłuższą brooklyńską aleją jest prawdopodobnie Flatbush Avenue, która biegnie w dół od Manhattan Bridge (mostu, który rzeczywiście łączy Brooklyn z Manhattanem), przecinając na ukos całą dzielnicę i docierając prawie do brzegu morza przy granicy z Queens. Odkryłem tę długą, dolną część Flatbush Avenue na moim rowerze; górną połowę podróżowałem dziesięć lat później, kiedy mieszkałem na Manhattanie i jeździłem mostem do Brooklynu, żeby odwiedzić Sylvie, Lee i matkę. Sylvia i Lee, oboje po ślubie, mieszkali wtedy blisko siebie w pobliżu stacji metra przy Kings Highway. Było to niedaleko biura Western Union, w którym

pracowałem dziesięć lat wcześniej, pod koniec szkoły średniej. Po pierwszej odysei, którą odbyłem wzdłuż Flatbush Avenue, najbardziej lubiłem długie wypady na boki, czasami aż do odległego osiedla Gerritsen Beach, małej kolonii jednorodzinnych domów stojących wzdłuż kanałów, łączących wody morza lub zatoki z jakimś akwenem. Nie słyszałem wcześniej o Gerritsen Beach i nie słyszałem o nim później. Nazwiska na telegramach nie były tutaj żydowskie ani włoskie, podobnie jak twarze ludzi, którzy mieli na ogół jasne włosy. Dreszcz podniecenia przechodził mnie za każdym razem, kiedy pedałowalem obok wojskowej bazy powietrznej Floyd Bennett Field. Było to wczesną wiosną 1941 roku i żaden ze znanych mi ludzi nie znalazł się jeszcze nigdy w życiu na pokładzie samolotu i nawet o tym nie marzył.

A trzy lata później, zaledwie trzy lata, wczesną wiosną 1944 roku, na krótko przed wysłaniem mnie za ocean, mogłem znów poczuć ten dreszcz, lądując na Floyd Bennett Field w B-25s po locie treningowym z naszej bazy w Columbii w Karolinie Południowej. (Teraz przychodzi mi do głowy, że to mogło być Mitchell Field na Long Island, ale okres, jaki upłynął, jest ten sam i w związku z tym nie zmienia się pointa).

Po wylądowaniu mieliśmy trochę wolnego czasu, w związku z czym zaprowadziłem dwóch moich gburowatych znajomych bombardierów (nie mógłbym nazwać ich kumplami, bo nie byliśmy ze sobą tak blisko), Bowersa i Baileya, którzy przylecieli innymi samolotami, na obiad w słynnej restauracji Lindy'ego, usytuowanej wówczas na Broadwayu w okolicach Pięćdziesiątej Ulicy. Byłem tam już wcześniej na przepustce (w charakterze podziwianego, aczkolwiek nieco anonimowego bohatera wojennego) zaraz po otrzymaniu skrzydełek bombardiera i awansu na podporucznika. Moi znajomi pochodzili z Chicago (podobnie jak ich gazeta, „Chicago Tribune”, obaj byli zaciekłymi izolacjonistami i nienawidzili Roosevelta i Anglii). W życiu nie widzieli takiej knajpy jak Lindy i jej hałaśliwy splendor oraz w przeważającej części żydowskie menu nie wprawiły ich w dobre samopoczucie. (Zapomniałem, co takiego zamówili, ale moim najczęstszym spożywanym tam w ciągu dnia posiłkiem był sandwicz z siekaną wątróbką i wędzonym indykiem na żytnim chlebie, pikle, kiszony pomidor oraz truskawkowy sernik na deser). Obaj czytali Damona Runyona i jeden z nich stwierdził, że siedzący tam ludzie (łącznie ze mną?) przypominają stworzoną przez Runyona postać Harry'ego Konia, sugerując, z czego zdawałem sobie świetnie sprawę, że wyglądają jak Żydzi, rzeczywiście tak właśnie wyglądaliśmy.

We włoskich domach, które odwiedzałem z moimi telegramami, kiedy pracowałem jeszcze w Western Union, czekałem czasem, aż ktoś dorosły potwierdzi odbiór telegramu podpisem albo wróci do mnie z napiwkami i nieodmiennie napotykałem silny cierpki odór absolutnie nie do pomylenia z tym, który unosił się w moim własnym mieszkaniu, chociaż tego ostatniego dzięki naturalnemu przystosowaniu prawie nie czułem. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że ten szczególnie przenikliwy aromat, o którym mówię, jest włoski i że tkwi w tapetach, dywanach, tynkach i obiciach mebli impregnowanych przez lata gorącymi oparami oliwy, czosnku i pomidorów.

W tamtych czasach często dostawałem napiwek za przekazanie depeszy. W

urodziny i Dzień Matki doręczało się na ogół po kilka telegramów jednej osobie, podobnie jak do lokali, w których odbywały się wesela. Wysokość napiwku wynosiła najczęściej pięć centów, czasami dychę. Największa gratyfikacja spadła na mnie zupełnie niespodziewanie. Pewnego dnia, gdy wracałem późnym popołudniem do roweru po doręczeniu telegramu przy Bedford Avenue, jakiś rozgorączkowany młody człowiek podbiegł do mnie, jakbym był aniołem, który pojawił się w odpowiedzi na jego desperacką modlitwę. Chciał wiedzieć, czy jeśli da mi dolara, udam się do sąsiedniego domu i zaśpiewam Happy Birthday - innymi słowy, czy jako niezależny posłaniec przekażę dziewczynie o imieniu Phyllis, która bawi się tam na przyjęciu, to, co oficjalnie nazywa się muzycznym telegramem. Nie ma sprawy, odparłem, po czym zadzwoniłem do drzwi, zaproszony wszedłem do środka, ruszyłem ku bawiącej się grupce i stojąc bez ruchu z rękoma spuszczoneymi po bokach zaśpiewałem Happy Birthday dla Phyllis od Eddiego. Moja publiczność była zachwycona i nagrodziła mnie oklaskami. Po wyjściu na zewnątrz zasygnalizowałem Eddiemu, że zadanie zostało wykonane i ma wolną drogę. Nie uznałem za stosowne zdradzić mu, że obecna w środku starsza pani, prawdopodobnie matka albo ciotka, dała mi dwadzieścia pięć centów za mój muzyczny telegram.

Śpiewanie Happy Birthday uznałem za łatwą robotę - a także lukratywną - i żałowałem, że nie mogę zrobić w tej dziedzinie kariery.

Późną wiosną 1941 roku, kiedy na fotelu prezydenta zasiadł ponownie Franklin Delano Roosevelt, ukończyłem zgodnie z planem szkołę średnią. Odszedłem z Western Union w dniu rozdania świadectw. Jeśli istniało wtedy coś takiego jak bal maturalny, nic o tym nie wiedziałem; gdybym wiedział, pewnie bym nie poszedł. Do dziś nieufnie traktuję uczestnictwo we wszelkich grupowych imprezach i za każdym razem, gdy ulegam i biorę w nich udział, potem tego żałuję. W ramach protestu przeciwko wojnie w Wietnamie poszedłem na organizowany w Nowym Jorku marsz, pierwszy, w którym dołączono mnie do innych ludzi pióra, a następnie ustawiono w porządku alfabetycznym. W rezultacie znalazłem się nagle tuż obok dwóch krytyków literackich, którzy już wcześniej nie kryli swojej dezaprobaty wobec mojej osoby i choćby na tej podstawie mogli wydedukować, że ja też nie mam o nich najlepszego zdania. Byłem potem uczulony na inne marsze i wzięłem udział tylko w jednym, największym z nich, zorganizowanym w Waszyngtonie, dokąd poleciałem samolotem z grupką przyjaciół. Była też tam moja córka, Erica, która przyjechała autobusem z kolegami ze szkoły średniej. Biorąca udział w tym marszu grupa młodych katolickich studentek oraz towarzyszące im zakonnice z Marymount College z Westchesteru, dokąd tydzień później pojechałem, żeby mówić na temat mojej twórczości, zostały zaatakowane gazem łzawiącym, kiedy stały niewinnie przy krawężniku, czekając na swój wyczarterowany autobus. Nie pomyślałem nawet, żeby pójść na uroczystość rozpoczęcia roku w swoim college'u. Poszedłem na rozdanie świadectw maturalnych; towarzyszyły mi dumnie moja matka, Lee i Sylvia. Zjedliśmy razem wczesny obiad w restauracji, a potem pojechałem metrem z kilkoma przyjaciółmi do klubu przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, żeby posłuchać Billie Holiday. Mieliśmy już wtedy własny klub i

wiedzieliśmy, że jest wyjątkowo dobra.

Mój pierwszy klub Highlight powstał w piwnicy, a potem przeniósł się do bardziej wystawnych wnętrz przy Surf Avenue, półtorej przecznicy od mojego domu. Któregoś dnia mój brat wpadł tam niespodziewanie, żeby wezwać mnie do domu. Palilem papierosa. Trzymałem to w tajemnicy przed rodziną i nie potrafię powiedzieć, który z nas był bardziej zakłopotany. Zostałem przyłapany; Lee przyłapał mnie. Każdy z nas powinien coś zrobić. Najwyraźniej żaden nie wiedział co.

- Od jak dawna to robisz? - zapytał w końcu z dezaprobatą, gdy wyszliśmy razem na ulicę.

Zgniotłem niedopałek. Oboje z Sylvią palili i mogłem zapytać, ile miał lat, jak sam zaczął, ale nie umiem być wyszczekany, gdy to naprawdę ważne. Niewinnym głosem i ze szczerym wyrazem twarzy potrafię opowiadać najbardziej niesamowite historie słuchającym mnie jeleniom, ale robię to wyłącznie wtedy, kiedy idzie o żart i w grę nie wchodzi poważna stawka. Przyciśnięty do muru, zaczynam się jąkać i zapominam języka w gębie.

- Skoro już palisz, równie dobrze możesz to robić w domu - zdecydował. - Nie powinieneś robić poza domem niczego, o czym nie mógłbyś nam opowiedzieć. Masz, spróbuj mojego - dodał po chwili.

Ta krytyka odniosła pozytywny skutek i rok później wzmocniła opory, które zaległy się już wcześniej w moim sumieniu, a wynikały, jak sądzę, ze znikomych (z wyjątkiem zwodniczego apetytu) narkotycznych efektów palenia marihuany. Palilem ją kilka razy i zawsze byłem potem głodny jak wilk i miałem obolałe gardło. Palenie marihuany z całą pewnością nie było rzeczą, o której chciałbym, żeby dowiedziała się moja rodzina. Nie miałem po niej żadnych wizji, ani wtedy, ani później, jakiś czas po wojnie, kiedy sztachnąłem się wyłącznie po to, by nie sprawić zawodu bliskim znajomym, w których towarzystwie się znalazłem (nie chciałem narazić się na zarzut, że psuję dobrą zabawę, albo jestem sztywniakiem). Na podstawie tego, czego nauczyłem się później w trakcie kilku mało owocnych lat psychoanalizy, sądzę, że nie miałem wizji, ponieważ z powodów ukrytych głęboko w mojej podświadomości wcale ich nie chciałem. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem ochoty palić trawki.

Co do samej matury, mój udział w uroczystościach był naprawdę skromny. Nie wygłaszałem dzięki Bogu mowy pożegnalnej, nie zdobyłem żadnych nagród i poza momentem gdy odbierałem dyplom, nie zostałem ani razu wyróżniony z nazwiska. Prawdopodobnie jednak wyróżniałem się na tle wszystkich obecnych osiągnięciem, którego nie zauważono. Byłem jedynym uczniem klasy maturalnej o imieniu Joey, który otrzymywał zasiłek dla bezrobotnych, sięgający astronomicznej kwoty sześciu dolarów tygodniowo.

Całe świętowanie ograniczyło się, o czym już wspomniałem, do obiadu i wizyty w klubie. Nikt nie myślał nawet o czymś w rodzaju nagrody czy wakacji. Nie sądzę, żeby ktoś, kogo wtedy znałem - w każdym razie nie Lee ani Sylvia - pojechał gdzieś na wakacje. W sobotni rano odpoczywałem. W niedzielę, razem z

doradzającymi mi przez ramię Lee i Sylvia zabrałem się do lektury ofert pracy, a w poniedziałek rano wsiadłem do metra, żeby odwiedzić pośredniaki i poszukać szczęścia w mieście.

Moje pierwsze biuro pośrednictwa pracy, Wall Street Employment Bureau, mieszczące się w finansowej dzielnicy dolnego Manhattanu, przy krętym zaułku o nazwie Beaver Street (fascynuje mnie, że tego rodzaju detale tak mocno zapadają w pamięć), na pierwszą rozmowę kwalifikacyjną skierowało mnie ponownie na północ, do Towarzystwa Komunikacyjnych Ubezpieczeń Wzajemnych Manhattan w General Motors Building, gdzie przystojna, macierzyńska i jak należy zamężna czarnowłosa panna Beck (lub Peck) nie mogła uwierzyć, że widziała mnie już przedtem i dała do zrozumienia wzruszeniem ramion i pochyleniem głowy, że tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Siedząca przy biurku bliżej drzwi moja nowa i chyba bardziej obiecująca miłość zaprowadziła mnie daleko na tyły biura, gdzie jeszcze nie byłem. Najpierw rozmawiała ze mną sekretarka jednego z dyrektorów, panna Sullivan; zadała mi w uprzejmy sposób kilka pytań, głównie, jak dzisiaj sądzę, żeby sprawdzić, czy rozumiem i potrafię mówić po angielsku. Jej szef potrzebował potem zaledwie pięciu minut, żeby zaakceptować, jak przypuszczam, moją powierzchowność, i posłano mnie natychmiast do roboty w archiwum. Moje początkowe wynagrodzenie wynosiło sześćdziesiąt dolarów miesięcznie i wydawało się nie najgorsze. Byłem szczęśliwy, że w ogóle mam jakąś pracę. Dość szybko zorientowałem się, że tak długo, jak długo pozostanę archiwistą, moja płaca raczej się nie zmieni. Gdybym się nad tym zastanowił, zdałbym sobie już wtedy sprawę, że w Towarzystwie Manhattan nie ma poza tym zbyt wielu rzeczy, których mógłbym się szybko nauczyć i które w ogóle chciałbym robić.

W tym czasie, w wieku osiemnastu lat, wątpię, bym miał ochotę myśleć o czymkolwiek w sposób tak systematyczny. Podobnie jak moi rówieśnicy, nie zastanawiałem się nad przyszłością. Tak naprawdę żaden z nas nie wiedział, co chce robić albo kim chce zostać. Sformułowania, że jakaś praca „daje szansę na awans” lub „może zapewnić pomyślną przyszłość”, mało dla nas znaczyły, ponieważ niczego nie planowaliśmy; wykluczała to nasza sytuacja. Toczyła się wojna, czekało nas powołanie do wojska i braliśmy to, co mogliśmy otrzymać. Jeśli któryś z nas dostał awans i wzniósł się na trochę wyższy szczebel, traktowaliśmy to niejako coś, co mu się słusznie należało, lecz zaskakujący uśmiech fortuny. Nie pamiętam, ile z moich sześćdziesięciu dolarów miesięcznie dawałem rodzinie na ogólne koszty utrzymania, ale coś dawałem - tyle, ile Lee lub Sylvia chcieli, żebym dawał. Nie chcieli zbyt wiele.

Samo archiwum było przestronną klatką z sięgającej od podłogi do sufitu drucianej siatki, która zajmowała centralną część całego piętra. Przez jej kwadratowe oka ci z nas, którzy byli w środku, widzieli to, co działo się na zewnątrz, a ci z zewnątrz mogli nas słyszeć i widzieć. Ponieważ mogliśmy się swobodnie komunikować głosem, inni rzadko kiedy musieli wchodzić do klatki, lecz mimo to często to robili.

Zorientowałem się szybko, czym zajmowała się firma: ubezpieczano tu od

odpowiedzialności cywilnej limuzyny i taksówki, zarówno te należące do korporacji, jak i do indywidualnych przewoźników. Ubezpieczenie obejmowało szkody powstałe w wyniku wypadku, szkody materialne (SM) oraz uszkodzenia ciała (UC). Szybko zorientowałem się także (i zaimponowałem w domu tą wiedzą), że w tym czasie numery rejestracyjne wszystkich miejskich taksówek zaczynały się od litery O, a samochodów świadczących prywatne usługi - od Z. Za każdym razem, gdy jakaś taksówka albo ubezpieczona u nas limuzyna uczestniczyła w wypadku drogowym - a po wszystkich dzielnicach Nowego Jorku krążyło wówczas mnóstwo taksówek i mniej lub bardziej poważne kolizje zdarzały się o każdej porze dnia i nocy - pisało się raport, zakładało akta sprawy i umieszczało je w jednej z licznych szafek, skąd były wyjmowane, kiedy pojawiał się jakiś nowy dokument. Nasze zadanie - a była nas całkiem spora grupka - polegało na zlokalizowaniu i dostarczeniu akt na właściwe biurko, gdy dostawaliśmy takie zlecenie, a następnie na odniesieniu ich na miejsce. Kiedy sprawę zamykano, na ogół w wyniku negocjacji, teczki wędrowały na dół do magazynu martwych akt. Szafki na górze były metalowe; na dole przechowywano akta w kartonowych pudłach. Po upływie odpowiedniego okresu przenoszono je do wynajmowanego na Manhattanie magazynu jeszcze bardziej martwych akt. Któraś z tych martwych teczek mogła jednak co jakiś czas wrócić do życia i jeden z nas musiał udać się do ponurych katakumb magazynu, żeby ją przynieść.

Pracowało nas tam na pełnym etacie pięć osób. Najbardziej zaprzyjaźniłem się ze Stanleyem Levym, jakieś dwa lata starszym ode mnie, który mieszkał daleko w Brooklynie, niedaleko Coney Island. Czarnowłosa, z dołkiem w podbródku, przypominał bardzo Cary'ego Granta i z tego, co wiem od ludzi, którzy znali Granta, był od niego znacznie mądrzejszy. Lou, który pracował tam najdłużej, był szczupłym przyjaznym Włochem z Bronxu; Jerry był Żydem i także mieszkał w Bronksie. Naszym szefem był Ralph, żwawy sprężysty niski facet poniżej trzydziestki z wypomadowanymi falistymi blond włosami. Na pierwszy rzut oka Ralph wydawał się zawsze robić dwa razy tyle, co każdy z nas, dwa razy tyle, co wszyscy razem - biegał w tę i z powrotem, z nieodłączną kartką papieru w ręce, a potem któregoś dnia nagle go zwolniono. Nie powiedziano nam dlaczego. Na tej kartce papieru, żartował Stanley Levy po jego odejściu, nigdy nie było nic napisane.

Z odległej części biura za zakrętem korytarza, gdzie urzędowali nie spoufalający się na ogół z resztą personelu likwidatorzy, prawnicy i agenci, przybyła do naszego archiwum panna Dunbar, wspaniale zbudowana kobieta koło pięćdziesiątki o pogardliwym wszytkowiedzącym spojrzeniu i szyderczym uśmiešku. Od dzisiaj wszystko tu będzie wyglądać inaczej, powiadomiła nas stanowczo, kiedy została naszą szefową; przeprowadzimy konieczne zmiany. Nikt z nas nie wiedział, o czym mówi; nie mieliśmy pojęcia, co było nie tak. I w rezultacie wszystko zostało po staremu. Pracowaliśmy tak jak przedtem, nie molestowani i w dobrych humorach, przekomarzając się z tymi dziewczętami, które odpowiadały żartami na nasze żarty, i mężczyznami, którzy nas do tego prowokowali - z George'em Schwartzem, panem Spiese'em, Harriet Jackman, panną Beck, Virginią i Eunice. Pod sardonycznym uśmieškem i wszytkowiedzącym spojrzeniem panny

Dunbar nie kryło się nic szczególnego; takie miała po prostu spojrzenie i do jedynej zmiany doszło, kiedy wylosowany został numer Lou i nasz kolega musiał odejść do wojska. W jego domu w Bronksie (Stanley i ja jechaliśmy tam piekielnie długo metrem) odbył się w przemiłej atmosferze pożegnalny obiad, ugotowany i podany przez promienną kochającą matkę, która kochała nas wszystkich. To był mój pierwszy włoski domowy posiłek i przeliczyłem się trochę z siłami. Zbyt grzeczny wówczas, żeby zapytać i się upewnić, uznałem, że klopsiki, podane po zupie i spaghetti, są głównym daniem i roztropnie (przezorny zawsze ubezpieczony) nałożyłem sobie dwa lub trzy więcej; potem miałem pewne trudności z nadziewanym kurczakiem w jarzynach, którego podano przed owocami, serami i ciastem na deser.

Mieszczący się piętro niżej magazyn starych akt, z kilkoma starymi biurkami i porzuconymi obrotowymi krzesłami, nie sprawiał wcale ponurego wrażenia. Dla nas stanowił rodzaj placu zabaw. Był do niego tylko jeden klucz i przechowywaliśmy go w archiwum. Posiłałem się tam razem z resztą, kiedy zabrałem z domu drugie śniadanie, co zdarzało się dość często. Matka dawała mi jabłko, pomarańczę albo banana i moje ulubione kanapki: dwie bułki z makiem, zawsze dwie i zawsze z makiem, z łososiem z puszki, krojoną drobno cebulką i plasterkiem pomidora bądź też z koszernym salami lub kiełbasą i mnóstwem musztardy. Kolejnym przysmakiem mojego pomysłu (tak mi się przynajmniej wydawało) była bułka z plasterkiem kurczaka - koniecznie białe mięso, tak wtedy jak i dzisiaj - z liściem sałaty oraz - i na tym polegała cała magia - majonezem z jednej strony i keczupem z drugiej. Tylko krok dzielił mnie od odkrycia rosyjskiego dressingu i nic o tym nie wiedziałem.

W magazynie toczyliśmy czasami bitwy na gumki i spinacze i graliśmy w kości i w „nogę”. (W grze w „nogę” zawodnik wsuwał monety pod każdy but tak szybko, żeby nikt nie zauważył, czy na górze jest orzeł, czy reszka. Następnie drugi zawodnik wsuwał pod nie monety tej samej wartości. Jeśli pasowały, wygrywał. Jeśli nie, wygrywał pierwszy zawodnik. W większości wypadków był remis). Można tam było również spędzać miło czas w samotności, udając, że wciąż szuka się akt, które się znalazło, i rozwiązując poranne krzyżówki, względnie zaznaczając w zamieszczanych w gazetach kuponach, kto zwycięży w sobotnich meczach uniwersyteckiej ligi futbolu. Co jakiś czas wyjmowałem na chybił trafił jakieś akta, żeby poszukać czegoś ciekawego. Nigdy nie udało mi się niczego znaleźć. Dla wielu magazyn był również miejscem potajemnych szybkich schadzek, co dwaj z nas odkryli przypadkiem w dniu, kiedy odchodziłem. Miejscem jeszcze szybszych schadzek były schody między piętrami.

Na temat biurowych romansów dowiedziałem się dużo od mojej przyjaciółki Virginii, wesołej, dowcipnej i wyjątkowo ładnej flirciary. Była ode mnie cztery lata starsza i studiowała wcześniej w college'u. Kiedy się bliżej poznaliśmy, opowiedziała mi o swoich randkach. Na jedną wybrała się z naszym prawnikiem, na drugą z likwidatorem i każdy z nich zagroził, że wysadzi ją z samochodu, jeśli nie okaże się bardziej uległa, niż była. Mieszkała aż w New Jersey i nie wspomniała, że musiała

wracać do domu na piechotę. Utrzymywała również słodkie i smutne płatoniczne stosunki ze starszym cichym żonatym mężczyzną, ale ograniczały się one do wypijanego czasem po pracy drinka i jeszcze rzadszej kolacji. Nie mogło z tego nic wynikać i żadne z nich nie chciało, żeby wynikło coś więcej.

Którejś soboty poszedłem prosto z biura do opery, na popołudniowe przedstawienie „Carmen” w starym budynku Metropolitan Opera, gdzieś w okolicy Zachodniej Trzydziestej. Dokonałem trafnego wyboru. Dzięki cotygodniowym i nocnym programom radiowym prezentującym krótkie fragmenty klasycznych przebojów, znałem już częściowo muzykę - marsz toreadorów, Habanerę i natchnioną uwerturę. (Dwie pierwsze melodie były popularne na naszej ulicy dzięki zaopatrzonym w domorosłe rymy przeróbkom: „Wysoki Sądzie/Ten okropny zbój/Dopuścił się/Ach Boże mój.../Niech odpokutuje za swój grzech/Żądam katongi lat trzech!” i „Zabiłem byka/Cóż to dla mnie byk/Krew z niego sika/Siku siku sik...”). Reszty zapomniałem. Z tą drugą przyśpiewką zapoznał mnie Lee, od którego nauczyłem się również wszystkich wierszyków o Iwanie Cywickim Cycarze). Na przedstawieniu „Carmen” zachwyciły mnie tańce, gra aktorska, oczarowało zaskakujące pojawienie się w barwnym pochodzie rozpoczynającym ostatni akt karety zaprzężonej w żywe konie. Żywe, prawdziwe konie! - powtarzałem wszystkim.

A potem przeciągnąłem strunę. Podejmując naiwną i w rezultacie nieudaną próbę wprowadzenia mojego przyjaciela Lou Berkmana w świat muzycznych rozkoszy, nabyłem dwa bilety na drugą operę i zabrałem go ze sobą, tym razem na wieczorne przedstawienie. Lou pracował już wtedy na złomowisku swojego ojca w Brooklynie, przedsiębiorstwie, które było o wiele bardziej lukratywne, niż można by sądzić z nazwy, i z którego tak długo, jak to było niezbędne, utrzymywały się na całkiem niezłym poziomie dwie albo trzy rodziny Berkmanów. Po pracy przyjechał do mnie metrem i czekając w recepcji, dowcipkował z moją rezolutną przyjaciółką Virginią. Fundnął mi siekany kotlet z tłuczonymi ziemniakami i pieczoną fasolą w barze po drugiej stronie alei i pojechalśmy metrem na południe. Kupiłem oczywiście najtańsze bilety i kiedy po długim czasie odnaleźliśmy swoje miejsca w najwyższym rzędzie z boku, okazało się, że nie widzimy jednej trzeciej sceny. Wystawiali „Tannhausera” i tym razem nie był to fortunny wybór. Padłem ofiarą własnej łatwowierności i niedoświadczenia: do melodii „Chóru pielgrzymów” śpiewaliśmy w podstawówce naszą piosenkę na Święto Dziękczynienia; tą samą melodią zaczyna się uwertura i sądziłem naiwnie, że jej znajomość ułatwi przyswojenie sobie reszty muzyki. Tym, którzy nie znają Wagnera, lub nie znają „Tannhausera”, mogę powiedzieć, że istnieje wielka różnica między tą operą i „Carmen”, wielka i bardzo dłu-u-uga. Ten wieczór sprawił, że Lou, póki żył, nigdy już nie poszedł na żadną operę, a ja nigdy nie chciałem słuchać „Tannhausera”.

Po odejściu z archiwum drugiego Lou i pod kierownictwem panny Dunbar, która w przeciwieństwie do żywego jak iskra Ralpa miała nas stałe na oku, stosunki w naszym miejscu pracy zrobiły się mało sympatyczne. Następca Lou nie potrafił się dopasować do kumpelskiej atmosfery, w której uprzednio kwitniliśmy. I kiedy

również Stanley Levy powołany został do wojska i złożył podanie o dymisję, zwolniłem się razem z nim. Odeszliśmy tego samego popołudnia. Stanley szedł do wojska, ja do stoczni marynarki wojennej w Wirginii. W ostatnim dniu pracy, w wyniku zabawnego zbiegu okoliczności, wyszło na jaw, że więcej niż jeden z nas wykorzystywał mieszczący się piętro niżej magazyn starych akt na szybkie romantyczne randki w godzinach urzędowania. Do magazynu był tylko jeden klucz i obaj pilnie go potrzebowaliśmy. Zawsze uczynny, ustąpiłem starszemu koledze i zostałem obsypany pieścizotami na podeście schodów w połowie piętra. Po raz kolejny nie udało mi się uzyskać wszystkiego, czego pragnęło na pożegnanie me serce. Virginia miała jak zwykle pomalowane na czerwono wargi i nie całowaliśmy się zbyt namiętnie, żeby nie zostawić na ustach dowodu winy. Byłem w niej głęboko zakochany i to było dobre. Przestałem ją kochać minutę po tym, jak się rozstaliśmy, i to było jeszcze lepsze.

7. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej

W drugim końcu naszej długiej kuźni, gdzie nigdy nie miałem okazji pójść, celował w górę trzon potężnej konstruowanej tam morskiej kotwicy. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób ją wykuwają. Co jakiś czas toczyłem do „hartowania” w okrągłych basenach beczki małych przedmiotów i spoglądałem z podziwem na grube, kolosalne ramię dźwigu, które unosiło się wyżej niż wszystko, co stało dookoła. Już wtedy intrygowały mnie masywne ogniwa łańcucha potrzebnego do podniesienia kotwicy; jak i gdzie są wytwarzane i łączone. Piece na naszym wydziale były mamuciej wielkości, a wypluwały takie małe przedmioty, jak sworznie, nity i kłamry. Do tej pory nie wiem, jak produkowano te ogniwa łańcucha, i przestałem się nad tym zastanawiać. Dzisiaj intrygują mnie drobne jubilerskie łańcuszki: w jaki sposób, u licha, te maleńkie blaszki łączą się w giętkie segmenty.

Przez cały dzień łykaliśmy tabletki z solą. Dla naszego zdrowia. W parne dni nakłaniano w tym czasie ludzi do spożywania dużej ilości soli, żeby nie doszło do przegrzania organizmu. Ponieważ w warsztacie znajdowało się wiele płonących palenisk, wydawało nam się to niezwykle ważne. Paleniska były przeważnie nieduże i stały w pewnej odległości od siebie. Cylindry z tabletkami z solą wisiały niczym świetłówki na wszystkich ścianach i słupach. Kowalom musiało być co najmniej tak samo gorąco, ciężko i nieprzyjemnie jak mnie, ponieważ pracowali bliżej ognia, obracali, kuli i obrabiali gorący metal na kowadłach i robili sztance przy piecach. Moja praca polegała głównie na przenoszeniu pojedynczych prętów rozżarzonego metalu z paleniska na kowadło (robiłem to oczywiście za pomocą szczypiec i miałem na rękach grube ognioodporne rękawice, które wybrał dla mnie Lee) za każdym razem, kiedy kowal, do którego zostałem tego dnia oddelegowany, dał mi znak, następnie zaś na zabranii pręta, który właśnie wymodelował. Ale kowale dostawali więcej pieniędzy ode mnie i życie przyzwyczało ich do żmudnego fizycznego znoju. W przeciwieństwie do mnie uważali ciężką pracę za coś naturalnego.

Zaskakująco dużo pochodziło ich z wiejskich rejonów Karoliny Pomocnej, której północna granica znajdowała się całkiem niedaleko; większość pozostałych przywędrowała na południe z rolniczych miast Wirginii, żeby tak długo, jak się da, korzystać z możliwości pracy w przemyśle obronnym. W jakim innym miejscu dobry kowal mógłby porządnie zarobić w czasie pokoju?

Znajomi z północy przygotowali mnie wcześniej na różne osobliwości wymowy, z którymi rychło się spotkałem. Najbardziej szczególna z nich, w przeciwieństwie do przesadnych trawestacji, które zdarzało mi się słyszeć w kinach, polegała na tym, że południowcy regularnie przekręcali znajomy (znajomy dla mnie) dyftong ou (jak w out) w coś, co brzmiało jak oo - tak że z mouse, myszy, robił się moose, łoś (nigdy nie starałem się dowiedzieć, jak wymawia się w tej okolicy słowo moose) i zdanie theres a mouse running about the house brzmiało theres a moose running about the hoose. Byłem zbyt grzeczny i taktowny, żeby żartować na ten temat i w ogóle dać do zrozumienia, że usłyszałem coś humorystycznie

nietypowego. Prawie zawsze byłem w stanie (ze zrozumieniem i szacunkiem, który mógł wynikać zarówno z rozsądku, jak i z sublimacji tchórzostwa) przyjąć do wiadomości podstawy cudzych poglądów i spojrzeć na siebie oczyma innych. Dla matki, a także dla Lee i Sylvii, w ogóle dla wszystkich członków naszej rodziny deprecjonowanie kogoś za to, że jest inny lub upośledzony, świadczyłoby o wrednym charakterze.

Ponieważ staraliśmy się widzieć samych siebie, tak jak mogli nas widzieć inni, nieobce nam było pewne skrępowanie. Ilustruje to domowa anegdota dotycząca żydowskiego święta Jom Kippur. Matka, która nie była raczej praktykująca, wolała, bym to ja poszedł późnym popołudniem do jednej z dwu synagog przy naszej ulicy i odmówił kadisz za mojego ojca, bardziej, jak się domyślam, żeby zachować pozory i pozostać w zgodzie z tradycją, niż z przekonania, że moja modlitwa pomoże w jakiś sposób ojcu albo Panu Bogu. Starłem się spełniać to jej życzenie tak długo, jak długo mieszkalem w domu, to znaczy do czasu, gdy poszedłem do wojska. Nigdy nie należała; to nie było w jej naturze. Ale na początku września 1949 roku, kiedy razem z moją pierwszą żoną Shirley szykowałem się do podróży statkiem do Anglii, żeby przez cały rok akademicki przebywać tam na stypendium Fulbrighta (jednym z najwcześniej przyznanych), matka uznała, że musi mi o tym przypomnieć. Miała już wtedy od dawna złamane biodro i chodziła o lasce; wypadek zdarzył się, kiedy szkoliłem się na bombardiera. Z nieśmiałą natarczywością, która najwyraźniej ją krępowała, poprosiła nas oboje na stronę, trzymając w jednej ręce kalendarz, a w drugiej karteczkę, z zanotowanym już dniem, w którym przypadało w tamtym roku Jom Kippur. Musimy pamiętać, oświadczyła, żeby znaleźć świątynię w mieście, w którym się akurat tego dnia znajdziemy i wziąć udział przynajmniej w części nabożeństwa. „Inaczej - wyjaśniła w swojej kulawej angielszczyźnie - ludzie pomyślą, że jesteście koministami”. Tak się złożyło, że moja żona i ja spędziliśmy Jom Kippur w Paryżu. Ona miała dwadzieścia pięć lat, ja dwadzieścia sześć, byliśmy w Paryżu po raz pierwszy i nasze starania, by odnaleźć synagogę, nie były zbyt wytrwałe. Nie trafiliśmy na żadną, lecz mimo to nie sądzę, by wiele osób w Paryżu doszło do wniosku, że jesteśmy „koministami”. I przypuszczam, iż obrażałbym chyba Pana Boga sądząc, że obchodzi go to, czy się do Niego modlę, czy nie, i że w ogóle wie, kim jestem i gdzie się akurat znajduję.

Po wypadku matki podziwiałem życzliwość, z jaką różne biurokratyczne instancje wojskowe połączyły swe wysiłki, aby załatwić mi przepustkę w kilkadziesiąt minut, z całą pewnością krócej niż w godzinę. Odbywałem wstępne szkolenie w wojskowej bazie lotniczej w Santa Ana w Kalifornii, olbrzymim ośrodku, w którym przyjmowano, badano, oceniano i kwalifikowano na kursy dla pilotów, bombardierów i nawigatorów tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy kadetów sił powietrznych. Telegram wysłała moja siostra. W kancelarii jednostki skierowano mnie do biura kapelana, który załatwił mi od ręki pożyczkę z Czerwonego Krzyża na dostarczone przez dział transportu bilety kolejowe. Dział transportu przyznał mi również pierwszeństwo w uzyskaniu miejscówki.

Wchodząc jakieś pięć dni później do szpitala w Brooklynie, nie miałem

pojęcia, co zobaczę. Z przyczyn, których nie pojmuję i nie spodziewam się nigdy pojąc, wymyśliłem dziwaczny scenariusz, że nie uda mi się rozpoznać własnej matki, i bałem się, że może przez to wpaść w straszną rozpacz. Przede mną stało kilkadziesiąt łóżek otwartego oddziału kobiecego Coney Is-land Hospital. Naprzeciwko drzwi, przez które wszedłem, leżała białowłosa kobieta mniej więcej w wieku mojej matki, która natychmiast zwróciła na mnie uwagę. Po chwili podniosła się na łokciu, wpatrując się we mnie jeszcze bardziej intensywnie, a ja odpowiedziałem na jej spojrzenie, nieśmiało się uśmiechając. Ponieważ nie spuszczała za mnie wzroku, podszedłem do niej, uściśnięm delikatnie, pocałowałem i usiadłem przy łóżku. Byłem przerażony, że nie za bardzo mnie rozpoznaje i nie mówi do mnie po imieniu. Wyglądało to gorzej, niż się spodziewałem. Dopiero po kilku minutach niezręcznej rozmowy zdaliśmy sobie sprawę, że nigdy w życiu nie widzieliśmy się na oczy. Zgnębiony rozejrzałem się dookoła i na samym końcu sali zobaczyłem moją matkę, która lewitowała niemal nad łóżkiem, z biodrem w gipsie, sfrustrowana i wściekła, machając rękoma i starając się zwrócić moją uwagę. Wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętałem, i ponownie oznajmiła, że mam pokręcony umysł - Powtórzyła to jeszcze raz, kiedy wyznałem jej, że będę wkrótce latał samolotem. Nie potrzebowała dodawać, że boi się, iż zginę w katastrofie.

Każdego, kto czytał ostatnio po raz trzeci lub czwarty „Paragraf 22”, uderzy zapewne paralela między przedstawioną powyżej historią i sceną w powieści, w której Yossariana odwiedza w szpitalu rodzina zapłakanych nieznajomych, nie przypominam sobie jednak, bym wymyślając tę drugą, nawiązywał świadomie do pierwszej.

Nie miałem większych problemów z moimi południowcami ze stoczniowej kuźni. Domyśliłem się już na samym początku, że moja własna brooklyńska wymowa brzmi w ich uszach tak samo osobliwie i nieprawidłowo, jak mogłaby brzmieć i bez wątplenia brzmi w uszach mieszkańców niezliczonych innych rejonów kontynentu. Wydawali się sobie nawzajem ekscentryczni.

Zatrudnieni tam Murzyni, czarni, Afroamerykanie, czy jakkolwiek jeszcze zechcemy ich nazwać, traktowani byli przez wszystkich białych, z którymi wtedy w roku 1942 pracowałem, z tak absolutną obojętnością i tworzyli tak zamkniętą kastę, że właściwie nigdy się o nich nie mówiło i nikt prócz mnie nie zwracał się do nich w żadnych sprawach nie dotyczących bezpośrednio wykonywanej pracy. Jeden lub dwaj z mojego działu, ci, z którymi najczęściej miałem styczność i - powodowany tym, co obecnie poprawnie charakteryzuję jako w najlepszym razie protekcyjną i afektowaną akceptację - starałem się nawiązać przyjazną rozmowę, rozsądnie wycofywali się i trzymali na dystans. Bardziej aniżeli całkowity brak stosunków między białymi i czarnymi zdumiewała mnie najwyraźniej powszechna złośliwość, z jaką protestanci traktowali katolików. Po raz pierwszy zwrócił na nią moją uwagę ciemny pulchny irlandzki kowal, z którym często pracowałem i który dorastał w Irlandii Północnej, doświadczając tam wrogości protestanckich „oranżystów” - nigdy przedtem nie słyszałem tego słowa - a teraz znalazł się w stoczni marynarki wojennej

Norfolk w Portsmouth w Wirginii, nie akceptowany i wyśmiewany przez innych. Oświecony przez niego, od razu dostrzegłem, jak nieufnie traktują i bojkotują go jego koledzy.

Czarni byli pogardzani i ignorowani, katolicy zaś znienawidzeni i otoczeni wrogością. Lecz nowojorski Żyd, taki jak ja, stanowił prawdziwą nowość. Miejscowi nigdy kogoś takiego nie widzieli; byłem jedynym Żydem na całej hali. Ja z kolei nigdy jeszcze nie spotkałem południowców. Istniała między nami wzajemna ciekawość, której chętnie hołdowaliśmy.

Kiedy gawędziliśmy w naszej grupce podczas przerw na lunch i na kawę, inni podchodzili blisko, żeby się na mnie pogapić i szczerząc życzliwie zęby, posłuchać naszej rozmowy. Zawsze się ze sobą dogadywaliśmy - prawie zawsze - a oni z dużą uprzejmością i troską wyjaśniali mi sekrety różnych mechanizmów i związane z pracą zagrożenia, z których nie zdawałem sobie wcale sprawy. Pierwszego dnia brygadzysta kazał mi zawieźć do ściernicy beczkę ze śrubami, żeby zetrzeć z ich główek niepotrzebne metalowe frędzle. Spojrzałem na beczkę, spojrzałem na ręczny wózek i nie wiedziałem, co robić. Zdawałem sobie sprawę, że to nic nie da, ale postanowiłem spróbować: na oczach brygadzysty i jego zastępcy przykucnąłem, objąłem rękoma beczkę najszerzej, jak mogłem, i usiłowałem ją podnieść. Zastępca brygadzysty, facet o nazwisku Beeman, który rzadko się uśmiechał do mnie i do kogokolwiek innego, dał znak ręką, żebym się odsunął, i pokazał, jak łatwo jest wsunąć dolną krawędź wózka pod beczkę i przenieść cały jej ciężar na koła. Szybko się tego nauczyłem. Beeman zaprowadził mnie do elektrycznej ściernicy, żeby zobaczyć, czy wiem, jak wkłada się gogle, i pokazać mi, co mam zrobić. Udowodniłem, że tego też potrafię się szybko nauczyć.

Harmonijne stosunki, jakie utrzymywałem z kolegami z pracy, zostały zakłócone tylko raz, podczas jednej z naszych codziennych przerw na lunch, kiedy rozmowa zesłała na tematy religijne i pośpieszyłem z wyjaśnieniem, że Jezus był w rzeczywistości Żydem i miał żydowskich rodziców. Krąg białych twarzy natychmiast zastygł w zgodnym bezruchu i zorientowałem się, że nikt im tego przedtem nie powiedział i nie życzą sobie, by ktoś to mówił - teraz ani kiedykolwiek. Zjeżyli się nawet moi najbliżsi kumple. A ja dyskretnie postanowiłem nie rozwijać tematu. Symboliczne litery INRI na obrazach ukrzyżowania z pewnością by ich nie przekonały; poza tym przyznaję, że nie wiedziałem wówczas, iż stanowią one skrót łacińskich słów i oznaczają: Jezus Nazarejczyk Król Żydowski.

Wiele lat później, w roku 1962, po publikacji „Paragrafu 22” spotkałem w letnim kurorcie Fire Island Mela Brooksa i usłyszałem, jak przemawiając tym swoim ochryplym krzykiem, bez którego trudno go sobie wyobrazić, oświadczył, że każdy Żyd powinien mieć za przyjaciela dużego goja. Moim najlepszym przyjacielem w kuźni był największy z pracujących tam robotników, niezgrabny poczciwy facet będący również synem jednego z brygadzystów. Z takim protektorem nikt nie ośmieliłby się mi dokuczać, ale i bez niego nie spotykały mnie żadne zaczepki ani bardziej subtelne próby nękania. Przez wszystkie tygodnie, które tam spędziłem, nikt nie wytykał mi mojego żydo-stwa, choć wiele było docinków na temat mojego

nowojorskiego pochodzenia, osobliwych wyrażeń oraz barbarzyńskiej wymowy. Ja z kolei uważałem, by nie dawać im za bardzo do zrozumienia, że są ciołkami z Południa.

Pewien mężczyzna pochodzący z wiejskich rejonów Karoliny Północnej, z którym często pracowałem i którego nikt nie nauczył podstaw dzielenia i mnożenia, potrafił mimo to liczyć i mierzyć, stawiając słupki z pionowych kresek. Ostatnia, piąta, przecinała na ukos pozostałe cztery. Do moich obowiązków należało dostarczanie mu odpowiedniej ilości długich prętów, które miał pociąć na określoną liczbę mniejszych kawałków. On sam jednak świetnie sobie z tym radził, zaznaczając kredą trzy-stopowe odcinki, na które trzeba było pociąć mający mniej więcej trzydzieści stóp pręt. A potem układał je w palenisku i kując nadawał kształt, jaki miały przybrać. Pewnego dnia, kiedy byłem zajęty przy krajarce i liczyłem jednocześnie kawałki, które mierzył i zaznaczał, zerknąłem na całe szczęście na maszynę i zdążyłem dostrzec ostrze, które opadało właśnie na moje wsuwające metal palce. Przerażony cofnąłem rękę, ratując w ostatniej chwili palce przed ucięciem. Nigdy już nie odwróciłem wzroku, żeby porozmawiać z nim ani kimkolwiek innym przy tej krajarce i do dzisiaj traktuję tę niedoszlą tragedię jako jedno z najbardziej przerażających życiowych doznań, straszniejsze od tego, co przytrafiło mi się podczas drugiej misji do Awinionu i innych niebezpiecznych rzeczy, które wydarzyły się w czasie wojny. Niewykluczone, że, niczym w klasycznym koszmarze, tym, co przeraża mnie najbardziej we wspomnieniu krajarki, jest okropność, do której w ogóle nie doszło; wszystko, co działo się na wojnie, jednak się wydarzyło. W retrospekcji oceniam te brakujące palce, których nie straciłem, na równi z utonięciem, do którego (wbrew nawiedzającym mnie dzisiaj stale obawom) nie doszło w trakcie kilku moich pływackich eskapad do boi dzwoniącej.

Epizod weselszy od tej niedoszłej katastrofy przy krajarce wiąże się z młodym mistrzem kowalskim z pobliskiej Karoliny Północnej. Po kilku tygodniach - kiedy, jak przypuszczam, doszedł w końcu do wniosku, że jestem swój chłop - zaproponował parę razy, żebym pojechał z nim na weekend do miasta, gdzie mieszkał i gdzie, jak obiecywał, przedstawi mnie dziewczynom, które marzą o tym, aby mnie spotkać i od których będę mógł dostać, ile tylko chcę, tego, czego chcę.

Pokusa była silna, ale powstrzymujące mnie obawy silniejsze: na moje szczęście i nieszczęście zawsze wybiegam ostrożnie myślą naprzód i nawet pijany, przewiduję konsekwencje swojego postępowania; tutaj zaś zdawałem sobie jasno sprawę, że będę musiał zrezygnować z nadgodzin w jednym dniu, a jeśli przenocuję, to nawet przez dwa dni. Myśl, że przyjdzie mi później wykonywać za osiem dolarów robotę, którą mógłbym wykonać za dwanaście, okrywała kirem zniechęcenia moje lubieżne wizje.

Był jeszcze drugi powód, raczej zabawny, który pomógł mi poskromić żądze. W wiejskiej gwarze, którą mówiono w jego rejonie, powszechnie uznawane za wulgarnie słowo oznaczające żeńskie genitalia brzmiało tak samo jak to, którym gdzie indziej powszechnie określa się męski organ płciowy - co przyjmowałem z pewnym szokiem za każdym razem, gdy odnosił je do nich, i do czego niełatwo było się

przyzwyczać. Pisząc to teraz, zastanawiam się, czy nie chciał mnie przypadkiem przedstawić osobnikom płci męskiej, chłopcom i mężczyznom, ale mocno w to wątpię, ponieważ rozmawialiśmy jak zwykle o spółkowaniu z kobietami. A moje nocne i dzienne fantazje na ich temat skupiały się zawsze na tym, co on nazywał inaczej, a my nazywaliśmy cipką.

Kolejnym powodem praktycznie codziennej wesołości moich kolegów były robocze buty, które wybrał mi na Manhattanie zapobiegliwy brat Lee. Jak zwykle troszcząc się o bezpieczeństwo moje i innych, Lee długo szukał i znalazł robocze buty wzmocnione od środka stalowymi płytami, które chroniły palce i przednią część stopy przed zmiążdżeniem przez spadające przedmioty. Żaden z nas nie miał najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju masywne obiekty będą mi zagrażać w stoczni; w fabrykach zdarzają się przecież wypadki. W konsekwencji chodziłem do pracy w butach, które były nienormalnie duże, długie i bardzo ciężkie.

Jak się okazało, wśród moich kowali z Wirginii istniał ludowy przesąd, wedle którego wielkość stopy mężczyzny wskazuje bezpośrednio na rozmiary i zasięg jego penisa. Żaden z moich kolegów nie widział ani nawet nie słyszał o wzmocnianych od środka butach i moje stopy wydawały im się największymi, najdłuższymi, najgrubszymi i najpotężniejszymi, jakie kiedykolwiek widzieli. Z tego względu wiele po mnie oczekiwano. Może to z powodu wzmocnionych butów mój kowal chciał zawieźć mnie do swego rodzinnego miasteczka i przedstawić kobietom, które tam znał. Trudno było stawiać czoło stałym docinkom, przybierającym formę fałszywych pochwał i podziwu.

Za żadne skarby nie chciałem ich rozczarować. Z pisuarów starałem się korzystać tylko wtedy, kiedy ubikacje były puste. Wymagało to więcej szczęścia i sprytu, niż miałem, gdyż w państwowej stoczni marynarki wojennej toaleta jest, podobnie jak w innych miejscach pracy na całym świecie, nie tylko toaleta, lecz przystanią, w której szuka się krótkiej chwili wytchnienia od nieuchronnej monotonii roboty. Nie chcąc ryzykować ewentualnej demaskacji i ściągać sobie na głowę zjadliwych, okrutnych i zgrzebnych kpín, które na pewno by się posypały - jakbym to wyłącznie ja był odpowiedzialny za ich przesadne oczekiwania - poniosłem wkrótce stosowny wydatek i po nabyciu zwyczajnej pary butów wyrzuciłem moje pancerne. Kiedy ktoś przy palenisku zauważył zmianę i wygłaszał jakiś komentarz, wzruszałem niedbale ramionami i wyjaśniałem: „Obrzezane. No wiecie”.

Niebezpieczeństwo odniesienia tam jakichś obrażeń nie było w praktyce większe od tego, które grozi mi dzisiaj, gdy chcę przygotować sobie jakiś gorący posiłek w kuchni. Praca polegała, jak już wspomniałem, w głównym rzędzie na doglądaniu palenisk i dostarczaniu rozżarzonego metalu prawdziwemu fachowcowi; trzeba też było przewozić ciężkie przedmioty na ręcznym wózku lub czasami za pomocą suwnicy, która biegła nad naszymi głowami wzdłuż całej długości kuźni i którą kierowało się przyciskami podobnymi do tych na pilocie dzisiejszego telewizora; ciąć metal na kawałki określonej długości; szlifować na płasko główki śrub oraz je gwintować. Przy gwintownicach wraz z facetem z sąsiedniego działu wymyśliłem w zasadzie dla żartu szybki naprzemienny system

pracy, dzięki któremu gwintowaliśmy śruby z zapierającą dech prędkością, której nie znano wcześniej w tej kuźni, prędkością, która przyciągała do nas gapiów i spowodowała pomruk aprobaty nawet u małomównego pana Beemana. Ale bawiło nas to tylko sporadycznie, nikt bowiem nie potrzebował na gwałt milionów gwintowanych śrub i tak naprawdę - jeśli pominąć chęć dostarczenia uciechy sobie i innym - nie było powodu się śpieszyć.

Od czasu do czasu musiałem posługiwać się ciężkim kowalskim młotem. Nie byłem w tym najlepszy. Na szczęście dla uzyskania maksymalnego efektu nie musiałem podnosić go wysoko nad głowę; opuszczając z hukiem obuch na jakieś przytrzymywane przez kogoś innego narzędzie, pozwalałem, by większą część pracy wykonała za mnie grawitacja. Człowiek, z którym pracowałem, był narażony na większe niż ja niebezpieczeństwo. Z wyjątkiem chwili nieuwagi przy krajarce, w kuźni nie groziło mi nic gorszego niż to, na co narażony byłem jako archiwista albo posłaniec Western Union. Pracując w Western Union, mogłem przecież, na Boga, wpaść pod samochód!

Oprócz epizodu z krajarką najsilniej utkwiał mi w pamięci niejasny i nie dający się nazwać lęk przed tym, co mogło mi się przytrafić podczas podróży do stoczni, którą odbyłem pociągiem i promem. Dzisiaj, gdy przestępstwa przeciwko Bogu ducha winnym ludziom wydają się zalewać cały kraj, jestem uczulony na wszelkie podróże, wątpię jednak, by wówczas dręczyły mnie tego rodzaju obawy. Gdyby tak było, mógłbym w ogóle nie pojechać, w każdym razie nie sam. Wątpię, czy chciałaby tego moja rodzina.

Podróż zajęła cały dzień i następny ranek i pamiętam, że w przeważającej części spędziłem ją w milczeniu i samotności. Po raz pierwszy wyjechałem z domu pociągiem i cała ekspedycja musiała być dla mnie tak samo smutna i posępna jak jazda autobusem na letni obóz. Do nikogo się nie odzywałem i nikt nie odezwał się do mnie. Nie jestem zbyt dobry w nawiązywaniu rozmowy z nieznanymi i nigdy nie poderwałem dziewczyny, jeżeli nie zapoznał nas ktoś trzeci. Byłem więźniem zegara, odizolowanym od ludzi, bezradnym i zbolalym niewolnikiem upływającego czasu. Może już wówczas uległem mimowolnie ponuremu freudowskiemu konceptowi, że ludzie, którzy wyjeżdżają z domu, czasami nie wracają.

Podróż pociągiem skończyła się dla mnie w Wirginii, w miejscu o nazwie Cape Charles. Tam, zgodnie z instrukcjami, skrupulatnie spisany przez Lee, wsiadłem na prom, aby odbyć morską przejażdżkę, która, ku mojemu zdumieniu, trwała kilka kolejnych godzin. Długość rejsu i rozmiary zatoki, Chesapeake Bay, wywarły na mnie olbrzymie wrażenie - do tej pory jedyne moje podróże promem z koniuszka Manhattanu na Staten Island trwały nie dłużej niż piętnaście minut. Kiedy dotarłem do portu, kończył się dzień. Kolejny prom miał zawieźć mnie do Portsmouth i stoczni marynarki wojennej, nie wydawało się jednak rozsądne, abym płynął tam w nocy i wędrował przez obce miasto po zapadnięciu zmroku.

W związku z tym zaraz po przyjeździe zameldowałem się w pierwszym lepszym niedrogim hotelu. Wyglądał na... bezpretensjonalny. Do mojego pokoju sączyło się przez okno różowe światło neonów kawiarni po drugiej stronie ulicy. Nie

nagabywany przez nikogo zjadłem tam samotnie kolację przy barze. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jestem jedynym gościem w hotelu. Recepcjonista był chudym kaprawym facetem koło trzydziestki, z czerwonym znamieniem na podbródku. Przeczytałem już wówczas mnóstwo amerykańskiej prozy i postanowiłem przy kolacji, że jeśli zaproponuje, iż przyśle mi do pokoju kobietę, zbiore się na odwagę i odpowiem tak. Nie wiedziałem jednak, jak o to poprosić. (Teraz chyba wiedział, lec/ wątpię, czy miałbym ochotę). Obudziwszy się nazajutrz wczesnym rankiem, wpadłem w niepokój. Nie dostrzegałem śladu innych gości i byłem nieco zaskoczony i szczęśliwy, kiedy udało mi się bezpiecznie wyjść z hotelu, nie tracąc walizek ani życia.

Podróż promem do Portsmouth była krótka. Po zejściu na ląd zapytałem o stocznię, przejechałem kilka mil autobusem do kompleksu domków, gdzie miałem mieszkać, żeby zameldować się i wynająć pokój, i kiedy ujrzałem w końcu kilka znajomych twarzy z Coney Island, poczułem się jak u siebie w domu.

Po zgłoszeniu się pierwszego ranka do pracy nauczyłem się nie tylko, jak radzić sobie z ręcznym wózkiem, tarczami ściernymi i beczką żelaznych śrub, zbyt ciężką, by można ją oburącz podnieść, lecz również jak odbijać kartę zegarową. Zarówno przyjazny brygadzysta, jak i jego niekomunikatywny zastępca stali tuż przy wejściu na halę, czekając nie tylko na mnie. Zwracali uwagę na każdego wchodzącego, nie spuszczając przy tym sokolego wzroku z umieszczonej w szafce przy ścianie dużej tablicy z rzędami okrągłych mosiężnych numerków zawieszonych w porządku numerycznym na małych kółkach. Przydzielono mi jeden z nich. Każdy zaczynający zmianę pracownik musiał przy wejściu odwrócić swój mosiężny numer z lewej na prawą stronę, żeby potwierdzić, że jest obecny. Jeden albo dwaj nadzorcy stali na posterunku każdego ranka, sprawdzając, czy nikt nie odwraca numerka za kogoś innego. Kiedy fabryczna syrena oznajmiała koniec dziennej zmiany, całą procedurę powtarzano, aby upewnić się, czy nikt, kto zgłosił się rano do pracy, nie dał w tym czasie nogi. A rano, zaraz po tym, jak syrena oficjalnie ogłaszała początek naszej zmiany, broniące dostępu do tej wersji fabrycznego zegara szklane drzwiczki były zamykane i otwierano je dopiero w porze wyjścia.

Ten, kto nie stawiał się na czas, tracił wynagrodzenie nie tylko za tych kilka minut spóźnienia; nie wpuszczano go do środka aż do końca zmiany bez względu na to, jak bardzo garnął się do pracy, jak dobrym był fachowcem i jak ważny był powód, dla którego się spóźnił. Można było w związku z tym odnieść wrażenie, że nasz pracodawca nie skarżył się specjalnie na brak rąk do pracy. Oraz że nie istniało zbyt wielkie zapotrzebowanie na produkty, które opuszczały naszą kuźnię. Wszyscy lojalnie zajmowaliśmy się tym, co mieliśmy robić, ale rytm pracy był bardziej metodyczny niż pośpieszny. Jeśli lał się z nas pot, wynikało to raczej z wysokiej temperatury niż tempa. Ludzie brali, kiedy chcieli, wolne dni. Z wyjątkiem podejmowanych przeze mnie i mojego partnera rzadkich prób urozmaicenia pracy przy gwintownicach, nikt nie starał się bić żadnych rekordów. Co jakiś czas powtarzaliśmy sobie półgębkiem ostrzeżenie i na hali budził się niepokój podobny do tego, jaki ogarnia mrowisko albo pszczeli rój, kiedy pojawi się jakiś intruz: do

stoczni przybywali państwowi inspektorzy.

W rezultacie podsycano ogień we wszystkich paleniskach i w każdym z nich umieszczano do podgrzania pręty i taśmy.

Piece dudniły, sapały i huczały. Włączano tarcze ściernie, a gwintownice gwintowały, nawet kiedy nie było nic do gwintowania. Po nizinie niesło się stukanie młotów, a my byliśmy do tego stopnia zaabsorbowani robotą, że nie dostrzegaliśmy wcale wysokich rangą oficerów marynarki wojennej oraz zakłopotanych urzędników w białych kołnierzykach, którzy mijali nas, rzucając chwilami zdawkowe, lecz wnikliwe spojrzenia, tak jakby rozumieli, co widzą oraz co i dlaczego tu robią.

Nie rozumieli.

My też tego nie rozumieliśmy.

Pracowaliśmy przez siedem dni w tygodniu i jeśli nie liczyć naszego dyplomowanego hydraulika z samochodem i dziewczyną z kawiarni oraz mojego kumpla z innej części Brooklynu, którego nie ujawnione towarzyskie wyczyny ściągnęły nam na głowę policję, nie mieliśmy tam prawie żadnych rozrywek. Nie pamiętam, żebym w ciągu tych siedmiu lub ośmiu tygodni, które przepracowałem bez jednego wolnego dnia, choć raz poszedł do kina. Kiedy wzięliśmy prysznic i odpoczęliśmy trochę po zakończeniu dziennej zmiany, nadchodził czas kolacji. Żeby nie spóźnić się na ósmą rano do stoczni, trzeba było kłaść się wcześniej spać i robiliśmy to przez siedem dni w tygodniu. W stołówce przy stoczniowej bramie, gdzie jedliśmy śniadania, dostrzegliśmy z pewnym zaskoczeniem kilka gatunków alkoholu. Jeszcze bardziej zdziwił nas widok ludzi konsumujących go o tej porze, tak jakby picie alkoholu przy śniadaniu było czymś normalnym.

Kolacje jedliśmy przeważnie w pensjonacie prowadzonym przez wesołą korpulentną niewiastę nie pierwszej młodości. Miała nieśmiałą córkę koło dwudziestki, która pomagała jej przy obsłudze stolików. Matka obserwowała dziewczynę z purytańską czujnością kłócącą się z jej własnym subtelnym i prawdopodobnie nie uświadamianym kokieteryjnym i zmysłowym stylem bycia. Serwowane tam posiłki były tanie, smaczne i proste: kurczaki, wieprzowina, wołowina, kotlety jagnięce, gulasze i na szczęście żadnych ryb. Jedynym dziwnym elementem ich kuchni było coś, co one nazywały pszennym chlebem i co odbiegało znacznie od produktu, który my, nowojorscy Żydzi znaliśmy pod pojęciem pszennego chleba. Nasz pszenny chleb był grubym, twardym, solidnym, wyrabianym na drożdżach wschodnioeuropejskim bochenkiem; ich pszenny chleb przypominał ciasto. Potem przyzwyczailem się jednak do ich pszennego chleba i chętnie przegryzłbym teraz kromkę z dżemem malinowym lub truskawkowym. Na święto Paschy wszystkich żydowskich robotników w Portsmouth zaproszono na tradycyjny poczęstunek w dużej sali wynajętej przez członków gminy żydowskiej. Było to dla nas miłe i nowe wydarzenie i bardzo ujęła nas gościnność gospodarzy. Najwięcej komentarzy wzbudziła południowa wymowa zarówno angielskiego jak i jidysz (oraz hebrajskiego w skróconych obrzędach).

W Norfolku, mówiono nam, pod numerem 30 przy Bank Street mieści się burdel. Nie sądzę, by któryś z nas nosił się z poważnym zamiarem pójścia tam; jeśli

inni chodzili i mówili o tym, nie mówili o tym ze mną. Silnym bodźcem przemawiającym za seksualną abstynencją były ponownie względy finansowe: niewypowiedziana i deprymująca świadomość, że będziemy musieli później pokutować przez trzy dni ciężkiej pracy za półgodzinne oddawanie się cielesnym uciechom, które mogą, ale przecież nie muszą wprowadzić nas w zmysłową euforię. A co gorsza, mogą nam wejść w krew.

Ostatecznie fundnałem sobie w końcu wolny dzień - chyba nawet dwa dni; cały weekend. Zapomniałem, jak go spędziłem - być może popędziłem do Nowego Jorku w należącym do jednego z nas samochodzie, płacąc za benzynę mniej niż wynosiła cena biletu kolejowego; jeśli tak, wypadło mi to z pamięci i nie wiem, co tam robiłem. Pamiętam (albo wydaje mi się, że pamiętam) adres burdelu w Norfolkku, do którego nigdy nie poszedłem, ale zupełnie nie wiem, co porabiałem, znalazłszy się z powrotem w domu, na Coney Island lub gdzieś indziej, po pięćdziesięciu sześciu dniach nieprzerwanej harówki. Ale... cokolwiek tam robiłem, zdruzgotało to mnie, złamało ducha, nad wałowało siłę woli i położyło kres karierze fabrycznego robotnika. Powrót do tego znoju po tak krótkim odpoczynku wydawał się nie do pomyślenia i po upływie kilku pierwszych dni okazał bolesną udawką, którą potrafił znieść jedynie człowiek obdarzony silniejszym ode mnie charakterem.

Poddałem się prawie bez walki.

Złożyłem wymówienie.

Spakowałem się i wyjechałem.

Rany - ale byłem szczęśliwy!

W drodze powrotnej z Wirginii zatrzymałem się na dwa dni i jedną noc w Waszyngtonie u mojego przyjaciela z Coney Island, Marty'ego Kappa. Marty pochodził z Dwudziestej Trzeciej Ulicy w dzielnicy włoskiej. Poznałem go dopiero w szkole średniej; zaprzyjaźnił się z nami, wstępując do jednego z naszych pierwszych klubów. W naszej paczce był kimś nietypowym - trzymał się zawsze prosto i w przeciwieństwie do nas, idąc nie garbił się jak typowy luzak. Nie wywijał łańcuszkiem od kluczy i nie wsadzał nawet kciuków za szlufki. Jako nieliczny z nas - oprócz niego dokonał tego tylko Sy Ostrów - ze szkoły średniej poszedł chyba od razu na studia, do Brooklyn College, który był bezpłatny i blisko nas. To właśnie od ojca Marty'ego, elektryka bądź też hydraulika, dostałem wymagany przez stocznię list polecający, w którym zaświadczał, że mam praktykę w zawodzie mechanika (której nie miałem) i pracowałem w jego warsztacie (którego nie widziałem na oczy). W moim życiu nie był to niestety jedyny wypadek pójścia na skróty, o czym może zaświadczyć - o ile jeszcze żyje i pamięta (jeśli żyje, to pamięta) - pewna życzliwa młoda dama z Kalifornii, która pomogła mi potajemnie zaliczyć sprawdzian z języka obcego potrzebny do uzyskania dyplomu magistra anglistyki na Uniwersytecie Columbia. Żałuję teraz, że to zrobiłem. To właśnie wykroczenie kazało mi później zlitować się z czystym, logicznie rzecz biorąc, sumieniem, nad dwoma studentami, których złapałem na ściąganiu w college'u w Pensylwanii.

Podczas gdy ja harowałem w stoczni, Marty pracował w Waszyngtonie na jakimś rządowym etacie - albo jako cywilny urzędnik, albo już wtedy w ramach tak

zwanego programu V-12 marynarki wojennej, w agencji zajmującej się specjalistycznym szkoleniem wojskowym, gdzie miał spędzić całą wojnę. Znalazł mi łóżko w mieszkaniu, które dzielił z grupą dziarskich osób mniej więcej w tym samym wieku co my dwaj.

Wojenna stolica pulsowała w ten weekend energią i słonecznym światłem. Przez większą część soboty, którą on spędził, wykonując pilnie powierzone mu odpowiedzialne obowiązki, łąziłem z wybałuszonymi oczyma, pozostając w stanie ortodoksyjnej atencji. Podziwiałem, dokładnie tak jak powinienem, Washington Monument oraz smukły, zwieńczony sklepieniem Jefferson Memoriał. Głęboko wzruszyła mnie powaga bijąca z siedzącej postaci Lincolna w jego mauzoleum. Zachwyciłem się spontanicznie wszystkim, co zobaczyłem w oficjalnym Waszyngtonie, podobnie jak każdy odwiedzający po raz pierwszy stolicę przybysz z prowincji (czyli z każdego miejsca poza Dystryktem Columbia), który ma tylko powierzchowne i wyidealizowane pojęcie o amerykańskiej historii i fragmentaryczną, opartą na czołówkach gazet wiedzę na temat bieżących wypadków. Dzisiaj nawet uczniowie w szkole wiedzą, że chcąc poznać rzetelną prawdę historyczną, nie mogą polegać na podręcznikach i oficjalnych publicznych enuncjacjach. W przemówieniu gettysburskim Lincolna na przykład, kiedy pominię się prostą arytmetykę na początku pierwszego zdania, niewiele pozostaje rzeczy, które da się empirycznie zweryfikować. To oczywiście wspaniałe przemówienie, jedno z najlepszych, jakie zostały zarejestrowane, ale zawiera w większości duby smalone. Tyle, jeśli chodzi o przemówienia!

W niedzielę Marty i ja wybraliśmy się na koncert symfoniczny na świeżym powietrzu. Zapomniałem, kto grał, ale pamiętam wykonywany utwór; był to koncert skrzypcowy Czajkowskiego, którego nigdy przedtem nie słyszałem. Mam dobre ucho do muzyki i magnetyczną pamięć do fraz. Dzień albo dwa po moim powrocie na Coney Island usłyszałem szczęśliwym trafem ten sam koncert w radiu. Rzuciłem wszystko, żeby się skupić, wysłuchałem go uważnie od początku do końca i kiedy skończyli grać, miałem wrażenie, że znałem tę muzykę od urodzenia. Do dzisiaj potrafię sobie przypomnieć i zanucić pasażę otwierające wszystkie trzy części. Koncert skrzypcowy Czajkowskiego, niegdyś mojego najbardziej ukochanego i poruszającego kompozytora, jest chyba jego jedynym utworem, którego mogę dziś słuchać.

Po powrocie na Coney Island miałem dziewiętnaście lat, dużo wolnego czasu, mało zmartwień i typowo chłopięcy mętlik w głowie, w dalszym ciągu, założę się, nader częsty u dorastających młodzieńców. Byłem beztroski, ale nie wiedziałem, co mam ze sobą dalej robić. Inni dookoła byli w identycznym położeniu. Bobby Magrill, syn aptekarza, postanowił zostać lekarzem. George Mandel, nasz rysownik komiksów, który zarabiał tygodniowo trzysta albo czterysta dolców, w czasie gdy ja zarabiałem piętnaście, i którego powołano już do wojska, gdzie miał zostać poważnie ranny w głowę podczas kontrofensywy w Ardenach, chodził wcześniej na zajęcia w Art Students' League. Ale to były wyjątki. Pozostali nie mieli konkretnych planów ani motywacji.

Wezwanie do wojska było jedyną pewną rzeczą w naszej przyszłości, którą pod każdym innym względem spowijał mrok. Trudno było orzec, co w późniejszym życiu mamy zamiar i możemy robić. Książę Danny i Sheiky Silverman sprzedawali już biżuterię przy zatłoczonych wejściach stacji metra Union Square. Tego lata, w 1942 roku, Sheiky sprzedawał również lody na plaży Coney Island, oczywiście pod warunkiem, że nie umykał akurat przed policjantami, którzy ścigali go zwinnie między tłumami leżącymi na piasku. Louie Berkman pracował na złomowisku swojego ojca. Załatwialiśmy sobie wzajemnie robotę. Marvin Winkler nawlekał przez krótki czas perły w fabryce, w której miał jakieś chody Murray „Rup” Rabinowitz; później zajmował się spedycją w centrum odzieżowym u naszego kumpla z Coney Island, Jackiego Sachsa.

Zacząłem się rozglądać za jakimś zajęciem i wziąłem to, co było do wzięcia. Davey Goldsmith potrzebował pomocnika w biurze spedycji US Hatband Company i zaczęliśmy się u niego za dwadzieścia jeden doliczów tygodniowo. Nauczyłem się tam składać pudła z płaskich arkuszy tektury. Kiedy od czasu do czasu wyłania się teraz taka potrzeba, żałuję, że zapomniałem, jak to się robi.

Dzięki Sylvii zatrudniono mnie na kilka tygodni u Macy’ego przy liczeniu towaru podczas inwentaryzacji. Ktoś inny załatwił mi robotę w zakładzie modniarskim na Manhattanie. Przygotowywałem tam kapelusze do wysyłki i sprzątałem. Aż do tego momentu - ja, który aspirowałem do miana pisarza - nie znalazłem czasu, żeby sprawdzić, co to jest „modniarstwo”; wyobrażałem sobie, że to coś w rodzaju haute couture. Kapelusze, które tam wytwarzano, były ze słomy i jej skrawki kłuły mnie w palce, kiedy starałem się, jak mogłem najlepiej, utrzymywać w czystości podłogi. Pod koniec pierwszego tygodnia jeden z wiecznie nachmurzonych starszych wspólników warknął na mnie, żebym tu więcej nie przychodził. Miał na myśli, że jestem zwolniony.

Lee nie pracował już jako makler giełdowy na Wall Street, lecz jako kierownik w małej fabryczce kooperującej z większym zakładem produkującym na potrzeby obrony. Poszedłem pracować u niego przy wiertarce. Kładłem szablon na coś kwadratowego, co nie było drewnem, i opuszczałem wirujące wiertło w każdy z kilku umieszczonych w nim otworów. Robienie tego przez osiem godzin dziennie zszargało mi nerwy. Lee nie był zaskoczony ani urażony, kiedy wyznałem, że nie mogę znieść tej pracy.

Wraz z wieloma innymi należącymi do mojego pokolenia Amerykanami, żyjącymi w epoce kryzysu, który tak naprawdę wcale się jeszcze nie skończył, uzbroiłem się w cierpliwość i czekałem z odrętwiałą nadzieją na jakieś nieznane definiujące wydarzenia, które ukażą w końcu kurs, jaki powinienem obrać, zmobilizują mnie do działania i postawią na nogi.

Nie sądziliśmy, że to będzie wojna.

Ogłoszenie przez rząd, że dziewiętnastolatki zostaną wkrótce powołani do wojska, przyśpieszyło naszą decyzję. Nie widzieliśmy powodu, żeby uchylać się przed poborem. Cała nasza grupka zgłosiła się dobrowolnie - nie mieliśmy nic lepszego do roboty. Dodatkowo skłaniała nas do tego możliwość wyboru

preferowanego rodzaju służby.

W wyznaczonym terminie miałem rozkaz zgłosić się rano w poczekalni dworca Pensylwania w celu przewiezienia do ośrodka rekrutacyjnego w Camp Upton na Long Island. Matka i Sylvia odprowadziły mnie na przystanek tramwajowy obok sklepu ze słodyczami pana Mosesa przy Railroad Avenue. Czekać prowadziliśmy zwyczajną rozmowę; obiecałem, że będę często pisał i jeśli się uda, zatelefonuję z Long Island. Kiedy podjechał tramwaj, uściskaliśmy się formalnie i ucałowaliśmy w policzki. Później, wiele lat później, byłem autentycznie wstrząśnięty (choć starałem się tego nie okazywać), kiedy siostra wspomniała mimochodem, że matka zalała się łzami, gdy tylko tramwaj zabrał mnie w moją wesołą podróż. Zanosząc się niepowstrzymanym szlochom o mało nie upadła na ziemię i Sylvia miała trudności z utrzymaniem jej w pozycji pionowej, gdy wracały do domu.

W swojej głupocie nie sądziłem, by istniał w ogóle jakiś powód do płaczu.

Matka nigdy nie wspominała o tym zajściu, a ja nigdy o to nie zapytałem. Nasza rodzinna skłonność do tłumienia w sobie przykrych emocji przetrwała tak długo jak my sami.

Przemili psycholog Erik Erikson pisze gdzieś (chyba w „Dzieciństwie i społeczeństwie”) o „moratorium”, które występuje między końcem wieku dojrzewania i początkiem dorosłości u większości młodych ludzi na Zachodzie. W jego trakcie jednostka właściwie nie zdaje sobie sprawy, kim jest i kim chce zostać. Jest to czas wahań co do własnej tożsamości, wahań, które mogą prowadzić do popełnienia poważnych błędów. (Weźmy na przykład skinheadów w Anglii, neonazistów w Niemczech, i neofitów nazizmu w Moskwie. Jaki jest średni wiek, gdy zaczyna się uzależnienie od kokainy albo heroiny? Średni wiek ulicznego rabusia?). W tej kwestii Erikson ma rację i dla znajdujących się akurat w tym punkcie Amerykanów, którzy w trakcie służby wojskowej nie doznali fizycznego lub psychicznego uszczerbku na zdrowiu, wojna nadeszła w odpowiednim momencie. (Dla Europejczyków żaden moment nie jest odpowiedni na europejską wojnę). Położyła kres naszym wątpliwościom i rozterkom, pozbawiła konieczności podejmowania decyzji i dała możliwość uczestniczenia w ogólnonarodowym przedsięwzięciu, powszechnie uważanym za chwalebne i prawe.

Oraz zyskowne. Mój łączny dochód po wstąpieniu do wojska w stopniu szeregowca wynosił tyle samo, ile mogłem wyciągnąć na zewnątrz, a jako oficera w służbie powietrznej przewyższał kwotę, którą byłem w stanie zarobić, zaczynając cywilną karierę, najpierw jako młodszy asystent w Pennsylvania State College (trzy tysiące dolarów rocznie), następnie jako copywriter w małej nowojorskiej agencji reklamowej Merrill Anderson Company (sześćdziesiąt dolarów tygodniowo, dwieście sześćdziesiąt miesięcznie). Ale w Merrill Anderson Company mieliśmy również dodatkowe świadczenia: w ich ramach wypilem swojego pierwszego gibsona z kierownikiem działu o nazwisku Gert Conroy oraz pokochałem superwytrawne martini ze świderkiem cytryny w wychłodzonej szklance. (Któregoś ranka przybyłem tam również do pracy z pasztecikiem, termosem kawy i głową

pełną pomysłów i machnąłem od ręki pierwszy rozdział planowanej powieści, rozdział, który po rozbudowaniu i poprawkach został opublikowany w siódmym numerze periodyku „New World Writing” jako fragment nie ukończonej książki pod tytułem... „Paragraf 18”. Pracowałem w magazynie „Time”, kiedy zaproponowano mi podpisanie umowy na powieść, ustalając wstępnie jej objętość na dwieście pięćdziesiąt stron, a potem w „McCall’s”, gdy manuskrypt został ukończony w styczniu i opublikowany w październiku 1961. Zarabiałem w „McCall’s” całkiem nieźle, miałem dwójkę dzieci i dopiero po niespełna roku, kiedy sprzedane zostały prawa do filmu, nabrałem dość pewności siebie, żeby odejść).

Po wojnie Marty Kapp kontynuował techniczne studia, które rozpoczął w programie V-12 marynarki wojennej, i uzyskał dyplom inżyniera gleboznawcy (kolejna rzecz, o której nigdy przedtem nie słyszałem). Przez całe życie pracował jako inżynier gleboznawca w Zarządzie Portu Nowego Jorku - z tego, co wiem, przy budowie lotnisk i domów, a może również mostów i tuneli - i przed śmiercią został tam nawet jednym z dyrektorów. Zarabiał dosyć, żeby umrzeć na polu golfowym. Davey Goldsmith wrócił do pracy w firmie produkującej wstążki do kapeluszy, powodziło mu się tam całkiem nieźle i w końcu odziedziczył część firmy. Lou Berkman odszedł ze złomowiska, założył skład artykułów sanitarnych i zarobione tam pieniądze zainwestował w nieruchomości. Martin Winkler też ukończył studia i wkrótce rozkręcił interes (była to pierwsza z licznych założonych przez niego niedużych firm), przerabiając nadwyżki lotniczych błon fotograficznych na kolorowe filmy do domowego użytku. Albie Covelman wyjechał do Bucknell i po pewnym czasie objął stanowisko dyrektora hurtowni ekspresów i młynków do kawy. Sy Ostrów, którego posłano w wojsku na kurs rosyjskiego, żeby pracował jako tłumacz, wrócił na uniwersytet i uświadomił sobie z bolesną rezygnacją, że nie pozostało mu nic innego jak studiować prawo. Stanley Levy, z archiwum firmy ubezpieczeń komunikacyjnych, został agentem ubezpieczeniowym i zajął się obsługą kilku drobnych zleceń, które mogłem mu powierzyć, kiedy się w końcu odnaleźliśmy. Podobnie jak Marty Kapp, zmarł na polu golfowym. Moim zdaniem obaj umarli z nudy.

Ja zostałem zwolniony ze służby jeszcze przed końcem wojny. Zdemobilizowano mnie na podstawie systemu punktowego, wprowadzonego zaraz po kapitulacji Niemiec w maju 1945 roku.

Zanim wraz z poddaniem się Japonii w sierpniu skończyła się wojna, czułem, że cały świat należy do mnie. Czegóż mógłbym chcieć więcej? Byłem zakochany i wkrótce miałem się ożenić (z tą samą kobietą, w której byłem zakochany). Skończyłem dwadzieścia dwa lata. Niebawem zaczynałem studia na Uniwersytecie Kalifornii Południowej; czesne i wszystkie koszty pokrywało za mnie państwo. A moje opowiadanie właśnie zakwalifikowano do druku.

8. Pokój

W grudniu 1944 roku, kiedy „zaliczyłem” wymaganą, ustaloną wówczas na sześćdziesiąt, liczbę lotów i czekałem na rozkaz przeniesienia do Stanów, do mojego namiotu wprowadzili się dwaj świeżo przybyli zza oceanu prostoduszni nowicjusze, obaj w stopniu porucznika. Zastąpili parę, która odbyła już odpowiednią liczbę akcji i wyjechała; jeden z nowych przytargał ze sobą coś, co nie wchodziło zwykle w skład osobistego bagażu: przenośną maszynę do pisania. Nie pytajcie, do czego była mu potrzebna - zapomniałem już, można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że żywił te same literackie ambicje, co ja i Tom Sloan.

Do moich najbliższych przyjaciół na Korsyce należeli: Tom Sloan, prowadzący bombardier, który pochodził z Filadelfii, oraz Hali A. Moody, skrzydłowy bombardier z Missisipi. Tom był sumiennym, szybkim i utalentowanym prowadzącym bombardierem; latanie w jego formacji było dla mnie niemal przyjemnością. Podobnie jak Moody, byłem tylko skrzydłowym bombardierem i obsługiwałem przełącznik zwalniający bomby, wciskając go ułamek sekundy po tym, jak zobaczyłem bomby wylatujące z luku bombowego prowadzącej maszyny. Podczas akcji nigdy nie korzystałem z celownika, w którego obsłudze mnie wyszkolono, i nawet nie miałem go na dziobie mojego samolotu. Miałem tam zamontowany na obrotowym wysięgniku karabin maszynowy kaliber 50, ale i z tego urządzenia na szczęście nie musiałem ani razu korzystać. Czterej skrzydłowi bombardierzy w liczącym sześć samolotów kluczu zamiast celowników mieli karabiny maszynowe.

Tom był tylko kilka lat starszy ode mnie - nie sądzę, żeby skończył dwadzieścia pięć - ale miał już żonę i małe dziecko, które widział zaledwie kilka razy w życiu. Postawił sobie za punkt honoru przeżyć i wrócić do rodziny, za którą tak bardzo tęsknił, i dręczyła go coraz silniejsza i bardziej widoczna obawa, iż może mu się to nie udać. Z radością donoszę, że mu się powiodło. Rozkazy wyjazdu nadeszły dla nas obu tego samego dnia; dopiero mając je w ręku, poczuliśmy, że jesteśmy naprawdę ocaleni.

Hali A. Moody, w moim wieku lub nawet młodszy, był też żonaty i ani jego, ani Sloana - przyznaję to z pewną dumą i bez cienia szyderstwa - w najmniejszym stopniu nie interesowało uprawianie seksu z innymi kobietami, zarówno na przepustkach w Rzymie, jak i na Sycylii, w Kairze oraz w Aleksandrii. Ja, nieżonaty i, jeśli chodzi o życiowe doświadczenia, niemal prawiczek, byłem młodym i nienasyconym satyrem. Moody okazał się pod wieloma względami niewinny: nigdy przedtem nie słyszał nawet o oralnym seksie, ani w jedną, ani w drugą stronę. Nie słyszał o nim ani pod eleganckimi łacińskimi określeniami, które wszyscy teraz znamy, ani pod wulgarnymi i swojskimi, których wszyscy teraz używamy. Sama wzmianka o tak wynaturzonych praktykach była dla niego oburzającym, upadlającym horrorem, którego nie chciał sobie wyobrażać i na myśl o którym rumienił się i zaciskał pięści w szewskiej pasji. Kiedy Tom i ja wyjechaliśmy do

Stanów, Moody wykonywał jeszcze misje bojowe i nie wiem, co się z nim stało, ale jego nazwisko nie pojawiło się na liście poległych z naszej eskadry i sądzę, że ocalał. Małe dziecko Toma Sloana, to, za którym tęsknił tak gorąco, boleśnie i małomównie, gdy go znałem, miało wtedy roczek, a teraz musiało skończyć pięćdziesiątkę.

Po zwolnieniu z eskadry Tom i ja pierwszą część podróży z Korsyki odbyliśmy na pokładzie samolotu, który zawiózł nas jednak nie do Rzymu, gdzie chętnie pohulałbym na pożegnanie, lecz do Neapolu. Mając do wyboru powrót do kraju drogą powietrzną lub morską, opowiedziałem się bez wahania za drogą morską, przysięgłem sobie bowiem potajemnie nigdy w życiu nie wsiadać już do samolotu. (I rzeczywiście po bezpiecznym powrocie nie latałem jako żołnierz i cywil przez siedemnaście następnych lat, a na konwencie „Time’a” i „McCalls’a” wybierałem się pociągiem względnie parowcem, jeśli odbywały się na Bermudach i Nassau. Dopiero kiedy ogłupiająca nuda nocnej podróży pociągiem przewyciężyła ostatecznie wszelkie obawy przed nagłą śmiercią, osłabłem w swoim postanowieniu, a w tym czasie latały już odrzutowce).

Po mniej więcej tygodniu wypłynąłem z Neapolu z kilkoma tysiącami innych żołnierzy na pokładzie supernowoczesnego statku transportowego, przerobionego nie tak dawno przedtem z S/s „America”, jak mi się zdaje, najbardziej luksusowego liniowca amerykańskiej floty pasażerskiej. W mojej kabine zaopatrzonej w dwa rzędy piętrowych koi przebywało sześciu oficerów, którzy na przemian spali, drzemali, czytali, jedli i gadali, bowiem w ciągu około dziesięciu dni, jakie spędziliśmy na morzu, nie było wiele innego do roboty. Nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy. Nie wyobrażani sobie teraz, jak spędziłem tyle czasu, nie robiąc w zasadzie nic poza spaniem, drzemaniem, czytaniem, jedzeniem i gadaniem; wiem, że nie chciałbym być do tego ponownie zmuszony. Płynęliśmy bez konwoju i eskorty innych jednostek marynarki. Nasza kabina nie była pierwszej klasy, bo nie wychodziła na pokład spacerowy; nie mieściła się jednak poniżej linii wody, mieliśmy bowiem iluminator.

Statek płynął do Bostonu, ale poznaliśmy cel podróży dopiero po zawinięciu do portu. Z Bostonu przewieziono nas koleją do Atlantic City, gdzie po rutynowej procedurze dostaliśmy nowe przydziały, stamtąd zaś, otrzymawszy przepustkę, wróciłem z triumfem na łono rodziny, powitany na Coney Island jako ktoś w rodzaju bohatera wojennego. Nigdy nie pomyślałem, by zapytać, o co się martwili i o czym rozmawiali, czekając na moje listy, i do tej pory tego nie wiem.

Na samym początku badań medycznych w Atlantic City poprosiłem o zwolnienie mnie z czynnej służby powietrznej. Doktor był zaskoczony: wydawało mu się dziwactwem, że po zaliczeniu wymaganej liczby misji bojowych chcę zrezygnować z połowy mojego podstawowego uposażenia, żeby uniknąć zaledwie czterech godzin lotu miesięcznie w Stanach - szansa na to że wyślą mnie ponownie za granicę była bardzo nikła. Mając świadomość, że kłamię w żywe oczy, oświadczyłem, że boję się latać i obawa, iż będę to musiał robić, nie daje mi spać; samo wspomnienie unoszących się w środku samolotów oparów benzyny przyprawia mnie o mdłości. W tym czasie w Stanach były już tysiące podobnych do

mnie lotników, którzy zakończyli misje bojowe i zbijali baki czekając, aż rząd postanowi, co z nimi zrobić, i doktor łaskawie przystał na moją prośbę. A to, co wówczas wydawało mi się kłamstwem, okazało się prawdą, wkrótce potem zdałem sobie bowiem sprawę, że autentycznie boję się latania.

Dostając przydział do mojego namiotu, nowi lokatorzy, którzy obaj byli pilotami, mieli szczęście znaleźć się w jednej z najwygodniej szych i najlepiej wyposażonych brezentowych kwater w naszej eskadrze. Mieliśmy nie tylko piecyk na ropę, który grzał nas w zimie, lecz również wspaniałe kominek. Na ścianie pokoju w moim domu w East Hampton, gdzie piszę, a raczej układam na nowo te słowa, wisi za szkłem oprawione w ramki zdjęcie wnętrza namiotu, zwędzone z eleganckiego albumu eskadry, który opracował po wojnie nasz oficer prasowy, pracowity kapitan o nazwisku Everett Thomas. Umieszczony niżej podpis głosi: „Wakacje na Korsyce, 1944”; na pierwszym planie widać duży kuchenny nóż, tort oraz pięć osób, które kwaterowały wówczas w naszym namiocie. W tle stoi duży płonący kominek zwieńczony drewnianym obramowaniem wykonanym z podkładów kolejowych. Wszyscy raczej wyraźnie pozujemy do zdjęcia, które ma sprawiać wrażenie zrobionego ukradkiem.

Młody pilot o nazwisku Bob Vertrees siedzi przy stole z długim kuchennym nożem i kroi nim coś, co wygląda na bożonarodzeniowy tort owocowy, który dostał prawdopodobnie z domu. Dwaj nowi również siedzą i grzecznie się uśmiechają. Jeden patrzy z boku; drugi, posiadacz rzadkiego wąsika oraz maszyny do pisania, obrócony jest twarzą do obiektywu, ale oczyma łypie, jak należy, w stronę tortu. Między nimi spogląda prawie beznamiętnym wzrokiem niski pilot o wystających kościach policzkowych, niejaki Edward Ritter, niski, lecz nie dość niski, by nie przyjęto go z racji niskiego wzrostu na kurs pilotów. Z przedstawionych osób Ritter, który przybył do Europy później niż ja, mieszkał ze mną w namiocie najdłużej. Ja siedzę odwrócony prawie profilem i pochylony do przodu na krześle z prawej strony, niedbale paląc papierosa, w mojej oficerskiej czapce z usuniętym zgodnie z wymogami mody drucianym usztywniaczem, na co zezwalano w siłach powietrznych na mocy szczególnego przywileju, oraz skórzanej lotniczej kurtce z okrągłą naszywką naszej eskadry, na której na ciemnym tle widnieje dość śmiały wizerunek szczupłej, obdarzonej potężnym biustem kobiety z powiewającymi na wietrze włosami. Kobieta dzierży w dłoni grom i siedzi okrakiem na długiej bombie, która spada ukosem w dół. Na niskim stoliku za mną stoi przenośna maszyna do pisania, z której za zgodą właściciela często korzystałem, pisząc listy i manuskrypty. Dalej, z tyłu namiotu, widać ogień, który płonie miło w przybranych splotami świątecznych girland topornym kominku. A na ścianie za kominkiem wisi kilka dużych błyszczących fotografii pięknych kobiet. Nie są typowymi kociakami z okładek, ale widoczna nad moją głową atrakcyjna dama spoczywająca na kanapie w twarzowej sukience z jedwabnym stanikiem wciąż budzi we mnie instynktownie wspomnienie wyrachowanej żądy. Vertrees szczyrzy zęby, krojąc tort, dwaj nowi też się uśmiechają, a Ritter i ja spoglądamy przed siebie, pogrążeni w myślach i zadowoleni. Przebywałem w Europie dłużej od innych, ale wszyscy jesteśmy w tym

samym wieku. Byliśmy dziećmi, które dopiero co skończyły dwudziestkę, i wyglądaliśmy jak dzieciaki, które dopiero co skończyły dwudziestkę.

W grudniu 1944 miałem dwadzieścia jeden i pół roku i trudno dzisiaj uwierzyć, nie mieści się po prostu w głowie, że młodemu szczyłowi, takiemu jak Ritter, którego znałem najdłużej i który nie miał zbyt imponującej postury, pozwolono nie tylko codziennie, w ramach wyuczonyj specjalności, ale w ogóle kiedykolwiek zasiać za sterami dwusilnikowego średniego bombowca mitchell, transportującego ważące cztery tysiące funtów bomby (osiem pięćsetfuntówek albo cztery tysiącfuntówki) i na dodatek pięciu ludzi!

Gdzie on się, do diabła, tego nauczył?

Ja, który nie starałem się o prawo jazdy przed dwudziestym ósmym rokiem życia, z trudem wyobrażam sobie nawet teraz, że ktoś taki miły i nieagresywny, w dodatku taki młody, mógł nauczyć się pilotować bombowiec. A w eskadrze byli inni o jeszcze drobniejszej budowie i jeszcze młodszy, którzy też latali jako piloci.

Vertrees, również pilot, został trochę wcześniej ranny w rękę odłamkiem pocisku przeciwlotniczego, ranny tak lekko, że wyłączono go z akcji tylko na kilka dni i prawie natychmiast wrócił do służby.

Wojenna biografia Rittera była zdumiewająca. Małomówny, poczciwy i cichy, powiedziałbym nawet, że nieśmiały, pochodził z Kentucky i był cudownym niestrudzonym majster-klepką, facetem o anielskiej cierpliwości, czerpiącym przyjemność z robienia i reperowania różnych rzeczy. Jeśli dobrze pamiętam, sam skonstruował kominek i wyłącznie dzięki temu jego osiągnięciu znaleźliśmy się w albumie naszej eskadry. To on ustawił także piecyk na ropę i doglądał go, chociaż w zimie w każdym namiocie stało przy środkowym słupku podobne urządzenie, pobierające paliwo z umieszczonego na zewnątrz kanistra i pomagające ogrzać wnętrze. Piecyk służył nam również do podgrzania w nocy racji żywnościowych K lub C, z których zawsze mogliśmy do woli korzystać, oraz wody do porannego golenia i mycia. Przeciwlotniczy hełm był naszą umywalką, a postawiony na sztorc do góry nogami stelaż, w którym transportowano nie uzbrojone bomby, naszą szafką toaletową.

Jako pilot, Ritter wodował kiedyś bezpiecznie na wodach Morza Śródziemnego, wracając z misji, podczas której odstrzelono mu silnik. Wszyscy jego ludzie zdołali bez szwanku przejść na tratwy ratunkowe i zanim zapadła noc, zostali odnalezieni przez jednostkę ratownictwa morskiego. Pamiętam, jak czekaliśmy na ich powrót. Wracając z innej misji, wylądował bezpiecznie z przekrzywionym silnikiem i wydaje mi się, że wykonał jeszcze jedno awaryjne lądowanie, przy którym nikt nie odniósł obrażeń, na innym lotnisku, bliższym miejsca, gdzie został uszkodzony jego samolot, albo na naszym, opatrzonym kryptonimem Genua. („Halo, Genua, halo, Genua”, brzmiało radiowe pozdrowienie pilota skierowane do naszej wieży kontrolnej w Alisan na Korsyce i taki też był tytuł opowiadania, które kiedyś zamierzałem napisać, lecz nie sądzę, bym to kiedykolwiek zrobił). Hali A. Moody leciał razem z Ritterem podczas jednej z tych misji i z tego powodu wysłano ich obu w nagrodę na wycieczkę do Egiptu. Sloan i ja pojechaliśmy razem z nimi,

ponieważ po zaliczeniu sześćdziesięciu akcji wałkoniliśmy się obaj, czekając na rozkaz transferu i w eskadrze nie bardzo wiedzieli, co z nami począć. Dowództwo miało również, podejrzewam, skrytą i płonną nadzieję, że zrelaksowani i oglupiali z wdzięczności będziemy błagać, by pozwolono nam odbyć więcej niż sześćdziesiąt misji, które już zaliczyliśmy. Żaden z nas nie wystąpił z taką inicjatywą.

Co ciekawe, cała ta seria katastrof w najmniejszym stopniu nie wyprowadziła z równowagi pilota Rittera, który nie zdradzał żadnych objawów lęku ani nerwowości i rumienił się, i chichotał za każdym razem, kiedy opowiadałem, że przynosi pecha. Właśnie te jego cechy - cierpliwy geniusz, z którym budował i naprawiał różne rzeczy, oraz umiejętność wychodzenia bez szwanku z podbramkowych sytuacji - wykorzystałem, tworząc później postać Orra w „Paragrafie 22”. (Nie mam pojęcia, czy o tym wie. Nie mam nawet pojęcia, czy czytał tę książkę, ponieważ nigdy nie kontaktowałem się z nim ani prawie z nikim innym).

Po drugiej stronie wykopu nieczynnej linii kolejowej stał namiot mego znajomego, Francisa Yohannona, i to właśnie jego nazwisko przerobiłem dziewięć lat później na niekonwencjonalne nazwisko heretyka Yossariana. Reszta Yossariana to pobożne życzenia. W namiocie Yossariana mieszkał również Joe Chrenko, pilot, z którym szczególnie się zaprzyjaźniłem i który później w pewnym niewielkim stopniu posłużył jako pierwowzór Joego Głodomora z „Paragrafu 22”. Razem z nimi kwaterował w namiocie piesek, uroczy brązowy cocker-spaniel, którego Yohannon nabył w Rzymie, w czasie kiedy inni kupowali na przemyt pochodzące z kontrabandy włoskie beretty. W powieści zmieniłem psa na kota, żeby chronić jego tożsamość.

Rzym był (i wciąż jest) wspaniałym miastem dla tych, którzy je odwiedzają, i wzięwszy pod uwagę zdumiewające osiągnięcia utalentowanego oficera wykonawczego naszej eskadry, majora Covera (majora... de Coverley w „Paragrafie 22”), nawet ograniczona liczebnie obsada powieści powinna uwzględnić jego osobę. W dalszym ciągu nie wiem, czym jest i co takiego robi oficer wykonawczy, ale cokolwiek robił major Cover, robił to wyjątkowo dobrze. Przybyłem do Europy jako bombardier w maju 1944 i już kilka tygodni później Niemcy wycofali się z miasta otwartego Rzymu (jestem pewien, że jedno z drugim nie miało nic wspólnego). Pierwsi amerykańscy żołnierze wjechali do Rzymu nad ranem czwartego czerwca i zaraz za nimi, niemal deptając im po piętach, pomykał nasz genialny oficer wykonawczy, aby wynająć dwa apartamenty, jeden dla oficerów, drugi dla szeregowców naszej eskadry: dla oficerów luksusowy apartament z czterema sypialniami, marmurami i lustrami w ekskluzywnej dzielnicy przy Via Nomentana, z oddzielną sypialnią i podwójnym łóżem dla każdego oficera oraz pokojówką, która pilnowała porządku; dla szeregowców i podoficerów, którzy przybywali większymi grupami, całe dwa piętra w domu gdzieś za Via Veneto, z kucharzami i pokojówkami oraz przyjaciółkami kucharzy i pokojówek, które lubiły przesiadywać tam dla czystej przyjemności z szeregowcami i podoficerami.

Ledwie zdążyliśmy się dowiedzieć, że Rzym jest nasz, oficerowie i szeregowcy, którzy służyli w eskadrze dłużej od nas, zaczęli wracać z roziskrzonymi

oczyna ze spędzonych tam uroczych urlopów wypoczynkowych, opowiadając rapsodycznym i załamującym się z niedowierzaniem głosem o restauracjach, nocnych klubach, dancinach i dziewczętach, dziewczętach, dziewczętach - uśmiechniętych dziewczętach w letnich sukienkach, które spacerowały po Via Veneto. Nasi koledzy nauczyli nas najważniejszego włoskiego zwrotu, dotyczącego prawie wszystkiego, czego mogliśmy zapragnąć, kiedy przyjdzie nasza kolej i udamy się tam na urlop:

Quanta costa?

A dzięki majorowi Coverowi i wynajętym przez niego apartamentom bywaliśmy tam dosyć często.

Ritter przybył do mojego namiotu wkrótce po rozpoczęciu przeze mnie czynnej służby. Zajął pryczę zwolnioną przez bombardiera z Oklahomy, o nazwisku Pinkard, zestrzelonego i zabitego podczas nalotu na most kolejowy na północ od Ferrary w dolinie rzeki Po. Zaraz po moim przyjeździe latano nad Ferrarę kilka razy i misje te były znacznie bardziej niebezpieczne, niż byłem zdolny pojąć, z moim brakiem doświadczenia i idiotyczną wiarą, że nie imają się mnie kule. Podczas innego nalotu na Ferrarę, w którym chyba nie uczestniczyłem, nie znany mi radiostrzelec został przecięty na pół przez pocisk przeciwlotniczy - zabijały nas zawsze pociski przeciwlotnicze, gdyż niemieckie myśliwce nie zaatakowały nas ani razu, kiedy tam byłem - i, jak mi powiedziano, skonał jęcząc, że mu zimno. Pisząc o Snowdenie, połączyłem relację na temat tej tragedii ze spanikowanym drugim pilotem i rannym w udo strzelcem z górnej wieżyczki w moim własnym samolocie podczas drugiej misji na Awinion. Cała reszta wyglądała w dużym stopniu tak, jak to opisałem, oprócz tego, że w przeciwieństwie do Yossariana nie zerwałem z siebie munduru, nie siedziałem nago na drzewie i nie odznaczono mnie gołego medalem. Kiedy lecąc nad Morzem Śródziemnym wracaliśmy z tej misji, samolot, na którego pokładzie był mój przyjaciel, bombardier o nazwisku Wohlstein (umiał prowadzić samochód i często zabieraliśmy dżipa z kolumny transportowej, żeby zwiedzić małe korsykańskie górskie wioski po naszej wschodniej stronie wyspy), wyłamał się z szyku, wszedł w korkociąg i runął do wody. W katastrofie zginęło wszystkich pięciu członków załogi. Samolot prowadził tego dnia Earl C. Moon, drugi pilot B-52, którym przeleciałem Atlantyk w drodze z Karoliny Południowej do Algierii, a potem na Korsykę. Nie widziałem na własne oczy tego wypadku i dowiedziałem się o nim dopiero, kiedy wylądowaliśmy, ponieważ przez cały czas zajmowałem się moim strzelcem, opatrując jego ranę na udzie, podając mu sulfanilamidy i morfinę, pokonując mdłości i podtrzymując go na duchu dobrym słowem, podczas gdy samolot leciał i leciał. Strzelec pokładowy i ja nie znaliśmy się przedtem. Złożyłem mu nazajutrz wizytę w szpitalu i zrobiono mu chyba transfuzję krwi, ponieważ wróciła mu śródziemnomorska opalenizna i był w znakomitym nastroju. Przywitaliśmy się jak najlepsi przyjaciele i nie zobaczyliśmy nigdy więcej.

Z wyjątkiem wstawienia do powieści śmiertelnie rannego radiostrzelca, wszystko, czego doświadczyłem w samolocie w trakcie drugiej misji na Awinion, pokrywało się w znacznym stopniu z tym, co opisałem w książce. Drugi pilot wpadł

w panikę i myślałem, że już po mnie. Zdażyłem się już przekonać, że ta wojna jest niebezpieczna i że próbują mnie zabić. Kilka wcześniejszych lotów nad Ferrarę, które odbyłem na samym początku służby, utkwiło mi w pamięci jako coś w rodzaju koszmaru, z którego zdołałem się szczęśliwie i bez szwanku wywinąć, prostoduszny i ufny niczym niewinne dziecko w baśni braci Grimm. Poważny ton podczas odprawy i wcześniejsze loty nad Awinion uświadomiły mi, że ta misja nie będzie łatwa.

Brały w niej udział wszystkie cztery eskadry; poleciliśmy do południowej Francji jedną dużą grupą, a w pobliżu miasta podzieliliśmy się, żeby zaatakować jednocześnie trzy cele oddalone od siebie o kilka mil. Mój samolot był w ostatniej z trzech nalatujących na cel formacji i kiedy zbliżyliśmy się do naszego PP, punktu początkowego, gdzie mogliśmy zacząć spuszczać bomby, zerknąłem do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje z innymi kluczami. Pośród czarnych wybuchów pocisków przeciwlotniczych ujrzałem daleko przed sobą samolot, który leciał w kluczu z pomarańczowym błyskiem na skrzydle. I w tej samej chwili, gdy go zobaczyłem, skrzydło odpadło, a samolot przechylił się i runął niczym kamień prosto w dół - obracając się powoli na pozostałym skrzydle, ale spadając prosto w dół. Nie było szansy wyskoczenia na spadochronie. A potem nalecieliśmy na cel i sami znaleźliśmy się w tym piekle.

Pierwsze wymierzone w nas pociski wybuchły na właściwej wysokości i to był zły znak. Słyszeliśmy eksplozje. Czytałem później o niemieckiej taktyce wysyłania samolotu zwiadowczego, który leciał obok naszych bombowców i przekazywał przez radio naszą dokładną wysokość i szybkość bateriom na dole. Możliwe, że zrobili coś takiego tamtego dnia. Trzeźwo i w napięciu wykonywałem to, co do mnie należało - wszyscy wykonywaliśmy. Kiedy zobaczyłem otwierające się klapy luku bombowego w prowadzącym samolocie, otworzyłem moje; kiedy zobaczyłem, że jego bomby lecą, spuściłem moje; kiedy wskazówka na mojej podziałce pokazała, że wszystkie bomby poszły, oznajmiłem przez telefon pokładowy, że nasze bomby poszły. Kiedy tylny strzelec zerknął w dół do luku bombowego i stwierdził, że jest pusty, przesunąłem wyłącznik zamykający klapy. Cały nasz składający się z sześciu samolotów klucz poszedł na maksymalnych obrotach stromo w górę. A potem podłoga samolotu runęła w dół; spadaliśmy i zorientowałem się, że tkwię przygwożdżony bezradnie do górnej ścianki pomieszczenia bombardiera i mój przeciwlotniczy hełm wbija się w sufit. Nie miałem wówczas pojęcia (powiedziano mi o tym później), że jeden z dwu ludzi przy sterach (drugi pilot) zdjęty nagłym strachem, że samolot straci moc, pchnął w przód manetkę i rzucił nas ostro w dół, sprowadzając z powrotem na poziom artylerii przeciwlotniczej.

Nie byłem w stanie poruszyć nawet małym palcem. I z całego serca i roztrzęsionej duszy wierzyłem, że zaraz stracę życie i że spadamy tak samo jak ten płonący pikujący samolot, który widziałem zaledwie kilka minut wcześniej. Nie miałem czasu na nic prócz strachu. I nagle tak samo niespodziewanie - myślę, że wrzasnąłbym, gdybym był w stanie wrzeszczeć - wyrównaliśmy i maszyna zaczęła się ponownie wznosić, uciekając od ognia artylerii przeciwlotniczej i teraz leżałem

płasko na podłodze, próbując rozpaczliwie i bezskutecznie złapać się czegoś, czego mógłbym się przytrzymać. Po kilku sekundach znaleźliśmy się poza zasięgiem ognia i dołączyliśmy z powrotem do klucza. Ale kiedy odzyskałem równowagę i zdolność poruszania się, usłyszałem w słuchawkach hełmofonu najbardziej nienaturalny i złowrogi ze wszystkich dźwięków: ciszę, martwą ciszę. I znowu wpadłem w popłoch. A potem zobaczyłem zwisającą przede mną luźno wtyczkę hełmofonu. Wypadła z gniazdka. Gdy się z powrotem podłączyłem, w uszach zadzwonił mi dziki zgiełk głosów, przez który przebijało się powtarzane raz po raz zawołanie, że bombardier nie odpowiada.

- Tu bombardier - oznajmiłem natychmiast. - Nic mi nie jest.

- Więc idź do tyłu i pomóż mu, pomóż strzelcowi. Jest ranny. Ranny był nasz górny strzelec; jego stanowisko znajdowało się w przedniej części samolotu, tuż za kabiną pilotów. Ale fragmenty książki tak mocno z biegiem czasu wbiły mi się w pamięć, że nawet teraz jestem skłonny sądzić, że ranny został radiostrzelec z tyłu. Kiedy przeczłogałem się tunelem z mojego stanowiska, zobaczyłem przed sobą leżącego na podłodze strzelca i ujrzałem wielką owalną ranę na jego udzie, tam gdzie odłamek pocisku przeciwlotniczego - niewielki, sądząc z małego otworu po wewnętrznej stronie - wyleciał na zewnątrz. Patrzyłem wstrząśnięty na obnażone mięśnie. Nie miałem wyboru: musiałem zrobić to, co do mnie należało. Opanowując kolosalną falę mdłości i wstrętu, która o mało mnie nie sparaliżowała, dotknąłem delikatnie rozdartej i krwawiącej nogi i po tym pierwszym dotyku mogłem przystąpić spokojnie do dzieła.

Chociaż wszędzie było mnóstwo krwi, dzięki memu skautowskiemu doświadczeniu - zdobyłem odznakę w dziedzinie pierwszej pomocy - zorientowałem się, że nie została przecięta żadna arteria i nie ma potrzeby zakładać opaski. Postępowałem według oczywistej procedury. Korzystając z zapasów w apteczce, obficie posypałem całą otwartą ranę sulfanilamidowym proszkiem i położyłem jeden albo nawet dwa sterylne kompresy - dosyć, żeby objąć i pokryć całe poranione miejsce. Potem ostrożnie je zabandażowałem. To samo /robiłem z ranka po wewnętrznej stronie uda. Kiedy strzelec oznajmił, że zaczyna go boleć noga, dałem mu zastrzyk morfiny - a może dwa, jeśli pierwszy nie zadziałał dość szybko, żeby przynieść ulgę nam obu. Stwierdził, że robi mu się zimno, i wtedy powiedziałem, że zaraz wylądujemy i nic mu nie będzie. W rzeczywistości nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, ponieważ cała moja uwaga skupiona była na nim.

Z rannym na pokładzie mieliśmy pierwszeństwo przy lądowaniu. Na skraju pasa startowego czekał wojskowy chirurg, jego asystenci i ambulans. Oddałem go w ich ręce. Ktoś mógłby mnie wziąć za bohatera i przez krótki czas tak byłem traktowany, ale wcale się nim nie czułem. Próbowali mnie zabić i chciałem wrócić do domu. To, że próbowali zabić każdego z nas za każdym razem, kiedy wzbijaliśmy się w powietrze, nie stanowiło żadnej pociechy. Próbowali zabić mnie.

Bałem się potem podczas każdej misji, nawet takiej, która miała być kaszką z mleczkiem. To wtedy właśnie zacząłem chyba krzyżować palce i odmawiać cichą modlitwę przy każdym starcie. Taki miałem prywatny rytuał.

To było piętnastego sierpnia. Tydzień wcześniej widziałem samolot zestrzelony zaraz po spuszczeniu bomb w trakcie pierwszej misji naszej eskadry na mosty Awinionu. Byłem w pierwszym kluczu i kiedy spojrzałem do tyłu, żeby sprawdzić, jak sobie radzą inni, zobaczyłem oddalający się od reszty samolot z płonącym skrzydłem, nad którym unosił się olbrzymi pióropusz pomarańczowego ognia. Ujrzałem, jak otwiera się najpierw jeden, potem drugi i trzeci spadochron, następnie zaś samolot runął korkociągiem w dół i było po wszystkim. Na jednym z tych spadochronów był Dick Hirsch, facet z Chicago, z którym uczyłem się w szkole bombardierów w Victorville, w Kalifornii. Wylądował na polu w Prowansji i znaleźli go ludzie z ruchu oporu. Ukryto go w bezpiecznym miejscu, dano cywilne ciuchy i przeszmuglowano z powrotem przez linię frontu do tej części Włoch, którą zajęli alianci. Po przyjeździe do eskadry został ku naszemu i swojemu zdumieniu bezzwłocznie odesłany do domu, obowiązywała bowiem zasada niewystawiania na ryzyko ludzi, którzy mieli styczność z podziemiem. Pilotem, który zginął w tym samolocie, był blondyn z północnej części stanu Nowy Jork, niejaki James Burrhus; jego też znałem z kilku wspólnie zaliczonych lotów. Drugim pilotem był młodszy chłopak, Alvin Yellon, świeżo przybyły ze Stanów, a dowiedziałem się o nim czegoś więcej po pięćdziesięciu latach, kiedy jego brat zapytał mnie listownie, czy opisana w mojej książce misja nie jest przypadkiem tą, w której poniósł śmierć jego brat. To była ta misja.

Wszystko to było o wiele bardziej niebezpieczne, uświadamiam sobie teraz, niż byłem skłonny sądzić wtedy i potem. Czytałem gdzieś, że żołnierze sił powietrznych stanowili więcej niż dziesięć procent z trzystu tysięcy Amerykanów poległych w drugiej wojnie światowej.

A dla tych, którzy walczyli na lądzie na froncie zachodnim, święta Bożego Narodzenia były jeszcze zimniejsze i zgubniejsze. Pamiętam, że oglądałem w „Star and Stripes”, oficjalnej gazecie wojskowej, fotografie opatulonych Amerykanów prowadzących desperacki zimowy bój i brnących na oślep przez zasypy śniegu wyższe od nich samych. Wyglądali jak cudzoziemcy walczący w jakiejś innej, odległej wojnie. Ich wojna rzeczywiście była inna. W wyniku popełnionych równoległe kolosalnych pomyłek naczelnego dowództwa aliantów i naczelnego dowództwa niemieckiego, pomyłek, które historycznie rzecz biorąc stanowią nieodłączną cechę każdego naczelnego dowództwa, w święta Bożego Narodzenia nastąpiła seria katastrof, które zwykliśmy nazywać kontrofensywą w Ardenach. Nasi generałowie uważali, że Niemcy nie są w stanie zaatakować i nie zaatakują na wysokości Lasu Ardeńskiego, i obsadzili ten odcinek słabymi i niedoświadczonymi oddziałami; Niemcy uważali, że mogą naprawdę przełamać linię frontu, a jeśli to zrobią, bieg wojny może zmienić się w znaczącym stopniu na ich korzyść.

Obie strony myliły się.

Niemcy zdołali się przebić. Ale bieg wojny w najbardziej znaczącym stopniu zmienił się, nie mam co do tego wątpliwości, wyłącznie dla tysięcy ludzi po obu stronach, którzy zostali zabici, ranni lub wzięci do niewoli w tej zbrodniczej awanturze rozpętanej przez agresywnych Niemców oraz niefrasobliwych

Amerykanów. Mój przyjaciel z Coney Island, George Mandel, został wówczas postrzelony w głowę przez snajpera (pocisk przebił hełm, ale nie dostał się zbyt głęboko), a mój obecny przyjaciel i mimowolny literacki rywal, Kurt Vonnegut, należał do tych, których wzięto do niewoli. Oficerowie na górze wiedzą oczywiście zawsze o wiele więcej od tych, którymi dowodzą na dole, ale dopóki nie jest już po wszystkim, nigdy nie sposób osądzić, czy wiedzieli dosyć.

Choć służba bojowa w siłach powietrznych nie była aż taką ciepłą synekurą, jak sądzą poniekąd, prócz porządnego jedzenia, zamkniętych latryn i ogrzewania w namiotach korzystaliśmy przynajmniej z jednego cennego przywileju, o którym przed wojną wietnamską amerykańskie siły lądowe mogły tylko marzyć: określonego czasu służby, po którym byliśmy wycofywani na tyły i wysyłani do domu.

Zastanawiałem się często, czy w szeregach naszej piechoty udałoby się znaleźć wielu, którzy wylądowali na brzegu Normandii, a potem przetrwali jedenaście miesięcy do maja i końca wojny z Niemcami, nie dając się zabić, ranić ani wziąć do niewoli.

Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że nie ma ani jednej takiej osoby.

Wśród kilku moich ostatnich misji była jedna, szczególnie teatralna, z której jestem dumny jako żołnierz i jako cywil, jako cywil, ponieważ udowodniłem, że jestem oficerem cieszącym się autorytetem i posłuchem. Tego ranka otrzymaliśmy pilne zadanie. Miejscem docelowym był duży włoski port La Spezia. Mieliśmy zbombardować włoski krążownik, który według naszych informacji Niemcy zamierzali odholować od nabrzeża i zatopić w głębokim kanale portowym, aby uniemożliwić korzystanie z niego zbliżającym się, pracującym stale na północ siłom alianckim. Z ulgą dowiedziałem się, że przydzielono mnie do jednego z samolotów stanowiących grupę maskującą. Grupa maskująca składała się z trzech samolotów, które naprowadzały całą resztę nad cel, i których tylni strzelcy wyrzucali z bocznych otworów strzelniczych skrawki folii aluminiowej, aby zmylić radary kierujące ogniem nieprzyjacielskiej artylerii przeciwlotniczej. Nie mieliśmy na pokładzie bomb. Ponieważ nie mieliśmy bomb, mogliśmy lecieć zygzakiem z maksymalną szybkością i dowolnie zmieniać wysokość. Ponieważ nie mieliśmy bomb, wydedukowałem sprytnie, że nie będzie potrzebny bombardier. Z tego względu po uzbrojeniu oraz sprawdzeniu karabinu maszynowego w kabine bombardiera z przodu samolotu postanowiłem przesiadzić - dosłownie - cały bojowy lot.

W kabine pilotów B-25 były płyty pancerne w podłodze i w tylnych oparciach obu foteli. W tym momencie mojej kariery na tego rodzaju misje brałem ze sobą dwie kamizelki kuloodporne; jedną miałem na sobie, drugą osłaniałem te części ciała, które mogłem skurczyć i osłonić. Tego dnia zabrałem do kabiny bombardiera tylko jedną kamizelkę: tę, którą miałem na sobie. Po wyrychtowaniu karabinu maszynowego i przeczołganiu się wąskim tunelem łączącym dziób z pozostałą częścią samolotu wziąłem drugą kamizelkę, wspiąłem się do kabiny pilotów i usiadłem na podłodze za pilotem, opierając plecy o tył jego fotela. Miałem płytę pancerną pod sobą, płytę pancerną za sobą, hełm przeciwodłamkowy na głowie,

kamizelkę kuloodporną na sobie i drugą kamizelkę kuloodporną, która chroniła krocze i nogi. Dodatkowo zabezpieczyłem się, przypinając spadochron do uprząży. Tym razem miałem spadochron ze sobą. Normalnie był zbyt obszerny, żeby precyzyjnie się z nim do kabiny bombardiera i trzeba go było zostawić; na dziobie nie było zresztą i tak wjazdu awaryjnego. W tej załodze byłem weteranem i dwaj młodszy piloci nie wiedzieli, co ze mną począć.

- Wszystko w porządku - zapewniłem ich oschle. - Dajcie mi znać, jeśli pokażą się niemieckie myśliwce, to zejść na dół.

Kiedy przedarliśmy się przez ogień artylerii przeciwlotniczej nad La Spezia i zawróciliśmy, obejrzałem się. Byłem bardzo zadowolony z siebie, z tego, co widziałem, i z wszystkich swoich kolegów. Nikomu nic się nie stało; falujący ocean smugających czarnych obłoczków z niezliczonych wybuchów artylerii przeciwlotniczej rozlewał się na różnych wysokościach po całym niebie. A niżej widziałem kaskady bomb eksplodujących jedna po drugiej dokładnie na tym statku, który był naszym celem.

Wkrótce potem zaliczyłem ostatnią misję. Byłem zdrow i cały. Na naszej fotografii w namiocie, o której mówiłem wcześniej, mnie i całą resztę dzieli olbrzymia i niewidoczna gołym okiem różnica. Ja miałem to już za sobą, ale ich, zwłaszcza dwóch nowych pilotów, czekało więcej misji, bo oficjalna liczba dla tych, którzy pełnili w dalszym ciągu służbę bojową, przynajmniej w naszej grupie bombowców, została ostatnio podniesiona.

Co w związku z tym czuli?

Było im to chyba tak samo obojętne, jak wcześniej mnie, kiedy liczbę akcji z pięćdziesięciu podniesiono najpierw do pięćdziesięciu pięciu, a potem do sześćdziesięciu. Dla nich miała wynosić siedemdziesiąt.

Podczas gdy moi towarzysze broni uczestniczyli w kolejnych akcjach, ja zaszywałem się w namiocie i bawiłem klawiaturą maszyny do pisania, robiąc to oczywiście najchętniej w samotności. Nasze średniej wielkości bombowce miały średni zasięg, a nasza taktyczna grupa atakowała prawie wyłącznie mosty kolejowe i drogowe. Misja trwała średnio trzy godziny, czasami tylko dwie. Lot z Korsyki przez Elbę do środkowych Włoch i z powrotem nie zajmował dużo czasu. Mam przed sobą wykaz, w którym czas misji do Poggibonsi, Pietrasanty i Orvieto wyliczono na dokładnie dwie godziny, do Parmy na dwie godziny i dziesięć minut, do Ferrary w dolinie rzeki Po, dalej na północ, na trzy godziny i dziesięć minut, a do Awinionu, o wiele dalej we Francji w dolinie Rodanu, na cztery godziny i trzydzieści pięć minut. Czasami odbywałem - teraz odbywali oni - dwa loty jednego dnia.

Piętnastego sierpnia 1944, w dniu inwazji na południową Francję, zbombardowaliśmy zaraz po świcie - ja też brałem jeszcze wtedy udział w akcji - stanowiska armatnie na plaży niedaleko Marsylii (działa okazały się drewnianymi makietami), a po południu poleciliśmy po raz drugi nad Awinion. Cztery eskadry, które podzieliły się przed miastem na trzy grupy, aby rozproszyć ogień baterii przeciwlotniczych. Ogień został rozproszony, lecz mimo to wszystkie trzy grupy odniosły straty.

Przez cały ten pierwszy dzień inwazji, kiedy nie byliśmy akurat sami w powietrzu, obserwowaliśmy wielkie armady ciężkich bombowców lecących wysoko, wyżej niż my kiedykolwiek lataliśmy, ze swoich baz niedaleko Neapolu - całe setki sunących w kluczach, mruczących statecznie maszyn, więcej samolotów po naszej stronie, niż potrafiłem uwierzyć, że jest ich tyle na całym świecie. Wojna wydawała nam się nieodwołalnie wygrana. Ale pod koniec grudnia nastąpiła niemiecka kontrofensywa w Ardenach i dopiero po kolejnych pięciu miesiącach Niemcy ostatecznie poddały się nam i ZSSR na wschodzie.

Tematy wszystkich krótkich opowiadań, nad którymi ślęczałem wtedy i nad którymi ślęczałem wcześniej, nie były oparte na moich własnych doświadczeniach. Brakowało mi przeżyć, w moim przekonaniu godnych przełożenia na literaturę. Zapożyczałem akcję i tło z utworów innych pisarzy, którzy - wówczas nie brałem tego pod uwagę - równie dobrze mogli zapożyczyć je od jeszcze innych. Doświadczenia, które wykorzystywałem jako autor, były jako owoc czytelnicych peregrynacji całkowicie literackie i zastępcze. Obejmowały malownicze fantazje Williama Saroyana, ale również przemądrzałe i seksistowskie, zwłaszcza wobec kobiet i małżeństwa, poglądy Hemingwaya i Irwina Shawa, obejmujące oczywiste potępienie materializmu, bogactwa oraz kołtunerii, a także ideały męskości i męskiej uczciwości, które traktowałem naiwnie jako coś absolutnie czystego, z czym nie może się równać nic poza tym.

W olbrzymim obozie przejściowym w Konstantynie w Algierii, gdzie przed odesłaniem na Korsykę spędziłem kilka tygodni z ludźmi, z którymi przyleciałem ze Stanów na pokładzie naszego małego B-25, jako literacki neofita wzorowałem się głównie na Saroyanie. Przypadł mi do gustu, a poza tym wydawał się łatwy do naśladowania i godny powielania. (Opowiadania, które wydawały się najłatwiejsze do naśladowania i najbardziej godne powielania, były krótkie i zawierały nieliczne literackie opisy przyrody oraz mnóstwo pisanego gwarą dialogu). W jednym z jego zbiorów było opowiadanie zatytułowane (cytuję z pamięci) „Czy zakochałeś się kiedyś w ważącej trzydzieści osiem funtów karlicy?”. Jeden z napisanych przeze mnie w okresie algierskim utworów opowiadał (znowu relacjonuję z pamięci) o młodym mężczyźnie w Nowym Jorku, romantycznie zakochanym w dziewczynie, która chodziła na rękach. (Przypuszczam teraz, że wymyśliłem dla tego dzieła tytuł „Czy zakochałeś się kiedyś w dziewczynie, która chodziła na rękach?”). Gdzie chodziła na rękach i co się stało dalej, na szczęście zapomniałem.

W tym czasie znałem dobrze prawie całą twórczość Hemingwaya, Irwina Shawa i Jerome'a Weidmana. Zbiór zamieszczonych przed wojną w „New Yorkerze” opowiadań Jerome'a Weidmana pod tytułem *The Horse That Could Whistle Dixie* należał do moich ulubionych, podobnie jak jego dwie przeczytane przeze mnie powieści (przyniosła je Sylvia lub Lee z wypożyczalni książek w drugistorze Magrilla na rogu Mermaid Avenue). Zatyłowane były / *Can Get It for You Wholesale* oraz *What's in It for Me?* i uważałem je za cudowne, tak samo jak *What Makes Sammy Run?* Budda Schulberga. Trylogia Studsa Lonergana o Jamesie T. Farrellu także znalazła się wśród pozycji, które ceniłem wysoko ja i wszyscy inni, głównie z

powodu realistycznej akcji i realistycznego słownictwa. Do mieszkania na Coney Island zawędrował również na krótko „Ulisses” Jamesa Joyce’a, bez wątpienia, jak mi się dzisiaj zdaje, z powodu sławy, jaką zyskał po obaleniu przez sąd zakazu jego rozpowszechniania. „Ulisses” odpłynął szybko z powrotem do wypożyczalni Magrilla, nie przeczytany przez nikogo z nas, choć wciąż pamiętam dreszcz podniecenia i zdumienia, jakiego doznałem, napotykając na pierwszych stronach dwa zakazane słowa, jedno opisujące zielony kolor morza, drugie nędzną szarą kondycję świata. Znałem również Johna O’Hare.

Za oceanem miałem szeroki asortyment innych lektur, z których mogłem czerpać natchnienie. Profesor Matthew Brucoli z Uniwersytetu Karoliny Południowej przypomniał mi niedawno przebogate zbiory Biblioteczki Wojskowej (albo Sił Zbrojnych), o której zupełnie zapomniałem. To zorganizowane przez państwo przedsięwzięcie wydawnicze o bezprecedensowych rozmiarach nie zostało potem i nie będzie prawdopodobnie nigdy powtórzone: ponad tysiąc dwieście tytułów drukowanych w nakładzie pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy i rozdawanych bezpłatnie amerykańskim żołnierzom na całym świecie. Brucoli, niepoprawny kolekcjoner, zebrał ponad tysiąc tytułów. Chce mieć je wszystkie i nigdy ich nie zgromadzi, bo wątpię, czy nawet on zdoła zlokalizować dwieście brakujących tomików.

W jednej z tych książek znalazłem wśród innych opowiadań utwór Stephena Crane’a „Szalupa” i w tej historii o dryfujących w łodzi rozbitkach znajduje się kwestia powtarzana przez ludzi przy wiosłach niczym wagnerowski lejtmotyw (choć o czymś takim jak wagnerowski lejtmotyw dowiedziałem się dopiero później): „Zluzuj mnie, Billy”. Nie jestem pewien, czy imię rzeczywiście brzmiało Billy. Nie mam już tego egzemplarza Biblioteczki Wojskowej (albo Sił Zbrojnych), a Brucoli też może go nie mieć wśród swojego tysiąca.

Zapewne ten powtarzany dźwięcznie refren, nad którym dumałem w swoim namiocie, a także przeczytana już chyba wtedy przeze mnie jednoaktówka Saroyana zatytułowana Hello, Out There nasunęły mi pomysł opowiadania pod tytułem „Halo, Genua, halo, Genua”, które miało opierać się wyłącznie na lapidarnym dialogu między jednym albo kilkoma pilotami bombowców i wieżą kontrolną naszej bazy lotniczej na Korsyce. Pomysł jest (uwzględam tak nawet dzisiaj) zachęcający, a tytuł opowiadania intrygujący, lecz nigdy nie próbowałem go napisać (w każdym razie nie pamiętam, żebym to zrobił).

Zamiast tego machnąłem w dzień albo dwa opowiadanie pod tytułem / Don ‘t Love You Anymore. Liczyło mniej więcej dwa tysiące słów i jak wszystko, co napisałem w moim okresie algierskim i korsykańskim, opierało się na rzeczach, o których nie miałem zielonego pojęcia i które zaczerpnąłem wyłącznie z książek innych pisarzy. W konsekwencji powielano styl i punkt widzenia złośliwych i dwulicowych amerykańskich autorów płci męskiej naszej i ówczesnej doby: żonaty, bywały w świecie żołnierz, z którym powinniśmy sympatyzować, wraca do domu i nie skarżąc się właściwie na nic konkretnego, dochodzi do wniosku, że nie zależy mu na jego małżeństwie i nie kocha swojej żony. (Co miało znaczyć to ostatnie,

naprawdę nie mam pojęcia. To była czysta konwencja).

Nie wiem, jak to się stało, ale po moim powrocie do Stanów i zaraz po zwolnieniu z wojska opowiadanie wyłądowało jako nie zamówiony materiał i zostało przyjęte do druku w magazynie „Story”, periodyku cieszącym się dużą estymą i publikującym wówczas wyłącznie literaturę piękną. Szczęśliwym trafem skończyła się właśnie wojna w Europie i niewykluczone, że redakcja chciała w związku z tym poświęcić cały numer literackim dokonaniom autorów w mundurach.

Kiedy listonosz przyniósł list z redakcji, byłem już z powrotem na Coney Island i mieszkalem w apartamencie przy Zachodniej Trzydziestej Pierwszej. Z dnia na dzień zostałem, lub też zdawało mi się, że zostałem, lokalną znakomitością - zadbałem o to, pokazując list wszystkim, których znałem - i zaczęto o mnie mówić również w niewielkiej społeczności przy Riverside Drive na Manhattanie, gdzie chodziłem już z dziewczyną, poznaną niedługo przedtem, której wkrótce miałem dać zaręczynowy pierścionek i z którą wziąłem ślub po południu drugiego października 1945 roku tuż przed wyjazdem pociągiem sypialnym do Kalifornii, gdzie zaczynałem studia w Los Angeles.

Przyjęcie do druku mojego opowiadania wywarło oczywiście na wszystkich duże wrażenie, choć nikt z wyjątkiem Księcia Danny’ego nigdy nie słyszał o magazynie „Story” (prawdopodobnie to właśnie od Danny’ego po raz pierwszy się o nim dowiedziałem i niewykluczone, że zaoferowałem je redakcji właśnie za jego namową). Honorarium za I Don’t Love You Anymore wyniosło - nie miałem pojęcia, ile oczekiwać - dwadzieścia pięć dolarów.

Zacząłem wkrótce gorączkowo rachować. Napisanie opowiadania zajęło mi tylko dwa dni, w czasie kiedy rozpraszała mnie wojna. Gdybym zabrał się ostro do roboty, wyobrażałem sobie, mógłbym z łatwością machnąć cztery opowiadania na tydzień, średnio szesnaście na miesiąc. Sprzedając je po dwadzieścia pięć dolarów za sztukę zarabiałbym wkrótce tyle samo, ile wyciągałem jako porucznik w służbie bojowej za oceanem.

Żywiłem wielkie nadzieje.

Miałem oto w rękę przekonujący dowód, że czeka mnie świetlana przyszłość. Nawet moi przyszli teściowie byli ze mnie dumni i dali się złapać na haczyk. Wkrótce po weselu, podróży pociągiem do Los Angeles i podjęciu studiów na anglistyce, uzyskałem kolejne, jeszcze wyraźniejsze, potwierdzenie przyszłych triumfów.

Otrzymanie dobrych stopni na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w 1945 roku okazało się śmiesznie łatwe (Art Buchwald, studiujący tam w tym samym czasie, miał, jak się później dowiedziałem, poważne trudności z nauką, ale ja ich nie miałem). Niesamowicie trudne było za to załatwienie mieszkania.

Po mniej więcej tygodniowym pobycie w luksusowym hotelu Ambassador, gdzie spędziliśmy drugą część naszego miodowego miesiąca (Ambassador był jednym z najbardziej znanych hoteli w LA; w jego kuchni dwadzieścia trzy lata później podczas kampanii wyborczej w Kalifornii zastrzelony został Robert Kennedy), zamieszkaliśmy w wielkiej sypialni w małym pensjonacie przy South

Figuroa Street między Washington Boulevard i jakąś inną aleją. Hotel Ambassador opłaciliśmy z zebranych podczas wesela datków, których lwią część pochodziła od rodziny mojej żony. Początek miodowego miesiąca spędziliśmy w przedziale nocnego pociągu z Nowego Jorku do Chicago, następnie zaś w przedziale innego pociągu, który przez trzy kolejne dni i noce pędził z Chicago do Los Angeles. Podróż nie była zbyt ciekawa. Dużo czytaliśmy. Wagon obserwacyjny i wagon klubowy szybko nam się znudziły. Pulmanowska prycza w przedziale ekspresu Twentieth Century Limited, a potem w ekspresie Chief albo Super Chief z Chicago do Los Angeles nie była idealnym weselnym łóżem. W pociągu znajdował się salon piękności i Shirley poszła tam raz, żeby się uczesać i zrobić manikiur.

Pensjonat, do którego się wprowadziliśmy, poleciło nam uczelniane biuro zakwaterowania. Należał do pary pomarszczonych białowłosych staruszków, państwa Hunterów, którzy mieszkali na miejscu. Przebiegająca obok linia tramwajowa prowadziła w jedną stronę na uczelnię, w drugą do Pershing Square w śródmieściu Los Angeles, skąd można było dotrzeć różnymi autobusami na dowolne odbywające się w sezonie wyścigi konne. Mogliśmy tam również znaleźć chińskie i meksykańskie restauracje.

W małżeństwie naszych gospodarzy pani Hunter grała niewątpliwie pierwsze skrzypce. Schludny pan Hunter w jasnoniebieskim albo jasnoszarym zapinanym swetrze, z nie schodzącym nigdy z wypielęgnowanej bladej twarzy zagadkowym uśmiechem mijał mnie zawsze bez słowa niczym jakiś nieszkodliwy duch, kiedy w ciągu całego roku akademickiego, jaki tam spędziliśmy, krzyżowały się nasze drogi. W przeciwieństwie do niego pani Hunter dopadała szparko moją żonę, gdy byłem rano na uczelni, i próbowała nawrócić ją na wiarę chrześcijańską, w konkretnym wydaniu pewnej kalifornijskiej sekty, której, co wyznała mi w wielkim sekrecie, zapisała już dom oraz wszystko, co posiadała. W tym czasie w mieście przebywał jakiś żydowski ewangelista - były rabbi, który przeszedł ostatnio, co napawało ją dumą, na wiarę Chrystusa - i jej zdaniem, bardzo byśmy skorzystali, słuchając mszy, które odprawiał w radiu, i uczestnicząc w jego nabożeństwach. Wyznała poza tym Shirley, że pan Hunter nie zaspokaja, czy też może nigdy nie zaspokajał jej seksualnych żądzy i że bywają, czy też może bywały okresy w jej życiu, kiedy te żądze doprowadzały ją do takiej rozpacz, że chciała usiąść na lodowym torcie, czy też może usiadła na nim, by je ostudzić. Nigdy nie mieli dzieci.

W naszym pokoju nie było aneksu kuchennego i choć mieliśmy prawo korzystać w ograniczonym stopniu z kuchni (ograniczonym w zasadzie do lodówki), woleliśmy tego nie robić, aby nie dać się wciągać w dziwne rozmowy. Na rogu Washington Boulevard była dobra grecka knajpka i obiady jedliśmy przeważnie tam oraz w kilku pobliskich lokalach. W weekendy wybieraliśmy się do tak słynnych i powszechnie uczęszczanych miejsc, jak Brown Derby albo Romanoff s, w nadziei, że ujrzymy jakąś wielką gwiazdę filmową, a właściwie jakąkolwiek gwiazdę filmową. (Zobaczyliśmy tylko jedną, Rosalind Russell; ja nigdy bym jej nie rozpoznał z powodu wąskiego podbródka, ale udało się to mojej Shirley). W tej okolicy Washington Boulevard znajdowały się również warsztaty cmentarnych kamieniarzy.

Biorąc pod uwagę raczej cieplarniane i dostatnie dzieciństwo Shirley, trudno mi dziś uwierzyć, że zdołała spędzić ze mną w takich warunkach cały rok, że w ogóle zgodziła się spróbować i że pozwoliła jej na to matka, Dottie.

- Nie pojedziecie do Anglii! - brzmiała stanowcza odpowiedź Dottie, kiedy cztery lata później, w roku 1949, dostałem stypendium Fulbrighta na Oksfordzie i Shirley przekazała jej tę ekscytującą wiadomość. Pojechaliśmy.

Jako pozbawiony przyjaciół i rodziny żonaty student pierwszego roku, nie bardzo miałem się z kim spotykać i prowadziliśmy w Kalifornii nader skromne życie towarzyskie. Na kampusie działo się wiele ciekawych rzeczy, zwłaszcza między męskimi i żeńskimi korporacjami studenckimi, ale my nie braliśmy w tym udziału. Mam wrażenie, że jeszcze cięższe życie mieli młodszy studenci, którzy wstępowali na uczelnię, na każdą uczelnię, bezpośrednio ze szkoły średniej. W porównaniu z nami byli bardzo młodzi i nie było ich wcale słyhać ani widać w kłębiącym się na uniwersytecie tłumie weteranów, którzy prawie wszyscy mieli tak jak ja po dwadzieścia dwa lata i więcej. Byliśmy starsi, więksi i lepiej odczytani, mieliśmy bogatsze doświadczenia i bardziej garnęliśmy się do nauki (chyba że graliśmy w futbol).

Zakwalifikowanie się do jakiejś uniwersyteckiej drużyny przez któregokolwiek z tych młodszych studentów musiało wydawać się marzeniem ściętej głowy. Drużyny futbolowe składały się głównie ze starszych młodzieńców, którzy grali w nich jeszcze przed wojną i w ciągu następnych lat rozwijali mięśnie i masę kostną, doskonaląc często swoje umiejętności w klubach wojskowych. Chodzili jak w letargu na wybrane wcześniej zajęcia, starając się zachować status studenta do momentu, kiedy będą bardziej potrzebni. Podczas moich studiów na Uniwersytecie Południowej Kalifornii nasza drużyna awansowała do finału Różowego Pucharu z zawodnikami tylnej linii, których średni wiek wynosił, jak sądzę, dwadzieścia cztery lata. Facet będący podporą zespołu miał chyba dwadzieścia sześć. Zawodnik grający w drużynie naszych przeciwników z Alabamy, Harty Gilmer, był kimś w rodzaju gwiazdy jeszcze przed wojną. Jako student dostałem dwa bilety na wielki mecz. W tamtym czasie nie znośmłem już organizowanego na stadionach dopingu i szydziłem z takich rzeczy, jak uniwersytecki duch i drużyny klakierów. Ponieważ Shirley nie zdołała wykrzesać w sobie zainteresowania futbolem i było jej obojętne, komu przypadnie w udziale Różowy Puchar, sprzedałem swoje dwa bilety po dwadzieścia pięć dolarów jakiejś parze z Alabamy i przepuściliśmy tę forszę, spędzając cały dzień na miejscowych wyścigach konnych, w Santa Anita albo Hollywood Park.

Motywy, dla których podjąłem studia na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, pozostają niejasne, choć niewątpliwie nie bez znaczenia był prosty fakt, że mnie tam przyjęto. Jestem pewien, że chodziło również o swoisty życiowy unik i zyskanie na czasie. Nie chciałem - miałem wrażenie, że jestem jeszcze za młody - zdecydować w tym momencie, co mam zrobić z resztą swojego życia. Uzyskawszy możliwość studiowania, postanowiłem z niej skorzystać. Studia były łatwiejsze i bardziej kuszące niż podjęcie jakiejś pracy i wówczas z pewnością cieszyły się większą estymą. A poza tym czy była jakaś praca, która nie podcięłaby mi skrzydeł

po triumfalnym powrocie z wojny?

Nie wiedziałem jednak, gdzie powinienem złożyć papiery. Uczelnie na poziomie Harvardu czy Yale praktycznie dla mnie nie istniały - były poza moim zasięgiem, poza moim światem i granicami wyobraźni. Co byśmy ze sobą oboje poczęli na Harvardzie albo Yale, gdybym nawet złożył papiery i został przyjęty? Kto by z nami rozmawiał? Obca była mi jakakolwiek myśl o wyższym wykształceniu jako takim. Chciałem się przekonać; nie byłem pewien, czy chcę się uczyć. Pragnienie zdobycia wiedzy akademickiej ostudziła wkrótce trzeźwa świadomość, że nigdy nie zmuszę się, by opanować grekę, łacinę i niemiecki, bez których nie mogłem nawet myśleć o lekturze licznie zalecanych pozycji objaśniających tajniki literatury. Jednocześnie zaś coraz silniej dojrzewiała we mnie myśl, że powinienem dać się raczej poznać jako pisarz, a nie krytyk czy innego rodzaju intelektualista. Entuzjazm, z jakim staram dowiedzieć się czegoś więcej prawie na każdy temat, służył i ciągle służy głównie osiągnięciu osobistej satysfakcji. (Dałem sobie spokój z Wittgensteinem, Sartre'em i w ogóle z filozofią, ale ostatnio przekopuję się przez neodarwinizm, który koresponduje z moim religijnym sceptycyzmem; przedzieram się także z wielkim trudem przez mechanikę kwantową, której mój umysł nie tylko nie jest w stanie pojąć, lecz nawet zdefiniować).

Podczas wojny stacjonowałem dwukrotnie w dolnej Kalifornii i za każdym razem bardzo mi się tam podobało. W wojsku podobało mi się właściwie w każdym miejscu - także na Korsyce, jeśli nie liczyć czyhających tam zagrożeń; nawet w San Angelo w Teksasie, dokąd wysłano mnie na kilka miesięcy z Europy i gdzie nie miałem prawie nic do roboty. Jestem osobą, którą generalnie dość łatwo zadowolić (choć moim bliskim trudno będzie w to uwierzyć, a dalsi znajomi nie dadzą temu wiary). W bazie powietrznej w Santa Ana, gdzie jako kadet lotnictwa zostałem skierowany w celu otrzymania konkretnego przydziału i wstępnego przeszkolenia, oddawaliśmy się w weekendy spokojnym rozrywkom w samym mieście bądź też odbywaliśmy dłuższe męczące całonocne wycieczki autobusem do Los Angeles. W szkole bombardierów w Victorville na pustyni mogliśmy, jeśli mieliśmy ochotę, zabalować w sobotnią noc w Balboa Beach, mając do dyspozycji rozświetlone molo, sale taneczne, bary i biliony młodych dziewcząt i kobiet, które również przyciągał tam zamiar dobrej zabawy. Podobnie jak wielu innych ludzi, dolna Kalifornia urzekła mnie - i wciąż urzeka - filmową charyzmą, stanowiąc symbol ekscytującego piękna, przepychu i wielkich możliwości. Nikt nie wyrażał zastrzeżeń, gdy postanowiliśmy tam wyjechać. Nie bez znaczenia był też oczywiście umiarkowany kalifornijski klimat.

Ten ostatni kontrastował ostro z potwornym, przygnębiającym zimowym krajobrazem, w który zostałem brutalnie rzucony po powrocie w styczniu parowcem do Stanów, kiedy przyjechałem na przepustkę na Coney Island. Dość szybko zdałem sobie sprawę, że mając możliwość wyboru, raczej bym tu nie zamieszkał. Wesole miasteczka Coney Island dawno już straciły dla mnie i dla większości z nas swoją magię, a w zimie i tak wszystko poza barem Nathana pozamykano na cztery spusty. Było ciemno i szaro. Nikogo nie było i nic się nie działo. Nie działały żadne kluby.

Nie miałem dziewczyny i nie znałem żadnych dziewczyn, które chciałbym poznać bliżej i które mogłyby chcieć mnie poznać. Poza kinem nie było tej zimy na Coney Island dokąd pójść na randkę; inne miejsca były zbyt odległe, a ja nie miałem samochodu. Gdybym miał samochód, nie wiedziałbym, jak nim jeździć. Nie miałem co robić.

Tęskniłem za wojskiem, w którym zawsze - nawet kiedy nie było nic do roboty - mieliśmy co robić.

Po kilku dniach Lee i Sylvia zwrócili uwagę na moją żalną inercję i to oczywiście Lee wysunął propozycję, która nie była wcale taka nierealna, jak sądziliśmy wszyscy troje z początku. Sylvia i ja nie wpadlibyśmy na to za milion lat, ale Lee, nasz bezinteresowny marzyciel, wymyślił coś, co w cudowny sposób przełamało impas: może skoczyłbym na tydzień do szacownego hotelu w górach Catskills niedaleko stąd, hotelu lubianego przez nowojorczyków i cieszącego się popularnością wśród ludzi dość zamożnych, by mogli w nim zamieszkać, miejsca, o którym ja, w swojej zaściankowej prostocie, nigdy nie słyszałem.

Do Grossingera.

Wiedzieliśmy, że mam pieniądze: znaczna część żołdu, który wszyscy uważaliśmy za bardzo wysoki, przychodziła do nich od samego początku i umieszczana była na moim koncie w banku. Jako świeżo przybyły zza oceanu żołnierz mogłem liczyć na zainteresowanie i serdeczne przyjęcie. Nie miałem nic przeciwko temu. Lee zarezerwował pokój, załatwił półciężarówkę, która zawiozła mnie z Brooklynu do Liberty w stanie Nowy Jork, i jego plan okazał się odmładzającym rozwiązaniem, które odmieniło nie tylko resztę mojego urlopu, ale i znaczną część mojego życia.

Nigdy przedtem nie jeździłem na łyżwach, ale już po kilku minutach odkryłem, że dobrze sobie na nich radzę, i z pewnością przyciągałem wzrok, krążąc po lodowisku w zielonej lotniczej kurtce z zimowym futrzanym kołnierzem i srebrną belką porucznika na ramieniu. Wieczorem wkładałem mundur galowy ze skrzydełkami i bojowymi odznakami za służbę za oceanem, wśród których największe wrażenie wywierał, o czym wiedziałem, Medal Lotniczy z pękami dębowych liści (przyznawano go rutynowo po zaliczeniu określonej liczby lotów, a nie, jak ktoś mógłby przypuszczać, za jakieś szczególnie waleczne czyny). Miałem moją błyszczącą śródziemnomorską opaleniznę, moją młodość, zdrowie, urodę i moją skromność. Byłem Żydem. Umiałem sprawiać wrażenie pewnego siebie. Byłem grzeczny i pełen szacunku i robiłem dobre wrażenie na rodzicach, zwłaszcza tych z dorastającymi córkami, oraz na młodych kobietach, którym nie towarzyszyli rodzice. Nawet ja wiedziałem, że wygram cotygodniowy konkurs taneczny w sobotnią noc, mimo że zarówno wtedy, jak teraz i w ogóle nigdy nie byłem dobrym tancerzem. Uśmiech fortuny - ten sam uśmiech fortuny, o którym czytamy w brukowych romansach - sprawił, że w tamtym tygodniu w styczniu poznałem dziewczynę, którą poślubiłem w październiku i z którą pozostawałem w związku małżeńskim przez trzydzieści pięć lat, dopóki się nie rozstaliśmy.

Kiedy wróciłem do miasta, już ze sobą chodziliśmy.

Spotykaliśmy się, kiedy przyjeżdżałem do Nowego Jorku na weekendy z Atlantic City, póki nie wysłali mnie do San Angelo w Teksasie. Potem pisaliśmy do siebie listy. Zaczęliśmy się ponownie spotykać w New Jersey i Nowym Jorku, kiedy przeniesiono mnie w maju do Fort Dix, żeby ostatecznie zwolnić ze służby. I widywaliśmy się dalej, kiedy wyszedłem z wojska. To matka Shirley, Dottie, gdy któregoś popołudnia znalazłem się z nią sam na sam w salonie, przejęła inicjatywę i wyzwoliła impuls, którego nie miałem siły w sobie odnaleźć.

- Barney uważa - oznajmiła z tą nieszczerą premedytacją, która stanowiła jej drugą naturę i czasami była nawet urocza (całkiem możliwe, że Barney, jej mąż, nie miał najmniejszego pojęcia, co takiego szykuje) - że nie dajesz jej pierścionka, bo nie masz pieniędzy.

Nigdy przedtem nie słyszałem takiego języka.

- Nie daję jej pierścionka? - zapytałem zaintrygowany, gdyż myśl, aby zrobić coś tak niepojętego, nigdy nie przyszła mi do głowy. - Po co miałbym jej dawać pierścionek?

- Żeby się zaręczyć.

Miałem dość forsy na pierścionek. Dottie nabyła go i wystawiła mi rachunek na pięćset dolarów. Przyjaciele i obie rodziny zachwycali się, jaki jest piękny. Byłem młodym nieopierzonym dwudziestodwupółlatkiem; panna młoda dopiero co skończyła dwadzieścia jeden. Wszyscy koledzy, z którymi dorastałem na Coney Island, żenili się mniej więcej w tym samym czasie: Marvin Winkler z Evelyn; Davey Goldsmith z Estelle, Lou Berkman z Marion, Marty Kapp z Sylvią, Sy Ostrów z Judy i wielu innych. (Z tego, co wiem, tylko moje i jeszcze jedno z tych wczesnych małżeństw zakończyły się rozwodem).

Małżeństwo polega na dobrym neurotycznym dopasowaniu, zauważył mój psychiatra w trakcie pierwszego spotkania, gdy starałem się uczciwie przedstawić wszystkie wady moje i mojej żony, które stały się powodem coraz większego dzielącego nas chłodu, a także nie kontrolowanych i nie kończących się pojednaniem kłótni.

Na pewno musieliśmy do siebie neurotycznie pasować, skoro wytrzymaliśmy trzydzieści pięć lat. Dlaczego w takim razie w końcu się rozstaliśmy i wzięliśmy rozwód? Wątpię, by któreś z nas mogło powiedzieć: pasowaliśmy do siebie, ale cóż... Nie wierzę, by któreś z nas chciało to powiedzieć.

(Na następnych sesjach psychoanalizy zorientowałem się, iż używając słowa „neurotyczny” mój nowy mentor w gruncie rzeczy nie miał na myśli nic złego. „Wszyscy jesteśmy neurotykami - wybuchnął któregoś dnia, kiedy ponownie umknąłem od wolnych skojarzeń w to, co nazywał moim nałogiem intelektualizowania. - Tylko psychotycy nie są neurotykami”).

Mieszkając u państwa Hunterów, ranki spędzałem przeważnie na uczelni. Myśl o wagarach nawiedzała mnie na studiach tak samo rzadko jak w szkole średniej. Gdybym odczuł taką pokusę, stałaby się ona z pewnością źródłem udręki. Lubiłem studia i ducha współzawodnictwa na zajęciach.

Po południu i wieczorem wybieraliśmy się często na miasto, żeby

pozawiedzać. Mieszkaliśmy w końcu w Hollywood, krainie Mickeya Rooneya, Judy Garland, Vana Johnsona i Dorothy Lamour. Ponieważ nieczęsto musieliśmy być gdzieś o wyznaczonej godzinie, mieliśmy dość czasu, żeby podróżować autobusami. Obejrzeliliśmy wykopaliska w La Brea, dom kochanki Hearsta, dom Marion Davies w Santa Monica i nazwiska uwiecznione na chodniku przy Grauman's Chinese Theater. Któregoś weekendu pojechaliśmy do Tijuany, zjedliśmy taco kupione w ulicznej budce i nawet się nie pochorowaliśmy. Pewnego wieczoru w rozjaśnionym neonem oknie restauracji przy tętniącej życiem ulicy, niedaleko kampusu Uniwersytetu Stanu Kalifornia, Shirley i ja zobaczyliśmy po raz pierwszy piekący się na szpikulcu kebab i wszedł on na stałe do naszego jadłospisu: z ryżem, sałatką i dodatkową porcją frytek, wszystko za mniej niż dwa dolary. Rok w Los Angeles wiele nas nauczył; po powrocie do Nowego Jorku byliśmy jedynymi w naszym kręgu ludźmi, którzy słyszeli o kebabie, i polecaliśmy go z całego serca. Pieczona na grillu jagnięcina nie jest jednak zbyt soczysta i wkrótce uczyniliśmy krok dalej, próbując potraw takich, jak: beef bourguignonne, coq au vin, capelletti bolognese, krewetki po kreolsku, pieczone albo gotowane na parze homary - któż to wszystko spamięta?

Popołudnia i większość wieczorów poświęcałem również na naukę oraz na pisanie i przepisywanie na nowo moich opowiadań oraz lekkich, nie beletrystycznych tekstów, które posyłałem do kolejnych czasopism; wszystkie odsyłało mi z powrotem. Miałem teraz własną przenośną maszynę, kupioną u Macy'ego na zniżkę pracowniczą Sylvii - w czasach przed pojawieniem się sklepów z przeceną, kiedy zniżka wciąż była zniżką. Dowiedziawszy się, że istnieje coś takiego jak klawiatura pisarska, zamówiłem ją sądząc, że pisanie pójdzie mi dzięki niej o wiele szybciej. Wprowadzono w niej trywialne modyfikacje w rodzaju umieszczenia cudzysłowu i znaku zapytania w dolnym rzędzie. Nie robiło to żadnej różnicy. Trochę szybsze stukanie w klawisze oznaczało jedynie, że będę musiał o wiele wcześniej zacząć przepisywać strony, akapity i nawet pojedyncze zdania. Oboje dużo czytaliśmy dla przyjemności. Shirley przeczytała „Wichrowe wzgórza” i zdumiała ją, jak bardzo książka różni się od filmu. Ja czytałem wszystko, co w moim mniemaniu mogło mnie czegoś nauczyć. W radiu słuchaliśmy jedynej w Los Angeles stacji z muzyką klasyczną i ogólnokrajowych programów komediowych, które już przedtem bardzo lubiliśmy. Można było posłuchać Freda Allena, a Jack Benny był w dalszym ciągu zabawny.

Dwoma autorami, których odkryłem na nowo i gorąco podziwiałem, byli Aldous Huxley (obecnie nie jestem już w stanie dociec dlaczego) oraz H. L. Mencken, którego zasługi jako pisarza i myśliciela do dzisiaj nie ulegają najmniejszej kwestii: nie ukrywana i zjadliwa niechęć do wszelkiego rodzaju hucpy, stworzenie bogatej i bezsprzecznie jego własnej odmiany amerykańskiej angielszczyzny oraz stylu, którego zewnętrzne aspekty można próbować powielać, ale istoty i indywidualności nie udało się moim zdaniem oddać nikomu.

Należałem do wielu próbujących go powielać adeptów, łudząc się, że jestem jedyny. Słowa w rodzaju „palant” i „ciągi” zaczęły się pojawiać w moim pisarskim słowniku w szyderczych humoreskach, które wyrzucałem z siebie przynajmniej raz

w tygodniu na zmianę z opowiadaniem produkowanymi mniej więcej w tym samym tempie. W bibliotece uniwersyteckiej odkryłem jego utwór opublikowany chyba w roku 1919. Przyznaję teraz ze wstydem, że kiedy go czytałem, pękałem ze śmiechu, bijąc niemal brawo, a przecież gdyby go dzisiaj wydać, skazano by autora na dożywotnie dyby i nikt uczciwy by się za nim nie ujął. Cienki tomik zatytułowany jest „W obronie kobiet”. Jego rzekoma (i obłudna) teza głosi, że kobiety są w zasadzie bardziej inteligentnymi przedstawicielkami ludzkiej rasy; mężczyźni są w porównaniu z nimi głupszy. Dowód? Kobiety nakłaniają mężczyzn, żeby się z nimi żenili, żeby z nimi żyli i tolerowali je na forum towarzyskim. Z zażenowaniem przyznaję, że jako pisarz przejąłem nie tylko słownictwo Menckena. Zwyczajem, konwencją tamtej epoki było stereotypowe prezentowanie kobiety jako obiektu protekcyjnych docinków. Cieszę się, że żadna z moich ówczesnych literackich prób nie ukazała się drukiem i z tego, co wiem, nie przetrwała do dzisiaj w formie manuskryptu.

Złożyłem papiery na wydział dziennikarski, wyobrażając sobie błędnie, że będę tam dużo pisał i czytał oraz że praca w gazecie jest z samej swojej natury pociągająca, jeśli nie elektryzująca. Widząc jednak wśród wymaganych na tym kierunku zajęć kursy adiustacji, redagowania i korekty, przeniósłem się czym prędzej na anglistykę i z głębokim oddechem ulgi błogosławiłem swoje szczęście. Miałem wrażenie, że o mały włos uniknąłem nieodwracalnej i straszliwej katastrofy.

W pierwszym semestrze, podobnie jak i później, zapisałem się na więcej kursów, niż to było konieczne. Dlaczego nie, skoro i tak wszystkie koszty pokrywało państwo? Uczęszczając na kursy wakacyjne, zdołałem zrealizować czteroletni program w trzy lata. W pierwszym roku zaliczyłem pokrywające się częściowo kursy bakteriologii, botaniki i zoologii. Były to dla mnie całkowicie nowe i absolutnie fascynujące dziedziny wiedzy. Zapisałbym się chętnie na wstępny kurs fizyki (wciąż mam taką ochotę), ale nie miałem wolnego okienka (i do tej pory nie mogę znaleźć). Na zajęciach z historii cywilizacji - trwały chyba dwa semestry - nie było ani przez chwilę mowy o rzeczy, która nie budziłaby we mnie dreszczu podniecenia. Wciąż żywe jest w mojej pamięci uniesienie, z jakim słuchałem po raz pierwszy o Indusie, Tygrysie i Eufracie - jaki dźwięczny rezonans budzą te wspaniałe słowa - a także o Praksytelesie i Peryklesie. Ćwiczenia z angielskiego okazały się wodą na mój młyn: interpunkcja i składnia były łatwe, a prace pisemne dawały sposobność pokazania tego, co mam na warsztacie.

Pisząc swoje prace, starałem się zawsze tak chytrze opracować temat, aby bez większych zmian móc przedstawić tekst do publikacji w jednym ze znanych mi popularnych czasopism. Kiedy przygotowując rozprawkę na temat paleontologii, natknąłem się w akapitach poświęconych okresom geologicznym na terminy w rodzaju mezozoiczny i jurajski, które mogłem powtórzyć z pamięci, ale których nie próbowałem nawet zrozumieć, najpierw napisałem pracę po bożemu, a następnie przerobiłem ją na humorystyczną parodię utrzymaną (taką miałem nadzieję) w miażdżąco protekcyjnym stylu H. L. Menckena o używaniu niezrozumiałego żargonu narzucanego nam przez pedagogów (kolejne słowo, które przejąłem od

Menckena). Przepisany na maszynie tekst powędrował wszędzie i nigdzie się nie ukazał. Nie był pewnie taki humorystyczny, jak myślałem.

Opowiadania, które pisałem w tym czasie, miały ekstrawagancki wątek, zakończony często w cudowny sposób przez ironiczną interwencję siły wyższej, stającej po stronie szlachetnych i pokrzywdzonych. Pamiętam, że w jednym z nich francuski farmer w Prowansji, potajemnie kolaborujący z okupantem, patrzy z niemym przerażeniem, jak wszystkich jego dziesięciu synów zostaje wybranych w trakcie prowadzonej losowo selekcji wieśniaków, którzy mają zostać rozstrzelani w ramach akcji odwetowej. W innym przybysz poszukujący na chrześcijańskim Południu osoby, która zaginęła w tajemniczych okolicznościach, okazuje się Jezusem albo kimś w rodzaju anioła zemsty, postanawiającym ukarać winnych morderstwa. Z przyjemnością donoszę, że również te opowiadania nigdzie się nie ukazały.

Na fakultatywny kurs współczesnego teatru (chciałem również zostać dramaturgiem; pisanie sztuk wydawało się łatwiejsze, wymagało bowiem mniejszej liczby słów) chodziła także zdolna blondynka o nazwisku Mary Alden, która szybko nabrała do mnie antypatii i nie starała się jej wcale ukrywać. Była w moim wieku, może trochę starsza, i przez kilka lat pracowała w teatrze. Nasza dwójka dominowała w dyskusjach i zajmowaliśmy przeciwstawne stanowiska niemal w każdej kwestii. Wkurzały ją moje sprzeczności. Przyjechawszy niedawno z Nowego Jorku, miałem nad nią tę przewagę, że znałem ludzi pracujących w tamtejszym show-biznesie, o których ona w przeciwieństwie do prowadzącego zajęcia jeszcze nie słyszała. Nie mogła mi wybaczyć mojego zarozumiałstwa. Było mi przykro, że Mary Alden mnie nie znosi, bo ja ją lubiłem. Traktowała jako świętość to, co dla mnie było przedmiotem zabawy.

Niestety coś podobnego przydarzyło mi się potem jeszcze kilka razy - z absolwentem filozofii, niejakim Norwoodem Hansonem, na parowcu wiozącym do Anglii pokaźny kontyngent stypendystów Fulbrighta; z kolegą z wydziału na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, Gordonem Smithem, gdy zwiedzaliśmy uświęcone krwią poległych pole bitwy i cmentarze w Gettysburgu; oraz kilkakrotnie z kolegą z Uniwersytetu Nowojorskiego, Davidem Krause'em, tyle że David i ja pozostaliśmy przyjaciółmi przez cały czas studiów i potem. Dwaj pozostali nigdy już się do mnie nie odezwali.

Moja matka mogła im powiedzieć, że mam pokrecony umysł.

Przekonawszy się na pierwszym semestrze, że mogę, nie wysilając się, uzyskać najlepsze oceny praktycznie ze wszystkich przedmiotów, ułożyłem ze znawstwem weterana program na następny semestr, tak aby dwa lub trzy razy w tygodniu kończyć wcześniej zajęcia, spotykać się z żoną w śródmieściu i łapać autobus, który dowoził nas na wyścigi, gdzie obstawialiśmy duble. (Był to dziecinny kaprys, bo żadne z nas nie obstawiało dubli, kiedy bywaliśmy wcześniej na wyścigach, i nie robiło tego nigdy potem). Wsiadając któregoś razu z tramwaju z książkami w rękę po spędzonej na kampusie połowie dnia, zobaczyłem ze zdumieniem Shirley, która machała ręką i biegła do mnie z twarzą zaróżowioną z radości. W rękę trzymała list, który przyszedł tego ranka już po moim wyjściu z

pensjonatu. Było to zawiadomienie o przyjęciu do druku w „Esquire” utworu, który napisałem pierwotnie jako zadanie z angielskiego. Mając opisać jakąś metodę lub wynalazek, wymyśliłem serię niezawodnych systemów, wszystkie głupawe, pozwalających zawsze wygrywać na wyścigach.

Razem z zawiadomieniem przyszedł czek na dwieście dolarów!

W wieku dwudziestu dwóch lat byłem już uznanym pisarzem, a teraz wraz z publikacją *Beating the Bangtails*, również eseistą (nie byle jaki honor w roku 1946, dwa lata przed pojawieniem się na krajowej scenie Vidala, Capote’a i Mailera, którzy sprawili, że poczułem się zacofany, stary, zazdrosny i spisany na straty).

Nie byłem jednak uznanym ekspertem od koni i większą część dwustu dolarów, które przyniosła mi studencka rozprawka o tym, jak wygrać pieniądze na wyścigach, przepuściłem w ciągu kilku naszych następnych wizyt na torze.

Irytujące kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego miejsca zamieszkania, spędzające sen z powiek nowożeńcom w Los Angeles, w Nowym Jorku zostały rozwiązane przez niestrudzenie przedsiębiorczą Dottie przy jak zwykle dobrodusznej i powściągliwej aprobachie Barneya. Ich przyjaciele byli mieszkańcami i właścicielami świeżo wyremontowanej pięciopiętrowej wąskiej kamienicy z windą, zlokalizowanej we wspinałym punkcie na Manhattanie, przy Zachodniej Siedemdziesiątej Szóstej, tuż przy Central Parku, przecnicę od Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego i tuż obok Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Kiedy na pierwszym piętrze od frontu zwolniła się kawalerka, wprowadziliśmy się.

Mieliśmy stąd, mówiąc metaforycznie, dwa kroki do kilku linii metra, wielu przystanków autobusowych i wszelkiego rodzaju sklepów. Jedną linią metra jeździłem przez dwa następne lata na Uniwersytet Nowojorski, inna wozila mnie przez rok na północ, na Uniwersytet Columbia, gdzie kończyłem studia. Wielkość pokoju nie zwiększyła się w znaczącym stopniu w stosunku do tego, czym dysponowaliśmy w kalifornijskim pensjonacie, ale rozkładana sofa pozwoliła lepiej wykorzystać przestrzeń. Poza tym mieliśmy tu aneks kuchenny, w którym świetnie mieścił się stolik na cztery osoby. Mogliśmy przyjmować gości i robiliśmy to. Wśród ludzi, których zapraszaliśmy na kolację, pojawił się raz albo dwa Maurice „Buck” Baudin Junior, wykładowca na kursie pisarskim Uniwersytetu Nowojorskiego, gdzie tak dobrze radziłem sobie wraz z grupką kilku znajomych. Buck był ode mnie tylko pięć lat starszy, ale nawet po przeniesieniu się na Columbię nie potrafiłem zwracać się do niego inaczej jak „proszę pana”. Umeblowaniem apartamentu zajęły się Dottie i Shirley i uczyniły to ze smakiem, racjonalnie i, jak na ich standardy, zapewne niedrogo. Żona Lee, Perlie, znała się trochę na dekoracji wnętrz i bardzo chwaliła sensowny układ mebli i autentyczny wygląd kilku niemal prawdziwych antyków. Dottie była zadowolona, że udało jej się zakwaterować córkę oraz studiującego i piszącego zięcia w mieszkaniu, które mogła pokazywać z dumą swoim znajomym.

Ja też byłem zadowolony.

Moja była teściowa Dorothy Held należała do tych wykształconych nowoczesnych kobiet, które znają różnicę między turkusem i akwamaryną. Z drugiej

strony znała również różnicę między połędwicą i górną krzyżową oraz między żeberkami i ligawą i wiedziała, że dobrą pieczeń można zrobić tylko z pierwszego kawałka szpandra.

Moim ulubionym stekiem po tym, jak wyjechałem z domu i po raz pierwszy go spróbowałem, był filet mignon, zawsze dobrze wysmażony. Dopiero gdy poznałem córkę Dottie i zacząłem u niej jadać, odkryłem uroki lekko tylko podsmażonej wołowiny, na wpół surowego antrykotu tuż przy kości, boski smak pieczonych żeberek, przyprawionych obficie czosnkiem, solą i papryką. Rodzina Shirley była o wiele lepiej sytuowana od mojej i miała o wiele bardziej kosmopolityczne nawyki: czytali nawet „New York Timesa”. A jej rodzice uwielbiali patrzeć, jak jem - zawsze biorąc jedną lub nawet dwie dokładki. Zamożni, ale nie bogaci, okazali się wielkoduszni także pod innymi względami. Barney - Bernard Held - był współnikiem szyjącej sukienki małej firmy, która kooperowała ze znacznie większym przedsiębiorstwem. Osiągał najwyraźniej duże dochody podczas wojny i przez wiele lat po jej zakończeniu, ale Heldowie mieli skłonność - motorem była tu Dottie - wydawać wszystko, co zarobili, i cieszyć się z tego, na co i na kogo wydawali. Na nas wydawali bardzo dużo i to głównie dzięki ich zachęcie i pomocy byłem w stanie przeżyć jako student następne sześć lat, pierwsze sześć lat mojego małżeństwa.

Przyjemnym wydarzeniem było przyjęcie urodzinowe, które moja żona urządziła mojej siostrze Sylvii. Po jakichś dwudziestu pięciu latach naszego małżeństwa Shirley dowiedziała się któregoś dnia z przerażeniem, że mojej siostrze nigdy w życiu nie urządzono jeszcze urodzinowego przyjęcia, i postanowiła je wydać. Nigdy nie widziałem Sylvii tak szczęśliwej i wylewnej, jak wtedy w naszym domu, kiedy następnym razem obchodziliśmy jej urodziny. Po policzkach ciekły jej łzy radości, a głos miała ochryply od śmiechu, którym zanosiła się, wspominając dawne czasy. Lee zachowywał się tak samo: bez przerwy gadał, chichotał i również ocierał łzy. Nigdy nie słyszałem Sylvii ani Lee, razem lub oddzielnie, pograżonych w tak ożywionej dyskusji. Słuchałem i uczyłem się. Wiele przywoływanych przez Sylvię z rozbawieniem wspomnień dotyczyło okresu po skończeniu szkoły średniej, kiedy w wieku siedemnastu lub osiemnastu lat jeździła z innymi do miasta, żeby szukać pracy. Było to w roku 1934, gdy niełatwo było coś znaleźć. Ona i jej przyjaciółki składały się na paczkę papierosów i na lunch w kafeterii. A w agencjach zatrudnienia oszczędzano im często długiego czekania. Ktoś pojawiał się i mówił, że mogą iść. Tego dnia nie było żadnej pracy dla Żydów.

Fakt, że mogła o tym wszystkim wesoło opowiadać na swoim przyjęciu urodzinowym, świadczył o zadziwiającym szczęściu, które zgotował nam los.

Kiedyś na spotkaniu autorskim w Finlandii spotkałem miejscowego pisarza, Danny'ego Katza, fińskiego humorystę, którego rodzice, podobnie jak moi, wyemigrowali z Rosji.

- Nie byli zbyt mądrzy - mruknął chichocząc. - Osiedlili się tutaj.

Nasi byli mądrzejsi. Osiedlili się w Nowym Jorku.

Pod koniec pierwszego roku po naszym powrocie do Nowego Jorku piętro

wyżej zwolniło się mieszkanie z osobną kuchnią, dużym salonem i sypialnią i natychmiast nam je zaoferowano Szybko się do niego wprowadziliśmy i mieszkaliśmy tam do jesieni 1949, kiedy to popłynęliśmy do Anglii. Nie pamiętam już dokładnie cyfr, ale musieliśmy otrzymywać dużą materialną pomoc na czynsz i inne wydatki, gdyż poważnie wątpię, żeby stypendium, otrzymywane od rządu w trakcie studiów, pozwoliło nam żyć na poziomie, który wówczas i teraz uważa się za luksusowy. (Przez jakiś czas pracowałem po południu w dziale kolportażu czasopisma „American Home”, wypełniając i odszukując fiszki z adresami subskrybentów, ale stawka godzinowa i zarobek netto nie były tam gigantyczne). Dla przyjaciół z Coney Island, których większość już się stamtąd wyprowadziła, i dla nowych znajomych, których poznałem na Uniwersytecie Nowojorskim, żyliśmy po królewsku.

Przestronny, elegancko umeblowany apartament w zadbanej kamienicy w najlepszym miejscu Manhattanu był tak samo cenny wtedy jak i dzisiaj. Urządzaliśmy tam często przyjęcia oraz proszone kolacje i wypuszczaliśmy się na miasto z przyjaciółmi mieszkającymi w gorszych dzielnicach. W pogodne noce serwowaliśmy drinki na dachu, gdzie stały wygodne fotele i donice z roślinami. W lecie Dottie i Barney wynajmowali gdzieś zawsze letni domek albo rezerwowali pokoje w luksusowym hotelu - pamiętam Lido w Lido Beach na Long Island i Forest House nad jeziorem Mahopac w stanie Nowy Jork - i jeździliśmy tam na weekendy i podczas przerw w moich wakacyjnych kursach.

Ogólnie biorąc, mieliśmy rajskie życie.

I nie kosztowało mnie to zbyt wiele.

Zdobycie wysokich ocen na Uniwersytecie Nowojorskim wymagało z mojej strony większego wysiłku niż na pierwszym roku Uniwersytetu Południowej Kalifornii, ale radziłem sobie nieźle na większości kursów. Współzawodnictwo było tu ostrzejsze. Pozbawiony kampusu i uczelnianego życia towarzyskiego, Washington Square College nie odgrywał większej roli w akademickim sporcie i stanowił coś w rodzaju uczelni dla dojeżdżających. A studenci, którzy podróżowali na zajęcia nieraz z całkiem odległych miejsc, nie przybywali tu, żeby się byczyć. Dotyczyło to zwłaszcza wojennych weteranów. Dwaj znajomi, z którymi zaprzyjaźniłem się na kursie filozofii, Edward Blaustein i niejaki Karm, dostali stypendium Rhodesa w czasie, kiedy bardzo rzadko przyznawano je Żydom. Eddie Blaustein został później profesorem prawa i rektorem Bennington College (pierwszym żydowskim rektorem, stwierdził, nieżydowskiej uczelni), a później rektorem Rutgers University. Nie wiem, co się stało z Kahnem, ale nie wątpię, że również zrobił karierę. Na kursie filozofii nauczyłem się głównie traktować ze sceptycyzmem i sokratejską złośliwością wszelkie ideologie, w tym również te wyznawane przez moich ulubionych nauczycieli filozofii.

Na kurs literacki Maurice'a Baudina uczęszczał David Krause, który nie zważając na burze i zadymki śnieżne dojeżdżał z odległego New Jersey i prędkiej zżarłby miotłę, by użyć powiedzonka wymyślonego przez Maria Puzo, niż opuścić jeden dzień zajęć. On też dostawał same piątki i przez całe dorosłe życie aż do

niedawnego odejścia na emeryturę był profesorem irlandzkiego i angielskiego na Brown University. David pisał znakomite opowiadania, ale nie sposób było namówić go, by wysłał je do druku, uważał bowiem, że nie są dość wartościowe. Był tam też Alex Austin, szczupły niski chłopak, który nader rzadko podnosił głos, nawet gdy czytał coś na zajęciach. Kiedy zapisał się na nasz kurs, miał już na swoim koncie ponad dwieście wierszy i opowiadań opublikowanych w „małych” czasopismach, o których większość z nas nigdy nie słyszała. Stałym, niczym mycie zębów, punktem jego codziennych zajęć było napisanie po południu choćby jednego opowiadania - siadał gorliwie do maszyny, często bez żadnego pomysłu, i zaczynał po prostu pisać. Miał również manuskrypty powieści i Baudin musiał z nim negocjować liczbę utworów, które przyjmował do oceny.

W przeciwieństwie do Davida Krause’a, który był autentycznym idealistą (praca nauczyciela stanowiła dla niego powołanie; ja poszedłem uczyć, ponieważ uważałem, że będzie to łatwiejsze od pracy w biurze), posyłałem do czasopism wszystko, nie przejmując się, czy jest wartościowe. Dowiedziawszy się, że Buck Baudin wysyła nowelki do „Good Housekeeping” i dostaje półtora tysiąca dolarów za sztukę, wpisałem to czasopismo oraz wszystkie inne magazyny kobiece na listę moich przyszłych chlebodawców. Prawie codziennie listonosz przynosił przynajmniej kilka ofrankowanych i zaopatrzonych w zwrotny adres brązowych kopert z moimi manuskryptami, do których dołączone były krótkie noty odmowne. Sprawność działania redakcji „New Yorkera” była wówczas tak samo godna podziwu jak zawartość jego kolumn. Żartowałem często - i nie było w tym wiele przesady - że nowelka, którą wysłałem do „New Yorkera” poranną pocztą, wróci z lakoniczną protekcyjną odmową już po południu tego samego dnia.

Na drugim albo trzecim semestrze prowadzonego przez Baudina kursu - zapisałem się nadprogramowo na trzeci, żeby móc z nim dalej pracować - Buck wybrał cztery moje nowelki i przedstawił je do oceny swemu agentowi literackiemu. Ten uznał, że żadna nie nadaje się do druku. Z tych czterech, trzy zostały następnie przyjęte przez czasopisma, do których posłałem je jako nie zamówione materiały.

Wiele lat później, kiedy między wydaniem mojej pierwszej powieści, „Paragrafu 22”, a ukończeniem następnej, „Coś się stało”, wykładałem przez cztery lata w City College w Nowym Jorku, dałem kilkakrotnie mojemu własnemu agentowi prace studentów, które wydawały mi się szczególnie obiecujące, i za każdym razem otrzymałem tę samą negatywną odpowiedź.

W komentarzu, którym niezależnie od innych słów uznania lub krytyki nieodmiennie opatrywał moje opowiadania, Baudin kładł nacisk na to, że zbyt wolno zaczynam, ociągając się na wstępie, jakbym wahał się, czy kontynuować i przejść do tego, co leży mi na wątrobie. Ta moja cecha, wynikająca być może z jakiejś psychicznej skazy, utrzymuje się do tej pory. Dumałem nad tą przypadłością w najgłębszej tajemnicy, tajemnicy aż do dzisiaj, i uznałem, że można ją trafnie określić jako retencję analną. Z manuskryptu „Paragrafu 22”, już po jego przyjęciu do druku, usunąłem z własnej woli pięćdziesiąt z pierwszych dwustu pięćdziesięciu stron i nie odbiło się to w negatywny sposób na akcji. (Redaktor tych słów, Robert Gottlieb,

który był również wydawcą „Paragrafu”, nabija się ze sformułowania „z własnej woli”. W porządku, to za jego sugestią zrobiłem to, co mogłem, aby szybciej przejść do rzeczy).

Na marginesie jednego z pisanych przeze mnie na studiach opowiadań, Castle of Snow, Baudin zapytał, dlaczego nie zacząłem po prostu od czwartej strony, i polecił mi zacząć od tej właśnie strony, kiedy będę je czytał na głos na zajęciach. Ku mojemu zdumieniu poszło mi bardzo dobrze i przepisując na czysto egzemplarz skreśliłem pierwsze trzy stronicie tekstu.

Wysłałem to opowiadanie do działu literackiego miesięcznika „Atlantic” i odrzucono je, ale odesłanemu manuskryptowi towarzyszył list od redaktorki, która podpisała się imieniem i nazwiskiem i sugerowała, że po kilku drobnych poprawkach tekst może zostać opublikowany. (Żałuję, że nie zaproponowała jeszcze jednej, ponieważ wybór Chaucera jako ulubionego autora zmuszonego do sprzedaży swoich książek, imigranta ze wschodniej Europy, razi dzisiaj kompletnym brakiem prawdopodobieństwa). Dokonałem zmian, naprawiając to, co było złe, oraz dodając to, czego brakowało, i opowiadanie opublikowano w dziale debiutów. W tym samym numerze pisma, także jako debiut, znalazło się przypadkiem opowiadanie również młodego autora, Jamesa Jonesa. (Żaden z nas nie miał dość szczęścia, żeby zdobyć nagrodę przyznawaną wówczas za najlepszy debiut półrocza). Honorarium wyniosło dwieście pięćdziesiąt dolarów. Nawiązałem z nimi kontakt i było jasne, że wcześniej czy później wyślę do „Atlantic” kolejne opowiadanie. Za drugie dostałem tylko dwieście, ponieważ nie było tak długie jak pierwsze (i nie tak dobre albo w ogóle niezbyt dobre).

Na zajęciach na uniwersytecie stałem się gwiazdą i zostałbym pewnie gwiazdą kampusu, gdyby tylko Washington Square College miał kampus.

Bardzo podobną korespondencję nawiązałem równocześnie z łaskawym redaktorem magazynu „Esquire”, który po kilku odpowiedziach odmownych, podpisanych inicjałami i opatrzonych nagryzmołonymi ołówkiem wyrazami zachęty, ujawnił się w końcu jako George Wiswell. Odrzucając z żalem kolejne opowiadanie, zarzucał mi pewne błędy w motywacji bądź też charakterystyce postaci i obiecywał niemal, że zakwalifikuje tekst do druku, jeśli postaram się go skorygować. Postarałem się, opowiadanie zostało przyjęte i dostałem za nie trzysta dolarów. Po jakimś czasie przyjęli następne i zapłacili za nie mniej, gdyż było krótsze od pierwszego (i nie tak dobre albo w ogóle niezbyt dobre). Im dłużej studiowałem, tym większej nabierałem wprawy i stawałem się bardziej krytyczny. Przed ukończeniem studiów zorientowałem się także, że z wyjątkiem dwóch lub trzech, moje ówczesne opowiadania nie różnią się od innych. Chciałem teraz być nowatorski, w ten sam sposób, w jaki byli moim zdaniem, kiedy ich odkryłem, Nabokov, Celinę, Faulkner i Waugh - niekoniecznie inni, ale nowatorscy. Oryginalni.

Informuję tutaj z obywatelskiego obowiązku o otrzymywanych za te nowele honorariach, ponieważ ludzie mają na ogół mylne wyobrażenie co do dochodów, jakie osiągają poczytni amerykańscy pisarze i inni ludzie pióra. Przemawiając do adeptów pisarstwa, podkreślam często, zwłaszcza gdy publiczność składa się z

młodych ludzi, że jeśli nie mają dużo forsy, nie spodziewają się okazałego spadku ani nie zamierzają się bogato ożenić, będą musieli przez jakiś czas zarabiać na życie inaczej, choćby nawet wszystko, co od tej chwili napiszą, ukazało się drukiem. Irwin Shaw na pewno by się ze mną zgodził. I John Cheever. Przechwalałem się kiedyś, że potrafię wymienić tuzin albo więcej amerykańskich autorów o ustalonej renomie, którzy nie zarabiali dosyć piórem, żeby zignorować inne źródła utrzymania i poświęcić się całkowicie pisarstwu. Prawdopodobnie wciąż potrafiłbym to zrobić. Irwin Shaw mógłby podać z pamięci, jak nędzną sumę otrzymał za wszystkie razem opowiadania, które opublikował w „New Yorkerze”.

Miłą konsekwencją mojej akademickiej sławy było to, że z prośbą o współpracę zwróciło się, do mnie powstające właśnie studenckie pismo literackie. Wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek, uległem namowom i dałem im jedną z nowelek. Jeśli kogoś to obchodzi, nosiła tytuł *Lot's Wife* i opowiadała - ale nie bierzcie sobie tego do serca! - o kobiecie, która była lodowato powściągliwa i małostkowa w stosunku do swego męża, ofiary wypadku drogowego, mężczyzny zdecydowanie sympatycznego, lecz zupełnie do niej nie pasującego.

Bardziej interesujące są niemiłe konsekwencje tego altruistycznego gestu, czyli zamieszczona w tym samym piśmie protekcyjna recenzja autorstwa innego studenta o literackich ambicjach, który raczył uznać moją nowelę za bezbarwną, rojącą się od błędów i pozbawioną wszelkiej wartości.

To powinno uodpornić mnie na nieprzychylną krytykę w przyszłości, lecz nie na nią nie uodparnia.

Na szczęście mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałem się z radością, że inna moja nowelka, ten sam *Castle of Snow*, wybrana została przez Marthę Foley do publikowanej co rok antologii najlepszych opowiadań.

To był balsam na moje rany! Nie miałem wątpliwości, że podążam we właściwym kierunku.

I zaledwie dwanaście lat później, po przepracowaniu dwóch lat na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, roku w agencji reklamowej, roku w sieci sprzedaży detalicznej sił powietrznych (z której to roboty, jak mi się zdaje, zostałem wywalony), roku w dziale reklamy Remington Rand Corporation (która produkowała artykuły biurowe, a nie, jak się obawiałem, karabiny), trzech lat w „Time”, roku w „Look” i trzech lat w „McCall's”, ukończyłem moją pierwszą powieść i ujrzałem ją w druku.

Jak już powiedziałem i powtarzam, pierwszy rozdział napisałem od ręki, w ciągu jednego poranka w roku 1953, przy moim biurku w agencji reklamowej (korzystając z idei i słów, które przyszły mi do głowy poprzedniej nocy). Ukazał się w siódmym numerze kwartalnika „New World Writing” w 1955 roku pod tytułem „Paragraf 18”. (Dostałem za niego dwadzieścia pięć dolarów. W tym samym numerze znalazł się opublikowany pod pseudonimem rozdział z książki Jacka Kerouaca „W drodze”). W roku 1957, kiedy pracowałem w „Time” i powieść była na półmetku, podpisałem na nią umowę z Bobem Gottliebem w wydawnictwie Simon & Schuster (połowę honorarium wynoszącego tysiąc pięćset dolarów wypłacono mi

przy podpisaniu, drugą połowę miałem dostać po przyjęciu kompletnego manuskryptu). Powieść została ukończona na początku 1961, kiedy pracowałem w „McCall's” i opublikowana w październiku tego samego roku pod tytułem „Paragraf 22”. (To, co być może słyszeliście, jest prawdą: liczba w tytule została zmieniona, aby uniknąć zbieżności z wydaną w tym samym czasie powieścią Leona Urisa „Mila 18”).

Wbrew temu, co sądzą ludzie, nie odniosła natychmiastowego sukcesu, takiego przynajmniej, jakiego doczekały się w całym kraju pierwsze książki Normana Mailera, Jamesa Jonesa i innych. Nie była bestsellerem i nie zdobyła żadnych nagród. Miała recenzje dobre, średnie, lecz zdarzały się i takie, które były złe, bardzo złe, chciałoby się powiedzieć (a ja należę do tych, którzy mogą to powiedzieć) jadowite i wredne. W niedzielnym wydaniu „New York Times Book Review” na przykład, w niewielkiej notce zamieszczonej tak daleko z tyłu, że potrafili ją odnaleźć wyłącznie czekający na nią przyjaciele i krewni, recenzent oświadczył, iż autorowi „rozpaczliwie brakuje talentu i wrażliwości”, że powieść jest „obsesyjna i monotonna”, „nieudana”, że stanowi „emocjonalny kociokwik” i w ogóle nie jest powieścią; w „New Yorkerze” krytyk uznał, że „Paragraf 22” „nie wydaje się nawet napisany, sprawia wrażenie wykrzychanego na papier”, „da się sprowadzić do szeregu przeterminowanych dowcipasów” i że „Heller tarza się we własnym śmiechu i w końcu w nim tonie”. (Cytując to, jestem rzeczywiście skłonny utonąć we własnym rubasznym śmiechu. Jediną rzeczą, która mnie powstrzymuje, jest świadomość, że ciągi, jakie wtedy zebrałem, wciąż boją, nawet po tylu latach, i jeśli kiedykolwiek udawałem, że się nimi nie przejmuję, były to tylko pozory).

Z drugiej strony spotykałem się z licznymi wyrazami aprobaty ze strony wielu wybitnych pisarzy i stanowiło to wspaniałą i krzepiącą niespodziankę. W ciągu następnych tygodni i nawet miesięcy pojawiały się kolejne recenzje i stopniowo zaczęły napływać prośby o wywiad (na które godziłem się z ochotą). Po pierwszym nakładzie w wysokości około siedmiu tysięcy egzemplarzy zainteresowanie książką wzrosło i ukazywały się kolejne dodruki. Wydaje mi się, że było ich czternaście albo piętnaście i do momentu, kiedy ukazało się pierwsze masowe wydanie w miękkich okładkach, łączny nakład przekroczył trzydzieści tysięcy.

Moja córka Erica i młodszy syn Ted byli lekko zaskoczeni nagłym zainteresowaniem, jakie zaczął wzbudzać ich ojciec, oraz komplementami składanymi mu przez ludzi, których nie znaliśmy. Ich też spotykały przyjemne niespodzianki (niedługo potem znaleźli się w rolls-roysie samego Tony'ego Curtisa, który zawiózł ich do studia, żeby obejrzeć kręcony właśnie odcinek popularnego serialu telewizyjnego), ale rezultaty nie zawsze były pożądane. Któregoś razu tamtego lata, kiedy spacerowałem z Tedem po plaży Fire Island, mój syn stanął wojowniczo między mną i obcą osobą, która podeszła, by złożyć mi gratulacje, i oświadczył kategorycznym tonem: „To ja napisałem tę książkę!”. (On tego nie pamięta, aleja tak).

Od tego czasu stałem się w domu swego rodzaju znakomitością, co nigdy albo prawie nigdy nie jest zbyt dobrą rzeczą. Byłoby z mojej strony czymś głupim bronić

się przed tymi wyrazami uznania i przejawem hipokryzji udawać, że się nimi nie upajałem.

W Anglii, gdzie powieść została wydana kilka miesięcy później, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Do Londynu dotarły już wieści o wydaniu amerykańskim i jego rosnącym powodzeniu i ukazanie się książki było czymś w rodzaju wydarzenia. Listy bestsellerów były wtedy w Anglii czymś nowym i niezbyt znanym, ale „Paragraf 22” znalazł się szybko na ich czele. Wiadomość o zagranicznym sukcesie wróciła jak bumerang do Nowego Jorku i wsparła rosnącą popularność „Paragrafu”. Późnym latem 1962 roku ten sam „New York Times Book Review” donosił, że podziemną książką, o której nowojorczyki wydają się najczęściej rozmawiać, jest „Paragraf 22”. W tamtym roku powieść była chyba reklamowana bardziej niż jakakolwiek inna, ale dla „Timesa” wciąż była „podziemna”.

A zaraz potem, we wrześniu, ukazał się paper-back i popularność książki sięgnęła pułapu, który mimo starannie opracowywanej strategii promocji i kolportażu kompletnie zaskoczył ludzi w wydawnictwie Dell. Przez jakiś czas wydawało się, że nie są w stanie uwierzyć w dane na temat sprzedaży i nigdy nie zaspokoją popytu. Mimo to do końca 1963 ukazało się jedenaście dodruków. „Paragraf był, jak sądzę, najlepiej sprzedającym się paper-backiem w tamtym roku, z dwoma milionami sprzedanych egzemplarzy.

Niestety te cyfry nie przekładały się na pieniądze, których można by się spodziewać. (Cena detaliczna paper-backu wynosiła siedemdziesiąt pięć centów, a przeciętne honorarium wahało się od sześciu do dziesięciu procent i dzielone było równo między pierwszego wydawcę i autora - co oznaczało, że zarabiałem netto trzy albo cztery centy za każdy egzemplarz). Dopiero kiedy mniej więcej rok po publikacji książki sprzedane zostały prawa do filmu, uznałem, że jestem dość zamożny, żeby zrezygnować z posady w magazynie „McCall’s”, gdzie kierowałem trzysobowym działem prezentacji reklamowych. A i tak wziąłem na wszelki wypadek bezpłatny roczny urlop. Suma, jaką dostałem za prawa do filmu, wyniosła łącznie sto tysięcy dolarów, minus piętnaście procent prowizji, którą podzielili się agent i adwokat. Na moją prośbę wypłacano ją w ciągu czterech lat, co miało mi zapewnić dość czasu, by poświęcić się bez reszty pisarskiej profesji i ukończyć, jak sądziłem, nową książkę.

I już dwanaście lat później, jesienią 1974 roku, zaledwie trzynaście lat po wydaniu pierwszej (cztery z nich spędziłem, pracując na wydziale anglistyki City College of New York, a kolejny rok akademicki na Yale i Uniwersytecie Stanu Pensylwania), ukończona została i oddana do druku moja druga powieść, „Coś się stało”.

Pierwsze jej wydanie odniosło o wiele większy sukces niż „Paragraf 22” (Irwin Shaw, który przeczytał wydanie sygnałne, wziął mnie na stronę podczas niewielkiego przyjęcia i oświadczył cicho: „Moim zdaniem, to arcydzieło”; dzisiaj wolno mi chyba przyznać, że się z nim zgodziłem) i odtąd nie musiałem już robić dla pieniędzy niczego, czego nie miałem ochoty robić, ani spotykać się z ludźmi, których nie lubiłem.

Nie daję już także żadnych prezentów i nie obchodzę świąt. I nigdzie się nie śpieszę.

9. Psychiatria

Pierwszy raz spotkałem mojego ojca i rozmawiałem z nim, by tak rzec, twarzą w twarz, w gabinecie psychonalityka w roku 1979, kiedy miałem pięćdziesiąt sześć lat. Ojciec nie żył już od ponad pięćdziesięciu.

Odkąd sięgam pamięcią, prześladował mnie obsesyjny sen o coraz bardziej koszmarnym charakterze. Śnił mi się od czasu do czasu, kiedy spałem w domu w swoim własnym łóżku lub poza domem w pokoju hotelowym, i prawie zawsze przez pierwsze kilka nocy w obcym łóżku w wynajętych letnich domkach. Miał zawsze ten sam przebieg i towarzyszyły mu te same emocje. Zaczynał się w identycznym miejscu, w sypialni apartamentu na Coney Island, gdzie mieszkałem do chwili, kiedy skończyłem dziewiętnaście lat i poszedłem do wojska. Leżałem w łóżku śpiąc i śniło mi się dokładnie to samo: że leżę w łóżku i śpię. Nagle ktoś pojawiał się w mieszkaniu. Nie zakradał się jak przestępca przez okno w moim lub innym pokoju, lecz wchodził przez frontowe drzwi. Twarz miał skrytą w cieniu. Wiedziałem od razu, że jest w środku, i w moim śnie budziłem się. Bałem się od samego początku i ten strach coraz bardziej się potęgował; wyobrażałem sobie, jak intruz podąża bez wahania w moją stronę, jak mija bezszelestnie kolejne pokoje, stąpając korytarzem, biegnącym od wejścia do ostatniego pokoju, i zbliża się do mojego łóżka, w którym rzeczywiście leżałem, tyle że we śnie było to zawsze łóżko w moim mieszkaniu na Coney Island. Mój lęk zmieniał się szybko w czysty horror; patrzyłem, jak siadam na łóżku, a mężczyzna podchodzi coraz bliżej i bliżej. Ogarnięty niemożliwą do zniesienia paniką i grozą, chciałem wołać o pomoc, ale puchnące w sparaliżowanym gardle słowa zmieniały się w bełkot, dławiły mnie i zatykały; z całej siły, której wyraźnie mi brakowało, starałem się wydobyć z siebie krzyk, błagałem, żeby ktoś przyszedł mi na ratunek. I w końcu oczywiście, zanim jeszcze mężczyzna zdołał wejść do mojego pokoju, zanim rozpoznałem rysy twarzy, która była zawsze skryta w mroku, zanim zdarzyło się to, czego oczekiwałem z zamarłym ze zgrozy sercem, pomagałem sam sobie, budząc się - tak jak według Freuda zawsze dzieje w koszmarach.

Bywało, że trącała mnie gniewnie i strofowała poirytowana osoba, z którą byłem akurat w pokoju i którą wyrwałem ze snu swymi nieartykułowanymi jękami.

Przypominając sobie i opowiadając ten sen w gabinecie mojego psychiatry (psychoanalityka), który krył się gdzieś niewidoczny z tyłu, podczas gdy ja leżałem na kozetce, oniemiałem na chwilę, uświadomiwszy sobie, że nie przysnił mi się od jakichś dwóch lat, od momentu kiedy zostałem jego pacjentem. Ciekawiło mnie, dlaczego dał mi spokój, dlaczego ten znajomy, wyjątkowo dokuczliwy, lecz mimo to kompletnie nieszkodliwy sen przestał mi się śnić. Odwróciłem głowę i spojrzałem na psychiatrę, a on uświadomił sobie po chwili, że zapadłem w uporczywe milczenie, które, jak zdążył się już zorientować, oznaczało, że domagam się jakiegoś wyjaśnienia.

- Nie potrzebujesz już dłużej tego snu - oznajmił w końcu z widoczną

niechęcią. - Teraz masz mnie.

Natychmiast pojąłem, o co mu chodzi, i jego interpretacja trafiła mi do przekonania.

- W takim razie - odparłem, jakbym mu nie dowierzał - skąd brał się ten strach?

- Czy nie bałbyś się, gdyby spełniło się to twoje marzenie? - odpowiedział pytaniem.

Nie podaję jego nazwiska, ponieważ polegam wyłącznie na własnej pamięci i mogłoby mu się nie spodobać, że rekonstruuje nasze spotkania w niezbyt dokładny, a czasami właśnie zbyt dokładny sposób. W trakcie naszego drugiego spotkania, które poprzedzało formalne rozpoczęcie terapii, był trochę zawiedziony, gdy okazało się, że między pierwszą i drugą konsultacją nie zasięgnąłem języka na jego temat. Nigdy nie przyszło mi to do głowy; nie wiedziałbym, kogo pytać, i czułbym się jak kanalia, gdybym to zrobił. (On natomiast był przekonany, że to zrobię, i fakt, że postąpiłem inaczej, mógł skłonić go do wniosku, że jestem neurotykiem). Choć młodszy ode mnie, miał, jak potem odkryłem, opinię znakomitego specjalisty, szanowano go w Nowym Jorku i gdzie indziej, i wyraźnie chciał, żebym to wiedział. Orientował się dobrze, kim jestem - należał do tych czytelników, którzy nie kryli, iż „Paragraf 22” wywarł duży wpływ na ich życie - nawiązując więc stosunki, darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem, który w miarę upływu czasu wcale się nie zmniejszył.

Opowiadałem mu najobszerniej, jak mogłem, o rzeczach, które uważałem za istotne, czyniąc to, jak sądziłem, z godnym polecenia obiektywizmem. Mój język obfitował prawdopodobnie w terminy psychologiczne, ponieważ taki właśnie jestem. (Przypuszczam, że było w tym przynajmniej trochę chęci brylowania). Przeczytałem już wtedy dużo książek Freuda oraz opracowań na jego temat i jak wszyscy obdarzeni wyobraźnią Amerykanie mojego pokolenia byłem zahipnotyzowany (termin o medycznej etymologii) egocentrycznymi implikacjami i obietnicami psychoanalizy. W trakcie mojej terapii, która trwała ze sporadycznymi przerwami ponad trzy lata, przyznałem się chętnie do wszystkiego, co mogłem sobie przypomnieć, i domyśliłem wszystkiego, czego nie mogłem... to znaczy, prawie wszystkiego. (Nie powiedziałem mojemu psychoanalitykowi, że kiedy byłem mały i bałem się, że będą mi się kręcić włosy, szedłem czasami spać, zakładając na głowę jedną z siateczek mojej siostry, ani że kiedyś, gdy bolały mnie oczy - jeszcze teraz często mnie bołą - wpadłem nie inspirowany przez nikogo na roztropny pomysł, aby nasmarować je, wpuszczając do każdego kilka kropel oliwy, i w rezultacie do końca tygodnia widziałem wszystko jak przez mgłę. Było kilka innych podobnie infantylnych wstydliwych sekretów, o których nie chciałem, żeby wiedział - ani on, ani wy).

Pochlebilo mi i szybko przytaknałem, gdy oświadczył, że jakakolwiek inna terapia poza psychoanalizą będzie dla mnie dziecinną igraszką. Było to w zamierzonych czasach, kiedy nie mieliśmy do dyspozycji prozacu i innych stymulatorów oraz stabilizatorów nastroju, zanim psychoanaliza i sam Freud

spotkały się z huraganową krytyką, dezaprobatą i kontestacją, które trwają do dzisiaj.

Wyraził obawę, że mogę wykazywać tendencję do „intelektualizowania” i z tego względu utrudniać proces terapii. Powiedziałem, żeby się o to nie martwił, chociaż przyciśnięty do muru, musiałbym przyznać, że nie bardzo wiem, o czym obaj mówimy.

Uzgodniliśmy cztery sesje tygodniowo, jeśli będzie to możliwe; często okazywało się niemożliwe. Od czasu do czasu trzeba było odłożyć spotkanie z powodu przeziębienia bądź dolegliwości jelitowych. Bardziej niezwykle i po pewnym czasie zabawne dla nas obu były przerwy związane z otrzymywanymi przez niego i przeze mnie atrakcyjnymi zaproszeniami. On pojechał raz do Chin, ja na konferencję pisarzy w Berkeley. Obaj zgadzaliśmy się często wygłaszać prelekcje na uniwersytetach i w podobnych miejscach. Poza tym mimo zdarzających się co jakiś czas małżeńskich nieporozumień, latem wyjeżdżałem na ogół z żoną z miasta - jego i tak nie było w sierpniu - i nie zamierzałem rezygnować z lipcowych wakacji tylko dlatego, by zachować zdrowie psychiczne i spokój umysłu, za który płaciłem.

Powiedziałem mu szczerze, że jednym z motywów, jakie mnie do niego sprowadziły (prawdę mówiąc, nie widziałem żadnego innego autentycznego powodu), była chęć posiadania własnego medyczno-pschiatrycznego autorytetu, na który mógłbym się powoływać podczas domowych kłótni - cytując go a nawet przypisując stwierdzenia, których wcale nie wypowiedział. Roześmiał się i nie był wcale zdziwiony.

Chciał, bym zrozumiał, że nie potrafi nic poradzić na moje bieżące problemy emocjonalne, zastrzeżenie, które szybko przyjąłem do wiadomości. Uważał jednak, że psychoanaliza może mieć pewne profilaktyczne znaczenie w zapobieganiu depresji późnego wieku, której ofiarą pada wiele starzejących się i odizolowanych od świata osób.

W tym pierwszym mylił się. Pomógł mi ogromnie w moich codziennych zmaganiach w domu i gdzie indziej, jako ktoś bezstronny i inteligentny, z kim mogłem rozmawiać absolutnie swobodnie i kto potrafił wskazać mi oczywiste aspekty i sposób podejścia do każdego kryzysu, sprawy, których sam nie umiałem racjonalnie dostrzec.

Co się tyczy zapobieżenia ewentualnej depresji, nie wiem, czy to dzięki niemu, czy nie, ale osiągnąłem oto późny wiek i nie jestem przez to bardziej przygnębiony, przybity, oschły, markotny, cyniczny, zgorzkniały, ospały, osamotniony, wściekły i tak dalej, aniżeli byłem przez cały czas przedtem. Jeśli poraża mnie czasem świadomość, że nie mam do zrobienia nic, co sprawiłoby mi przyjemność, albo że nie dzieje się nic wesołego, to dlatego, że nie mam nic takiego do roboty i nic takiego się nie dzieje. Jestem w świetnej formie, dopóki mam do zrobienia coś, co chcę robić. Wiem, że jest dobrze, jeśli pierwsze myśli po obudzeniu dotyczą tego, co piszę. Dzisiaj jestem w świetnym nastroju, ponieważ obudziłem się rano z zamiarem zapisania tych dwu zdań, które właśnie zapisuję. Dopiero kiedy nie mogę znaleźć niczego, co chciałbym robić, jestem skłonny długo spać i wyobrażać

sobie, że wpadłem w ponury i trujący letarg, który Francuzi nazywają *cafard*, a my zwykliśmy nazywać „melancholią”. Coraz trudniej spotkać nowych ludzi, z którymi chciałoby się bliżej zaprzyjaźnić (istnieje duże prawdopodobieństwo, że się o tym przekonacie).

Do jednego mnie zobowiązał: miałem nie dokonywać fundamentalnych zmian w moim życiu - w małżeństwie, pracy i w innych dziedzinach - jeśli tego z nim przedtem nie przedyskutuję. Argumenty przemawiające za przyjęciem tego warunku były tak oczywiste, że zgodziłem się bez wahania.

I pod koniec lata 1981 złamałem wielokrotnie tę obietnicę, bez żalu i nie zdając sobie nawet sprawy, że to robię. Zmieniłem księgowych oraz wydawców i złożyłem pozew przeciwko jednemu z nich. Rozstałem się z moim agentem literackim, zmieniłem adwokatów na innych, a potem na jeszcze innych, wyprowadziłem się z małżeńskiego mieszkania nie raz, ale dwa razy - najpierw w lecie, kiedy psychoanalityka nie było w mieście, a następnie w święta Bożego Narodzenia, kiedy znowu go nie było - i na koniec, być może w charakterze wielkiej i wróżącej pomyślnie kody, jednostronnie i nagle przerwałem moją terapię.

To nagłe zakończenie nastąpiło po przykrym powrocie do miasta ze spędzonych samotnie wakacji, w połowie w Aspen, gdzie szybko znalazłem nowych znajomych, w połowie w Santa Fe, gdzie już ich miałem, kiedy straciłem całą cierpliwość i zorientowałem się, że kończą mi się pieniądze. Wydatki rosły, dochody wprost przeciwnie. Adwokat doradzał mi, żebym odpoczął w wakacje, i zapewnił, że wszelkie nieporozumienia dotyczące rozwodu zostaną pomyślnie rozwiązane przed moim powrotem. Nie zostały. Czekają na mnie również nie dokończone książki.

A w połowie grudnia tego roku zapadłem na rzadką neurologiczną chorobę, tak zwany zespół Guillaina-Barre'a, którego etiologia pozostaje nie wyjaśniona, i przez następne kilka miesięcy byłem praktycznie wyłączony z aktywnego życia. Stres? Niewykluczone.

Od początku terapii starałem się, jak mogłem, być bardzo dobrym pacjentem, bez trudu przekraczającym średnią, śniąc sny, które miały mi się przyśnić, przypominając sobie rzeczy, które chciał, żebym sobie przypomniał, ujawniając wszelkie tajone pragnienia, które wolałbym ukradkiem stłumić, a wszystko po to, by odkryć źródła wątpliwości, lęków, popędów i zahamowań, z którymi pozostawałem w stanie konfliktu (choć mogłem o tym nie wiedzieć). Nie udało mi się jednak daleko zajść. Moja teoria na temat teorii psychoanalizy jest dzisiaj następująca: korektywna terapia wymaga nie zakłóconej niczym uwagi wolnego od wszelkich kłopotów inteligentnego pacjenta, który jej wcale nie potrzebuje. W mojej głowie kłębiło się tymczasem od pozwów, kłótni, wątków powieści i innych trudnych do zliczenia powikłań. Mój umysł codziennie absorbowało coś nowego - jeśli nie życiowe kłopoty, to kwestie związane z pisarskim tworzywem. Poszukując samego siebie w pozbawionym ojca dziecku z Coney Island, opublikowałem jedną powieść, „Gold jak złoto” i doprowadziłem prawie do półmetka następną, „Bóg wie”. Oczywiście rozmawialiśmy o tych i innych książkach, o ich treści, o tym, co mogą o mnie mówić, i o rozgrywających się nieustannie wokół nich małych dramatach. (Przez

zatrważające gapiostwo nie zorientowałem się, że nazwisko krytyka, który pisał o „Gold jak złoto” w niedzielnym „New York Timesie” - pisał dobrze, lecz bez przesadnych zachwyków - brzmiało tak samo jak nazwisko mojego psychoanalityka, ba, miało nawet taką samą odbiegającą od reguły pisownię. Byli, jak się okazało, dalekimi krewnymi, ale nie miało to wpływu ani na recenzję, ani na długość mojej kuracji).

Sądzę, że w mojej gorliwości, by sprawić świetne wrażenie jako pacjent, nie byłem osamotniony wśród męskiej połowy populacji, starającej się czym prędzej przyznać do wszelkich możliwych ułomności, takich jak: kompleks Edypa, lęk przed kastracją, impotencją oraz blamażem, zła wola, ambiwalentne emocje skierowane ku bliskim osobom, utajony homoseksualizm, gniew, wstyd, lubieżne myśli, podświadome animozje i nie uzasadnione utraty pewności siebie, niejasna świadomość konfrontacyjnej nieskuteczności i abstrakcyjnych zagrożeń, a także zamaskowane podziemne wulkany morderczej agresji. Gdybym wiedział wtedy, że narcyzm jest określoną patologią, dorzuciłbym go także. Wszystkie te poważne sprawy to była bułka z masłem. Trudne i nieprzezwykłe okazały się proste nieznanne rzeczy: odejście od łatwej, akademickiej logiki i wysondowanie pamięci w celu zrozumienia uczuć i wydarzeń, których mogło tam w ogóle nie być albo które nie miały nigdy miejsca, nawet w fantazjach.

Odczuwałem częste zahamowania (lub tak mi się zdawało) i przyznawałem się od razu do tej wady, nie czekając, aż zostanę o nią oskarżony. „Opory” były kolejnym terminem, który wymyśliłem. (I przyznaję szczerze, że większe od zwyczajnych trudności, jakie mam, pisząc te słowa, mogą ponownie wynikać z „oporów” - z czegoś, co niektórzy skłonni będą w tym miejscu uznać za psychiczne zahamowania, a w innych częściach książki za przejaw zwykłej niemocy twórczej).

Zawsze miałem bogate sny. Teraz przypisywałem duże znaczenie każdemu z nich. Byłem zaintrygowany sposobem, w jaki zaczęły się koncentrować na naszych sesjach, nawet na konkretnym wyglądzie gabinetu oraz na tym, co uważałem za nieuchwytną esencję moich monologów. Ubawiła mnie częstotliwość, z jaką takie detale, jak numer na drzwiach gabinetu psychoanalityka, zaczęły się pojawiać w różnych kontekstach snu, a także już po obudzeniu, w trakcie sprytnych i miłych zaników pamięci, sympatycznych figli umysłu, które wydawały się doskonale pasować do freudowskiej teorii. Najbardziej dramatyczny z nich przytrafił mi się podczas kończącej któryś sezon sesji. Bujałem właśnie w obłokach, oddając się wolnym skojarzeniom, w które obaj wierzyliśmy, kiedy nagle przerwał mi obcesowo, żeby zapytać:

- Nie wiesz, że spóźniłeś się dzisiaj dwadzieścia minut?

Nie, nie wiedziałem.

W trakcie jednego z poprzedzających rozwód okresów separacji, gdy mieszkałem samotnie w wynajętym z drugiej ręki umeblowanym apartamencie, wybrałem się pewnego weekendu na zwariowane rendez-vous, randkę w ciemno z kobietą, której nie znałem i nigdy wcześniej nie spotkałem (przyjaciele twierdzili, że to moja najbardziej niebezpieczna eskapada) i o której nie słyszał również żaden z

moich znajomych. (Opis farsowych okoliczności, dzięki którym doszła do skutku ta niezwykła schadzka, pojawi się w drugiej części tej autobiografii, jeśli zdecyduję się ją kiedykolwiek napisać - co jest bardzo mało prawdopodobne). Zaraz po przybyciu na miejsce dotknęła mnie seksualna niemoc, do czego przyznałem się niechętnie, kiedy omawialiśmy rzecz po moim powrocie (zdarzyło mi się to nie po raz pierwszy w życiu, zmuszony byłem wyznać jemu... i wam).

- Chciałem, żebyś tam ze mną był - powiedziałem żartem.

- Byłem - odparł lakonicznie.

- W takim razie dlaczego nie pomogłeś?

- Chciałeś, żebym pomógł ci zrobić coś, na co tak naprawdę nie miałeś ochoty?

- zdziwił się.

Ta wymiana zdań oświeciła mnie w kwestii tysiąca i jednej rzeczy, których pozornie pragnąłem, w rzeczywistości jednak wolałem wcale nie robić, i położyła kres wielu związanym z nimi pobożnym życzeniom. Tak naprawdę nigdy nie chciałem mieszkać w domu w Toskanii lub na Riwierze Francuskiej, nie pragnąłem, by zakochały się we mnie Elizabeth Taylor i Marilyn Monroe, i nie zazdrościłem Normanowi Mailerowi jego odważnego życia w blasku jupiterów, chociaż jest tu wiele do pozazdroszczenia. Ludzie obdarzeni możliwością wyboru robią generalnie to, co chcą, i nie mają innego wyboru, jak być tym, kim są. Myślę, że przyzna mi rację nawet mój były mentor. Nie mam wcale ochoty wpaść do Białego Domu na kolację ani otrzymać nagrody od któregoś z jego tymczasowo zameldowanych lokatorów, ale chętnie dostałbym jedną albo dwie Nagrody Nobla.

Bóg wie, że na nią zasługuję.

Nasze dialogi nie zawsze były tak jednostronne. Ode mnie usłyszał po raz pierwszy słowo catamite. Ja dziwiłem się, że go nie zna, on dziwił się, że je znam. Natknąłem się na nie o wiele wcześniej w podręczniku medycyny sądowej, który wpadł mi w ręce w moim namiocie za oceanem, i byłem przekonany, że jest to powszechnie znany termin medyczny. Ode mnie pochodził też komentarz na temat prób zmiany neurotycznego zachowania.

- To jak proszenie garbusa, żeby się wyprostował - powiedziałem i parsknął śmiechem.

Spodobało mu się to powiedzonko i stwierdził, że mógłby je często powtarzać. Pozwoliłem mu, ponieważ usłyszałem je od przyjaciela, Speeda Vogela, o którym i z którym pisałem gdzie indziej. (W „Nie ma się z czego śmiać”, jeśli was to naprawdę interesuje).

No i były te moje sny.

W dni gdy mieliśmy wyznaczone spotkania, budziłem się na ogół z wielkimi nadziejami (zwłaszcza jeśli przyśnił mi się wspaniały sen), opracowując w myśli to, co miało być rzekomo spontaniczne, i świta mi teraz w głowie, że tworzywo psychoanalizy stało się w dużej części samą psychoanalizą.

- Ale mam dla ciebie sen, chłopie! - mówiłem sobie z dumą, budząc się ze snu z zarysowaną wyraźnie linią fabularną, która miała ukryte oraz jawne znaczenia i obfitowała we wszelkie prawidłowe symbole - łatwe do rozpoznania symbole seksu i

śmierci: wieżyczki, damskie torebki i wyciskające łzy z oczu rozstania.

Pewnego razu w ciągu jednego tygodnia usłyszałem trzy dowcipy, wszystkie opowiadające o morskim rozbitku, uwalniającym dzina z butelki i nakazującym mu spełnić życzenie, które ma seksualny charakter i zostaje źle zrozumiane. We śnie wymyśliłem czwarty, który był tak samo dobry jak inne i całkiem niezły jak na dowcip wymyślony podczas snu. Od niego zacząłem naturalnie naszą kolejną sesję. Na szczęście nie słyszał pozostałych trzech, w związku z czym większą część moich pięćdziesięciu minut mogłem poświęcić na opowiadanie kawałów i dopiero potem przejść do tego, co miało być najbardziej palącym problemem tej sesji, problemem, który choć nie stanowił może najlepszego obiektu dla autoanalizy, tkwił w umyśle na samym wierzchu i nie sposób było go ominąć, jeśli miałem się autentycznie odsłonić, poprzez wolne skojarzenia bądź też użalając się nad sobą bez żadnych ogródek. (Pamiętam dwa z tych dowcipów - w jednym występował duży mężczyzna z małą głową, który wchodził do baru, w drugim wchodzący do baru facet z dziesięciocalowym szczerzącym zęby manekinem, sterczącym na jego ramieniu. Wypadł mi z głowy trzeci i zupełnie nie przypominam sobie tego, który mi się przyśnił, albo dlatego, że wcale nie był taki śmieszny, jak nam się wydawało, albo dlatego, że ponownie padam ofiarą nieświadomych i umyślnych zaników pamięci).

Nie chce mi się pisać dalej i to jest straszne. To coś więcej niż twórcza niemoc. W kolejnym zaniku pamięci zupełnie wypadło mi z głowy, że treścią tego rozdziału nie miały być eskapady w psychoanalizę w trakcie rozpadu mojego małżeństwa, lecz śmierć ojca, gdy byłem małym chłopcem, oraz jej traumatyczne efekty, które, jak wszyscy sądzą, musiały mieć wpływ na kształtowanie się mojej osobowości. (Z pewnością bogaty materiał na przedostatni rozdział i cieszę się, że nie będę musiał nigdy recenzować tej książki ani sporządzać notki na okładkę, napomykając, jak trudno było mi pisać ten fragment). Podobny brak entuzjazmu przytrafia mi się nader rzadko, gdy kończę książkę, i wynika zapewne bardziej z delikatnego charakteru materii, o której mowa, aniżeli z nudy, zmęczenia lub trwającej kilka dni infekcji.

Moja jedyna poza tym przygoda z psychologią miała miejsce prawie dwadzieścia pięć lat wcześniej i rozmawiałem o niej często i wnikliwie z psychoanalitykiem. Pewne związane z nią przeżycia pozostały niezatarte. W roku 1958, kiedy w wieku trzydziestu pięciu lat przeszedłem z innego czasopisma do oferującego lepsze warunki finansowe magazynu „McCall's” i objąłem tam stanowisko kierownika małego działu związanego z reklamą, poddawanie pracowników badaniom psychologicznym było w modzie - przynajmniej w McCall's Corporation. Przed zatwierdzeniem nominacji kazano mi się poddać serii badań, które zajęły półtora dnia i odbywały się na Manhattanie w prywatnej klinice prowadzonej przez dwóch profesorów Uniwersytetu Columbia. Wyglądało to dość sympatycznie. Większość testów była dla mnie nowa; o kilku nigdy przedtem nie słyszałem. Należało do nich kończenie zdań, próba, która wprawiała mnie w zakłopotanie z powodu dużej liczby teoretycznych możliwości i jednocześnie bawiła jako zgadywanka, a także Test Apercepcji Tematycznej, TAT, który przynajmniej jeśli

o mnie chodzi, chwilami stanowił szczególne wyzwanie, a chwilami głęboko poruszał. Test Rorschacha był silnym kataizotorem i przystępując doń, natężyłem z rozkoszą wszystkie zmysły niczym koń kwaleryjski na początkowe dźwięki trąbki.

Przypuściłem atak na pierwszą kartę i z miejsca zacząłem opowiadać o różnych siłach, których interakcję widziałem jak na dłoni w kolejnych plamach atramentu, nie przedstawiając, jestem tego pewien, ani jednej oryginalnej interpretacji, lecz dywagując na temat każdej, aż zabrakło mi tchu lub prowadzący test zaczynał się niecierpliwić i przechodziliśmy dalej. Nawijałem równo - wesoły i niezmordowany - aż do momentu, gdy natrafiłem na kartę numer cztery lub pięć, pierwszą, na której znajdowała się kolorowa plama, i zaskoczony wpadłem w stan kompletnego osłupienia. Po mojej elokwencji nie zostało ani śladu. Zdrętwiałem. Ta pierwsza kolorowa karta nosi miano „kolorowego szoku”, o czym dowiedziałem się z podręcznika, który wypożyczyłem czym prędzej w lokalnej bibliotece, i przynajmniej w moim wypadku nazwa okazała się właściwa. (Jeśli chodzi o innych chyba również, bo inaczej skąd by się wzięła?).

Od tego momentu kontynuowałem bardzo ostrożnie, o wiele mniej pewny siebie. Niedługo przedtem zadałem sobie wreszcie trud, by zapytać siostrę o przyczynę śmierci ojca. Wykupując swoje pierwsze ubezpieczenie na życie - miałem w końcu żonę i dwoje dzieci - trafiłem w formularzu na rubrykę, w której trzeba było podać przyczynę jego zgonu. Byłem zaskoczony i zawstydzony, zgadywałem bowiem, iż moja niewiedza wynikała z faktu, że nigdy nie chciałem tego wiedzieć. Przyczyną śmierci, jak już powiedziałem, był wewnętrzny krwotok, który nastąpił po wycięciu wrzodu żołądka, i myliłem się wcześniej, sądząc, że ojciec był pacjentem Coney Island Hospital. Całkiem niedawno dowiedziałem się od Sylvii, że leżał na oddziale Columbia Presbyterian Hospital na Manhattanie, kawał drogi metrem z Coney Island i to właśnie Sylvia, wtedy trzynastoletnia, towarzyszyła matce do szpitala, kiedy dowiedziały się o jego śmierci. Trzeba było jechać linią ekspresową BMT aż do ostatniej stacji na Times Square i potem przesiąść się na linię IRT. Ale są dwie linie IRT: jedna biegnie w górę Manhattanu do stacji przy szpitalu; druga skręca w stronę Bronxu i kończy się gdzieś za miastem, przy granicy hrabstwa Westchester. Sylvia nigdy nie była tak daleko od domu. Makabryczny pech chciał, że wybrała złą linię, i owdowiała matka ze swą kilkunastoletnią córką jechały do szpitala po odbiór świadectwa zgonu dwie godziny dłużej, niż powinny.

Na tych kartach Rorschacha, które są kolorowe, dominuje, pamiętam (albo wydaje mi się, że pamiętam), barwa czerwona, w plamach o różnej intensywności i kształcie. I na tej pierwszej karcie, kiedy już ochłonąłem z szoku, a także na następnych, tak naprawdę widziałem tylko krew, krew i amputowane lub wycięte części ciała, ludzkie organy. Gdy co jakiś czas pokazywano mi kawałek zieleni, próbowałem udawać, że widzę kwiat albo owoc, w głębi serca wiedziałem jednak, że to nieprawda, i brakowało mi siły przekonywania. Regularność tych makabrycznych reakcji wprowadziła mnie w takie zakłopotanie i zażenowanie, że poczułem się zmuszony zwrócić z nerwowym śmiechem uwagę, iż zdaję sobie sprawę z ich chorobliwej powtarzalności. (Przy prezentacji czarno-białych kart miałem podobny,

choć mniejszy dylemat z symbolami genitalnymi: nie chciałem, żeby prowadzący test pomyślał, że boję się je zobaczyć; z drugiej strony nie chciałem, żeby doszedł do wniosku, że widzę ich zbyt dużo).

Po zaliczeniu testów czekała nas długa rozmowa. Nastrój był; swobodny. W trakcie wymiany zdań wspomniałem naturalnie, że piszę powieść, na którą podpisałem już kontrakt z wydawcą. O czym jest ta powieść? Do tej pory skręcam się na myśl o tym pytaniu (i wciąż niesamowicie się cieszę, że nigdy nie musiałem pisać recenzji „Paragrafu 22” ani notki na jego okładkę). Akcja toczy się pod koniec drugiej wojny światowej - tyle mniej więcej mogłem powiedzieć, nie mijając się z prawdą - i opowiada o ludziach z amerykańskiej eskadry bombowców stacjonujących na wyspie niedaleko włoskiego wybrzeża. I przysięgam, że dopiero wówczas, próbując o tym sensownie mówić, zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, jak uporczywie skupiam się na ponurych detalach ludzkiej śmiertelności, na chorobach, wypadkach, groteskowych okaleczeniach. Znowu nurzałem się w czerwieniach i różach kolorowych kart Rorschacha, we krwi, w śmierci takich postaci, jak Kid Sampson, Snowden, a nawet mój bezbarwny żołnierz w bieli. Od początku, od drugiego rozdziału, starałem się ściśle trzymać nakreślonego wcześniej konspektu, ale aż do tego momentu nie uświadamiałem sobie, ile jest w nim krwawych scen. Zdecydowanie za dużo, jak na powieść, którą wiele osób uznało później za najśmieszniejszą, jaką w życiu przeczytali.

Uderzyło mnie później - nie mogło uderzyć już wtedy - że w „Paragrafie 22”, wszystkich moich następnych powieściach oraz jedynej napisanej przeze mnie sztuce rozwiązanie akcji poprzedzone jest w przedostatnim rozdziale śmiercią jakiejś postaci, która nie jest jednak głównym bohaterem. W „Paragrafie 22” śmierć Snowdena, który zginął czterysta stron wcześniej - zginął w gruncie rzeczy, zanim zaczęła się w ogóle akcja powieści - opisana jest dokładnie dopiero w przedostatnim rozdziale. A w mojej ostatniej książce, „Ostatnim rozdziale”, śmierć Lewisa relacjonowana przez jego żonę poprzedza surrealistyczną katastrofę w finale, chociaż Yossarian wcale w niej nie ginie. Nawet w poprzedniej powieści „Namaluj to” - pisząc ją, zdawałem już sobie sprawę z istnienia tego stałego wzorca i próbowałem z nim zerwać - śmierć Sokratesa, o której opowiada Platon w „Krytonie” (mnie oczywiście w tłumaczeniu), prawie wbrew mojej woli zapowiada finałowe kilka stron. I słuchajcie uważnie: w tej książce, ku swojemu zaskoczeniu, robię dokładnie to samo! Nie zerwałem z tą regułą. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje - nie wynika to z żadnej estetycznej ani filozoficznej zasady. Zaryzykowałbym tezę, że każdy osobnik bez względu na to, jak wielką jest obdarzony kreatywnością, ma swój własny charakter pisma i może swobodnie tworzyć tylko w granicach swojej natury. Powieści innych pisarzy, podobnie jak dojrzałe utwory klasycznych kompozytorów, są do siebie bardziej podobne, niż chcielibyśmy sądzić.

Zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. Kiedy przedstawiam czułe stosunki między dwiema osobami, dotyczą one na ogół ojca i dziecka, tak jak w „Coś się stało” oraz w „Bóg wie”, gdzie najbardziej przykre wspomnienia króla Dawida dotyczą śmierci jego syna Absaloma oraz noworodka narodzonego ze związku z

Batszewą.

Z Testu Apercepcji Tematycznej, któremu poddano mnie, kiedy starałem się o pracę w „McCall's”, zapamiętałem archetyp poruszający mnie zawsze, gdy o nim pomyślę. W TAT prosi się badanego, aby skomentował w subiektywny sposób proste, obiektywnie neutralne rysunki, aby wpisał w nie osobistą wizję tego, co się dzieje, aby stworzył jakąś fabułę. Nie było to takie łatwe i założyłem się, że jest wielu ludzi, którzy nie potrafią w ogóle niczego wymyślić. Obrazek, o którym mówię, jedyny, jaki utkwił mi w pamięci, mam wciąż przed oczyma i pamiętam związane z nim nierozzerwalnie emocje.

Kobieta o siwych włosach jest w pokoju z dorosłym ciemnowłosym młodzieńcem. To wszystko. Ale dla mnie ta scena przesycona jest bólem smutnego nie chcianego rozstania. Na twarzach przedstawionych na rysunku osób nie widać żadnych uczuć, lecz ja wyczuwam smutek matki i syna. Chłopak wyjeżdża gdzieś i żal odebrał im głos. Inna patrząca na ten sam rysunek osoba, zorientowałem się później, mogłaby z łatwością zobaczyć scenę uniesienia i triumfu - mogłaby sobie na przykład wyobrazić, że studiujący poza domem chłopak znalazł przyjemną stancję u kobiety, która będzie go chętnie gościć. Ale ja tego nie widziałem. (Mógłbym dzisiaj zaryzykować tezę, że kluczem do mojej interpretacji był być może brak ojca na rysunku, ale wtedy o tym nie pomyślałem. Po raz kolejny starałem się odnaleźć - i wciąż to czynię - podręcznikowe wyjaśnienie ponurego charakteru, jaki nadałem tej scenie. Z całą pewnością na rysunku nie ma ojca, jest tylko matka - a właściwie po prostu kobieta).

Nie znałem go. Nie ma go tam. Zresztą i tak bym go nie rozpoznał. Mam tylko kilka luźnych wspomnień - istnieje zaledwie jedno zdjęcie, na którym jest młodszy niż ja teraz, ale zawsze będzie wydawał się starszy - i nie wszystkie z tych zachowanych w pamięci obrazków są na pewno autentyczne. Posadzony na miejscu kierowcy w jego aucie, a może w dostawczej furgonetce cukierni, dotykam startera i udaję, że kieruję, biorąc z piskiem opon kolejne zakręty. Odwozi mnie do Coney Island Hospital, żeby usunęli mi migdałki. (To nie było wcale zabawne. Leżąc tam potem, oddałbym życie za łyk wody, tak wielkie dręczyło mnie pragnienie). Bawię się z ojcem samolotem z nakręcanym gumą śmigłem, który mi kupił, i widzę idącego od przystanku tramwajowego Lee. Wraca z letniej włóczędzy do Kalifornii i następuje radosne powitanie. („Kiedy człowiek wraca z Kalifornii - powtarzała potem przez lata matka - powinien się umyć”). Śpię w tej samej sypialni co rodzice i przynajmniej raz pozwalają mi wejść do swojego łóżka - myślcie o tym, co chcecie, ale nie wątpię, że to prawda. Ojciec każe mi odejść od otwartego okna, widząc, że mam zamiar zejść po schodach przeciwpożarowych. W dniu jego pogrzebu nie chciałem wsiąść do samochodu, który miał nas zawieźć do domu pogrzebowego, i kiedy przyszli po mnie starsi chłopcy z bloku, zamieniłem ucieczkę przed nimi w zabawę.

Sylvia niezbyt chętnie odpowiadała na pytania o naszym ojcu, a ja nie próbowałem z niej wiele wyciągnąć. Pamięta, jak siedziała przy oknie w nocy, odrabiając lekcje przy świetle ulicznej latarni, ale nie wiąże braku wewnętrznego oświetlenia jakimś oszczędnościowym reżimem - żadna ze znanych nam rodzin nie

lubiła rachunków z elektrowni - i kiedy wszyscy zmuszeni zostaliśmy nosić okulary, nie winała nikogo o swoją wadę wzroku. Pamięta dobrze spędzony z matką straszny tydzień po pogrzebie. Było lato i panował upał. Ktoś ubrał ją, trzynastoletnie dziecko, w czarny strój, ale matka poradziła, żeby włożyła coś lżejszego i wyszła na dwór, gdzie mogło być chłodniej. (Nie było mnie tam wtedy. Nie wiem, gdzie się podziewałem w ciągu tego tygodnia, ale na pewno mnie tam nie było. Pamiętałbym to. W trakcie prawie trzyletniej terapii doszedłem do tego i nie posunąłem się ani o krok dalej). Był dla mnie zawsze dobry, twierdzi Sylvia - wszyscy byli dobrzy. Jego pierwsza żona zachorowała i umarła i niedługo potem on także zachorował i nie zawsze był miły dla Lee. Najmłodszy w liczącej kilku synów rodzinie, która wyemigrowała ze wschodniej Europy w rejon Nowego Jorku, odniósł z nich wszystkich najmniejszy życiowy sukces i był najbardziej życzliwy i uczynny - również wobec krewnych mojej matki.

Lee rozmawiał o nim ze mną tylko raz i targały nim wtedy głębokie i sprzeczne emocje. Miał załzawione oczy i próbował się uśmiechać. Rozmowa odbywała się w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Przyjechawszy do Nowego Jorku z West Palm Beach z familijną wizytą, jego żona poczuła ból w ramieniu i poprosiła nas - mnie i moją pierwszą żonę Shirley - żebyśmy polecili jej jakiegoś lekarza, najlepiej ortopedę. Doktor, do którego się zwróciła, zrobił jej rentgen i odkrył zaawansowanego raka płuc. Podczas pierwszej sesji chemioterapii w Mount Sinai Hospital w Nowym Jorku Lee i ja jedliśmy przez kilka kolejnych wieczorów kolację we włoskiej knajpie oddalonej o przecnicę od mojego mieszkania - u Tony'ego przy Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. Nigdy przedtem i potem nie spędziliśmy ze sobą tyle czasu i nigdy tak długo nie rozmawialiśmy. Obaj piliśmy whiskey.

Nie przyznał się, że uciekł z domu tamtego lata. Pojechał po prostu do New Jersey, żeby starać się o pracę, i kiedy stało się jasne, że jej nie dostanie, postanowił nagle, że pojedzie na zachód. Co tydzień wysyłał do domu pocztówki, żeby rodzina wiedziała, że jest zdrowy i cały. Z dzieciństwa najboleśniej wspominał zimowe poranki, kiedy jeździł razem z ojcem zaprzężonym w konia furgonem po górnym Manhattanie, gdzie mieszkali przed moim urodzeniem. Jadąc pod górkę oblodzoną ulicą, ojciec musiał użyć bata i ludzie na ulicy oskarżali ich obu o okrucieństwo wobec zwierzęcia. Ojciec był dobrym i miłym człowiekiem, stwierdził Lee, chociaż bił go paskiem za każde uchybienie. Wydało mi się to brutalne.

- W okolicy było wielu żydowskich kryminalistów i nie chciał, żebym zszedł na złą drogę.

- W takim razie miał swoje racje - rzuciłem pojednawczo.

- Jasne. Ale ja byłem tylko małym chłopcem. Jak bardzo musiałem nabroić, żeby na to zasłużyć?

Więc nie zawsze był taki dobry i miły?

- Zawsze był bardzo dobry. Jego żona zachorowała i umarła, i on także był chory.

Lee nie zszedł na złą drogę. Żaden z nas nie zszedł. Jako osiemdziesięcioletni wdowiec zmarł w salonie swego małego kondominium w

West Palm Beach w sposób, w jaki wszyscy chcielibyśmy odejść, gdybyśmy mieli osiemdziesiąt cztery lata i mogli przyspieszyć własną śmierć. Wróciwszy z wakacyjnej podróży z grupą znajomych, z którymi się zaprzyjaźnił, zmarł nagle na zawał serca w trakcie planowania zajęć na najbliższą przyszłość. Tego dnia pożyczył kilka książek w miejscowej bibliotece i właśnie wrócił z supermarketu, gdzie uzupełnił kuchenne zapasy.

Jeszcze jedna relacja, pochodząca od wujka z rodziny mojej żony, który był małym chłopcem i bawił się z nami na ulicy, gdy ojciec jeszcze żył. Opisał mi go jako wesołego, pogodnego, przyjaznego i uczynnego mężczyznę - i oto, jak już wspominałem, znowu kończę książkę, której przedostatni rozdział opowiada o śmierci, śmierci kogoś, kto nie jest głównym bohaterem.

Po raz ostatni byłem z moim ojcem i w ogóle miałem z nim coś do czynienia jakieś siedemdziesiąt lat temu, w dniu gdy pochowano go na cmentarzu gdzieś na Coney Island albo w New Jersey. Sylvia na pewno pamięta gdzie, ale pytając o to, sprawię jej przykrość, a to, że będę wiedział, i tak niczego nie zmieni. Do tej pory nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać. Nigdy nie myślałem, żeby się o nim czegoś więcej dowiedzieć. Wolę tego nie robić. I nie będę chciał tego robić. Fakt, że się czegoś dowiem, też niczego nie zmieni. Znam go jako kogoś nieobecnego. Aż do dzisiaj, jeśli w ogóle wspominałem dzień jego pogrzebu, to jako jeden z najpomyślniej szych dni w moim wówczas niedługim życiu. Siedziałem spokojnie na kamiennej ławce na kamiennym patio ogrodzonym balustradą przy wejściu na teren cmentarza. Było lato, miałem na sobie elegancki strój i świeciło słońce. Przechodzący ludzie litowali się nade mną. Niektórzy dawali mi monety - dziesięciocentówki, a czasami ćwierćdolarówki. Ciocia Esther dała mi całego dolara. Poczuję się bogaty.

10. Danny Byk

Danny Byk zamordował swoją matkę.

Nie moglibyście chyba wymarzyć sobie lepszego zdania na początek ostatniego rozdziału, prawda?

Miało to coś wspólnego z heroiną, forszą na heroinę. Albo dała mu pieniądze, pięć dolarów na działkę, albo nie dała, albo robiła jedno i drugie: dawała, kiedy miała, a on się ich domagał, i odmawiała, kiedy nie miała. Nie tak jak Max Fryzjer, który urządzał całe przedstawienia, mieszając z błotem i wyrzekając się syna za każdym razem, gdy ten przychodził do zakładu fryzjerskiego i płaszcząc się błagał o forszę, i który był paskudnym facetem (według mojego przyjaciela Marvina Winklera znającego go lepiej niż ja), kimś w rodzaju aroganckiej „cwaniaczka” o niewyparzoną języku. Znam ten typ i wy zapewne też. Ojciec szydził z Danny'ego w obecności swoich klientów, przedstawiając go: „mój syn ćpun” i przechwalał się z filisterską dumą, że nie da mu ani grosza.

Rodzice Danny'ego Byka nie mieszkali razem; nie byli już małżeństwem. Danny mieszkał z matką gdzieś przy Zachodniej Dwudziestej Trzeciej, niedaleko dużej synagogi z żółtej cegły i dużego katolickiego kościoła z czerwonej cegły, tam, gdzie dzielnica żydowska stykała się z włoską. Max Fryzjer był jedynym znanym mi rozwodnikiem, który mieszkał wówczas na Coney Island. Ożenił się ponownie. Jego druga żona, miejscowa kobieta, także była przedtem mężatką i wniosła do ich małżeństwa dwoje własnych dzieci o nazwisku Glickman. Jakiś czas później pasierb Maxa Fryzjera, Raymie Glickman, zmarł na ulicy z przedawkowania heroiny. Żona Raymiego, Leona, zmarła z tego samego powodu. Ojciec Danny'ego Byka, Max Fryzjer, choć był chamowatym mądrym, miał rzeczywiście powody do niezadowolenia.

Zaraz po wojnie, kiedy zamknęły podwoje nasze kluby i skończyły się szkolne lata, ci nieliczni, którzy w dalszym ciągu mieszkali na Coney Island, oraz ci liczniejsi, którzy wyprowadzili się, lecz wciąż regularnie wracali do rodziny i przyjaciół, nie za bardzo mieli gdzie się spotykać. Mieszkalem już wtedy w mieście i dojeżdżałem z Manhattanu.

Wchodziliśmy teraz w dorosły wiek. Przy Mermaid Avenue, niedaleko Bistra Szczęściarza znajdował się popularny wśród mężczyzn lokal - sala bilardowa należąca do Sammy'ego Świntucha. Mogliśmy tutaj pogadać z synem rabiego, chudym Pinyą o fizjonomii zagłodzonego mnicha, który był naszym buk-macherem. Mogliśmy tam też pogadać z Dymkiem Bleekerem, trochę od nas starszym - miał koło trzydziestki - dobrze zbudowanym sympatycznym łobuzem, a także z samym właścicielem, niskim i baryłkowanym jak świnia, małomównym i niezbyt zabawnym. Na tyłach sali obok dużej pomazanej kredą tablicy stał dalekopis Western Union, który wystukiwał najświeższe informacje na temat trwających właśnie w całym kraju imprez sportowych. W sezonie baseballowym można było śledzić, rzut po rzucie, wszystkie ważniejsze mecze. Uliczni eksperci wiedzieli, że nietypowa przerwa w

nadawaniu oznacza zwykle, iż odwracają się losy meczu; w tym czasie można było zawrzeć nowe zakłady i zmienić wysokość stawek. Do dzisiaj zachodzę w głowę, jakim cudem niektórzy z tych facetów, ledwie radzących sobie na lekcjach arytmetyki w podstawówce, potrafili obliczać teraz ułamkowe wartości stawek i mnożniki wygranych i robili to z prędkością i dokładnością, którą tylko w niewielkim stopniu zdołały prześcignąć najszybsze nawet dzisiejsze komputery.

Jednym z tych geniuszy był mój rówieśnik i kolega ze szkoły numer 188, niejaki Silverman. Z sobie tylko znanych powodów zmienił nazwisko na Ershky Jones i tak go teraz nazywaliśmy. Dla większości z nas wygrana w warcaby była kwestią czystego szczęścia. Ale Ershky nie dał się zwieść pozorom; w jakiś sposób zgłębił zasady gry. Wygrywał każdą partię z każdym graczem i żaden z nas nie wiedział, jak to robi.

Potrafił również chodzić po ścianach. Podbiegał kilka kroków po pionowej ścianie domu albo mieszkania, zawracał i schodził na dół. Ćwicząc bieganie po ścianach, rozmawiał z nami cynicznie o baseballu, polityce, a także antyzwiązkowym i antydemokratycznym nastawieniu gazet Hearsta i nowojorskiej „Daily News”. Nikt ze znanych nam osób nie biegał po ścianach tak dobrze jak on. Żaden z nas nie próbował tego więcej niż raz.

W Bistrze Szczęściarza lub sali bilardowej Sammy'ego Świntucha prawie stale można było też spotkać Dymka Bleekera, uśmiechniętego, grzecznego, opowiadającego dowcipy i kaleczącego język w sposób, przy którym bladła nawet brooklyńska wymowa Ershky'ego Jonesa lub moja. Muskularny i zwinny, miał zawsze szczeciniasty zarost ocieniający policzki i podbródek, lecz mimo to wyglądał, jakby się przed chwilą ogolił. Wychował się w jakimś śmiesznym i odległym miejscu i pracował kiedyś na farmie - w Pensylwanii, lub Polsce, albo i tu, i tam. Gdy go spotkałem, zdążył już odsiedzieć wyrok w więzieniu i zakończyć karierę zawodowego boksera. Razem z innym miejscowym zabijaką, chudym jak szczapa Izzy Nishem, robili wcześniej różne ciemne interesy i któryś z nich sprowadził im na kark w innej dzielnicy Brooklynu jeden albo dwa samochody równie nieustraszonych włoskich nożowników. Izzy Nish zdołał zwiać, a Włosi pochlastali Dymka w jakiejś bramie. Cudem uszedł z życiem. Teraz ci dwaj nie odzywali się do siebie i starali się nie wchodzić sobie w drogę. Preferowali różne sale bilardowe. Dymek miał twarz pokrytą szramami i wgłębienie w miejscu, w którym odcięto mu okrągły czubek nosa. To mogło tłumaczyć jego wiecznie gustowny zarost.

Przez kilka miesięcy Dymek Bleeker chodził opromieniony sławą, a to za sprawą zaciśniętej w pięść dłoni, mającej swój udział w powstaniu sińca, którego lśniące rozmiary przekroczyły wszelkie wyobrażenia ludzi odwiedzających Bistro Szczęściarza i Sammy'ego Świntucha. Z podbitym okiem nie paradował oczywiście sam Dymek, ale przysadzisty facet w moim wieku, z krótkim grubym karkiem, który nosił przezwisko - idealne i nie nadane mu przeze mnie - Quasitnodo. Quasi (wymawialiśmy pierwszą literę bardziej jak k, nie kw) był ponurym osobnikiem, łatwo się obrażającym i przywykłym do stawiania na swoim. Zazwyczaj stawiał na swoim, gdyż wszyscy schodziliśmy mu z drogi. Wystarczyło raz spojrzeć na jego

podbite oko, żeby zrozumieć, dlaczego nazywa się je tradycyjnie „limem”. Limo Quasiego promieniowało istic słonecznym blaskiem i z upływem czasu zmieniało kolor z fioletowego na niebieski, z niebieskiego na zielony, z zielonego na żółty i z żółtego na mandarynkowy, świecąc niczym latarnia morska i wydając się rozjaśniać chodnik, po którym szedł. Ludzie (tacy jak ja, celowo kręcący się przy Bistrze Szczęściarza w nadziei, że zobaczą limo, o którym już zdążyli usłyszeć) przyjeżdżali tam, specjalnie przyjeżdżali na Coney Island, żeby obejrzeć na własne oczy słynne limo Quasiego. Niektórzy opowiadają o tym do dzisiaj, tak jak to teraz czynię i jak czyni Marvin Winkler.

Ten gargantuiczny siniak powstał w wyniku krótkiej ulicznej bójki pod salą bilardową, pomiędzy Quasim i Dymkiem Bleekerem. Nie znam szczegółów prowokacji. Chodziło chyba o to, że Quasi podszedł do radia, przy którym siedział z przodu sali Dymek i zmienił stację bez słowa przeprosin i nie pytając o pozwolenie. Urażony Dymek stwierdził, że Quasi postąpił „ordynarnie”. (Posłużenie się przez Dymka słowem „ordynarnie” z wielu powodów nie pasowało mi do całej historii, ale ludzie, którzy tam byli, przysięgali, że tak właśnie się wyraził). Quasimodo zaproponował, że jeśli Dymek ma jakieś obiekcje, wyjdą na zewnątrz i rozstrzygną tam cały spór. Kiedy znaleźli się na dworze, Quasi, lekceważąc bokerskie doświadczenie Dymka, pochylił się, żeby objąć go w pasie, podnieść w górę i cisnąć albo przygwoździć go do ziemi. Dymek, który nie zapomniał wcale, że jest bokserem, i którego nie tak łatwo było nastraszyć, wyprowadził idealny sierpowy w momencie, gdy Quasi pochylił głowę, i taki był początek i koniec bójki.

Ambulans z Coney Island Hospital podjechał pod salę bilardową Sammy’ego Świntucha w ostatniej chwili, ratując Quasiego przed uduszeniem, gigantyczna opuchlizna wokół nosa i ust zatykała bowiem jego tchawicę.

Mniej wiem o Izzym Nishu, niegdysiejszym sprzymierzeńcu Dymka w przeróżnych nielegalnych machinacjach, w następstwie których Dymek wylądował ostatecznie w szpitalu z ranami od noża, a być może także w więzieniu. Izzy nie był człowiekiem, który przesiadywałby gdzieś, nie mając nic do roboty, i nie był skłonny wymieniać uprzejmości z młodszymi chłopakami, takimi jak ja. Kiedy mi go pokazano, był żonaty z siostrą znajomego z Coney Island i prawdopodobnie miał stałą robotę. Widywałem go dość rzadko, wyłącznie w naszej drugiej sali bilardowej na Coney Island, u Beksy, gdzie spędzało czas w różnych porach dnia w dużym stopniu inne towarzystwo. Na jego napiętej opalonej twarzy również widniała jedna albo dwie blizny, ale charyzma Izzy’ego wynikała ze sposobu, w jaki grał w bilard. Był wspaniały. To, co robi doświadczony bilardzista, wydaje się cudem dla takiego laika jak ja, a Izzy Nish należał do najlepszych, jakich w życiu oglądałem. Uderzając kijem w bilę, był powściągliwym wcieleniem opanowanej, niemej, skoncentrowanej skuteczności, której najlepszym przykładem jest rekin i która stanowi intrygujące świadectwo zawitych niuansów, w jakie obfituje ta pokojowa dyscyplina. Dla tych, którzy nie wiedzą, gra w bilard polega na tym, żeby wybrać nie tę bilę, którą najłatwiej wbić do łoży, lecz tę, po której wbiciu biała bila znajdzie się w najlepszej pozycji do wbicia kolejnej, a potem kolejnej i kolejnej. I w końcu ostatniej, która

powinna znajdować się w pozycji gwarantującej jej silne wstrzelenie do łoży, a jednocześnie rozbicie tą samą białą bilą nowego trójkąta i kontynuowanie gry.

Oglądanie Izzy'ego, który wbijał gładko i bez słowa wszystkie bile raz, a potem dwa i czasami trzy razy pod rząd, było niczym słuchanie kameralnego koncertu.

Właściciel tej sali, Beksa, nazywał się Murray i był ojcem rodziny, obarczonym córkami. W przeciwieństwie do Sammy'ego nie miał dalekopisu i bukmachera. Można było za to dostać u niego bułki z salami za dziesięć centów oraz czekoladowe napoje z lodówki. Kobiety były tu mile widziane, ale nie zachodziły zbyt często.

Kolejną lokalną znakomitością, odchodzącą już raczej na emeryturę, był Blackie Bezik. Mistrz gry w karty, nie znał się jednak zbyt dobrze na koniach. Widziałem go tylko kilka razy, nigdy przy grze, ale parokrotnie słyszałem anegdotyczną relację o pewnej trudnej partii, na którą dużo postawił, oraz o słynnej uwadze, jaką wygłosił zaraz po jej zakończeniu. Kiedy licytacja dobiegła końca i miał zacząć grać, uświadomił sobie z przerażeniem, że drastycznie przelicytował. W beziku, w odróżnieniu od brydża, rozgrywający nie ma partnera i wsparcia w postaci martwej ręki; gra przeciwko dwóm rywalom. Blackie, mając do wyboru poddać się i płacić, bądź też grać i zapłacić w wypadku przegranej podwójną stawkę (właściwie poczwórną, ponieważ jako atut musiał wybrać piki), zorientował się ze smutkiem, że aby wygrać, musi zebrać wszystkie lewy, zdobyć wszystkie możliwe punkty. Zdecydował się grać. Rozgrywał powoli i powoli zdobywał wszystkie lewy. Pod koniec partii, kiedy mógł już zgadnąć, kto ma na ręku jakie karty, i zdał sobie sprawę, że na pewno wygra, muskuły zwiotczały mu i opadł z sił. Opuszczając wzrok ze smutnym westchnieniem i potrząsając głową, jakby przegrał, a nie wygrał, jęknął głośno:

- Zupełnie źle to rozegrałem.

Bistro Szczęściarza przy Mermaid Avenue, kilka przecznic od sali bilardowej Beksy, było chętnie odwiedzana, schludną, jasno oświetloną knajpką, bezpieczną i nadającą się na spotkanie z żoną, jeśli przyszedł taki wieczór, albo spędzenie kilku chwil z przyjaciółmi. W okolicy nie było już wielu innych lokali. Otwierano ją wcześniej i zamykano bardzo późno. Nie mając nic do roboty, nim poszliśmy tam, dokąd mieliśmy pójść, bądź też po powrocie stamtąd, mogliśmy zawsze przekąsić jedną albo dwie kanapki z tuńczykiem na białym chlebie, z włożonym do środka liściem sałaty i wąskim płatem pikla. Przed wojną nie słyszało się o czymś takim jak sałatka z tuńczyka. Teraz sandwicza z tuńczykiem przegryza się tak samo często jak chipsy albo słone orzeszki. Mówiłem już, że lubiliśmy wszyscy jeść, i ci, których uważam za przyjaciół, w dalszym ciągu to lubią. Nigdy sobie nie odmawialiśmy. Jeśli ktoś naprawdę zgłodniał, kapitalne były kotlety wieprzowe Szczęściarza, a także jego hamburgery. Z napojów najbardziej lubiliśmy krem czekoladowojajeczny i mleczne koktajle różnych smaków, a w zimie gorącą czekoladę. Smaku na kawę nabiera się dopiero z wiekiem.

Bistro Szczęściarza wraz z rogiem ulicy, przy której się mieściło, było także miejscem spotkań wielu podejrzanym indywiduów z okolicy, swego rodzaju

punktem zaopatrzeniowym, gdzie nałogowi palacze marihuany mogli kupować, sprzedawać, pożyczać i prowadzić handel wymienny, a kilka lat później, gdy stali się odrębną subkulturą, miejscem dla ćpunów, którzy ściągali tu i przesiadywali otoczeni podejrzaną i ukradkową aurą konfidencji.

To tutaj pewnej nocy w bocznej uliczce za rogiem obserwatorzy po raz pierwszy spostrzegli działanie heroiny. Przyjaźnie nastawiony dealer pokazał za darmo siedzącej tam grupce, jak wstrzyknąć sobie działkę. Chętnych na zastrzyk prosto w żyłę było kilkunastu i po paru chwilach wszyscy charczeli i rzygali na ulicę. Ktoś mógłby się założyć, że żaden z nich nie spojrzy drugi raz na to świństwo. I przegrałby. Wszyscy zaczęli brać i wszyscy się szybko uzależnili.

Kolejnym wodopojem, u którego wiosną, latem i jesienią spotykaliśmy się na gruncie towarzyskim, był obszerny kwadratowy bar przy deptaku w naszej żydowskiej dzielnicy. Bar był dla nas wówczas dość nietypowym miejscem, ale ten wychodził szeroko na deptak, jak w jakimś kurorcie, i prowadził go ktoś, kogo znaliśmy. W środku panowała atmosfera kawiarni, kabaretu bez występów na żywo. Przychodziły tam również kobiety, ze swoimi towarzyszami albo po dwie lub trzy. Wszyscy się znali, przynajmniej z widzenia. Mieszkałem już dawno poza Coney Island i przyprowadził mnie w to miejsce Marvin Win-kler po jednej z moich wizyt u matki. Któregoś razu spotkałem tam Howiego Ehrenmana z Zachodniej Trzydziestej Pierwszej, którego nie widziałem od dawna, od momentu gdy poszliśmy, każdy oddzielnie, na wojnę. Razem ze swoim bratem Henrym i rodziną mieszkał teraz gdzieś w innej części Brooklynu. Howie wyrósł i kłócił się opryskliwie z wpatrzoną w niego dziewczyną przy barze. Była olśniewająco piękną Włoszką o pełnych oliwkowych rysach i błyszczących blond włosach i zupełnie mnie oczarowała. Potem już go nie widziałem. Marvin zwrócił moją uwagę na inną ładną dziewczynę o świeżej twarzy i brzoskwiniowokremowej cerze, która siedziała naprzeciwko nas po drugiej stronie prostokątnego baru, zuchwała, roześmiana i promienna. Wygląda, powiedział Marvin, „jak butelka mleka, prawda?” - tak się dosłownie wyraził - i nigdy byś nie zgadł, że leczy trypra. Słyszając to, przebiegłem z zazdrością wzrokiem po twarzach obecnych w barze mężczyzn - byłem oczywiście młodszy i już wówczas pełen romantyzmu - starając się rozpoznać wśród nich szczęściarzy, którzy mogli zarazić się od tej wesołej laleczki. Naprawdę sprawiała wrażenie czystej, pasteryzowanej i homogenizowanej niczym butelka zdrowego mleka. Odkąd usłyszałem od Marvina to porównanie, czekałem na sposobność, by posłużyć się nim w którejs z moich książek, i robię to właśnie teraz.

Podobnie jak kilka osób z sąsiedztwa, które znałem, oraz inne osoby, o których słyszałem, Danny Byk kilkakrotnie zgłaszał się na dobrowolne leczenie w federalnym ośrodku odwykowym dla narkomanów w Lexington, Kentucky. Istniejąca wówczas (i być może teraz) luka prawna pozwalała zażywać narkotyki, czyniąc nielegalnym tylko ich posiadanie. Szukając pomocy, można było bez groźby aresztu przyznać się do zażywania i uzależnienia i wielu tak robiło, być może wszyscy ci nieszczęśnicy z Coney Island.

W Lexington, Kentucky, kuracja polegała na totalnym natychmiastowym

odstawieniu narkotyków, na „detoksie”. To właśnie od wracających stamtąd nauczyliśmy się tego określenia. Było to przed odkryciem methadonu oraz podobnych przynoszących ulgę farmaceutycznych substytutów i detoks był potwornym przeżyciem; tak przynajmniej twierdzili ci, którzy go przeszli. Opuszczając Lexington po zakończeniu kuracji, pacjent, jeśli tylko chciał, dostawał w łapę od pielęgniarki listę miejsc, gdzie mógł się zaopatrzyć nielegalnie w dowolne narkotyki w drodze powrotnej do domu. Niewesołe było to, że kiedy nadchodził czas powrotu do domu, nie mieli dokąd się udać, jak tylko z powrotem do domu.

Przez bardzo krótki okres przyjaźniłem się z pewnym duchownym pracującym z narkomanami w protestanckiej parafii we wschodnim Harlemie w Nowym Jorku. Zamieszkiwali ją przede wszystkim Latynosi, głównie Portorykańczycy. Był rumianym pogodnym mężczyzną o sympatycznym usposobieniu, ale do tego, co robił, odnosił się z totalnym pesymizmem: bezsensowne było jego zdaniem umieszczenie bezwolnego, zdruzgotanego psychicznie ćpuna w tym samym otoczeniu, z którego wyszedł, i oczekiwanie, że przezwycięży liczne psychologiczne, społeczne i środowiskowe czynniki, które skłoniły go do popadnięcia w nałóg na samym początku.

Kilku z nas było świadkami uderzającej i przynębiającej sceny, ilustrującej tę kruchą desperację. Spotkaliśmy przypadkiem Danny'ego Byka przy Bistrze Szczęściarza, gdzie obijał się, czekając być może na kolejną szansę ujrzenia podbitego oka Quasiego. Wrócił właśnie z kolejnego pobytu w Lexington. Był ożywiony, ufny, stanowczy, prawie wesoły. Nagle stęzał i drząc na całym ciele, zaczął spoglądać w inną stronę. Na jego rozdygotanej twarzy widać było niezdecydowanie i strach. Spojrzeliśmy tam, gdzie się gapił. Na chodniku po drugiej stronie Mermaid Avenue sterczał nieruchomy zgarbiony facet, w którym jeden z nas rozpoznał innego ćpuna z sąsiedztwa, zawsze pewne źródło zaopatrzenia albo informacji na temat zaopatrzenia. Danny Byk opierał się pokusie krócej niż minutę, po czym zostawił nas i przeszedł na drugą stronę ulicy.

W Kalifornii istniał Synanon House, organizacja, o której często się rozpisywano z racji pozytywnych efektów pracy z uzależnionymi. Świącili tak wielkie triumfy, że pewien reżyser, dla którego dokonałem kilku poprawek w scenariuszu lekkiej erotycznej komedii (*Sex and the Single Girl* - tytuł jest bardziej nieprzyzwoity niż treść), posłał do Synanon House asystenta, żeby zebrał dla niego materiał na film fabularny, który miał się tam rozgrywać, szczęśliwie kończyć i zrobić wielką kasę. I z tego, co wiem, nakręcił go. Danny Byk też znał to miejsce. Z kumplem, który również był ćpunem, polecili do Santa Monica, żeby starać się o przyjęcie. Może uda się pomóc jego przyjacielowi, brzmiał przekazany im wyrok opatrzości, dla niego jednak nie są w stanie niczego zrobić. Nie mam pojęcia, skąd to wiedzieli. Danny wrócił sam na Coney Island, do mieszkania, które zajmował ze swoją matką, i niedługo potem wywalił drzwi i zadusił ją gołymi rękoma, kiedy leżała w wannie.

Upierał się później, tłumacząc niekoherentnie swój atak szału, że zabił ją, ponieważ wszystko było jej winą: wpędzała go w nałóg, dając pieniądze. Gdyby

postępowała tak jak jego ojciec, Max Fryzjer, który nie dawał ani grosza, prawdopodobnie by się wykurował. Zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym dla kryminalistów i niewykłuczone, że tam jeszcze siedzi, jeśli żyje.

Co do skonsternowanej przerażonej żydowskiej imigrantki, która była jego matką, skłonny jestem sądzić, że kiedy syn dusił ją w wannie, nie miała pojęcia, co się z nią dzieje i dlaczego umiera. Przypuszczam, że z takim samym bezradnym osłupieniem obserwowała nałóg syna oraz dziwne zmiany, jakie ten nałóg powodował w jego zachowaniu, którego kompletnie nie rozumiała - w przeciwieństwie do dzisiejszych matek i godnych pochwały publicznych oficjeli, wiedzących na temat narkotyków wszystko, co trzeba, a mimo to też nie potrafiących nic zrobić.

Innym uzależnionym od heroiny ćpunem z sąsiedztwa, którego znałem o wiele bliżej, był chłopak o imieniu Solly. Chodziliśmy razem do podstawówki i czasami graliśmy w te same gry w tych samych drużynach. Nie pamiętam, co się z nim działo w szkole średniej, ale chyba jej nie skończył. On też spędził jakiś czas w Lexington. Był niczym Mark Twain, który stwierdził, że rzucenie palenia to dla niego łatwizna, tyle razy to robił; Solly zrywał z heroiną więcej niż raz. Ostatnim razem pomógł mu Marvin Winkler. Załatwił Solly'emu stałą regularną robotę w świeżo uruchomionej cukierni w New Jersey. Solly bardzo się starał i był szczęśliwy i dumny ze swojej pracy. Nie ćpał.

- Robię najlepsze lukrowane pączki z miodem na całym świecie - przechwalał się szczerze. - Ludzie zjeżdżają się z całego New Jersey i Connecticut, żeby spróbować moich pączków.

Wkrótce zaczął chodzić z dziewczyną i kiedy o nim ostatnio słyszałem, mówili o małżeństwie. Wkrótce potem Marvin musiał zamknąć interes, bo przeniósł się do Kalifornii, i nie wiemy, co się później stało z Sollym.

Mogę stwierdzić z niejaką dumą, że żaden z moich przyjaciół z trzech różnych grup społecznych, z którymi miałem styczność na Coney Island (ludzie z jednej zazwyczaj nie przestawali z tymi z drugiej), nie został narkomanem i ani razu nie przyszło mu do głowy, by ulec czemuś tak destruktywnemu i w ogóle czemukolwiek, nad czym nie potrafi zapanować. (Podobnie jak znacznie później z LSD, nikt z nas nie pragnął osiągnąć tego rozrzedzonego stanu umysłowego uniesienia, którym zachwycali się ci, co brali). Jestem przekonany, że ci, którzy wpadli w nałóg, byli osobnikami pozbawionymi jakichkolwiek atrakcyjnych cech osobowości.

Spooky Weiner nie był ćpunem i nie wyglądał na takiego, który mógłby nim zostać. Dzięki szczególnym psychicznym predyspozycjom niewiadomego pochodzenia stał się na jakiś okres miejscowym autorytetem w dziedzinie konopii lub haszu (przez późniejsze pokolenia nazywanego „trawką”) i bezbłędnie osądzał, czy coś jest, czy nie jest „śmieciem”. Miał dar nieomylnego rozpoznawania gorszych bądź zanieczyszczonych gatunków marihuany. Te zdolności nie uszły uwagi starszych kolegów, seniorów niegdysiejszego klubu Alteo, z którymi wciąż byliśmy w kontakcie. Kiedy kroili się większe zakupy, zabierali go ze sobą na przejażdżkę do

Harlemu lub Greenwich Village. Tam, w mrocznych korytarzach, napięcie sięgało szczytu; Spooky pobierał próbki i sprawdzał. Otaczający go ciasnym kręgiem ewentualni kupcy i pełni nadziei sprzedawcy wstrzymywali oddech, gdy Spooky zaciągał się głęboko własnoręcznie skręconym jointem. Czekali jak na rozżarzonych węglach na efekt sztachnięcia i werdykt wydobyty ze ściśniętego gardła, które nie było jeszcze skłonne do wydechu. Bardzo często werdykt sprowadzał się do jednego słowa: śmieci. Kiedy werdykt brzmiał „śmieci”, transakcja nie dochodziła do skutku i trzeba było szukać lepszego dostawcy z lepszym gatunkiem konopii, haszu, maryški albo trawki.

Słynne wyczulenie Spooky'ego na śmieci doprowadziło w końcu do jego konfliktu z prawem, konfliktu, który wielu z nas, pamiętających ten incydent (w tym on sam), wciąż uważa za humorystyczny. Stało się to pewnej sobotniej nocy. Nazajutrz rano miał wpaść do mnie, żebym pomógł mu rozkręcić interes polegający na niedzielnych dostawach do domu śniadań składających się z bajgli, wędzonego łososia i kremowego sera. Napisałem dla niego w czynie społecznym tekst reklamowy do oferty, którą rozsyłał pocztą, zaopatrzwszy ją w wymyślony przez siebie wytłuszczony nagłówek. (Nagłówek głosił: WYŚPIJ SIĘ W NIEDZIELĘ RANO! Nazwa firmy, której siedziba mieściła się przy Surf Avenue na Coney Island, brzmiała Zielone Farmy, spółka z o.o.). Wczesnym wieczorem zatelefonował do mnie z Coney Island Danny Książę, informując wesołym tonem, że poranne spotkanie się nie odbędzie; Spooky nie może przyjść.

- Dlaczego nie może? - zapytałem, chichocząc razem z Dannym w oczekiwaniu na jego odpowiedź, wiedziałem bowiem o stałym pechu, który prześladował Spooky'ego w jego różnych przedsięwzięciach. - Gdzie teraz jest?

- W pudle - odparł Danny, zanosząc się bronchitycznym śmiechem i natychmiast mu zawtórowałem.

- Co się stało?

Stało się, że Spooky ze swym wyjątkowym oddaniem sprawie jakości marihuany i swoją wyczuloną anteną na śmieci, oddelegowany został do miasta, aby kupić dużą ilość trawki, na którą złożyło się czterech lub pięciu kupców. Transakcja doszła do skutku i Spooky wrócił na Coney Island, do sali bilardowej Beksy, żeby poczekać na powrót współników. Nie zdążył nawet przysiąść na skraju stołu bilardowego w głębi lokalu, kiedy do środka wpadła grupka policjantów w cywilu. W tych zamierzchłych czasach na Coney Island rozpoznawało się policjantów w cywilu po dwóch rzeczach: wypuszczonych przy cieplej pogodzie koszulach, które kryły przytroczone do pasa narzędzia ich fachu, oraz celtyckoróżowej i saksońskobiałej cerze, które zdradzały stuprocentowych gojów. Szukali kogoś innego, ale Spooky nie mógł tego wiedzieć. Zgrabnie rzucił swoją paczuszkę w ciemne miejsce tuż przy ścianie, modląc się, żeby nikt tego nie zauważył.

- Podnieś tę paczkę, synu - oznajmił policjant, który zauważył. - Albo zgołę ci ten wąsik z twarzy.

Spooky towarzyszył mu do aresztu z nie zgolonym wąsikiem.

Doszło do ugody. Sędzia był łagodny, a aresztujący funkcjonariusz nie miał

pewności, czy rzeczywiście widział, jak podejrzany rzuca inkryminowany przedmiot na podłogę.

Jakiś czas później Spooky wypełniał oficjalny kwestionariusz, chyba żeby przedłużyć ważność prawa jazdy, i musiał odpowiedzieć na pytanie, czy był kiedyś aresztowany. Bojąc się grzywny lub więzienia, postanowił nie owijać niczego w bawełnę i odpowiedział twierdząco. W następnym pytaniu domagano się jednak, żeby podał powód. W tym miejscu pozwolił sobie na przebłysk humoru, który przewyciężył jego ostrożność. Z lekkim sercem napisał: „Nieudane pozbycie się śmieci”.

Przestaliśmy grać w punchball. Nic już nie bawiło nas w dzielnicy zabaw. Wyjeżdżaliśmy, żeby zamieszkać w innych miejscach; nikt z moich znajomych, którzy mieszkali kiedyś na Coney Island, nie wrócił tam ani nie miał takiej ochoty. Znudziły nam się diabelskie kolejki i inne atrakcje i chodziliśmy tam teraz tylko towarzysząc komuś innemu albo coś zjeść, gdy nie mieliśmy nic lepszego do roboty. Kiedy u Nathana, który działał także w zimie, zaczęto podawać zupę grochową, była to najlepsza zupa grochowa na świecie, zwłaszcza w mroźne styksowe noce, a kiedy wprowadzono pizzę, również nie ustępowała najlepszym na świecie. (Podobnie jak w wypadku lukrowanych pączków z miodem Solly’ego, ludzie przyjeżdżali z daleka, żeby spróbować smakołyków Nathana i nigdy nie byli rozczarowani).

Luna Park zszedł na psy i zamknął podwoje; Steeplechase też powoli podupadał, chociaż tego nie widzieliśmy. Widok mniej znudzonych od nas ludzi, którzy tłoczyli się rozradowani w środku, sprawiał nam błogie zadowolenie. Na pewno nie znudziły nam się, lecz uszczęśliwiły wspaniałe warunki rozwoju, które zapewniło nam amerykańskie społeczeństwo i z których skwapliwie korzystaliśmy.

Po powrocie z Kalifornii moje podróże do Brooklynu nie były zbyt regularne. Wybierałem się tam razem z żoną albo sam. Często jeździliśmy do Brooklynu, ale nie odwiedzaliśmy Coney Island i o wielu rzeczach dowiadywałem się teraz z drugiej ręki, głównie od Marvinina, który pozostaje najstarszym z moich bardzo bliskich przyjaciół (choć nie widzieliśmy się od jakichś dwóch, trzech lat), oraz od Louiego Berkmana, a w sprawach dotyczących innych ludzi od Daveya Goldsmitha, Danny’ego i Księcia, Harolda Blooma i jeszcze paru osób. Wiadomości odmiennego rodzaju docierały do mnie od mojej matki, mieszkającej w apartamencie na Coney Island aż do operacji przepukliny, po której była zbyt słaba i niesamodzielna, żeby mieszkać i sama, a także od Sylvii i Lee, którzy mieli swoje mieszkania w okolicy. Jako małżeństwo, moja żona Shirley i ja, prowadziliśmy ożywione życie towarzyskie: przyjaźniliśmy się z Marvinem i Evelyn, Lou i Marion Berkmanami, Dave’em i Estelle Goldsmithami, a potem z George’em i Miki Mandelami; na Coney Island wciąż mieszkał zawsze zabawny Danny Książę, przyjaciółka Evelyn, Maxine, która wyszła za mąż za byłego zawodowego boksera, oraz zwinna starsza siostra Maxine, June, znakomita tancerka lindy hop (bardzo rzadka rzecz u białej kobiety), która zakochała się w Dannym Księciu i żeby za niego wyjść, rozwiodła się z wcześniej poślubionym mężem. Łatwo nawiązywaliśmy znajomości i mogliśmy spotykać się zarówno w mieście, jak i na Coney Island.

W Brooklynie, kiedy nie mieliśmy jakichś specjalnych planów, to, dokąd szliśmy i co robiliśmy, zależało często od tego, kto dysponował samochodem. Któregoś wieczoru jedyny samochód miał Heshy Bodner. Pewien starszy osobnik o imponującej tuszy i tężyznie fizycznej, niejaki Louie Blizna, przypomniał sobie, że on i jego wielki pies mają do załatwienia kilka spraw w innych częściach Brooklynu i dolnego Manhattanu.

- Czyje to kombi stoi przy krawężniku? - zapytał Louie Blizna, zaglądając do Szczęściarza.

Heshy udał, że nie słyszy.

- Heshy'ego - poinformował młodszy palant, niejaki Dave Plamka, pokazując usłużnie ręką właściciela.

I przez kilka następnych godzin Heshy brał udział w niespokojnej i niebezpiecznej przejażdżce.

Profesja Louiego Blizny miała coś wspólnego ze związkowcami w tawernach i małych restauracjach; albo prowadził działalność związkową, albo ją zwalczał. Tego wieczoru spotykał się z ludźmi przed kolejnymi barami, podczas gdy Heshy i pies mieli przykazane czekać w samochodzie. Rozmowy, choć szybkie i prowadzone półgłosem, były gwałtowne. Raz czy dwa zabrali kogoś z jednego miejsca i podwieźli w inne. Kiedy do samochodu wsiadł kolejny facet, wielki pies przeniósł się na fotel obok Heshy'ego. Jakiś biedak dostał po buzi przed pogrążonym w ciemności barem; Louie Blizna przyglądał się temu ze skupieniem, zachęcając gestami bijącego. Zanim skończyli, zdarzył się nawet rabunek. Na stacji benzynowej, której pracownik nie był zbyt uprzejmy, Louie i jego przyjaciel uznali, że mogą równie dobrze zabrać gotówkę. Heshy i pies nie wysiadali z samochodu podczas całej podróży, z wyjątkiem kilku razy, kiedy Heshy pozwolił psu wysikać się na oponę. Pies był dogiem.

- Dzięki, Heshy - powiedział Louie Blizna, wysiadając przed Bistrem Szczęściarza. - Niedługo znów się przejeździemy.

Migracja z Coney Island po wojnie nie była, przynajmniej na początku, ucieczką białych przed napływem ludzi, którzy mieli ciemniejszą skórę i jeszcze niższy ekonomiczny status. To przyszło później (i trwa, a funkcjonujące obawy i uprzedzenia wydają się obejmować w równym stopniu lęki o podłożu rasowym, jak ekonomicznym i społecznym). Ten proces wynikał raczej z optymistycznej chęci polepszenia sobie warunków życia w reakcji na atrakcyjne możliwości, które wyłoniły się po naszym zwycięstwie w wojnie. Do najbardziej sensownych i bogatych należały te, które zapewniła ustawa o byłych poborowych. Oprócz oczywistego dobra, jakim było otwarcie drogi na wyższe studia tym, którzy, realistycznie myśląc, nigdy nie zamierzali ich podejmować, powstrzymała ona kilka milionów ludzi przed równoczesnym wejściem na rynek pracy i zapobiegła niepokojom, które mogło wywołać to zjawisko. Silnemu impulsowi do pięcia się w górę towarzyszyła coraz większa atrakcyjność przedmieść dla tych, którzy mieszkali w zatłoczonych miastach (wielu ludzi z tych samych peryferii pragnęło z kolei przenieść się do zatłoczonego śródmieścia) oraz łatwość, z jaką można było

zaspokoić świeżo obudzoną ambicję posiadania własnego domu. Zaraz po wojnie w miejscu, gdzie było wtedy szczere pole, powstał najpierw Levittown na Long Island, a potem zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu podobne osiedla, oferujące atrakcyjne domy za bajecznie rozsądną cenę, ze śmiesznie niskimi opłatami wstępnymi, niewielkimi odsetkami i rządowymi dotacjami udzielanymi na mocy ustawy o poborowych. Willie Siegel z mojej ulicy na Coney Island (który jako dorosły stał się Billem Siegelem, podobnie jak mnie nie nazywano już Joey, lecz Joe) był pierwszym znajomym w moim wieku, który kupił sobie własny dom na przedmieściu, i zapewne pierwszym, który dokonał tego kwantowego skoku w dorosłość i go w ogóle zapragnął.

Ja wyjechałem na dobre z Coney Island po moim małżeństwie w październiku 1945 roku, pięć miesięcy po zwolnieniu z wojska. Po roku w Anglii i dwóch latach nauczania w Pensylwanii osiedliśmy na Manhattanie w imponującej kamienicy z kontrolowanym czynszem, windami, odźwiernymi oraz windziarzami i mieszkałem w tym budynku przez następne dwadzieścia osiem lat, aż do ostatniej separacji, która doprowadziła do rozwodu.

Davey Goldsmith wyprowadził się wkrótce do mieszkania w Brighton, blisko wszystkich swoich znajomych; Marty Kapp najpierw zamieszkał w Riverdale, na północ od Manhattanu, a potem w New Jersey; Lou Berkman założył swoją hurtownię artykułów sanitarnych w Middletown, w stanie Nowy Jork. Wszyscy się poženiliśmy - wszyscy koło dwudziestki. Rodzina Lou, podobnie jak moja, mieszkała w Brooklynie i widywaliśmy się tam równie często jak na Manhattanie. Marvin Winkler jeszcze przed wojną przeprowadził się z rodziną z Sea Gate na Coney Island do Ocean Parkway. Albie Covelman też przeniósł się wtedy z rodziną gdzieś koło Bensonhurst. Właśnie po partyjce bezika w domu Albiego któregoś leniwego niedzielnego popołudnia w grudniu usłyszeliśmy o ataku na Pearl Harbor i stwierdziliśmy kategorycznie, że Japończykom odebrało rozum i że zostaną pobici w tydzień albo dwa. To, że Hitler wypowiedział nam wojnę, zanim my wypowiedzieliśmy ją jemu, było doniosłym wydarzeniem, które uszło jakoś mojej uwagi. (Gdyby Hitler nie popełnił tego błędu, wojna w Europie mogła potoczyć się zupełnie inaczej i...?).

George Mandel także wyprowadził się wcześniej z rodziną do innej części Brooklynu. Po wojnie, kiedy studiowałem na Uniwersytecie Nowojorskim, miał obszerną garsoniero-pracownię na poddaszu, gdzie mógł malować i pisać. Mieściła się niedaleko Greenwich Village i mojej szkoły i zaglądałem tam często, podobnie jak Danny Książę i Marvin Winkler. Wszyscy wpadliśmy w ekstatyczne zdziwienie, kiedy za cenę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów sprzedane zostały prawa do paperbacku, jego pierwszej powieści, *Flee the Angry Strangers*, opublikowanej w 1953 roku. Przypadająca mu z tego połowa wydawała się fortuną. Dwanaście i pół tysiąca było wtedy rzeczywiście fortuną dla kogoś utrzymującego się głównie z renty inwalidzkiej po odniesionej na wojnie ranie i dla kogoś takiego jak ja, kto pracował jako asystent na uczelni, a potem jako copywriter w agencji reklamowej za te same nędzne sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Wydawało mi się, że ja też mogę któregoś

dnia spróbować napisać powieść, jeśli tylko uznam, że mam wystarczające kwalifikacje, by ją skończyć. Jak się okazało, dopiero po ukończeniu trzydziestki uznałem, że mam wystarczające kwalifikacje, żeby ją zacząć.

Już tam nie bywam. Z mojego domu w East Hampton jest daleko na Coney Island. Nie wybrałbym się tam, nawet gdyby było bliżej. Przyjaciele rozproszyli się. Ich rodzice nie żyją. Jedyne moimi znajomymi, którzy wciąż tam mieszkają, są Sandy Kern, wdowa po Irze, chłopaku, z którym chodziłem do tej samej klasy w podstawówce i szkole średniej, i Frances Goodman, przyjaciółka i równieśniczka mojej siostry. Ale obie mieszkają w Sea Gate, za ogrodzeniem, strzeżone przez ochroniarzy. Tuż obok mają plażę i ocean, pogoda w zimie i w lecie jest łagodniejsza niż w innych częściach miasta, lecz one mieszkają tam przede wszystkim z powodu kojącego poczucia bezpieczeństwa oraz spokoju ducha, jakie zapewnia homogeniczna przystań.

Za ogrodzeniem niewiele zostało z dzielnicy żydowskiej. Dwadzieścia lat temu, gdzieś koło roku 1978, wybrałem się z powrotem na Coney Island w związku z pisaną wówczas powieścią „Gold jak złoto”, żeby zobaczyć, co się zmieniło. Już samo to, że spotkałem się z Marvinem w barze przy Mermaid Avenue, świadczyło o wielkiej zmianie - zmianie, która zaszła w nas, bo spotykaliśmy się w barze, i zmianie naszej starej Coney Island, gdzie bar, ten konkretny bar, stał się jedynym miejscem, w którym mogli się czuć bezpiecznie i spotykać ze sobą wciąż mieszkający tam starzy mieszkańcy. Dymek też był tam tego wieczoru i wtedy go po raz ostatni widziałem. Starzeje się, przyznał, jak zawsze się uśmiechając i śmiejąc, a potem wyjaśnił, co go skłoniło do tego wniosku. Tego lata sprzedawał lody na plaży i wszedł w drogę mniej więcej dwudziestoletniemu Włochowi z dolnej części Coney. Żaden z nich nie lubił konkurencji i każdy uważał to miejsce za swoje wyłączone terytorium. Włoch, niczym przeniesiony z innego czasu i miejsca Quasimodo, zaproponował Dymkowi, że jeśli nie ma nic przeciwko, rozstrzygną tę sprawę za pomocą pięści, pod deptakiem.

- I spuścił mi straszny łomot - oznajmił Dymek, odchylając głowę do tyłu i uśmiechając się na wspomnienie tej sceny. Nie widział ani jednego wyprowadzanego ciosu, powiedział mi, tak jakby było się czym chwalić. - A przecież kiedyś to ja przeganiałem wszystkich innych handlarzy!

Tak oto Dymek odkrył, że się starzeje. (Włączyłem jego opowieść, z nazwiskiem i wszystkimi detalami, do „Gold jak złoto” i wykorzystałem tam również przyjęcie urodzinowe Sylvii oraz niewygasłą i ambiwalentną miłość Lee do naszego ojca, po której zostały mu bolesne rany - nie blizny, lecz otwarte rany).

Wróciłem tam również któregoś popołudnia, żeby się rozejrzeć i po powrocie spisałem swoje wrażenia z Coney Island w tym dziele literackim:

W jego stronę szła czwórka sprężystych ciemnoskórych wyrostków w trampkach i w paraliżującym przeblasku intuicji (Gold) zrozumiał, że wybiła jego godzina, że skończy tu i teraz z dziurą od noża w sercu...

Małolaty przeszły, nie zaczepiając go, darowując mu życie. Jego czas jeszcze nie nadszedł.

Gold już wcześniej zwrócił uwagę na te wszystkie zabite deskami, zrujnowane sklepiki i warsztaty przy trzech głównych alejach Coney Island i zachodził w głowę, gdzie ludzie zaopatrują się teraz w żywność, gdzie noszą garnitury i sukienki do przeróbki i do prania chemicznego, buty do podzelowania, radia do naprawy i gdzie realizują swoje recepty. Dojechał wynajętym samochodem wyludnioną Mermaid Avenue do płotu z siatki drucianej odgradzającego prywatny teren Sea Gate, gdzie właściciele większych budynków kwaterowali teraz rodziny żyjące z zasiłku, skręcił w lewo w stronę plaży i mola i przejechał z powrotem Surf Avenue. Nie zauważył ani jednej apteki. Młodsze żydowskie rodziny mieszkające obecnie za strzeżoną przez wartownika bramą Sea Gate, gdzie niegdyś mieścił się wspaniały jachtklub wyłącznie dla dobrze sytuowanych chrześcijan, trzymały się dla bezpieczeństwa razem i stawały na głowie, by posyłać swoje dzieci do prywatnych szkół. Starsi mężczyźni i kobiety prawdopodobnie jak zawsze wypętlali ze swych kryjówek i gawędząc w jidysz, przemierzali ulice i molo w poszukiwaniu nasłonecznionych miejsc, gdzie można było wygrzać kości. Matkę Raymiego Rubina zamordowano któregoś dnia, kiedy wracała z takiej przechadzki. (To autentyczne wydarzenie: matka Raymiego Millera została zamordowana przez jakiegoś intruza w swoim mieszkaniu na parterze domu przy Zachodniej Trzydziestej Pierwszej, gdzie najpierw mieszkaliśmy). Gold nie minął żadnych żydowskich delikatesów. Na Coney Island nie było już kina: narkotyki, przemoc i wandalizm doprowadziły do zamknięcia obu jaskrawo oświetlonych, dominujących nad okolicą sal projekcyjnych. Kamienicę z czerwonej cegły, w której spędził całe swoje dzieciństwo i prawie cały okres dojrzewania, wyburzono; na jej miejscu stało coś nowszego i szkaradniej szego, co nie podwyższało wcale standardu życia mieszkających tam teraz portorykańskich rodzin.

Nowsze, wysokie bloki stojące w tym miejscu osiedla mieszkaniowego bez wątpienia miały windy, klimatyzację i lepiej działające sanitariaty. Ja wolałem moją starą kamienicę, z jej oknem w łazience i kuchnią dość przestronną, by zmieścić się w niej stół, przy którym czteroosobowa rodzina mogła wygodnie zjeść obiad.

Dzielnica włoska w głębi Coney Island wydaje się nieco ściśnięta, ale nie naruszona, z wciąż funkcjonującymi charakterystycznymi restauracjami Gargulio i Carolina. A Molu Steeplechase, dawno po zamknięciu Steeplechase Parku, nadano niedawno nazwę Mola Auletty, aby uhonorować sławnego w tej dzielnicy obywatela - który, tak się składa, był ojcem dziennikarza Kena Auletty.

Kiedy tam ostatnio byłem, wędkarze łowiący z mola kraby i moczący spławiki i haczyki w nadziei, że skusi się na nie jakaś rybka, byli prawie wyłącznie Latynosami, podobnie jak kobiety i mężczyźni z małymi dziećmi, dokazującymi radośnie w promieniach słońca. Wszyscy cieszyli się, widząc mnie i towarzyszącą mi grupę osób, ponieważ byłem tam z ekipą brytyjskiej telewizji, kręcącą program, do udziału w którym czuli się zaproszeni.

Wracałem tam tylko kilka razy. W latach sześćdziesiątych, o czym już wspominałem, z George'em Mandelem i Mariem Puzo, kiedy odpoczywaliśmy w Steeplechase i obserwowaliśmy nasze uganiające się po terenie małe dzieci. Było

także to popołudnie i ten jeden wieczór w roku 1978, kiedy zbierałem materiały do powieści i rozmawiałem z Dymkiem w barze.

Na początku 1982 roku, kiedy leżałem w Rusk Institute w Nowym Jorku, dochodząc do siebie po osłabieniu mięśni spowodowanym moim zespołem Guillaina-Barre'a, postanowiłem wybrać się tam ponownie, tym razem w roli niezastąpionego miejscowego przewodnika. W skróconej autobiograficznej podróży towarzyszyli mi Mary Kay Fish, fizykoterapeutka z północy stanu Nowy Jork, która nigdy nie była na Coney Island, pielęgniarka Valerie Jean Humphries oraz Jeny McQueen, dysponujący samochodem przyjaciel, który był wtedy detektywem - i to bardzo dobrym - w wydziale zabójstw miejskiej policji. Valerie Humphries była jedną z gromadki pielęgniarek, w której zakochałem się podczas trwającej prawie sześć miesięcy kuracji w dwóch szpitalach. Wzięliśmy ślub w 1987 roku i chyba wciąż mnie lubi.

Potem wracałem na Coney Island tylko trzy razy, zawsze z ekipami telewizyjnymi z Europy, które chciały sfilmować do swoich programów miejsce, z którego pochodziłem, zwłaszcza że cieszyło się ono światową sławą i było takie malownicze.

Pierwsza grupa była z Anglii, następna z Niemiec. Ostatnim razem pojechałem tam znowu z ekipą z Anglii. Tak jak poprzednio, wszyscy Europejczycy słyszeli o Coney Island i kiedy przyjechaliśmy i szykowaliśmy się do wyjścia z furgonetki oraz samochodu, oczy płonęły im z przejęcia. Bez wątplenia widzieli wszyscy bardziej nowoczesne i luksusowe wesołe miasteczka w różnych krajach i miastach. Ale to była Coney Island, a w ich umysłach Coney Island stanowiła świetlany mit, o którym od dawna słyszeli i który zawierał w sobie szczególną mistykę.

Ich entuzjazm był zaraźliwy; ja też się zapaliłem i uświadomiłem sobie, że jestem tu gospodarzem. U Nathana, gdzie ich zaprowadziłem, ruszyłem z większym niż inni apetytem do różna po hot dogi i obok, po frytki (z dodatkową porcją soli, proszę). Podchodzili do lady z pełnym respektem i onieśmieleniem. Żarcie u Nathana zawsze wywierało duże wrażenie na moich Europejczykach, szczególnie tych z Wielkiej Brytanii, w której produkowane bezpłciowe kiełbaski stanowią przedmiot szyderczych żartów od czasów racjonowania żywności w trakcie ostatniej wojny światowej.

Działo się to w maju 1994 roku i znowu było to wspaniałe przeżycie, przygoda dla nas wszystkich. Tam, gdzie znajdował się kiedyś Luna Park, stało osiedle mieszkaniowe, w miejscu Steeplechase ciągnął się przez kilka przecznic pusty teren, ale najwyraźniej im to nie przeszkadzało.

Nieczynna wieża spadochronowa była dla nich wieżą Eiffla z porudziałej stali.

Był środek tygodnia, normalny szkolny dzień i nie spotkaliśmy dużych tłumów. Z czynnych niegdyś na Coney Island wysokich obiektów zostały się tylko Cudowne Koło i Cyklon, lecz im nie robiło to dużej różnicy.

Nigdy nie widzieli chyba na oczy takiego deptaka, takiej szerokiej długiej piaszczystej plaży i oceanu, który ciągnął się po sam horyzont. Wyludniony

krajobraz tchnął spokojem i doskonałością, miał w sobie coś wysublimowanego i odwiecznego.

Na Surf Avenue, którą kiedyś całą zajmowały ciągnące się prawie bez końca, reklamowane ochryplym głosem atrakcje, teatrzyki oraz budki z lodami i napojami, stragany były teraz stłoczone na niewielkim terenie i na ogół handlowano tam używanymi rzeczami. To też ich nie zniechęciło.

Nie mieli nic przeciwko temu. Wśród mechanicznych urządzeń było więcej niż kiedykolwiek przedtem zminiaturyzowanych huśtawek dla dzieci, ale towarzyszący mi Europejczycy nie odczuwali oczywiście braku atrakcji, które zlikwidowano.

I nie przejmowali się, gdy mówiłem o zmianach. Dla nich ta wizyta była wielką frajdą - nawet jeśli mieli tu nigdy nie wrócić.

Valerie i ja przejechaliśmy się Cudownym Kołem, a oni kręcili film, siedząc z nami wysoko w gondoli. Ale Cudowne Koło to fraszka. Cyklon nie. Drżąc z podniecenia, dźwiękowiec oraz młoda Brytyjka, która była asystentką producenta, postanowili, że zaryzykują; kiedy wygramolili się potem z wagonika i dołączyli do nas, mieli pobladłe twarze i opowiadali z niedowierzaniem o mroźnej krew w żyłach przygodzie. Chociaż był dzień powszedni, dzieci oblegały karuzele. Przy bocznych uliczkach parkowały szkolne autobusy. Dzieciaki przywieziono z kilku różnych szkół na wiosenną wycieczkę. W oddzielnych gromadkach skupiali się czarni, brązowi, biali i Azjaci - jedna grupa przyjechała z ortodoksyjnej żydowskiej szkoły - i wszędzie rozbrzmiewały radosne wybuchy śmiechu, kiedy wirowały na orbitach różnych mechanizmów, z pewnością znakomicie się bawiąc (na co powinno się pozwalać dzieciom na całym świecie).

Może się łudzę, ale myślę, że ja bawiłem się lepiej.

Irwin Shaw nie żyje i boleśnie brakuje go wszystkim, którzy znali i podziwiali jego wielki umysł i porywczy wielkoduszny charakter. Zmarł również James Jones. Obaj byli znanymi pisarzami, kiedy ukazał się „Paragraf 22” i choć nie znali jego autora, chwalili książkę przed publikacją i pomogli jej pomyślnie wystartować. A potem zostaliśmy przyjaciółmi. Mario Puzo skarży się na nogi. Moje wciąż są słabe po tej neuropatii sprzed piętnastu lat (i po piętnastu latach starzenia się). Speed Vogel coraz częściej zapada na infekcję dróg oddechowych i bierze coumadin przeciw skrzepom krwi. Julie Green też bierze teraz coumadin, podobnie jak David Goodman i moja siostra Sylvia. Lou Berkman zmarł na chorobę Hodgkina tak jak to opisałem w „Ostatnim rozdziale”. Moja pierwsza żona także już zmarła - na raka płuc; na to samo zmarła moja szwagierka Pearlie. George Mandel wciąż jest aktywny, jak zawsze w dobrym humorze i słuch nie pogarsza mu się, szybciej niż innym. Marvin Winkler, choć ma wielką nadwagę, trzyma się całkiem nieźle, podobnie jak jego żona Evelyn, która pracuje w Kalifornii jako przedszkolanka i za każdym razem, kiedy rozmawiamy przez telefon, dziwi się, że wszyscy przeżyliśmy tyle lat i cieszymy się na ogół dobrym zdrowiem. Pierwszego maja dzwoni zawsze z Kalifornii, żeby życzyć mi wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Co rok w lutym staram się nie zapomnieć zatelefonować do niego w urodziny, które przypadają pod

koniec miesiąca. (W Eugene w Oregonie mieszka facet, z którym nigdy się nie spotkałem ani nie rozmawiałem i który nazywa się Bradford Willett. Od mniej więcej trzydziestu lat, czyli od ukazania się „Paragrafu 22”, przysyła mi życzenia urodzinowe. Mimo że zmieniłem kilka razy miejsce zamieszkania, zawsze udaje mu się mnie zlokalizować. Kiedy zaczął, miał prawdopodobnie koło dwudziestki, i dostając te kartki, cieszę się i jestem głęboko wzruszony).

Czasami trudno jest dziś, spoglądając wstecz, uświadomić sobie, naprawdę uwierzyć, że poszedłem na studia - w latach mojej młodości nie zdarzało się to, jak mówiłem, zbyt często i wielką popularnością cieszyły się filmy o życiu na uczelni, które były zawsze romantycznymi komediami; trudno także uwierzyć, że potem uczyłem na uniwersytecie - marzenie o czymś takim byłoby na Coney Island czystym szaleństwem - i, co więcej, że studiowałem przez rok jako stypendysta w Kolegium Świętej Katarzyny na Uniwersytecie Oksfordzkim w Anglii i po jednym semestrze, który spędziłem tam w 1991 roku jako Christiensen Fellow, zostałem mianowany honorowym członkiem fakultetu.

Pomyślcie tylko: jestem honorowym członkiem Kolegium Świętej Katarzyny Uniwersytetu Oksfordzkiego.

Mogę być i jestem zadowolony z wielu rzeczy, w tym z samego siebie. Chciałem odnieść sukces i odniosłem go. Wyglądam na młodszego, niż jestem, o wiele młodszego od ludzi, którzy są młodzi, i cieszę się zdecydowanie dobrym zdrowiem. Wciąż dopisuje mi apetyt, wspierany przez znakomity system trawienny, który nigdy mnie nie zawiódł. W dalszym ciągu mam większość włosów na głowie i prawdopodobnie wystarczający dochód, żeby żyć nieźle tak długo, jak długo mi się podoba, i zostawić wystarczającą, jak mi się wydaje, schedę swoim spadkobiercom. (Valerie, siostrze Sylvii i dzieciom, Erice i Tedowi). Kocham moją żonę, pociągają mnie inne kobiety, mam wielu bliskich przyjaciół i właśnie skończyłem pisać tę książkę.

Zostanie opublikowana mniej więcej za rok i spodziewam się, że wiele z tego, co tu właśnie napisałem, będzie nadal prawdą, gdy to się stanie.

Spis treści

1. Złoty pierścień	4
2. Coney	20
3. Sea Gate	51
4 Praca	68
5. I tak dalej	79
6. I tak dalej, i tak dalej	88
7. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej	98
8. Pokój	112
9. Psychiatria	143
10. Danny Byk	155